

Kristin Hannah

CUDOWNA MOC MIŁOŚCI



Część I

*Co mogło być być i to, co było,
Jeden ma kres, terazniejszy wiecznie.
Echo stapania dudni nam w pamięci
Przejdziem, w któreśmy sami nie wchodzili nigdy,
Ku drzwiom zamkniętym, których nie otwieraliśmy nigdy.*

T. S. Eliot *Burnt Norton*
(przeł. Czesław Miłosz)

1

Na północnym zachodzie stanu Waszyngton postrzępione granitowe góry sięgają zamglonego nieba, ich szczyty pozostają niedostępne dla człowieka, nawet w czasach helikopterów i poszukiwaczy przygód korzystających z najnowocześniejszego sprzętu. W tej części kraju drzewa rosną tak gęsto jak zarost na brodzie dojrzałego mężczyzny. Tylko najsilniejsze promienie słońca z trudem przedzierają się poprzez rozłożyste korony. Turystom udaje się odnaleźć swoje zaparkowane wzdłuż drogi samochody wyłącznie podczas najjaśniejszych miesięcy lata.

Gdzieś w czarno-zielonych mrokach tego wiekowego boru leży malusieńkie miasteczko Last Bend. Osobom odwiedzającym miścinę - bo obcych tu po prostu nie ma - wydaje się, że znaleźli się w miejscu nierealnym, stworzonym przez ich wybujałą wyobraźnię. Przysięgają, że kiedy po raz pierwszy przechadzali się uliczkami, słyszeli jakieś dźwięki, coś jakby śmiech. Potem przywołują wspomnienia, niektóre prawdziwe, inne zapożyczone ze starych filmów czy historii drukowanych w magazynie „Life”. Przypominają sobie smak lemoniady przygotowywanej przez babcię... zdaje im się, że znowu słyszą skrzywienie starej huśtawki na ganku, parną letnią nocą bujającej się to w przód, to w tył, to w przód, to w tył.

Last Bend powstało pięćdziesiąt lat temu. Wtedy właśnie wysoki, potężnie zbudowany Szkot, Ian Campbell, postanowił porzucić rozsypujący się rodzinny dom w Edynburgu i wyruszył w świat na poszukiwanie przygód. Gdzieś po drodze - według rodzinnej legendy było to w Wyoming - zainteresował się wspinaczką górską i następne dziesięć lat spędził, łażąc po górach w poszukiwaniu dwóch rzeczy: najwyższego szczytu i miejsca, gdzie mógłby zostawić swój ślad.

To, czego szukał, znalazł w paśmie górskim North Cascade w stanie Waszyngton. I tutaj, gdzie Anglicy byli tylko duchami pojawiającymi się w opowieściach przy ognisku, a jak rok długi srebrzystobłękitnymi rzekami płynęła kra, właśnie tu zdecydował zarzucić kotwicę, tu postanowił się osiedlić. Kupił sto akrów ziemi doskonałej do wypasu bydła. Pastwiska wybrał możliwie najbliższej potężnej Góry Bakera. Potem dokupił jeszcze teren klinem wrzynający się w żwirową drogę, która pewnego dnia przekształci się w szosę wokół Góry Bakera. Zbudował swoje miasto wzdłuż kamienistego, dziewiczego brzegu Jeziora Anioła i nazwał je Last Bend (Ostatni Zakręt), ponieważ uważał, że każdy powinien szukać swojego

miejsca na ziemi, a on swoje znalazł za ostatnim zakrętem drogi.

Dość długo czekał na kobietę gotową zamieszkać z nim w uszczelnionej mchem, drewnianej chałupie, bez prądu i bieżącej wody. W końcu jednak się doczekał. Była nią porywczą młoda Irlandka, której też śniło się inne życie. Razem stworzyli miasto swoich marzeń; ona posadziła japońskie klony wzdłuż Main Street (Główniej Ulicy), dała początek wielu tradycjom: wprowadziła obchody Dni Lodu, zainaugurowała lokalne rozgrywki sportowe, u zbiegu ulic Główniej i Kaskady zbudowała Dom Duchów, w którym bawiono się w Halloween.

W tym samym roku, w którym Sprawiedliwi Bracia poróżnili się, Ian i Fiona rozpoczęli budowę domu swoich marzeń. Wkrótce stanął ogromny półkolisty budynek z okrągłaków, położony na niewielkim wzniesieniu w samym środku posiadłości. Czasem, gdy niebo przybierało barwę stalowoniebieską, wydawało się, że z tego miejsca ręką można sięgnąć do pokrytych lodem szczytów górskich. Strzeliste sosny i cedry otaczały pięknie przystrzyżony trawnik, osłaniając sad przed mroźnymi podmuchami zimy. Zachodnią granicę ich ziem wyznaczała Przełęcz Anioła. Przez większość roku był to potok zastygły w mroku, a podczas letnich upalnych miesięcy, kiedy słońce stało wysoko na niebie - cicho szmerzący strumyk. Zimą na ganek od frontu dochodził szum Wodospadu Anioła, odległego tylko o kilka mil od domu.

Teraz w tym domu mieszkało już trzecie pokolenie Campbellów. Pokój chłopca znajdował się tuż pod strzelistym dachem budynku. Niczym nie różnił się od pokojów innych chłopców, żyjących w czasach środków masowego przekazu: podnoszone łóżko, plakaty z Batmanem przypinane do nierównych drewnianych ścian, komiksy porozrzucane po pokrytej długowłosym dywanem podłodze, całe stosy plastikowych dinozaurów, węży i postaci z *Gwiezdnych wojen*.

Dziewięcioletni Bret Campbell cichutko leżał w łóżku i w ciemności obserwował zmieniające się na zegarze czerwone cyfry. Piąta trzydzieści. Piąta trzydzieści jeden. Piąta trzydzieści dwie.

Był ranek wigilii Wszystkich Świętych, Halloween.

Chciał nastawić budzik na ten szczególny sobotni ranek, ale nie wiedział, jak się to robi. Gdyby poprosił o pomoc, z niespodzianki nic by nie wyszło. Kulił się więc pod ciepłą kołdrą i czekał.

Dokładnie o piątej czterdzieści pięć wstał i starając się nie robić hałasu, wyciągnął spod łóżka torbę, z której zaczął wyjmować schowane tam rzeczy.

Nie zapalał światła, nie potrzebował. Od tygodnia przyglądał się tym rzeczom co noc. To jego strój na Halloween. Para błyszczących, używanych kowbojskich butów, które znaleźli w Sklepie z Prawie Nową Odzieżą Używaną, kamizelka ze sztucznej skóry ze Sklepu dla Oszczędnych, para miękkich skórzanych spodni, które uszyła mama, flanelowa koszula w kratę, nowusienkie džinsy Wranglera kupione w sklepie Zeke'a i, najważniejsze ze wszystkiego, błyszcząca gwiazda szeryfa i pas na broń ze sklepu z zabawkami.

Zrzucił piżamę i ubrał się w swój strój. Zostawił tylko pas na broń, pistolety, skórzane spodnie, lasso i ogromny kapelusz. Tych rzeczy na razie nie będzie potrzebował.

Teraz czuł się jak prawdziwy kowboj. Chwycił kartkę z instrukcją - tylko na wszelki wypadek - podszedł do drzwi i ostrożnie wyjrzał na pogrążony w mroku korytarz.

Spojrzał na drzwi do pozostałych dwóch sypialni. Były zamknięte i nie było widać spod nich światła. Jego szesnastoletnia siostra, Jacey, oczywiście spała. Przecież to dziś sobota, a wczoraj był mecz szkolnej drużyny futbolowej. Po meczu Jacey zawsze wylegiwała się aż do południa następnego dnia. Tata do późna w nocy siedział w szpitalu przy pacjencie, więc też musiał wypocząć. Tylko mama wstanie wcześniej; będzie w stajni, gotowa do przejażdżki, o szóstej.

Przycisnął guzik wyświetlacza na swoim zegarku marki Darth Maul. Piąta czterdzieści dziewięć.

- Dobra jest! - Postawił kołnierz flanelowej koszuli i w podskokach zbiegł z kilku ostatnich schodków. Po omacku przeszedł przez ciemną kuchnię, po drodze włączając ekspres do

kawy (to będzie jeszcze jedna niespodzianka), i powoli, ostrożnie otworzył frontowe drzwi.

Na ganku przestraszył go czarny cień jakiegoś człowieka, który pojawił się tuż obok niego, ale chwilę później rozpoznał kontury i przypomniał sobie. To tylko kukła farmera z głową z dyni, zrobiona przez mamę wczoraj wieczorem. Zapach świeżej słomy nadal był bardzo wyraźny.

Bret przesunął się obok dekoracji, zeskoczył z ganku i pobiegł podjazdem w górę. Na wysokości domku dla gości skręcił w prawo i prześlizgnął się między drugą a trzecią żerdzią ogrodzenia. Dysząc ze zmęczenia, pędził po śliskiej trawie pastwiska.

Jedna żarówka oświetlała ogromną, dwupoziomową stajnię, zbudowaną jeszcze przez jego dziadka. Bret zawsze czuł strach przed sławnym dziadkiem, którego wprawdzie nigdy nie poznał, ale którego imię nosiły ulice, budynki, góry. Ten człowiek wiedział, że Last Bend powinno leżeć właśnie w tym miejscu.

Historie o przygodach dziadka opowiadano, odkąd Bret tylko pamiętał, i powtarzano w nieskończoność. Bret pragnął być taki jak dziadek. To dlatego wstał tak wcześnie w Halloween. Chciał przekonać swoją nadopiekuńczą mamę, że już może brać udział w nocnej konnej wyprawie do Wodospadu Anioła.

Ujął dłonią zimny zamek i otworzył drzwi stajni. Uwielbiał zapach tej starej stajni, zawsze przypominał mu mamę. Czasami, kiedy był z dala od domu i poczuł zapach siana, skóry czy tłuszczu, od razu miał przed oczyma matkę.

Konie niecierpliwie kręciły się w swoich boksach, myśląc, że nadeszła pora karmienia. Bret zapalił światło i szybko ruszył szerokim wybetonowanym przejściem w kierunku pomieszczenia gospodarczego. Z wysiłkiem ciągnął z drewnianego haka specjalne siodło mamy do skoków. Dwa razy je upuścił, zanim zrozumiał, jak musi je trzymać. Ruszył w kierunku boksu Srebrnej Kuli, wlokąc za sobą popręg, który zaczepiał o wszystko po drodze.

Tu zatrzymał się. Jezu, Srebrna Kula była dzisiaj jakaś większa...

Dziadek na pewno by nie stchórzył.

Bret wziął głęboki oddech i otworzył drzwiczki boksu.

Próbował wiele razy, naprawdę bardzo wiele razy, ale w końcu udało mu się założyć siodło na wysoki grzbiet konia. Nawet zdołał zaciągnąć popręg. Może nie dostatecznie mocno, ale dość, by zapiąć sprzączkę.

Wyprowadził Kulę na środek. Nie widział własnych butów, grzęzły w walających się śmieciach. Górne światło rzucało niesamowite cienie na postać chłopca i konia, ale Breta najbardziej bawiły prześlizgujące się po nim i Kuli czarne linie. Przypominały mu, że dzisiaj jest Halloween.

Kula opuściła łeb, prychnęła i kopytem stuknęła o ziemię.

Bret zacisnął dłoń na linie, na której prowadził klacz.

- Spokojnie, dziewczyno - powiedział ciepłym głosem, starając się opanować strach. Mama zawsze tak przemawiała do zwierząt. Twierdziła, że głosem można uspokoić najbardziej zdenerwowane zwierzę, jeśli tylko zachowa się spokój i cierpliwość.

Wrota stajni poruszyły się, potem dato się słyszeć powolne skrzypienie. Drewno zazgrzytało na betonie, wierzaje zostały otwarte.

Stała w nich mama. Za nią widać było wschodzące słońce. Miało cudną purpurową barwę, a włosy mamy, oświetlone jego promieniami, zdawały się płonąć. Twarzy Bret nie widział dokładnie, tylko sylwetkę mamy, ciemny kontur w jasnej poświacie, i słyszał miarowy stukot obcasów na betonie. W pewnej chwili zatrzymała się, podniosła rękę i osłoniła dłonią oczy.

- Bret? Kochanie, to ty?

Bret zaczął prowadzić Kulę w kierunku mamy, która z rękoma wspartymi na biodrach stała z boku. Miała na

sobie długi brązowy sweter, czarne spodnie do konnej jazdy i buty trochę już zakurzone. Patrzyła na Breta tym swoim szczególnym spojrzeniem i Bret modlił się w duchu, żeby się uśmiechnęła.

Szarpnął za linę i, tak jak go uczono, gwałtownie zatrzymał klacz.

- Sam ją osiodłałem, mamó - gładził aksamitne nozdrza Kuli. - Nie udało mi się założyć jej wędzidla, ale siodło założyłem dobrze, tak jak trzeba.

- Wcześniej wstałeś. I to w Halloween, jedno z trzech twoich ulubionych świąt. I osiodłałeś mi konia. No, no. - Pochyliła się i serdecznym ruchem zmierzwiła mu włosy. - Nie chciałeś, żebym zbyt długo była sama, co, Bretster?

- Wiem, że czasem czujesz się samotna. Roześmiała się i przyklekła na brudnej ziemi. Taka była jego mama, nigdy nie martwiła się o to, że się ubrudzi. I lubiła patrzeć swoim dzieciom prosto w oczy. Przynajmniej tak mówiła. Ściągnęła z prawej dłoni zniszczoną rękawiczkę z czarnej skóry i upuściła ją. Rękawiczka wylądowała na jej kolanach, ale nawet nie zwróciła na to uwagi. Wyciągnęła rękę i odgarnęła włosy z twarzy Breta.

- No więc, młody koniuszy? O co chodzi? To też było charakterystyczne dla jego mamy. Nigdy nie dała się oszukać. Jakby w oczach miała aparat rentgenowski.

- Chciałbym w tym roku pojechać z tobą do Wodospadu Anioła. W zeszłym roku mówiłaś, że zabierzesz mnie troszkę później, jak będę starszy. Teraz jestem już o cały rok starszy i bardzo dobrze wypadłem na tegorocznym jarmarku, to znaczy żaden inny dziewięciolatek nie zdobył błękitnej wstęgi, i boks mojego konia zawsze był posprzątanym, a Scotty dobrze wyszczotkowany. I sam Potrafię osiodłać wielkiego, dorosłego, rasowego konia. W Disneylandzie na pewno udałoby mi się dosięgnąć ręki Mickey.

Mama przysiadła na piętach. Kurz musiał osiąść jej na twarzy, ponieważ w oczach pojawiły się łzy.

- Nie jesteś już moim małym chłopczykiem, prawda?

Skoczył jej na kolana, udając, że nadal jest dość mały, by mogła go tulić w ramionach. Mama delikatnie wyjęła mu linę z dłoni, a chłopiec zarzucił jej ręce na szyję.

Pocałowała go w czoło i mocno przytuliła. Najbardziej lubił, gdy tak właśnie go całowała. Robiła to co rano przy śniadaniu.

Lubił też, gdy go przytulała. Ostatnio - odkąd poszedł do czwartej klasy - musiał stać się dużym chłopcem. To znaczy nie mógł już zgadzać się na to, żeby mama prowadziła go za rękę, gdy szli szkolnym korytarzem... no, a już na pewno nie mogła go całować na do widzenia. Teraz więc już tylko w takich chwilach mógł znowu być małym chłopczykiem.

- No cóż, chyba każdy, kto potrafi osiodłać tego konia, rzeczywiście jest już dość duży, żeby pojechać do Wodospadu Anioła. Jestem z ciebie bardzo dumna, synku.

Wydał okrzyk radości i przytulił się do matki.

- Dzięki, mamó.

- Nie ma za co. - Delikatnie uwolniła się z jego objęć i podniosła na nogi. Kiedy tak stali obok siebie, opuściła rękę w rękawicze i swobodnie trzymała ją chwilę w bezruchu między nimi. Bret wsunął swoją rączkę w jej dłoń.

Bez słowa ją uścisnęła.

- No, teraz muszę co najmniej godzinę popracować z Kulą, zanim Jeanine przyjdzie zbadać konie. A w ogóle mam dziś milion rzeczy do zrobienia..

- Będzie robiła im zastrzyki?

- Nie, nie dzisiaj. - Znowu zmierzwiła mu włosy i schyliła się, żeby podnieść rękawiczkę.

- Czy mogę zostać i popatrzeć, jak jeździsz?

- A pamiętasz zasady?

- O raję, nie, nic nie pamiętam, mamó.

- Dobrze, ale nie wolno ci nic mówić i schodzić z ogrodzenia.

- Ty po prostu musisz mi to za każdym razem powtarzać, prawda? - rzekł z łobuzerskim uśmiechem.

- Siadaj, Jimie Carreyu - matka też się roześmiała. Odwróciła się do niego plecami, podciągnęła popręg i założyła uzdę klaczy. - Biegnij i przynieś mi kask, dobrze, Bretster?

Pobiegł do pomieszczenia gospodarczego. Zatrzymał się przy skrzyni z napisem „Rzeczy Mike”, pochylił się i podniósł wieko. Przerzucał rękoma aerozole przeciwko komarom, szczotki, liny, czerpaki i kubelki, haki do usuwania kamieni z kopyt, aż znalazł zakurzony,

kryty czarnym aksamitem kask. Wsunął go pod pachę, zamknął skrzynię, opuszczając z hukiem wieko, i pobiegł z powrotem na plac maneżowy.

Mama już siedziała na Kuli, osłonięte rękawiczkami dłonie lekko wspierała na kłębach klaczy.

- Dziękuję, kochanie. - Pochyliła się i wzięła kask od syna.

Zanim Bret dotarł do swojego ulubionego miejsca na ogrodzeniu padoku, mama już prowadziła Kulę na ścieżkę biegnącą wzdłuż muru. Chłopiec wspiął się po zerdziach i usiadł na najwyższej poręczy.

Obserwował mamę robiącą rundę za rundą. W ramach rozgrzewki prowadziła Kulę coraz to innym krokiem: stępem, kłusem, potem ostrym kłusem i wreszcie cwałem, aż jeździec i koń stali się tylko pędzącą plamą.

Od razu wiedział, kiedy mama uznała, że można już skakać. Obserwował ją tak wiele razy, rozpoznawał wszelkie znaki, chociaż nie potrafiłby powiedzieć, co konkretnie wskazywało na to, że teraz rozpoczną się skoki. Po prostu wiedział, że mama skieruje konia na pierwszą, sześćdziesięciocentymetrową przeszkodę.

I również od razu, choć nie wiadomo skąd, wiedział, że coś nie jest w porządku.

- Mamo, poczekaj! - Bret pochylił się do przodu i krzychał. - Poprzeczka jest źle założona. Ktoś musiał ją ruszyć...

Ale mama go nie słyszała. Kula rwała do przodu i wierzgała, a mama próbowała zmusić konia do równego, kontrolowanego cwału.

- Hola, maleńka, zwolnij. Uspokój się...

Bret słyszał te słowa, gdy mama przefruwała obok niego. Chciał zeskoczyć z ogrodzenia, ale tego przecież nie wolno mu było zrobić, zwłaszcza gdy mama przygotowywała konia do skoku.

Za późno, żeby krzyczeć. Mama już najeżdżała aa przeszkodę. W piersi Breta serce wściekle waliło.

Coś nie jest w porządku! W jego głowie pojedyncze słowa zlewały się w jedno, krzychały coraz donośniej, coraz przeraźliwiej brzmiały. Chciał je wypowiedzieć głośno, chciał je wykrzyczeć, ale nawet ust nie zdołał otworzyć.

Srebrna Kula zebrała się w sobie i z łatwością pokonała sztuczną przeszkodę z cegieł.

Bret usłyszał okrzyk triumfu i radosny śmiech matki.

Przez sekundę czuł ogromną ulgę.

Potem spostrzegł, że Srebrna Kula staje jak wryta.

W jednej chwili mama radośnie się śmiała, w następnej, zrzucona z konia, leciała w powietrzu. Uderzyła głową w słupek tak mocno, że całe ogrodzenie aż się zachwiało. Teraz jej ciało leżało na brudnej ziemi, skręcone jak kawałek pogniecionego papieru.

Na wielkim krytym placu słychać było tylko ciężki oddech Breta. Nawet koń stał cicho obok swojego jeźdźcy, jakby nic się nie stało.

Bret zsunął się z ogrodzenia i podbiegł do matki. Przy nieruchomym ciele osunął się na kolana. Spod kasku sączyła się krew, plamiąc krótkie czarne włosy Mikaeli.

- Mamo? - Dotknął jej ramienia i lekko nim potrząsnął.

Pobrudzone krwią włosy zsunęły się z twarzy. Wtedy spostrzegł, że lewe oko matka ma otwarte.

Jacey, siostra Breta, pierwsza usłyszała jego przeraźliwy krzyk. Pędem wpadła na plac, otulając się ogromnym płaszczem ojca.

- Bretster... - I w tej chwili zobaczyła leżącą na ziemi matkę. - Och, mój Boże! Nie ruszaj jej! - wrzasnęła do Breta. - Biegnę po tatę!

Bret, nawet gdyby chciał, i tak nie mógłby ruszyć się z miejsca. Tkwił w bezruchu, wpatrując się w skręcone ciało matki, i modlił się, gorąco się modlił, żeby się ocknęła. Była to bezgłośna modlitwa, ponieważ chłopiec nie potrafił wydać z siebie żadnego dźwięku.

W końcu przybiegł ojciec.

Bret zerwał się na nogi i wyciągnął ręce, ale ojciec minął go, w ogóle nie zwracając na

niego uwagi. Bret cofnął się tak gwałtownie, że plecami uderzył w ogrodzenie. Nie mógł płakać, nie mógł nawet złapać oddechu. Stał bez ruchu i patrzył, jak czerwona, okropnie czerwona krew spływa po twarzy mamy. Jacey podeszła do niego i stanęła obok.

Ojciec ukląkł przy matce, czarną lekarską torbę upuścił na ziemię.

- Trzymaj się, Mikaela - szeptał. Delikatnie zsunął kask z jej głowy (może ja powinienem był to zrobić? - pomyślał Bret), potem otworzył jej usta i wsunął palce Między zęby. Zakasłała, zakrztusiła się i Bret zobaczył, jak na rękę ojca chlusnęła krew.

Tata zawsze miał takie czyste ręce... a teraz krew mamy była wszędzie, nawet na rękawie flanelowej piżamy taty

- Trzymaj się. Mike - powtarzał bez przerwy. - Trzymaj się. Jesteśmy tutaj. Wszyscy jesteśmy przy tobie... nie opuszczaj nas...

Nie opuszczaj nas. To przecież znaczyło: nie umieraj... a to z kolei znaczyło, że mama może umrzeć.

Ojciec spojrział na Jacey.

- Dzwon na pogotowie, natychmiast! - polecił.

Wydawało się, że tkwili tu w bezruchu i ciszy całe godziny. W końcu czerwone światła karetki rozświetliły ciemną stajnię, a ciszę rozdarł przeraźliwy ryk syreny. Karetka prześlizgiwała się po zwirowej ścieżce obok przyczepy do przewożenia koni.

Do stajni wpadli sanitariusze w niebieskich uniformach, ciągnąc za sobą podskakujące na nierównościach i metalicznie brzęczące łóżko na kółkach. Serce Breta waliło tak głośno, że chłopiec nie słyszał, co się wokół niego dzieje.

Próbował krzyknąć: „Ratujcie ją!” - lecz kiedy otworzył usta, wydobyła się z nich tylko gęsta, ciemna chmurka pary. Widział, jak rozbija się na liczne cienkie smugi i ulatuje w dal.

Zamknął usta i znowu się cofnął. I tym razem mocno uderzył plecami w ogrodzenie, aż zakręciło mu się w głowie. Zasłonił rękoma uszy, zamknął oczy i modlił się najgoręcej, jak potrafił.

Umiera.

Wspomnienia bezładnie przebiegały jej przez głowę, niektóre miały słodki zapach róż po wiosennym deszczu, inne pachniały piaskiem z jeziora, gdzie po raz pierwszy poznała smak prawdziwego pocałunku. Jeszcze inne - a tych, niestety, było zbyt wiele - miały nieprzyjemną, lepką woń żalu.

Teraz ją przenoszą, pasami przymocowali jej ciało do jakiegoś dziwnego łóżka. Światło jest tak silne, że nie może otworzyć oczu. Słyszy odgłos uruchamianego silnika, czuje ruch, to boli. O Boże, jak bardzo boli...

Słyszy głos swojego męża, miękkie, ciepłe, ukochane dźwięki, które prowadziły ją przez życie w ostatnich dziesięciu latach. I chociaż nie słyszy swoich dzieci, swoich ukochanych maluchów, wie, że są tutaj, że jej pilnują. Najbardziej na świecie chciałaby móc coś do nich powiedzieć, wydać choćby najcichszy dźwięk, choćby westchnienie, cokolwiek...

Gorące łzy spłynęły z kącików jej oczu, popłynęły za uszy i zmoczyły sztywną, nieprzyjemnie pachnącą poduszkę pod głową. Chciałaby je powstrzymać, chciałaby móc je przelknąć, żeby dzieci ich nie widziały. Ale nie panuje nad sobą, nie panuje nad własnym ciałem; nie potrafi powstrzymać też, tak jak nie potrafi unieść ręki w geście pożegnania.

A może, może wcale nie płacze, może to tylko jej dusza opuszcza ciało, sącząc się kropla po kropli, jak łzy, których nikt nigdy nie zobaczy.

2

Jako młodzieniec Liam Campbell z niecierpliwością oczekiwał momentu, kiedy wreszcie będzie mógł wyjechać z Last Bend. Miasteczko wydawało mu się takie maleńkie, ograniczające możliwości, tak krępujące jakiegokolwiek ruchy, jakby było ściśnięte w dłoni jego sławnego ojca. Gdziekolwiek się ruszył, wszędzie porównywano go do podziwianego i

wielbionego przez wszystkich ojca. Oczywiście wiedział, że nie dorasta mu do pięt. Nawet w domu czuł się nieważny, niepotrzebny. Rodzice bardzo się kochali, lecz dla chłopca, który czytał książki i marzył o karierze pianisty koncertowego, nie pozostawało już wiele uczucia.

Ku swemu ogromnemu zaskoczeniu Liam został przyjęty na Harvard. Zanim ukończył studia przedmagisterskie, zdał sobie sprawę z tego, że nie jest dostatecznie dobry, by zrobić karierę pianistyczną. To, że był najlepszym pianistą w Last Bend, nawet najlepszym pianistą w Harvardzie, nie miało najmniejszego znaczenia. To ciągle było zbyt mało. Mógł, co najwyżej, zostać nauczycielem muzyki w drogiej prywatnej szkole. Jego muzyce brakowało siły, pasji czy choćby gniewu, tego szczególnego czegoś, co charakteryzuje wykonania najlepszych z najlepszych. Spokojnie i cicho porzucił więc młodzieńcze marzenia i swoje zainteresowania skierował na medycynę. Doszedł do wniosku, że jeśli nawet nie jest dostatecznie utalentowany, by zachwycać ludzi muzyką wydobywającą się spod jego rąk, to serce ma na tyle wrażliwe, by leczyć chorych. Pragnął nieść ulgę cierpiącym.

Uczył się dniami i nocami. Wiedział, że taki skromny, cichy, przeciętny człowiek jak on musi być lepszy od innych.

Ukończył studia jako najlepszy student na roku i ku zdumieniu, a nawet przerażeniu kolegów podjął pracę w klinice chorych na AIDS w Bronksie, ubogiej dzielnicy Nowego Jorku. W owych czasach o chorobie jeszcze niewiele wiedziano, ale już zbierała tragiczne żniwo i rozprzestrzeniała się w zastraszającym tempie. Ludzie bali się AIDS. Liam jednak wierzył, że właśnie tam, wśród straszliwie cierpiących, beznadziejnie chorych, stanie się człowiekiem, jakim pragnął być.

W salach, w których unosił się zapach śmierci, beznadziei i rozpacz, pomagał pacjentom przeżyć kolejny dzień, ale nigdy nie mógł choremu powiedzieć: „Będziesz zdrow. Zostałeś wyleczony”.

Zamiast tego rozdawał lekarstwa, które nie pomagały, ścisnął ręce, które z każdym dniem stawały się coraz słabsze. Trzymał w ramionach nowo narodzone dzieci, wiedząc, że nigdy nie będą mogły nawet marzyć o wyjeździe do Paryża. Wciąż wypisywał akty zgonu, w końcu każde sięgnięcie po pióro napawało go wstrętem.

Kiedy nagle, na atak serca, zmarła jego matka, wrócił do domu i opiekował się ojcem, który po raz pierwszy w życiu potrzebował syna. Liam był przekonany, że kiedyś znowu wyjedzie z Last Bend, tymczasem poznał Mikaelę...

Mike.

To z nią u boku wreszcie odnalazł swoje miejsce na ziemi.

Teraz czekał w szpitalu na wiadomość, czy Mikaela przeżyje...

Byli tu zaledwie od kilku godzin, a zdawało się, że upłynęły całe wieki. Dzieci zostały w poczekalni. Mógł je sobie wyobrazić, jak popłakując, siedzą przytulone do siebie, Jacey ociera łzy małemu braciszкови. Pragnął być z nimi, wiedział jednak, że się załamie, jeśli tylko na nie spojrzy, a jego łzy przerażą dzieci jeszcze bardziej.

- Liam?

Odwrócił się w kierunku głosu. Biodrem uderzył w stolik, znajdujące się na nim buteleczki zachwiały się i zagrzechotały. Wyciągnął rękę, by uspokoić tańczące medykamenty.

Przed nim stał doktor Stephen Penn, szef oddziału neurologicznego. Chociaż był w wieku Liama - niedawno skończył pięćdziesiąt lat - wyglądał jak stary, zmęczony człowiek. Od wielu lat Stephen i Liam razem grywali w golfa, ale nic, co wcześniej przeżyli, nie przygotowano ich na taki moment.

Chodź ze mną. - Stephen dotknął ramienia Liama.

Poszli obok siebie surowym korytarzem. Skręcili do wydzielonych pomieszczeń Oddziału Intensywnej Opieki Medycznej. Liam spostrzegł, że pielęgniarki z urazówki unikają jego wzroku. Poczul się upokorzony, teraz wiedział, jak czuje się „najbliższy krewny” pacjenta.

W końcu weszli do oszklonej izolatki, w której na wąskim, dzieciennym łóżku, osłoniętym jasnymi kotarami, leżała Mikaela. Wyglądała jak zepsuta lalka, popodłączana do różnych

urządzeń: respiratorów, monitorów rejestrujących wszystko, począwszy od uderzeń serca do ciśnienia wewnątrzczaszkowego. Respirator oddychał za nią, w pograżonym w ciszy pokoju słyhać było jego miarową pracę.

- Mózg... jej mózg pracuje, niestety nie wiemy, czy w ogóle nie został uszkodzony, a jeśli... to w jakim stopniu. - Stephen wziął długą igłę i kilka razy wbił ją w drobne, gołe stopy Mikaeli. Nie było żadnej reakcji, Stephen nie komentował. Przeprowadził jeszcze kilka testów. Wiedział, że ich wyniki Liam potrafi równie trafnie ocenić, jak on sam. - Zawiadomiliśmy neurochirurga - powiedział cicho - na wszelki wypadek". Jest gotów do operacji, jeśli zajdzie taka potrzeba, choć nie stwierdziliśmy żadnych uszkodzeń wymagających interwencji chirurgicznej. Pomagamy jej oddychać, kontrolujemy ciśnienie krwi i temperaturę ciała. Nie dopuścimy do krwotoku wewnętrznego... No, cóż, wiesz, że robimy wszystko, co w naszej mocy.

Liam zamknął oczy. Po raz pierwszy w życiu żałował, że jest lekarzem. Nie chciał rozumieć, w jakim stanie jest jego żona. Mieli tu świetny ośrodek zdrowia i najlepszych lekarzy na północ od San Francisco, których w te okolice przyciągnęła wysoka jakość życia. Ale gorzka prawda była następująca: w tej chwili absolutnie nic nie mogli zrobić dla Mikaeli.

Nie zamierzał się odzywać, jednak nie zdołał powstrzymać cisnących się na usta słów:

- Nie potrafię bez niej żyć...

Stephen odwrócił się do Liama. Miał w oczach pełne zrozumienia współczucie. W tej chwili nie był specjalistą, tylko po prostu człowiekiem, mężem, i rozumiał Liama.

- Jutro dowiemy się więcej, jeśli... - zaczął i nie dokończył zdania. Nie musiał. Jeśli Mikaela przeżyje noc.

- Dziękuję, Stephenie - wymruczał Liam. Cichy głos ginał w szumie pracującej aparatury.

Stephen odwrócił się i skierował ku drzwiom. W progu jeszcze się zatrzymał i spojrzął na Liama.

- Bardzo mi przykro - powiedział i nie czekając na odpowiedź, wyszedł. Wrócił po chwili z kilkoma pielęgniarkami. Zabrali Mikaelę na dalsze badania.

Odwaga, myślał Liam, to wcale nie jest gorące, jak ogień parzące uczucie, znane jedynie ludziom decydującym się na wstąpienie do jednostek specjalnych, skaczącym ze spadochronem czy wspinającym się na dotąd niezdobyte szczyty. To ciche, głęboko skrywane uczucie, najczęściej zimne jak lód. To ostatnia rzecz w sercu człowieka, drobina, okruszek, który odnajdujesz, gdy myślisz, że już wszystko stracone. To umiejętność spojrzenia dzieciom w oczy w chwilach takich jak ta, trzymania ich za ręce, ocierania łez, chociaż sądziłeś, że nie będzie cię na to stać. To konieczność stłumienia własnej rozpacz, żeby móc przeżyć następną chwilę, a potem następną i jeszcze następną.

Liam ukrył swój strach. Gdzie, tego nie potrafił powiedzieć, ale gdzieś go szczelnie zamknął i pogrzebał. Skoncentrował się na tym, co musiał zrobić. Tragedia - teraz to stwierdził - wiązała się również z koniecznością Cięcia się drobiazgami: wypełnianiem formularzy ubezpieczeniowych, pakowaniem walizek... tak na wszelki wypadek, zmianą harmonogramu dnia i planów na najbliższe tygodnie. Udało mu się wszystko to zrobić, nie tracąc panowania nad sobą, mimo że przez cały czas starannie unikał kontaktu wzrokowego z innymi ludźmi. No cóż, jeśli to jedyny sposób, będzie się tego trzymał. Zadzwoił do Rosy Luny - matki Mike, która mieszkała we wschodniej części stanu - i na automatycznej sekretarce zostawił pilną wiadomość, żeby skontaktowała się z nim jak najprędzej. Potem, ponieważ nie mógł już dłużej tego odkładać, ruchliwym szpitalnym korytarzem skierował się do poczekalni.

Jacey siedziała na jednym z czerwonych plastikowych krzeseł, przy sklepieniu z upominkami, i czytała jakieś czasopismo. Bret leniwie bawił się na podłodze zabawkami, które personel szpitala trzymał w plastikowym pudle.

Liamowi zaczęły drżeć ręce. Skrzyżował ramiona, zacisnął dłonie. Stał, lekko się chwiejąc. Pomóż mi, Boże - modlił się w duchu. Po chwili zmusił się do swobodnego opuszczenia rąk

i podszedł do dzieci.

- Cześć, dzieciaki - odezwał się serdecznym tonem. Jacey zerwała się na równe nogi. Czasopismo, które czytała, sfrunęło na podłogę. Miała zapuchnięte, mocno zaczerwienione oczy, usta zaciśnięte, drżące. Ubrana była w pogniecioną różową bluzę dresową i workowate spodnie.

- Tatusiu?! - powiedziała tylko.

Bret nie wstał z podłogi. Odsunął tylko od siebie zabawki, ręką wytarł wilgotne oczy i podniósł do góry głowę.

- Umarła, prawda? - odezwał się głosem tak głuchym i tak przepojonym smutkiem, że Liam poczuł, jak bezbrzeżny żal rozrywa mu serce.

- Nie, nie umarła, Bretster - odpowiedział, czując napływające do oczu łzy. Cholera! Obiecał sobie, że nie będzie płakał, nie na oczach dzieci. One teraz potrzebowały jego siły, ze swoją rozpaczą musi uporać się sam. Siłą otworzył oczy jak najszerzej, przez chwilę pocierał grzbiet nosa, potem przyklęknął przy synu, wziął go w ramiona i mocno przytulił. Chciałby wiedzieć, co może im powiedzieć, chciałby znać jakieś magiczne słowa, które pomogłyby uciszyć ich strach. Ale oprócz: „Musimy poczekać, jeszcze zobaczymy” - nic nie przychodziło mu do głowy, a to przecież było marne pocieszenie.

Jacey przykucnęła przy Liamie i oparła policzek na jego ramieniu. Objął ją czule.

- Na razie jest w kiepskim stanie - odezwał się, cedząc wolno i uważnie dobierając słowa. Jak ma powiedzieć dzieciom, że ich matka może umrzeć? - Bardzo silnie uderzyła się w głowę. Musimy się za nią modlić.

Bret mocniej przytulił się do ojca. Trząsł się na całym ciele, kapiące z oczu łzy zmoczyły lekarski fartuch Liama. Kiedy chłopiec podniósł głowę do góry, Liam zobaczył, że syn ssie kciuk.

Liam nie wiedział, co robić. Bret już od wielu lat nie ssał kciuka, a teraz wtulał się w ojca niczym maleńkie dziecko, próbując w jego ramionach znaleźć pocieszenie.

Uświadomił sobie, że właśnie jego dzieci poznają gorzką, przerażającą prawdę, przed którą do tej pory i on, i Mike tak bardzo starali się je ustrzec: Świat wokół nas bywa straszny. Czasami w jednej chwili wszystko może się zmienić i osoba ci bliska - bez względu na to, jak bardzo się ją kocha - może umrzeć.

Mijały kolejne godziny czuwania, minął cały dzień. Nadszedł wieczór. Liam razem z dziećmi siedział w poczekalni. Wszyscy troje obserwowali wolne, niczym nieprzerywane piruety czarnych wskazówek ściennego zegara. Od wielu godzin żadne z nich nie odezwało się słowem. Przekonali się, że słowa mogą być ciężkie jak ołów. Nawet jedno potrafi przygnieść człowieka do ziemi. Więc po prostu siedzieli, niby byli razem, ale w głębi duszy każde czuło się bardzo samotne.

O ósmej usłyszeli kroki w korytarzu, ktoś szedł w kierunku poczekalni. Liam poczuł straszliwe napięcie, pochylił się do przodu. Proszę, błagam, niech to nie będzie zła wiadomość...

Do pogrążonej w ciszy sali wpadł Mark Montgomery, chłopak Jacey, a wraz z nim powiew energii.

- Jace?! - zawołał. Mówił stanowczo zbyt głośno. Stał w drzwiach w czerwono-białym swetrze sportowca z emblematem swojej uczelni i wypchanych na kolanach czarnych spodniach od dresu. - Właśnie się dowiedziałem...

Jacey rzuciła mu się w ramiona i rozszlochała na jego piersi. Po chwili oderwała głowę i podniosła w górę oczy.

- Jeszcze... jeszcze nawet jej nie widzieliśmy - powiedziała.

Nie wypuszczając jej z objęć, Mark poprowadził Jacey do sofy. Usiedli obok siebie, Jacey wsparta o ramię Marka. Rozmawiali przyciszonym głosem. Szeptane słowa wibrowały w cichej sali.

Liam podszedł do Breta, objął go, podniósł z podłogi i tuląc do siebie, zaniósł na krzesło, na którym wcześniej siedział. Teraz siedzieli na nim obaj i znowu wpatrywali się w zegar.

Tuż przed dziewiątą w poczekalni pojawił się Stephen.

Liam postawił Breta na podłodze, wstał i podszedł do kolegi lekarza.

- Bez zmian - rzekł cicho Stephen. - Dzisiaj już nic więcej nie możemy dla niej zrobić. Musimy po prostu czekać. - Jeszcze bardziej ściszył głos i z przyjacielską troską dodał: - Zabierz dzieci do domu, Liam. Spróbujcie się trochę przespać. Porozmawiamy rano. Jeżeli... jeżeli nastąpią jakieś zmiany, zadzwonię do ciebie.

Liam przyznał Stephenowi rację, ale na myśl, że będzie musiał wejść do pustego, tak straszliwie pustego domu...

- Zabierz dzieciaki... - powtórzył Stephen.

- Dobrze - zgodził się Liam z westchnieniem. Stephen poklepał go po ramieniu, odwrócił się i wyszedł z poczekalni. Liam głęboko zaczerpnął powietrza.

- Chodźcie, dzieci. Pojedziemy do domu. Wrócimy tu rano.

- Do domu?! - Jacey zerwała się na równe nogi. Wyglądała na przerażoną.

Liam wiedział, że i ona obawia się powrotu do ich pustego domu.

- Kilkoro z nas... - odezwał się Mark, spoglądając najpierw na Jacey, potem na Liama. - Kilkoro z nas wybiera się do Nawiedzonego Domu. Może... może też byś poszła?

- Nie, muszę zostać... - Jacey przecząco pokręciła głową.

- Idź, Jacey - zachęcał ją ojciec ciepłym tonem. - Tylko weź ze sobą pager. Dam ci znać, gdy coś się będzie działo.

- Nie, tato... - zaczęła Jacey, podchodząc do niego. Wziął ją w ramiona i mocno przytulił.

- Idź, Jacey - szeptał. - W ten sposób jej nie pomożemy. Zajmij się czymś. Myśl o czymś innym przez godzinę albo dwie.

Odsunęła się od niego. Widział, że toczy z sobą wewnętrzną walkę: i chciała iść, i jednocześnie chciała zostać.

- Dobrze - powiedziała w końcu, odwracając się do Marka. - Na troszkę pójdę.

Mark podszedł do Jacey, ujął jej dłoń i trzymając za rękę, wyprowadził z poczekalni.

- Tato? - odezwał się Bret, kiedy Jacey wyszła już z sali. - Jestem głodny.

- O Jezu, Bretster, przepraszam. Jedziemy do domu.

Bret znowu włożył kciuk do buzi i podniósł się na nogi. Wyglądał jak malutki, nieszczęśliwy chłopczyk. Liam dopiero teraz zauważył, w co Bret był ubrany. Flanelowa koszula w kratę, kamizelka ze sztucznej skóry ze srebrną gwiazdą szeryfa przypiętą do piersi, nowiutkie džinsy Wranglera i kowbojskie buty. Kostium. Nawiedzony Dom.

Niech to szlag!

Było prawie piętnaście po dziewiątej. Już od kilku godzin w całym mieście dzieciaki poprzebierane za astronautów, kosmitów lub księżniczki tłoczyły się do miniwanów lub się z nich wysypywały. Ich rodzice, którzy mieli ból głowy i wszystkiego dość, zanim jeszcze zabawa na dobre się zaczęła, włączali głośną muzykę - z reguły podnoszące na duchu płyty z muzyką rockandrollową, przypominające ich własną młodość - i wieźli dzieciaki do jedyne go osiedla w Last Bend. W mieście, w którym najbliższy sąsiad często mieszka - w odległości kilometra, wizyty przebierańców należało dobrze rozplanować.

Liam spojrzał na syna. Nagle przypomniał sobie:

Mike siedziała do późna w nocy, żeby uszyć Bretowi skórzane kowbojskie spodnie, część jego przebrania.

- Chcesz pojechać do Doliny Anioła i razem z innymi przebierańcami chodzić po domach? - zapytał syna.

Policzki Breta, zapamiętałe ssącego kciuk, miarowo się zapadały. Chłopiec wolno pokręcił głową.

Liam zrozumiał. To mama zawsze organizowała wyprawę przebierańców.

- Dobrze, synku. Wracamy do domu.

Wyszli razem. Październikowy wieczór był zimny, powietrze mroźne, przepojone zapachem jesiennych liści i żyźnej, czarnej ziemi.

Wsiedli do samochodu i pojechali. Zamknęli się w kokonie. pełnej bólu, jęczącej, raniącej serce ciszy, którą przerwało dopiero skrzyknięcie otwierających się drzwi garażu.

Liam wziął syna za rękę i poprowadził do domu. Rozmawiali o czymś zdawkowo, ale Liam nie potrafił powiedzieć, o czym. Zapalił wszystkie światła, aż cały dom pojaśniał.

Gdyby jeszcze nie był tak przeraźliwie cichy!

Przygotuj Bretowi coś do jedzenia.

Jasne, właśnie na tym musi się skoncentrować.

Zadzwoił telefon. Liam mruknął coś do Breta i potykając się, pognął do kuchni, żeby odebrać.

- Cześć, Liam. Mówi Carol. Właśnie się dowiedziałam... bardzo mi przykro...

No i się zaczęło.

Liam bezsilnie oparł się o drewnianą ścianę, słuchał, ale nie słyszał. Widział, jak Bret poszedł do salonu i położył się na kanapie. Po chwili dobiegło go kliknięcie włączanego telewizora. To *Rugratsi*. Strasznie głośno. Bret suchymi oczyma wpatrywał się w najmniej lubianą kreskówkę. Nie dalej jak tydzień temu stwierdził, że to film „dla malutkich dzieci”. Teraz zwinął się w kłębek, ssał kciuk i bezmyślnie gapił się w telewizor.

Liam odłożył słuchawkę telefonu. Sekundę za późno uświadomił sobie, że Carol wciąż jeszcze coś mówiła. Pomyślał, że przy najbliższej okazji musi ją przeprosić.

Stał w pustej kuchni i zastanawiał się, co, u diabła, ma przygotować Bretowi do jedzenia. Otworzył lodówkę i bezradnie patrzył na nic mu niemówiący galimatias słoików, plastikowych i kartonowych opakowań. Wyjął Plastikowy pojemnik z resztką sosu do spaghetti, ale nie miał bladego pojęcia, jak długo sos już stoi w lodówce. W zamrażarce znalazł kilkanaście podobnych pojemników, każdy z nalepką informującą, co jest w środku i kiedy kończy się okres przydatności do spożycia. Niestety, nigdzie żadnej wskazówki, jak to przygotować.

Ponownie zadzwonił telefon. Tym razem była to Marion z miejscowego klubu. Liam wyrzucił z siebie jakieś bezładne wyjaśnienia, podziękował za jej modlitwy i odłożył słuchawkę.

Nie zdążył zrobić nawet pięciu kroków, gdy telefon odezwał się znowu, ale on zignorował dzwonek i poszedł do salonu.

- Co powiesz na to, żebyśmy zamówili sobie pizzę? - zapytał, przyklekając obok syna.

- Jerry nie dostarcza pizzy w Halloween - odparł Bret, szybko wyciągając kciuk z buzi. - Nie po tym, co Monroesowie zrobili z jego samochodem w zeszłym roku.

- Ach, tak.

- Ale dzisiaj i tak jest dzień na szybkie danie z patelni. Wczoraj wieczór mama i ja włożyliśmy kawałki kurczaka do sosu. Jest zamarynowany.

- Danie z patelni. - Kurczak z warzywami, pomyślał Liam. O Boże, jak ja sobie z tym poradzę. - Może mógłbyś pomóc mi przygotować jedzenie?

- Nie wiesz, jak się to robi.

- Potrafię otworzyć człowiekowi brzuch, wyciąć mu wyrostek robaczkowy i zaszyć ranę. Może więc poradzę sobie również z przygotowaniem obiadu dla jednego małego chłopca.

- Chyba nie trzeba tego wszystkiego umieć, żeby zrobić szybkie danie z patelni - powiedział Bret, marszcząc brwi.

- Chodź, usiądziesz w kuchni na wysokim stołku i razem przygotujemy obiad.

- Ale ja też nie wiem, jak to się robi.

- Dojdziemy do tego. Damy sobie radę. No, chodź, będzie dobra zabawa. - Liam pomógł Bretowi wstać z kanapy i poszedł za chłopcem do kuchni. Kiedy Bret już usadowił się na stołku, Liam otworzył lodówkę i wyjął plastikowe torebki z warzywami i zamarynowanym kurczakiem. Rozejrzał się wokół i po chwili znalazł deskę do krojenia i duży nóż. Zaczął od pieczarek.

- Mama nie daje pieczarek. Nie lubię grzybów.

- Aha. - Liam włożył pieczarki z powrotem do torebki i sięgnął po kalafior.

- Nie. - Bret wyglądał na coraz bardziej przestraszonego. - Mówiłem, że nie potrafisz tego zrobić...

- A to może być? - Liam wskazał na brokoły.

- Hm. Tak, tego bardzo dużo.

Liam zaczął kroić.

- Drobniej! - krzyknął Bret.

Liam nie podniósł oczu znad deski. Teraz starał się kroić brokoły na mniejsze kawałki, chociaż wcale nie było to łatwe.

- Musisz nalać oliwy do woku - pouczył Bret. Zadzwoił telefon. Liam niechętnie podniósł słuchawkę. Telefonowała Shaela, koleżanka Mike z Klubu Jeździeckiego. Chciała wiedzieć, czy może im w jakiś sposób pomóc.

- Dziękuję, Shaela - powiedział Liam, przerywając jej w połowie zdania, i odwiesił słuchawkę. Boże, nie mogę w to uwierzyć. Znalazł elektryczny wok, włączył przewód do kontaktu i wylał na patelnię filiżankę oliwy.

- Strasznie dużo tej oliwy - z naganą w głosie odezwał się Bret w chwili, gdy telefon znowu zaczął dzwonić.

- Lubię chrupiące warzywa.

Liam odebrał telefon i powtórzył to samo, co mówił wszystkim innym. Dzwoniła Mabel, znajoma z programu ochrony koni. Zanim zdążyła po raz czwarty powiedzieć: „Bardzo mi przykro”, Liam miał ochotę krzyczeć w głos. Doceniał zainteresowanie znajomych, naprawdę doceniał, ale te wszystkie telefony sprawiały, że sytuacja stawała się dotkliwie realna. A teraz jeszcze ta cholerna oliwa skwierczała, pryskała i zaczynała się palić.

- Tatusiu...

- Przepraszam, Bretster - odwiesił słuchawkę, przerywając Mabel w pół słowa. - Przepraszam.

Wrzucił kurczaka wraz z marynatą na patelnię, rozbryzgując oliwę. Mikroskopijne kropelki gorącego tłuszczu opryskały mu twarz.

Klnąc pod nosem, wrócił do brokułów.

Telefon znowu dzwonił. Liam skaleczył się w palec. Krew trysnęła na warzywa i zaplamiała blat.

- Tato, krew ci leci! - krzyknął Bret.

Piiiiiiiiiii... piiiiiiiiiiii... Bzzzzzzzzz - włączył się detektor dymu i alarm przeciwpożarowy.

Liam sięgnął po słuchawkę i biodrem niechcący uderzył w wok. W jednej chwili cała kuchnia była pełna ociekających tłuszczem kawałków kurczaka, gorącej oliwy i gryzącego dymu.

Telefonowała Myrna z kręgielni Lou's Bowl-O-Rama. Oferowała swoją pomoc.

Kiedy Liam odłożył słuchawkę, oddychał tak ciężko, że aż kręciło mu się w głowie. Spostrzegł, że Bret, przytulony do chłodnej lodówki, drży na całym ciele i zapamiętałe ssie kciuk.

Liamowi chciało się wyc, płakać, chyba nawet chciałby wszystko rzucić i uciec. Mimo to przykucnął przed chłopcem. Alarm przeciwpożarowy nadal wył, krew z palca ciągle ciekła.

- Przepraszam, synku. Bardzo mi przykro. Nic się nie stało. Wszystko jest w porządku - powiedział.

- Mama robi to inaczej.

- Wiem.

- Będziemy głodni.

Liam ujął dłoń tył głowy syna i spojrzał mu prosto w oczy, tak jakby sam wyraz jego oczu mógł sprawić, że chłopiec poczuje się bezpiecznie.

- Nie będziemy głodni. Co powiesz na obiad w mieście? - zaproponował.

- Pójdę się przebrać, dobrze? - Bret podniósł oczy na ojca.

Liam przygarnął go do siebie. Tylko taki gest przyszedł mu do głowy.

Bret szlochał cichutko, bezgłośnie, a Liam czuł, że za chwilę jemu samemu pęknie serce.

Jacey wróciła do domu wcześniej, niż Liam oczekiwał. Twarz miała wymizerowaną, wyglądała na zmęczoną. Prawie się nie odzywała, pocałowała ojca w policzek i poszła na górę do swojego pokoju.

Kiedy Liam nabrał pewności, że dzieci usnęły, zajrzał do pokoju Mikaeli, który służył jej do pracy. Otworzył drzwi i zapalił światło.

Najpierw poczuł zapach jej perfum, delikatny i słodki Jak zapach wiosennego deszczu. Na biurku piętrzyły się stosy przypadkowo pogrupowanych papierów. Gdyby zamknął oczy, zobaczyłby żonę siedzącą przy tym biurku z filiżanką parującej kawy w dłoni, ze wzrokiem wbitym w ekran komputera i piszącą list za listem w obronie zaniedbywanych lub źle traktowanych zwierząt.

Zwykły dzień podniosłaby na niego wzrok, usta gnałaby wygięte w podkówkę, piękne oczy pełne współczucia, i powiedziała: „W Skykomish jest tak bardzo zagłodzona klacz, że nie może ustać na nogach... Myślisz, że moglibyśmy się nią zająć?”

Podszedł do biurka i rzucił z krzesła stos gazet. Spadły na drewnianą podłogę z głuchym dźwiękiem. Włączył komputer i wszedł do Internetu. Szukał informacji pod hasłem: „Uraz głowy”.

Spędził godzinę, czytając o nieszczęściu i bólu innych. Zapiisał cały arkusz strzępkami informacji, tytułami książek, nazwiskami specjalistów, nazwami leków i stosowanych terapii. Szukał czegokolwiek, szukał wszystkiego, co mogłoby pomóc. Ale po godzinie pracy nie był mądrzejszy. Wiedział to, co wiedział od początku. Można tylko czekać...

Wyłączył sprzęt, nawet nie zamykając programu, i wyszedł z pokoju.

Na dole, co zdarzyło mu się po raz pierwszy od dwóch lat, nalał sobie podwójną tequilę. Wypił jednym haustem. Ziemia wcale nie zaczęła się szybciej kręcić. Liam, wyraźnie zawiedziony, nalał i wypił jeszcze jednego drinka, który nieco stępił jego umysł - już nie tak bardzo ścisnęło go w gardle.

Podszedł do ogromnego okna i patrzył na pogrążone w mroku pastwisko. Teraz, w środku nocy, nie widział koni, wiedział jednak, że tam są. Tuzin koni uratowanych przez Mikaelę. Pochodziły z różnych rejonów zachodniej części stanu, wcześniej należały do organizacji, osób prywatnych lub bankrutujących firm. Zwierzęta przyjeżdżały tu nieszczęśliwe, wygłodzone i zaniedbane, a Mikaela otaczała je opieką, aż jedno po drugim powracały do zdrowia. Potem oddawała je w dobre ręce. Miała takie czułe serce. To była jedna z cech, które kochał w niej najbardziej.

Ale kiedy ostatnio jej to powiedział? Nie pamiętał. Czuł się podle.

Nigdy nie potrafił mówić o swoich uczuciach. Okazywał miłość, na każdym kroku pokazywał, jak bardzo ją kocha. Wiedział jednak, że słowa również są ważne, nawet bardzo ważne.

Za cholerę nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz mówił jej, że jest jego słońcem, jego księżycem, jego całym światem.

Nalał kolejną szklaneczkę i opadł na wysiedzianą kanapę.

Ona nie może umrzeć...

Nie. Nie może nawet dopuszczać do siebie takich myśli. Mike już wkrótce odzyska przytomność, może nawet już za chwilę się przebudzi i oboje będą się śmieli, wspominając, jak bardzo się bał.

Nie potrafił jednak odegnąć od siebie czarnych myśli. Czuł swąd trawiącej go rozpacz, słyszał szelest przenikającego go dreszczu przerażenia.

Zamknął oczy i przypomniał sobie różne drobne sprawy, sytuacje z nią związane, a gdy unosił powieki, Mikaela siedziała obok niego na kanapie. Miała na sobie stare, zniszczone dzinsy, które od dawna chciał wyrzucić, i czarny sweter z dekoltem w łódkę, mogący pomieścić nawet dwa razy potężniejszą od niej kobietę. Oparta wygodnie, patrzyła na niego.

Pragnął wyciągnąć do niej rękę, dotknąć jej ulubionego miękkiego swetra, pocałować pełną dolną wargę. Wiedział jednak, że tak naprawdę jej tam wcale nie ma. Była w nim, wypełniała całe jego serce.

- Pękałabyś ze śmiechu, gdybyś widziała mnie dzisiaj w kuchni, malutka.

Już dłużej nie mógł tłumić w sobie żalu, już nie potrafił być silny. Opadł na kanapę i rozplakał się jak dziecko.

- Tatusiu? - od strony schodów doszedł go cichy, niepewny głosik. - Z kim rozmawiasz? Postać Mike zniknęła.

- Z nikim nie rozmawiam. - Otarł łzy i chwiejnie podniósł się z kanapy. Przemierzył pokój, a potem zaczął wchodzić schodami na górę.

Bret stał na górnym podeście, w prowizorycznie skomponowanej piżamie: podkoszulku z purpurową, świecąca w ciemności aplikacją i flanelowych bokserkach. Gdzieś w zapchanej po brzegi komodzie chłopca leżało kilka piżam, ale tylko Mike potrafiła cokolwiek znaleźć w tym bałaganie.

- Nie mogę usnąć, tatusiu.

Liam wziął Breta na ręce, zaniósł go do dużej sypialni i okrył kołdrą w łóżku, które bez Mike wydawało się zbyt wielkie. Położył się obok syna i przygarnął go do siebie.

- Ona na mnie patrzyła, tatusiu.

Liam mocniej przytulił Breta. To śmieszne, przecież nie dalej jak w ubiegłym tygodniu Liam pomyślał, że Bret zbyt szybko dorósł. Teraz chłopczyk w jego ramionach był taki dziecinny, taki niepodobny do tamtego Breta. Od rana nastąpił wyraźny regres. Trzeba, coś z tym zrobić, musi się tym zająć... później.

- Kiedy zobaczyłeś mamę, miała otwarte oczy. O tym mówisz, synku?

- Ona patrzyła prosto na mnie, ale... jej tam nie było. To nie była mama.

- Zraniła się, bardzo cierpiała, tak bardzo, że nie mogła zamknąć oczu, a teraz cierpi tak bardzo, że nie może ich otworzyć.

- Pozwolą mi ją jutro zobaczyć?

Liam przypomniał sobie, jak Mikaela wyglądała na szpitalnym łóżku: twarz zmaltretowana, opuchnięta i biała jak papier, plastikowa rurka wychodząca z dziurki od nosa, igły powbijane w żyły, te wszystkie popodłączane aparaty... Chłopiec by się wystraszył, a Liam doskonale wiedział, czym mogą stać się takie wspomnienia. Widział w podobnym stanie swojego ojca. Niektórych obrazów - wystarczy, że raz się coś zobaczy - nigdy nie udaje się wymazać z pamięci.

- Nie, maluszku. Nie sądzę. Szpital nie zgadza się na wprowadzanie dzieci na Oddział Intensywnej Opieki Medycznej. Zobaczysz mamę... jak tylko przeniosą ją na ogólną salę.

- Tak wyglądają na filmach umarli, prawda? - cichutko powiedział Bret.

- Mama nie umarła. Po prostu... odpoczywa... musi trochę dłużej pospać. Wiesz, tak jak Śpiąca Królewna.

- A czy próbowałeś ją pocałować?

Liam przez dłuższy czas nie potrafił wydobyć z siebie głosu. Wiedział, że tej chwili nigdy nie zapomni i że nigdy nie przestanie odczuwać tego przemożnego bólu.

- Tak, Bretster. Próbowałem - wykrztusił wreszcie.

Liam nie ruszył się z łóżka, dopóki Bret nie zasnął. Potem ostrożnie podniósł się i zszedł na dół. Tym razem nalał sobie filiżankę herbaty. Bóg mu świadkiem, tequila nic nie pomogła.

„A czy próbowałeś ją pocałować?”

Liam wzniósł oczy na skośny drewniany sufit. - Słyszałaś, kochanie? Pytał, czy próbowałem cię pocałować.

Zadzwonił telefon.

Liam to zignorował. Po czwartym dzwonku włączyła się automatyczna sekretarka. Liam nie był przygotowany na to, że usłyszy ciepły, gardłowy głos Mike. Z całej siły zacisnął oczy. „Dodzwonili się państwo do domu rodziny Campbell i zimowej siedziby Biura Programu Pomocy Koniom w Whatcom County. W tej chwili nikt nie może podejść do telefonu...”

Powitalna wiadomość wreszcie się skończyła i rozległ się inny głos.

- *Hola*, doktorze Liam. Mówi Rosa. Wracam...

- Halo, Rosa - Liam podniósł słuchawkę.
- Doktor Liam? To pan? Przepraszam, że dzwonię dopiero teraz, ale pracowałam dziś na wieczorną zmianę...
- Mike miała wypadek - szybko przerwał jej Liam. Obawiał się, że za chwilę nie zdoła już wykrztusić z siebie ani słowa. Wziął głęboki oddech i opowiedział teściowej, co się stało.
W słuchawce zaległa głucha cisza.
- Będę u was jutro - odezwała się w końcu Rosa.
- Dziękuję ci - rzekł, dopiero w tym momencie uświadamiając sobie, jak bardzo potrzebuje jej pomocy. - Zarezerwuję ci bilet na samolot.
- Nie, nie. Będzie szybciej, jeśli pojadę samochodem. Wyruszę skoro świt. Czy ona...
Przeżyje noc.
- Mamy nadzieję - odpowiedział na niedokończone pytanie. - Rano, rano... tak, rano będzie dobrze. Dziękuję, Roso.
- Doktorze Liam? - Znowu długa cisza w słuchawce, a potem miękkim głosem Rosa poprosiła: - Módl się za nią. Mikaela bardziej niż leków i całej tej aparatury potrzebuje boskiej pomocy.
- Cały czas się modlę. Roso, modlę się bez przerwy. Odwiesił słuchawkę i poszedł do sypialni. Siłą woli zmusił się, żeby przekroczyć próg tego pokoju. Gdy wchodził tu wcześniej, niósł Breta. Dziecko w ramionach spełniało rolę talizmanu. Teraz czuł się boleśnie samotny i podatny na wszystkie ciosy. To było królestwo Mikaeli, ten pokój, ich pokój, który kiedyś, dla żartu, pomalowała na jaskrawoczerwony kolor, a który obecnie miał złote księżycy, gwiazdy i słońca wymalowane na gładkich jasnych ścianach oraz wielkie łoże z baldachimem.. Mikaela mawiała, że ono sprawia, iż czuje się jak Candice Bergen w filmie *The Wind and the Lion*. Niestety, przez to łoże on również czuł się jak Candice Bergen! I co z tego? Ona kochała ten pokój, więc co noc kładł się w ich wielkim łóżu, dziękując Bogu, że Mikaela chce go z nim dzielić. Z nim, najzwyczajniejszym spośród zwyczajnych, przeciętnym facetem, którego jedyną nieprzeciętną cechą było to, że darzył ją wielką miłością.

Rosa Elena Luna podeszła do niewielkiego ołtarzyka w salonie swego domu i zapaliła dwie wotywny świece. Słabiutkie płomyki migały pocieszająco w usianych kamykami, czerwonych, szklanych kloszach.

Rosa ułękła na pokrytej popękany linoleum podłodze, złożyła ręce i wpatrując się w figurkę Najświętszej Pani, zaczęła się modlić. Najpierw odmówiła Modlitwę Pańską.

Jednak te dobrze znane słowa nie złagodziły bólu rozsadzającego jej pierś. Łzy przyćmiły wzrok, ale nie kapały z oczu. Już dawno przekonała się, że łzy to tylko krople wody, które wcale nie mają uzdrawiających właściwości, nie potrafią złagodzić bólu, nie goją ran.

Dłonią mocno objęła nogę rozklekotanego stołu i, wspierając się o nią, podniosła się z kolan. Po całym wieczorze w restauracji jej stawy kolanowe trzaskały jak prażona kukurydza.

Po raz pierwszy od wielu lat miała ochotę zatelefonować do Williama Browniowa. Tęsknie spoglądała na wiszący na ścianie telefon.

Oczywiście nie mógłby jej pomóc. Nie widzieli się od wielu lat. Sunville to małe miasteczko, lecz nawet w tej niewielkiej miejscinie obracali się w zupełnie innych kręgach. On był właścicielem skromnego sadu jabłoni, nikim szczególnie wpływowym czy bogatym, ale w porównaniu z Rosą mógłby być Kennedym. Chociaż dał życie Mikaeli, nigdy nie poczuwał się do ojcostwa. Miał inną rodzinę. Piętnaście lat spędził w łóżku Rosy, lecz każda chwila była skradziona jego prawowitej żonie i dzieciom.

William nie pospieszy na pomoc swej nieślubnej córce.

Rosa stała na środku pogrążającego się w mroku pokoju. Tu i ówdzie przez zniszczone, postrzępione zasłony przedzierało się blade światło księżycy, oświetlając kanapę kupioną na ulicznej wyprzedazy, stoliki z plastiku udającego szlachetne drewno, święte obrazy na ścianach. Mikaela i Liam wielokrotnie próbowali namówić Rose, żeby wyprowadziła się z

tego domu albo żeby przyjęła od nich pieniądze na remont - zawsze odmawiała. Bała się, że jeśli stąd wyjedzie, zapomni o popełnionych błędach, grzechach, o których, z woli Boga, nigdy nie wolno jej zapomnieć.

Wszystko zaczęło się właśnie tu, w tym domu, którego nie powinna była przyjąć. Ale wówczas nie widziała w tym nic złego, ot, prezent od kochającego mężczyzny. Jeszcze wierzyła, że on odejdzie od żony.

Światło świec migotliwie prześlizgiwało się po smugach nierówności okiennej szyby.

W dzieciństwie Mikaela uwielbiała obserwować refleksy bladego światła na szkle. Krzyczała wtedy do Rosy: „Popatrz, mamó! Deszcz pada wewnątrz naszego domu”.

Dziś Rosa zastanawiała się, czy Mikaela kiedykolwiek zrozumiała, dlaczego matka nigdy nie stanęła przy oknie obok niej. Dla Rosy to nie były krople deszczu, tylko łzy. Wiedziała, że dom płacze nad jej smutnym losem.

Zła miłość.

To ona była sercem tego domu, to ona kupiła każdy gwóźdź, ona opłacała większość rachunków. Wmieszana została do farby. Zła miłość posadziła żywopłot i pielęgnowała go, by wyrósł wysoki i gęsty. To ona ułożyła żwirową ścieżkę, która prowadziła do frontowych drzwi zaprojektowanych tak, żeby ukryć tę miłość przed światem. Była wpleciona we włókna zasłon zaciemniających okna.

Rosa zawsze wiedziała, że przyjdzie jej zapłacić za ten grzech. Żadna spowiedź nie zdoła oczyścić jej duszy, ale żeby aż taką cenę... Nie, nie myślała, że cena może być tak wysoka.

- Boże, błagam - szepnęła - uratuj *mi* *hija*...

I znowu cisza. Gdyby wyszła na zewnątrz, usłyszałyby szum ogołoconej z liści wierzby, dźwięk do złudzenia przypominający płacz starej kobiety.

Westchnęła ciężko i poszła do swojej małej sypialni. Wyciągnęła z szafy jedyną walizkę i zaczęła się pakować.

4

Następnego ranka telefon przy łóżku zadzwonił o szóstej. Liam śnił. To był miły sen: razem z Mikaela siedzieli na ganku, na bujanej kanapie, i przysłuchiwali się śmiejącym się w oddali dzieciom. Przez sekundę uległ złudzeniu, że czuje ciepło jej ręki w swojej dłoni... potem zauważył śpiącego obok synka i natychmiast wszystko sobie przypomniał.

Kiedy sięgnął po słuchawkę, serce terkotało mu w piersi jak używana kosiarka.

Dzwoniła Sara, pielęgniarka ze szpitala. Mikaela przeżyła noc.

Liam ostrożnie sięgnął przez Breta i odłożył słuchawkę. Wygramolił się z łóżka, wziął prysznic - chociaż dopiero gdy już spod niego wyszedł, uświadomił sobie, że nie użył ani mydła, ani szamponu - i poszedł budzić dzieci.

Po godzinie cała trójka była już w drodze do szpitala. Liam zostawił dzieci w poczekalni, a sam udał się na Oddział Intensywnej Opieki Medycznej.

Zbliżył się do łóżka Mikaeli z absurdalną nadzieją, że zostanie ją wygodnie siedzącą, uśmiechniętą...

Ale w pokoju panowała głucha cisza, Mikaela od wczoraj nawet nie drgnęła.

Wyglądała jeszcze gorzej: prawa strona twarzy bardzo spuchła, oczy zginęły pod nabrzmałymi, pozbawionymi koloru powiekami, przezroczysta plastikowa rurka wychodziła z lewej dziurki nosa, koniuszki pozbawionych życia warg opuściły się. Cienka strużka srebrnej śliny spływała po bladym policzku i tworzyła mokrą szarą plamę na poduszce. Cienki koc, podciągnięty wysoko na piersi, był tak starannie ułożony i tak dokładnie otulono nim Mikaelę po bokach, że Liam bezwiednie pomyślał o śmierci.

Do pokoju weszło kilku lekarzy różnych specjalności. Badali Mikaelę, przeprowadzali jakieś testy, rozmawiali między sobą. Liam czekał w milczeniu, widział brak jakiegokolwiek reakcji organizmu na kolejne testy. Jego ukochana żona nie reagowała na nic.

„Prawdę mówiąc, Liam, nie wiemy, dlaczego jest nieprzytomna”.

Oto najlepsi lekarze w kraju i tyle tylko potrafili powiedzieć. Nie wiedzieli, dlaczego ona

wciąż jest nieprzytomna.

Trzeba czekać i nie tracić nadziei. Trzeba modlić się, żeby przeżyła następny dzień, a potem kolejny i jeszcze jeden. Trzeba modlić się, żeby odzyskała przytomność, żeby sama się obudziła...

Chociaż Liam właściwie nie oczekiwał żadnego medycznego cudu, to jednak głęboko w sercu miał nadzieję, że nastąpi jakaś, jakakolwiek zmiana. Nawet konieczność poważnej interwencji chirurgicznej byłaby lepsza niż ta... całkowita bezsilność i niezmienny stan chorej.

Dochodziła jedenasta, kiedy Liam ponownie spojrzął na zegarek. Przez szparę w kotarach dostrzegł jasny blask przedpołudniowego słońca.

Czas porozmawiać z dziećmi, powiedzieć im... coś, cokolwiek.

Niespiesznie udał się w kierunku poczekalni.

Nazwa brzmiała jak dowcip. Jakby nadzieje mogły czekać na spełnienie tylko w tym konkretnym miejscu. Wiedział, że od tej pory każdy pokój, każde miejsce stanie się dla nich poczekalnią. On i dzieci będą przenosili ją z miejsca na miejsce razem z sobą. Gdziekolwiek będą, będą czekać. W domu będą widzieli puste miejsce równie wyraźnie jak swoje dłonie. Puste krzesło przy stole, puste miejsce na kanapie.

Zatrzymał się na chwilę, potem skręcił w kierunku sali za stanowiskiem pielęgniarek.

Sala okazała się dostatecznie duża, by nawet liczna rodzina mogła się tu zebrać i wspólnie dzielić rozpacz lub radość. Od aseptycznie białych ścian wyraźnie odcinały się brązowe krzeselka i stoliki ze sztucznego drewna, na których leżały porozrzucane czasopisma i kilka starannie ułożonych egzemplarzy Biblii. Jak we wszystkich takich pokojach i w tym cykanie ściennego zegara wydawało się głośniejsze.

Jacey stała przy oknie, odwrócona tyłem do wchodzącego Liama. Udawała, że uważnie obserwuje widoczny z okna parking, ale Liam wiedział, że przed oczyma ma tylko obraz matki, poturbowanej i krwawiącej, leżącej na brudnej ziemi.

Bret, zwinięty w kłębek, w pozycji płodowej, zaciskając powieki, leżał na złotej kanapie. Bóg wie, co on miał przed oczyma. Dzisiaj również ssal kciuk.

Liam znalazł w sobie dość sił tylko na to, by pozostać na miejscu. Może tak już pozostanie: zawsze będzie znajdował „tylko dość sił”, by przetrwać.

- Cześć - rzekł w końcu głosem tak cichym, że sam nie był pewien, czy rzeczywiście powiedział to głośno.

Jacey błyskawicznie odwróciła się twarzą do niego. Długie czarne włosy, zwykle doskonale wyszczotkowane i pięknie uczesane, bezładnie opadały jej na ramiona. Miała na sobie workowate bawełniane spodnie, ściągane w talii sznurkiem, i obszerny sweter. Na bladych policzkach lśniły srebrne strużki łez, z oczu - czerwonych i zapuchniętych - wyzierało dręczące, bolesne pytanie.

- Żyje - uspokoił ją Liam.

- Bogu dzięki - szepnęła Jacey i podniosła do ust drżącą dłoń.

Liam widział, jak bardzo stara się nie płakać przy młodszym bracie. Podszedł do kanapy i przygarnął Breta do siebie. Chłopczyk tkwił w bezruchu, zdawało się, że nawet przestał oddychać.

- Chodź, Jacey. Usiądź - zwrócił się do córki. Przycupnęła na krześle stojącym przy kanapie i wyciągnęła rękę do Liama. Bret mocniej wtulił się w ojca i otworzył oczy. Łzy popłynęły po policzkach chłopca.

- Będziemy mogli ją dzisiaj zobaczyć? - zapytał.

- Jeszcze nie dziś - odparł Liam, biorąc głęboki oddech. - Wczoraj mówiłem, że mama uderzyła się w głowę, ale... nie powiedziałem wszystkiego. Ona jest pogrążona w głębokim śnie. Nazywa się to śpiączką. W ten sposób organizm sam próbuje się leczyć. Pamiętacie? Kiedy jesteście bardzo przeziębieni albo macie naprawdę paskudną gripę, wtedy też cały czas śpicie, żeby prędzej wrócić do zdrowia. Z mamą jest podobnie.

- Ale czy się obudzi? - zapytała Jacey, ledwie poruszając sinymi ustami.

Liam zadrzał. Cokolwiek teraz powie, zabrzmiałoby jak kłamstwo.

- Mamy nadzieję - wykrztusił wreszcie. Spojrzał na Jacey. Z jej oczu wyczytał, że dziewczynka zna smutną, straszną prawdę. Była córką lekarza, wiedziała, że nie wszyscy budzą się ze śpiączki.

Boże dopomóż. Liam nie potrafił wymyślić nic, co oszczędziłoby Jacey gorzkiej prawdy. Mógł mówić o nadziei, ale to raczej lek mało skuteczny.

- Musimy wierzyć w mamę - rzekł. - Musimy mieć nadzieję. Wielką, niezachwianą nadzieję. A kiedy mama będzie mogła, obudzi się.

- Wylecz ją, tatusiu - szepnął Bret, ocierając łzy z oczu.

- Lekarze czynią wszystko, co w ich mocy, Bretster. Ale ona jest w śpiączce...

- Jak Śpiąca Królowna - podpowiedziała Jacey młodszemu bratu.

- Śpiąca Królowna spała sto lat! - Bret znowu wybuchnął płaczem.

Liam wziął syna w ramiona i mocno go do siebie przytulił. Jacey przysunęła się bliżej i objęła ich obu. Kiedy Liam poczuł drżenie drobnego ciała syna i ciepłą wilgoć łez córki, ukrył twarz w rudych, grubych włosach Breta.

Modlił się.

Jakie mnóstwo samochodów na szpitalnym parkingu! Co za absurd! I choć nedorzeczna, była to pierwsza myśl, która przyszła Rosie do głowy, gdy tego popołudnia wjechała na teren Ośrodka Medycznego imienia Iana Campbella. Kilka minut szukała wolnego miejsca. Wreszcie zaparkowała pomiędzy poobijanym fordem pikapem i starym impalą. Wyłączyła silnik.

Wzięła głęboki oddech i powoli, na siłę, palec po palcu, rozluźniała uchwyt rąk na kierownicy. Pot lał się z niej ciurkiem, mimo że ogrzewanie w samochodzie już od lat nie działało, a na zewnątrz nie mogło być więcej niż dziesięć stopni.

Spojrzała na małą figurkę Najświętszej Panienki przymocowaną do beżowej tablicy rozdzielczej. Wysiadła z samochodu i skierowała się do szpitala.

Elektronicznie otwierane drzwi zaszumiały, w nozdrza uderzył ją gorzki zapach leków i środków odkażających.

Rosa zachwiała się. Szła niepewnym krokiem. Czarną winylową torebkę przycisnęła do szczupłego ciała. Całą uwagę starała się skupić na podłodze przed stopami. Kiedy była zdenerwowana, liczyła kroki pomiędzy miejscem, w którym była, a tym, do którego zmierzała. Zawsze tak robiła. Stare przyzwyczajenie i zapewne nigdy nie uda się jej tego zmienić.

Zatrzymała się przy rejestracji. Słyszac powitanie rejestratorki, lekko uniosła głowę.

- Chciałabym widzieć się z doktorem Liamem Campbellem - wyjaśniła.

- Wywołam go - powiedziała dziewczyna. - Proszę usiąść.

Rosa skinęła głową i odwróciła się. Ze spuszczoną głową, licząc w duchu kroki, poszła z powrotem w kierunku zsuniętych razem kilku szarych plastikowych krzeseł. Dokładnie czternaście kroków.

Usłyszała nazwisko zięcia, przyzywanego przez megafon. Kilka minut później zobaczyła idącego w jej kierunku Liama.

Wyglądał tak, jak się spodziewała - przypominał zmordowanego, zbitego psa. Zięć był wysokim mężczyzną, chociaż na ogół tego nie zauważała. Przez te wszystkie lata zaledwie parę razy zdarzyło się, że Rosa zwróciła się z czymś bezpośrednio do Liama albo coś mu podawała, i wtedy zaskakiwał ją jego nieprzeciętny wzrost. Zwykle nie wydawał się zajmować aż tak wiele miejsca. Ale miał serce lwa. Rosa nie знаła nikogo, kto kochałby tak bardzo, tak bez reszty, jak jej zięć.

- *Hola*, doktorze Liam - odezwała się, wstając z krzesła.

- Dzień dobry. Roso.

Pełną niezręczności chwilę czekała, że on powie coś jeszcze. Patrzyła mu prosto w twarz. W jego oczach dostrzegła bezbrzeżny smutek, ogromną udrękę. To wystarczyło. Wiedziała już wszystko.

- Czy jeszcze żyje? - zapytała ledwo słyszalnym głosem. Skinął głową.
- Och... dzięki Bogu. Zaprowadź mnie do niej, dobrze? - powiedziała, nerwowo bawiąc się mosiężnym zapięciem torebki.

Liam spojrział w przestrzeń. Blond włosy miał potargane i posklejane, jakby zapomniał umyć głowę.

- Wolalbym... - zaczął. Jego głos, zazwyczaj cichy, spokojny i właściwie modulowany, teraz zdawał się słabszy od cienkiej jedwabnej nitki.

Ten stłumiony do szeptu tenor sprawił, że Rosie przeszły po plecach ciarki.

- Chciałbym ci tego oszczędzić. Roso - dokończył zaczęte zdanie i spróbował się uśmiechnąć. Była to desperacka i zresztą nieudana próba. Ów grymas przeraził Rose bardziej niż słowa Liama.

- Chodźmy - wykrztusiła z trudem. Na nic więcej nie mogła się zdobyć.

Poszli w dół korytarzem, potem drugim i jeszcze jednym. Rosa - cały czas ze spuszczoną głową - liczyła kroki. Postać Liama tuż obok stanowiła barierkę niepozwalającą jej zboczyć z wytyczonej drogi.

Wreszcie Liam zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami.

Potem zrobił coś niesamowitego: dotknął jej ramienia. To było zaledwie muśnięcie, delikatny, pocieszający gest, który bardzo Rose zaskoczył. Nigdy nie zachowywali się wobec siebie tak poufale. Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek Liam jej dotknął.

Fakt, że teraz próbował ją pocieszyć, choć sam tak bardzo cierpiał, mocno ją poruszył.

Pragnęła się do niego uśmiechnąć, może nawet ścisnąć za rękę, ale w gardle czuła wielką suchość, a dłoń niebezpiecznie drżała.

- Roso, ona nie wygląda dobrze. Wolisz wejść do niej sama? - zapytał Liam.

Chciała powiedzieć, że tak, myślała, że powiedziała „tak”, ale usłyszała, że mówi „nie”. Liam ze zrozumieniem skinął głową i wszedł za nią do pokoju.

Kiedy zobaczyła córkę. Rosa stanęła jak wryta i głośno wciągnęła powietrze.

- Boże drogi! - wyrwało się jej z ust.

Mikaela leżała na wąskim dziecięcym łóżku ze srebrnymi balustradami, obstawiona aparatami, które bezustannie szumiały i popiskiwały. W pokoju, na szczęście, panował mrok. Rosa chyba nie potrafiłaby znieść tego widoku w jasnym świetle jarzeniówek.

Dziewięć kroków. Tyle musiała zrobić, żeby znaleźć się przy łóżku córki.

Piękna twarz Mikaeli była podrapana, posiniaczona i spuchnięta. Oczy skryte za sinymi, opuchniętymi fałdami skóry.

Rosa pochyliła się nad barierką i dotknęła policzka córki. Poczowała, że skóra jest napięta, sztywna jak balon nadmuchany do granic wytrzymałości. Bardzo długo stała w milczeniu.

- Moja mała dziewczynka - powiedziała w końcu. - Widywałam cię w lepszej formie, prawda? To musiał być straszny upadek. - Rosa cofnęła się od łóżka w obawie, że Mikaela usłyszy, jak jej rozdygotane ręce uderzają o barierkę.

- Nie wiemy, co do niej dociera... czy cokolwiek do niej dociera, czy w ogóle nas słyszy - rzekł Liam. - Nie wiemy... czy się obudzi.

Rosa podniosła na niego wzrok. W pierwszej chwili zaskoczyły ją te słowa, potem zrozumiała, że przemawia przez niego lekarz. Przecież nie mógł przestać być sobą, nie mógł stać się innym człowiekiem. Tak jak i ona nie mogła. Liam był człowiekiem nauki, racjonalistą. Opierał się na faktach. Rosa była człowiekiem wiary, a długie, ciężkie życie nauczyło ją, że czasem trudno jest dostrzec prawdę.

- Pamiętasz, jak ubiegłego lata pojechaliście wszyscy na Hawaje?

- Naturalnie. - Liam zmarszczył czoło.

- Po waszym powrocie Jacey zadzwoniła do mnie. Pływała tam na desce surfingowej, prawda?

- Tak.

- Miała niebezpieczną przygodę. Deska przewróciła się i uderzyła ją w głowę. Kiedy Jacey znalazła się pod wodą, ogarnęło ją przerażenie. Nie wiedziała, gdzie jest dno i w którą stronę płynąć, żeby wydostać się na powierzchnię. - Rosa spostrzegła, jak Liam zaciska

palce na barierce okalającej łóżko. - Nie bój się, Liamie, Mikaela jest teraz w podobnej sytuacji. Zagubiła się w miejscu, którego nie zna, nie potrafi zrozumieć. Musimy wskazać jej drogę do domu. Musimy wykorzystać nasze głosy, nasze wspomnienia. To one, jak światło latarni, wskażą jej drogę powrotną.

- Cieszę się, że tu jesteś, Roso - powiedział ciepło Liam.

- Rozumiem. Ciężko jest zostać samemu z czymś takim.

Liam wzdrygnął się na słowo „samemu”, a ona odgadła, o czym myślał: bez żony przez resztę życia będzie boleśnie samotny. Prawda, ma dzieci i bardzo je kocha, ale jest taka samotność, którą tylko kochająca kobieta potrafi ukoić. O tym Rosa wiedziała aż nadto dobrze.

Wiedziała jeszcze jedno, i to od pierwszej chwili, gdy poznała Liama, prawie dwanaście lat temu: On kochał Mikaelę. Kochał ją bez reszty, kochał taką miłością, o jakiej kobiety marzą, a która tylko nielicznym jest dana.

Rosa wielokrotnie zastanawiała się, czy Mikaela zdaje sobie z tego sprawę, czy rozumie, jak wielkie spotkało ją szczęście, czy może gdzieś w ciemnym, skrywanym kąciuku serca nadal pielęgnuje wspomnienie starej, szalonej, niedobrej miłości.

Wiedziała bowiem, jak głęboko tamta miłość zapuściła korzenie w sercu córki, i to również, że czasami pierwsza miłość potrafi tak wypełnić serce, iż nie zostaje w nim miejsca już na nic... ani dla nikogo... nikogo innego.

Rosa spędziła z córką prawie godzinę. Potem zostawiła Liama przy łóżku Mikaeli i poszła do wnuków.

Jacey i Bret siedzieli na kanapie w poczekalni, objęci ramionami. Rosa przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu.

- Dzieci? - odezwała się wreszcie. Jacey z krzykiem wyrwała się z objęć brata i rzuciła w ramiona Rosy.

- Wszystko będzie dobrze, kochanie - powtarzała Rosa, tuląc wnuczkę do siebie.

Bret nadal siedział cichutko na kanapie, cały czas zapamiętane ssąc kciuk.

Rosa wyswobodziła się z objęć Jacey i podeszła do malca.

- Dzień dobry, mój mały mężczyzno - powiedziała, przyklękając przed Bretem.

- Babciu, ona nie żyje. - Zaczerwienione od łez oczy chłopca wydawały się ogromne na wymizerowanej twarzy.

- Żyje, Bret. I bardzo nas potrzebuje. - Rosa delikatnie ujęła prawą dłoń chłopczyka i ostrożnie, lecz stanowczo, powoli ciągnęła w swoją stronę, aż kciuk z pląśnięciem wyskoczył z buzi. Potem ujęła dłoń chłopca i złożyła jak do modlitwy. - Te dłonie, nasze dłonie, służą do modlitwy.

Podeszła Jacey i położyła swoje ręce na ich dłoniach.

- Ojcie nasz, któryś jest w niebie - Rosa pochyliła głowę i zaczęła głośno mówić pacierz. Słowa wypełniały jej krwawiące serce. Odmawiała tę modlitwę codziennie od dnia swojej Pierwszej Komunii. Jednak nigdy w ciągu tych pięćdziesięciu lat, nigdy jeszcze nie modliła się tak żarliwie.

Po chwili do modlitwy przyłączyli się Jacey i Bret.

Dom był teraz cichy. Nie taki, jaki powinien być o pół do dziesiątej wieczór, ale taki, jakim stał się obecnie.

Jacey siedziała w pokoju, w którym zawsze pracowała Mike, i szukała w Internecie informacji potrzebnych do przygotowania pracy do szkoły. Liam stanął z tyłu za nią.

- Jak ci idzie? - zapytał, delikatnie ściskając ją za ramię.

- Chyba dobrze - podniosła na niego wciąż zapuchnięte oczy.

Liam wiedział, że - tak jak wszyscy - lada moment córka może zalać się łzami.

- Moglibyśmy przenieść komputer do salonu, jeśli... - zaczął.

- Nie. Ja... ja chętnie siedzę w tym pokoju. Tutaj czuje jej obecność. Czasem na moment zapominam, co się stało, i myślę, że za chwilę mama wsunie głowę przez drzwi i powie:

„Już dosyć, dzieciaku. Teraz ja muszę popracować na komputerze”. - Jacey uśmiechnęła się. - To lepsze niż ta cisza.

- Nie siedź zbyt długo - poprosił Liam, doskonale rozumiejąc, co córka ma na myśli.

- Dobrze.

Zostawił ją w pokoju, w którym można było wdychać obecność Mike jak najmiłszy zapach, i skierował się do sypialni Breta.

Zapukał do drzwi. Ze środka dobiegały jakieś szmery, szuranie.

- Proszę - usłyszał po chwili.

Otworzył drzwi. W pokoju panował mrok. Mała nocna lampka Batmana rzucała niewielki trójkąt złotego światła na łóżko. Przez świetlik w ostro ściętym suficie widać było rozgwieżdżone niebo. Dzięki temu pokój wyglądał jak kapsuła astronauty.

- Czołem, synku.

- Cześć, tato.

Z ciemności dobiegł go głos małego dziecka. Nie przypominał głosu owego dziewięciolatka, który ubiegłej wiosny pierwszy dobiegł do bazy podczas meczu baseballu, zdobywając cenne punkty. Liam zatrzymał się gwałtownie, stał jak wmurowany.

Kiedy uświadomił sobie, że wciąż tkwi bez ruchu, roześmiał się sztucznie, z przymusem.

- Przepraszam. Chyba nadepnąłem na Hana Solo - powiedział.

- I tak już nie miał nóg. Joe Lipsky odgryził mu je ubiegłego lata.

Liam niezdarnie ułożył się na wąskim łóżku. Odgarnął z oczu Breta pukiel rudych włosów.

- Wiesz, że zawsze możesz spać ze mną.

Bret skinął głową, ale się nie odezwał.

- Przychodziłeś do nas do łóżka, gdy miałeś zły sen. Teraz też możesz przyjść... nawet jeśli nie przyśni ci się nic złego, a po prostu zechcesz być ze mną.

- Wiem.

Ta rozmowa prowadziła donikąd. To zawsze Mike potrafiła rozmawiać z dziećmi, zachęcić je do zwierzeń. Liam nie miał pojęcia, jak się do tego zabrać.

- Tam nie ma mamy - szepnął Bret. Oczywiście. Bretowi też wielkie małżeńskie łóżko rodziców teraz wydawało się puste.

- Ale ja jestem, Bret. I wiesz co?

- Co?

- To tajemnica. Obiecujesz, że nikomu nie powiesz?

- Obiecuję. - Oczy Breta zdawały się ogromne na malutkiej buzi.

- Czasem bardzo się boję... szczególnie w nocy, jak zostaję sam. Czułbym się znacznie lepiej, gdybym mógł przytulić się do ciebie. Więc przychodź, synku, przychodź, kiedy tylko chcesz. Dobrze?

Bret położył głowę na ramieniu Liama i wtulił się w ojca.

Długo leżeli przytuleni do siebie, aż gwiazdy, jedna po drugiej, błysnąwszy silniejszym blaskiem, kolejno gasły. Myśląc, że chłopiec zasnął, Liam zaczął powoli podnosić się z łóżka.

- Tato, zostań - odezwał się Bret, gdy poczuł, że ojciec się rusza.

- Nigdzie nie idę. - Liam zastygł w bezruchu. Wykręcił się i z tylnej kieszeni spodni wyciągnął cienką książeczkę w miękkiej okładce. - Pomyślałem, że mógłbym poczytać ci do poduszki, tak jak robiła to ma... robiliśmy to z mamą. Wiem, że jesteś już dostatecznie duży, by czytać samemu, ale może będzie ci miło, jeśli to ja ci trochę poczytam. Może wtedy łatwiej zaśniesz.

- No pewnie.

- Przyniosłem jedną z ulubionych książek mamy. To *Lew, czarownica i szafa*.

- Czy jest straszna?

- Nie. - Liam usadowił się wygodniej, oparł plecami o szczyt łóżka i przyciągnął chłopca do siebie. Otworzył książkę, przerzucił początkowe kartki, zatrzymał się na pierwszej stronie tekstu i zaczął czytać: „Dawno temu było sobie czworo dzieci. Nazywały się: Peter, Susan, Edmund i Lucy...”

Spokojne słowa powoli łączyły serca ojca i syna, przenosiły ich w świat, w którym dzieci mogły bezpiecznie pograć się w marzeniach i poznawać magiczny świat baśni.

Wreszcie Liam doszedł do końca rozdziału i zamknął książkę. Stojący obok łóżka zegarek wskazywał dziesiątą trzydzieści, godzinę, o której Bret już od dawna powinien spać.

- Dziś już chyba skończymy - powiedział Liam. - Jutro będziemy czytać dalej.

- Czy ty wierzysz w czary, tato? - Bret spojrział ojcu w oczy.

- Za każdym razem - odparł Liam z uśmiechem - gdy patrzę na ciebie, na Jacey czy mamę, jestem pewien, że czary istnieją.

- Opowiedz mi jeszcze raz, jak to było, kiedy się urodziłem - poprosił chłopiec.

Ta piękna, wielokrotnie powtarzana historia potrafiła rozgrzać nawet w najmroźniejszą noc.

- Krzyknęła - mówił Liam. - Krzyknęła i powiedziała, że jesteś najdoskonalszym, najpiękniejszym dzieckiem, jakie kiedykolwiek widziała.

- A ty powiedziałeś - przypomniał Bret z uśmiechem - że wyglądam, jakbym jeszcze nie był gotowy.

- Byłeś taki maleńki... - Liam dotknął delikatnego, mięciutkiego policzka syna.

- Ale miałem silne płuca i gdy czułem głód, wrzeszczałem tak głośno, że szyby w oknach drżały.

- A pielęgniarki musiały zatykać sobie uszy. Bret uśmiechał się radośnie, a Liamowi topniało serce w piersi.

- Tato, a te dzieci, które musiały przejść przez... Czy one wrócą?

- Tak, wrócą. - Liam nie był zaskoczony, że chłopiec chce się upewnić, czy opowiadanie dobrze się skończy. - Czasami się gubią, ale wcześniej czy później wrócą.

- Poczytasz mi dalej jutro wieczorem? Obiecujesz?

- Słowo. - Liam pochylił się i pocałował syna w czoło. I wtedy przypomniał sobie o „całusku mamusi”. To był pomysł Mike, jeszcze z czasów, kiedy Bret miał zaledwie trzy latka. Magiczny pocałunek, który chronił przed złym snem. - Może powinniśmy wprowadzić „całusek tatusia?” Bo, wiesz, ja też jestem trochę czarodziejem.

- Nie.

Liam zrozumiał. Bret chciał, żeby taki pocałunek na zawsze pozostał całusem mamy. Oddanie go komuś innemu znaczyłoby, że ona już do nich nie wróci.

- Cały czas o niej myślę - chłopiec spojrział na ojca oczyma pełnymi łez.

- Wiem, kochanie. - Liam mocno przytulił Breta. - Wiem.

Na krótką chwilę, nie dłuższą niż jedno uderzenie serca, życie zatrzymało się w miłym, spokojnym miejscu. Liam czuł słodki zapach włosów swojego małego synka, czuł uścisk drobnych ramion na szyi, i to wystarczyło. Wróciły piękne wspomnienia, obrazy z wielu lat wspólnego życia. I wspominając to, co było, znalazł w sobie dość sił, by modlić się o to, co będzie.

Rosa wprowadziła się do małego domku dla gości, usytuowanego w pobliżu głównego budynku. Kilka osobistych drobiazgów zostawiła w wyłożonej różową glazurą łazience, mrożoną herbatę i bochenek pszennego chleba schowała do lodówki. Nie było sensu robić cokolwiek. Cały czas zamierzała poświęcić dzieciom i Mikaeli.

Następnego ranka, kiedy Liam już odjechał do szpitala, przygotowała wnukom gorące śniadanie i próbowała odwieźć je do szkoły.

„Jeszcze nie, babciu. Prosimy...”

Nie miała serca odmówić. Zgodziła się spełnić ich prośbę, by razem spędzić jeszcze jeden dzień w szpitalu, ale zastrzegła, że nazajutrz będą musiały pójść do szkoły. Szpitalna poczekalnia to nie miejsce dla dzieci, nie na długie godziny, nie dzień po dniu.

Pojechali do odległego o kilka kilometrów centrum i Rosa zaprowadziła dzieci do poczekalni.

Szybkim krokiem szła przez tętniący życiem korytarz. Z głową spuszczoną, torebką przyciśniętą do ciała liczyła kroki. Trzysta jednaście kroków do sali, w której leżała Mikaela na Oddziale Intensywnej Opieki Medycznej.

Ta mała, pozasłaniana kotarami salka nadal budziła w niej przerażenie. Tyle tu nieznanych urządzeń, takie dziwne dźwięki. Zbliżyła się do łóżka i spojrzała na swoje piękne, poturbowane dziecko.

- Nieważne, ile masz lat, nieważne, że sama masz już dzieci, dla mnie zawsze pozostaniesz moją małą dziewczynką, *si, mi hija* - szepnęła i pogłaskała nieposiniaczony policzek Mikaeli. Był spuchnięty, skóra wciąż napięta, ale Rosie wydawało się, że ciało jest bardziej miękkie niż wczoraj.

Z podręcznego stolika wzięta szczotkę i zaczęła szczotkować krótkie włosy Mikaeli.

- Dzisiaj umyję ci głowę, *hija*. - Siłą woli zmusiła usta do uśmiechu i mówiła dalej: - Wiesz, ciągle nie mogę się przyzwyczaić do tej twojej krótkiej fryzurki, chociaż przecież już od wielu lat taką nosisz. Kiedy zamknę oczy, nadal widzę moją dziewczynkę z burzą czarnych jak atrament włosów, opadających na plecy.

Rosa przypomniała sobie te smutne dni, gdy córka czuła się tak nieszczęśliwa, że sama obcięła włosy krawieckimi nożyczkami. Mikaela czekała na niego. Czekala i czekała na mężczyznę, który już nigdy się nie pojawił. A kiedy zdała sobie sprawę z tego, że on wcale nie zamierza do niej wrócić, obcięta swoje piękne włosy, które tak bardzo mu się podobały.

„Nie możesz robić z siebie brzyduli” - oburzyła się wówczas Rosa, choć naprawdę pragnęła rzec co innego:

„On nie jest wart twojego cierpienia”. Tego nie powiedziała; nie miała żadnego prawa krytykować żadnej kobiety za niewłaściwe lokowanie swoich uczuć, za to, że zakochała się w mężczyźnie niegodnym jej miłości.

Myślała, że córka w końcu pogodzi się ze stratą ukochanego i znowu zapuści włosy.

A jednak do tej pory Mikaela nosiła krótką fryzurę.

- Nie - monologowała głośno Rosa. - Nie chcę zaprzętać sobie nim głowy. On nie był wart, by o nim myśleć wtedy, i nie jest wart, by o nim mówić teraz. Lepiej pomyślę o swojej małej dziewczynce. Byłaś takim bystrym, ślicznym i takim zabawnym dzieckiem. Zawsze potrafiłaś mnie rozśmieszyć. Miałas wielkie plany. Pamiętasz? W swoim pokoju rozwieszałaś na ścianach fotografie, widoki z dalekich krajów, nieznanych miejsc. Marzyłaś o tym, żeby pojechać do Londynu, zwiedzić Francję, Chiny. A ja pytałam: „Skąd u ciebie takie wielkie plany, Mikita?” I pamiętasz, co mi odpowiadałaś?

Delikatnie gładziła córkę po włosach.

- Mówiłaś: „Muszę mieć wielkie plany, mamoo... bo to są plany za nas obie”. Mało mi serce nie pękło, kiedy to słyszałam - ręka Rosy zastygła w bezruchu. Przypominała sobie, jak wielkie marzenia córki topniały w gorącym kalifornijskim słońcu, aż nic z nich nie zostało. Minęło wiele lat, a wspomnienia były tak żywe, jakby wszystko zdarzyło się wczoraj. - Teraz to ja mam wielkie marzenie, *querida*. Marzę o tym, że usiądziesz na tym łóżku i otworzysz oczy... że wrócisz do nas. - Głos jej się załamał, ostatnie słowa wypowiedziała gardłowym szeptem. - To jest moje wielkie marzenie. Mam marzenie, tak jak chciałaś. Teraz ja marzę za nas obie, Mikita.

Późnym popołudniem Stephen wezwał Liama i Rose do swojego gabinetu.

- Mam dobrą wiadomość: stan Mikaeli ustabilizował się. Odłączyliśmy respirator, już oddycha sama. Nie musieliśmy robić tracheotomii. Pokarm podajemy jej dożylnie. Przenieśliśmy ją z Oddziału Intensywnej Opieki Medycznej do izolatki w drugim skrzydle zachodnim.

Liam prawie nie słyszał, co Stephen mówi. Wiedział, że jeśli lekarz zaczyna od tego, że „ma dobrą wiadomość”, za chwilę można spodziewać się najgorszego.

- Sama oddycha. To znaczy, że żyje, n? - wtrąciła Rosa, która po wejściu do gabinetu zatrzymała się przy drzwiach.

- Tak. - Stephen skinął głową. - Problem w tym, że nie wiemy, dlaczego ciągle jest w stanie śpiączki. Wszystko wydaje się w porządku: jest stabilna, mózg reaguje prawidłowo, i w zasadzie powinna być przytomna.

- Jak długo człowiek może tak spać? - zapytała Rosa.

- Niektórzy budzą się po kilku dniach, niektórzy... - Stephen zawahał się na moment - pozostają w stanie

śpiączki całe lata i nigdy się nie budzą. Chciałbym móc powiedzieć wam coś więcej.

- Dzięki, Steve.

- Jest w pokoju dwieście czterdzieści sześć - dodał Stephen, nawet nie siląc się na uśmiech.

- Chodźmy do niej. - Liam podniósł się z krzesła, podszedł do Rosy i delikatnie ujął ją za ramię.

Rosa skinęła głową. Opuścili gabinet Stephena i skierowali się do nowego pokoju Mikaeli.

Kiedy znaleźli się już w środku, Liam najpierw otworzył okno i wystawił głowę na zewnątrz. Chciał, by owiało go chłodne wieczorne powietrze. Dopiero po chwili odwrócił się i podszedł do łóżka żony.

- Mamy zimę, kochanie - powiedział, z czułością dotykając jej policzka. - Zasnąłaś jesienią, a teraz mamy już zimę. Jak to możliwe, przecież minęły zaledwie trzy dni? - Głośno przełknął ślinę.

Całe życie stało mu przed oczami: kolejno mijające dni pełne zajęć i niekończące się samotne, puste noce. Całe tygodnie bez niej, wszystkie święta: Dziękczynienia, Boże Narodzenie, Wielkanoc.

- Nie wolno ci tracić nadziei, Liamie - odezwała się Rosa. - Mikaela należy do tych szczęśliwców, którzy budzą się ze śpiączki.

Liam nie wyjawiał teściowej całej prawdy. Wprawdzie nadmienił, że to może się źle skończyć, ale postarał się, żeby brzmiało to mało prawdopodobnie. Teraz nie stać go było na żadne wybiegi. A możliwości mogły przerazić: uszkodzenie mózgu, paraliż, życie w stanie śpiączki aż do śmierci. Liam wiedział, że jutro rano poczuje się silniejszy i łatwiej mu będzie chwycić się rąbka nadziei. Tak wyglądały ostatnie dni: godziny nadziei przerywane chwilami panicznego, paraliżującego strachu.

Stał bez najmniejszego ruchu i usiłował nie myśleć o tym, jak będzie się czuł, czekając, aż Mike obudzi się ze śpiączki. Dzień po dniu, tydzień za tygodniem. Próbując się uspokoić, głęboko wciągnął powietrze w płuca i powoli wypuścił.

- Nie tracę nadziei. Roso. Nigdy nie stracę nadziei. Ale muszę... muszę mieć coś, co mnie przekona, że nie jest to wiara irracjonalna. A w chwili obecnej koledzy nie dają mi żadnych podstaw...

- Wiara w Boga ci pomoże, doktorze Liam. Nie wahaj się Mu zaufać.

- Nie teraz, Roso. Proszę cię. - Liam podniósł rękę do góry.

- Jeśli nie potrafisz rozmawiać z Bogiem, to przynajmniej rozmawiaj z Mikaelą. Trzeba jej przypominać, że tu czeka na nią jej życie. Tylko miłość potrafi przywrócić ją do życia.

- A jeśli moja miłość nie przywróci jej do życia. Roso? - zapytał Liam, odwracając się do niej.

- Przywróci - powiedziała Rosa z mocą. Liam zazdrościł teściowej jej prostej wiary. Głęboko w swym sercu szukał podobnej pewności, ale znalazł tam tylko strach.

- Ona cię potrzebuje. - Rosa podniosła na niego oczy. - Bardziej niż kiedykolwiek. Musisz być dla niej światłem, które wskaże jej drogę do domu. I tylko o tym powinieneś teraz myśleć.

- Masz rację - wyszeptał, a potem silniejszym głosem powtórzył: - Masz rację.

- I wiesz, to, o czym mówisz, też jest bardzo ważne, rozumiesz? Rozmawiaj z nią o tym, co naprawdę w życiu się liczy. - Rosa przysunęła się bliżej niego. - Ja przespałam swoje życie, doktorze Liam - wyznała drżącymi ustami. - Nie pozwól, żeby moja córka zrobiła to samo.

Bret do lunchu zachowywał się dzielnie, nie krzyczał, nie awanturował się, starał się zachować spokój. Ale teraz czuł, że wzbiera w nim niepohamowana złość. Najpierw zaczął marudzić, potem urwał głowę swojemu ludzikowi i wyrzucił do śmieci najnowszy, jeszcze nieczytany numer czasopisma „People”.

Miał dość siedzenia w poczekalni, miał dość tego, że nikt się nim nie zajmuje, że wszyscy

go ignorują.

Rzeczywiście, nikt się nie przejmował tym, że Bret cały czas jest sam w tej obrzydliwej poczekalni. Koledzy i koleżanki Jacey przyjechali w porze lunchu - oni już mieli prawa jazdy - i Jacey nawet chwili się nie zastanawiała, czy może zostawić brata samego, tylko poszła z „całą bandą” do kawiarenki. Nawet babcia i tatuś chyba o nim całkiem zapomnieli.

Tylko pielęgniarki czasem coś do niego zagadały, ale zawsze patrzyły z tak wielkim współczuciem, że chłopcu zbierało się na wymioty.

Bret znowu podszedł do kanapy i próbował zająć się rysowaniem. Nie najlepiej mu to wychodziło. Czuł bolesną próżnię w żołądku, uczucie stawało się coraz bardziej nieprzyjemne. Wiedział, że jeszcze chwila i zacznie wrzeszczeć.

Wziął do ręki najbliższą leżącą kredkę - czarną - i podszedł do ściany. Nawet nie rozejrzał się wokół, żeby sprawdzić, czy jest sam. Było mu wszystko jedno. Prawdę mówiąc, nawet chciał, żeby ktoś go zobaczył. Wielkimi, grubymi literami napisał na nierównej ścianie:

„Nienawidzę tego szpitala”. Poczul się lepiej. Odwrócił się i zobaczył Sarah, przełożoną pielęgniarek. Stała w drzwiach, w ręku trzymała stertę komiksów.

- Och, Bret - powiedziała łagodnie, rzucając mu to współczujące spojrzenie.

Czekał, aż powie coś jeszcze, może podejdzie bliżej i nakrzyczy na niego, lecz ona uśmiechnęła się i wyszła z poczekalni. Kilka minut później usłyszał, jak wzywano ojca przez szpitalny megafon.

Upuścił kredkę na podłogę i znowu podszedł do kanapy. Podniósł pozbawionego głowy ludzika i zaczął się nim bawić.

- Bretster? - to był głos taty.

Bret czuł, jak płoną mu policzki. Odwrócił się powoli. W drzwiach stał ojciec z kubłem i gąbką w ręku. Postawił wiadro na podłodze, kilkoma długimi krokami przemierzył salę i usiadł na stoliku do kawy vis-a-vis chłopca.

- Wiem, tato - powiedział Bret. Starał się nie płakać, ale nie umiał powstrzymać łez. Za każdym razem, kiedy brał oddech, czuł w gardle słony smak połykanych łez. - Przepraszam.

- Przepraszam, że zostawiliśmy cię tu samego. - Ojciec otarł łzy z oczu Breta. - Dzieje się tyle rzeczy... Przepraszam, Bret... bardzo mi przykro, synku.

- Nie powinienem pisać na ścianie. - Bret głęboko, chrapliwie wciągnął powietrze w płuca. - Przepraszam, tato.

- Wiem, że chcesz zobaczyć mamę, synku. - Ojciec prawie się uśmiechał. - Tylko że... ona bardzo źle wygląda. Ma strasznie posiniaczoną twarz. Myślałem, że jeśli ją zobaczysz w tym stanie, będziesz miał później okropne sny.

Bret przypomniał sobie, jak wyglądała mama z jednym okiem otwartym i wbitym w niego. Zadrżał. Energicznie otarł łzy.

- Tato, czy umarli ludzie widzą nas, kiedy mają otwarte oczy? - zapytał szeptem.

- Mama nie umarła, Bret. Przysięgam, ona żyje! - Liam ciężko westchnął. - Czy chcesz ją zobaczyć?

- Przecież przepisy na to nie pozwalają.

- To złamiemy przepisy. Jeśli chcesz.

Bret pociągnął nosem, dłonią wytarł gil z górnej wargi. Znowu przed oczami miał leżącą na ziemi mamę. Serce zaczęło walić mu jak młotem.

- Nie - wyszeptał. - Nie chcę jej zobaczyć. Ojciec objął go i mocno przytulił. Bret czuł, że powoli, bardzo powoli zaczyna się rozluźniać. Jak dobrze móc się przytulić! W objęciach taty było bezpiecznie. Chłopiec tulił się więc do ojca mocno, ufnie, długo.

- No cóż, chłopcze - rzekł po chwili Liam - myślę, że już czas, byś zabrał się do mycia ściany. To nie w porządku zostawiać tę robotę paniom sprzątaczkom.

Bret oderwał się od taty. Wstał chwiejnie i na uginających się nogach podszedł do wiadra. Poderwał je do góry, woda z mydlinami chlusnęła mu na nogi. Chwytał metalową rączkę obiema rękami, zaniósł wiadro do pomazanej ściany i postawił na podłodze. Zamoczył gąbkę, mocno ją wycisnął i zaczął zmywać swoje bazgroły.

W jednej chwili ojciec znalazł się przy nim. Przykucnął, wziął do ręki drugą gąbkę,

zanurzył w wiadrze i wycisnął.

- Wiesz, myślę, że jest to rodzinna sprawa, co? - powiedział Liam, uśmiechając się do syna z twarzą na wysokości jego twarzy.

Wczesnym wieczorem Rosa zabrała dzieci do domu na obiad. Liam zdawał sobie sprawę z tego, że on też powinien z nimi pojechać, ale nie mógł zostawić Mikaeli samej. Po prostu nie mógł.

Siedział przy łóżku i patrzył na żonę. Teraz leżała na boku. Pielęgniarki tak ją ułożyły.

- Poprosiłem Judy Monk, żeby zajęła się twoimi końmi - opowiadał. - Wszystkie mają się świetnie. Nawet ta szalona klacz, jakże ona się nazywa. Zielony Groszek? Karmi się ją z zewnątrz, nie wchodzimy do zagrody, ale poza tym wszystko w porządku. A weterynarz zapewnił, że po kolce Scotty'ego nie ma śladu; koń czuje się już bardzo dobrze. Aha, przyniosłem ci parę rzeczy.

Liam wstał i sięgnął po kartonowe pudło, które przywiózł z domu, podniósł je z krzesła i położył na łóżku. Ze środka wyjął torebkę pachnącego potpourri.

- Myrtle z apteki w mieście powiedziała mi, że to twoje ulubione.

Wysypał barwne listki do szklanej miseczki i zaraz w pokoju rozszedł się delikatny zapach wanilii. Następnie wyjął kilka rodzinnych zdjęć, które poustawiał na parapecie okna - na wypadek, gdyby Mikaela otworzyła oczy w chwili, kiedy żadnego z nich by przy niej nie było.

Na sąsiednim stoliku umieścił odtwarzacz i wsunął do środka kasetę. Madonna śpiewała *Crazy for you*. To powinno przypomnieć stare dobre czasy. Na koniec wyjął z pudełka zniszczony sweter Breta, malutki, bo chłopiec już dawno z niego wyrósł. Położył sweterek na ramionach Mike, utykając króciutkie rękawy wokół szyi żony. Jeśli cokolwiek mogło do niej dotrzeć, to z pewnością niezapomniany zapach jej małego chłopczyka.

Cichy pokój wypełniał się wspomnieniami. Liam przywołał z pamięci chwilę, gdy po raz pierwszy ujrzał Mikaelę. To było tutaj, w tym szpitalu. Przyjechał do domu na pogrzeb matki i dowiedział się, że jego ojciec - wielki Ian Campbell - cierpi na chorobę Alzheimera. Choroba powoli, ale konsekwentnie, niszczyła Iana.

Kiedy poczyniła tak wielkie postępy, że dni ojca były już policzone, przewieziono go do szpitala noszącego jego imię.

Właśnie wtedy Liam poznał Mikaelę. Miała zaledwie dwadzieścia pięć lat i była najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek spotkał.

- Czy ty wiesz, jak bardzo pragnąłem z tobą porozmawiać? - zapytał cichym, pełnym uczucia głosem, pochylając się nad żoną. - Siedziałaś przy łóżku mojego ojca. Pamiętasz ten dzień? Nie odezwałem się ani słowem. Stałem w drzwiach i słuchałem, jak mówisz do ojca.

Przysunął krzesło bliżej łóżka i wziął Mikaelę za rękę. Swoją dłonią oplótł jej palce.

- Ciągle jeszcze doskonale pamiętam, kiedy pierwszy raz spojrzełaś na mnie. Widziałas mnie, to oczywiste, ale nie dostrzegałaś. Zauważyłaś dopiero wtedy, gdy powiedziałem, że to mój ojciec. Była wiosna. Otworzyłaś okno w jego pokoju i przyniosłaś mu małą azalię obsypaną różowymi kwiatami. Wyczuwałem w tobie jakiś smutek. Chyba dość świeży. Teraz tak myślę. Wówczas sądziłem, że jestem kimś szczególnym, skoro to dostrzegłem, że może jesteśmy do siebie podobni. Oboje poranieni, życiowi inwalidzi. I zapragnąłem być tym jedynym, który wywoła uśmiech na twojej twarzy. A pamiętasz, co mi powiedziałaś? Zapytałaś: „Czy ty z nim rozmawiasz?” Speszyłem się, czułem się zażenowany. „Tak naprawdę to już nikt nie rozmawia z moim ojcem” - odparłem, a ty na to: „A powinieneś. Nieważne, co będziesz mówił, ważne, że będziesz przy nim. On musi czuć, że troszczysz się o niego.

„Troska”. Takie małe słowo. Jak „miłość” czy „nienawiść”. Zaledwie kilka liter, a ile treści! Do tamtej chwili Liam i ojciec nie bardzo troszczyli się o siebie nawzajem.

- Ty mi go zwróciłaś, wiesz o tym? Nie znałem go, nie należał do mnie, kiedy był silny, przedsiębiorczy i słońce świeciło tylko dla niego. Stał się mój dopiero wtedy, gdy był stary, pomarszczony i przerażony. Ty nauczyłaś mnie z nim rozmawiać. I w tych ostatnich

tygodniach jego życia zdarzyły się chwile, kiedy mnie dostrzegął, wiedział, kim jestem i dlaczego tam jestem. Dzień przed śmiercią wziął mnie za rękę i po raz pierwszy i jedyny w życiu powiedział, że mnie kocha. To dzięki tobie, Mikaelo. To ty uczyniłaś ten cud. Nie pamiętam, czy kiedykolwiek ci za to podziękowałem.

Podniósł się z krzesła i pochylił ponad barierką otaczającą łóżko. Delikatnie wypuścił jej dłoń ze swojej ręki i dotknął opuchniętego policzka.

- Kocham cię, Mikaelo. Kocham całym sercem. Będę tu, będę na ciebie czekał do końca życia. Dzieci i ja... Wróć do nas, kochanie. - Głos mu się załamał. Odczekał chwilę, żeby się opanować, potem pocałował ją w czoło. - Na zawsze razem - szepnął z ustami tuż przy jej twarzy.

Opadł na krzesło, siedział, trzymając jej rękę w swojej dłoni.

Część II

*To gwiazdy wskazują drogę
Podróżującym w mroku nocy.*

William Cartwright

6

Cztery tygodnie Mikaela była pogrążona w ciemności.

Pod koniec pierwszego tygodnia Liam i dzieci uświadomili sobie prawdę starą jak świat, że życie toczy się dalej. Chociaż bardzo chcieli, żeby czas stanął w miejscu, żeby świat przestał się kręcić, życie toczyło się dalej. Dzień po dniu zwykle, przyziemne sprawy wdzierały się do ich sterylnego, pełnego smutku świata. Zdumiewające, że i bez Mikaeli słońce nadal wschodziło na niebie i kilka godzin później zachodziło. Minęło Święto Dziękczynienia i w ostatnim tygodniu listopada spadł pierwszy śnieg.

Liam ze zdumieniem stwierdził, że można stać w miejscu, a jednocześnie sprawiać wrażenie, jakby szło się do przodu. Stan śpiączki trwał nieprzerwanie, więc on nie miał wyboru.

Dzieci wróciły do szkoły; Rosa zrobiła na drutach dość swetrów i kołderek, by otulić nimi wszystkich mieszkańców miasta. Liam zatrudnił ludzi do opieki nad końmi, płacił rachunki. W końcu zaczął znowu przyjmować pacjentów. Początkowo tylko kilku, ale teraz pracował już na pół etatu. Z gabinetu wychodził codziennie o drugiej. Czas do kolacji spędzał przy łóżku Mikaeli. Niekiedy przychodziła Jacey. Bret jeszcze nie odważył się odwiedzić matki, ale Liam wiedział, że wkrótce przyjdzie.

Dziękował Bogu, że pacjenci odciągają jego uwagę od żony chociaż przez kilka godzin dziennie. Kiedy bowiem nie pracował, czekał, obserwując swoją piękną, ukochaną żonę leżącą bez życia na łóżku, na którym miesiąc wcześniej leżał ktoś inny i ktoś inny będzie leżał w przyszłości.

Stał przy oknie w swoim gabinecie i wyglądał na zewnątrz. Na sąsiedniej posesji śnieg zaczynał pokrywać płot wokół domu pani Peterson.

Za kilka godzin w szkole podstawowej zabrzmiał ostatni dzwonek, dzieciaki zaczną zbierać się na wzgórzu Turnagain, ciągnąc sanki i dętki po pokrytej śniegiem ulicy i sunąc stokiem w dół w szaleńczej jeździe ku brzegowi żabiego stawu pani Robbin.

Jutro rano te same dzieciaki zerwą się skoro świt i popędzą do okien swoich sypialni z nadzieją, że zobaczą podwórko pokryte białym puchem. Rodzice, ignorując wrzaski dzieci, wysłuchają porannych wiadomości, modląc się w duchu, żeby drogi były przejezdne i autobusy szkolne kursowały normalnie. Ich modlitwy zagłuszone zostaną jednak przez młodsze, bardziej rozentuzjasmowane głosy i szkoły zostaną zamknięte. Około południa pani Sanman z piekarni postawi na ogniu garnki z pełnotłustym mlekiem, żeby poczęstować filiżanką gorącej czekolady każdego, kto - mimo takiej pogody - dotrze do jej sklepika, a strażacy zaczną wylewać wodę na końcu Sasquatch Street, przygotowując najwspanialsze w całym stanie lodowisko.

Liam na chwilę zapomniał, czym stało się jego życie. Chciał podnieść słuchawkę telefonu i zadzwonić do niej, żeby powiedzieć: „Cześć, Mike. Przyjeżdżaj szybko. Pada śnieg”. W samą porę się pohamował.

Jego Mikaela kochała śnieg, kochała ostry, czysty smak płatków śniegu i mgielkę lodowatej wody na twarzy, kiedy z dworu wchodziła do domu. Uwielbiała rękawice wykończone mankietem ze sztucznego futra i kaptury z czarnej angory, które zwyczajną gospodynię domową zmieniały w Grace Kelly. Kochała patrzeć, jak jej dzieci pałaszują zupę przy kuchennym stole, a topniejący śnieg kapie im z grzywek na zarumienione policzki.

Liam zasunął kotary, wrócił do biurka, usiadł i starannie ułożył karty ostatnich pacjentów. Za chwilę pojawi się pielęgniarka, Carol Audleman, żeby mu powiedzieć, która godzina. Tak jakby sam nie wiedział, jakby nie czekał na tę chwilę cały dzień, jakby cały dzień nie marzył o tej właśnie chwili.

Pukanie do drzwi.

- Doktorze? - Carol uchyliła, potem lekko pchnęła drzwi i weszła do niewielkiego, zaciemnionego pokoju. - Jest pierwsza. Marian była ostatnią pacjentką zapisaną na dzisiaj. Zaplanowaliśmy mniej pacjentów, ponieważ... - Carol odwróciła wzrok. - No, wie pan, dlaczego.

Liam uśmiechnął się z przymusem. Chciał, żeby Carol nie dostrzegła udręki w wyrazie jego twarzy.

- Koło południa dzwoniła Midge. Zostawiła panu na stole w kuchni lasagne i sałatkę.

Liam odkrył ostatnio coś zaskakującego: Gdy ludzie nie wiedzą, jak mogą pomóc, przygotowują ci jedzenie. Cale miasto starało się pomóc Campbellom w tej trudnej dla nich sytuacji. Wszyscy chcieli coś dla nich zrobić. Liam był im bardzo wdzięczny, ale czasami, wieczorem, kiedy pisał kartki z podziękowaniami, czuł tak przejmujący ból, że musiał odłożyć pióro. Każdy ugotowany obiad, każda miska sałaty przypominała mu, że Mikaeli nie ma w domu... że nie może robić rzeczy, które kiedyś robiła.

- Dziękuję, Carol. - Odsunął krzesło, wstał i sięgnął po kurtkę, wiszącą na haczyku na ścianie. Ściągnął biały fartuch, starannie przewiesił go przez oparcie krzesła i podążył za pielęgniarką. W drzwiach poklepał ją lekko po ramieniu i wyszedł na zewnątrz.

W drodze do szpitala minął ręcznie malowany i ręcznie wyrzeźbiony drewniany znak z napisem: ŻEGNA WAS LAST BEND, KOLEBKA NIEDŹWIEDZI GRIZZLI I ZWYCIĘSKIEJ DRUŻYNY W STANOWYCH MISTRZOSTWACH W PIŁCE NOŻNEJ W 1982 ROKU. Nad jezdnią łopotał transparent reklamujący doroczny festiwal zimowy.

Już wkrótce... nie zapomnijcie...

Na szpitalnym parkingu panował niecodzienny spokój. Śnieg pokrył wszystko, samochody wyglądały jak białe garby. Liam zaparkował na swoim miejscu i sięgnął pod siedzenie po dwie rzeczy, które przywiózł z sobą: album ze zdjęciami i niewielkie, zawinięte w papier pudełko. Nie zakładał palta, postawił tylko kołnierz flanelowej koszuli i poszedł w kierunku budynku szpitala.

Elektronicznie uruchamiane drzwi zaszemrały i otworzyły się przed nim. W środku kilka osób rozwieszało pierwsze bożonarodzeniowe ozdoby.

Na progu zatrzymał się na chwilę, potem zmusił się, by wejść do antyseptycznego wnętrza, które niegdyś lubił niemal tak jak dzienny pokój w swoim domu. Teraz to miejsce doprowadzało go do rozpacz.

Szedł, nie zatrzymując się i nie zwalnając kroku, na powitania odpowiadał skinieniem głowy. Pielęgniarki i lekarze nie mieli odwagi spojrzeć mu w oczy. Już nie wierzyli, że Mikaela obudzi się ze śpiączki... - a nawet jeśli, to zapewne nie będzie dawną Mikaela. Tak uważali, o tym szeptali między sobą podczas niespodziewanie spokojnych nocnych dyżurów. Sądzi, że w najlepszym razie stanie się kiepską namiastką dawnej Mike, w najgorszym... no cóż, nikt nawet nie chciał myśleć, co byłoby w najgorszym przypadku.

Liam przystanął na chwilę obok stanowisku pielęgniarek i pomachał ręką przełożonej pielęgniarek, Sarah. Uśmiechnęła się w odpowiedzi, a w jej oczach dostrzegł promyk nadziei, jakby lustrzane odbicie jego własnej wiary. Niewielkiej, podkopywanej z każdej

strony, ale ciągle obecnej w jego sercu.

Zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami do pokoju Mikaeli, zebrał siły, przekreślił gałkę i wszedł. Ktoś znowu zaciągnął kotary, chociaż on rozsuwał je za każdym razem, kiedy tu był. Minął łóżko i energicznie rozsunął niebieskie zasłony.

Dopiero teraz odwrócił się do żony. Jej widok przy pierwszym spojrzeniu zawsze sprawiał mu ból. Natychmiast zaczynał gwałtownie oddychać albo w ogóle nie mógł złapać powietrza. Mikaela leżała jak nieżywa na okolonym metalowymi barierkami łóżku. Pojedyncze pasmo włosów opadło jej na twarz, zakryło oko i przylepiło się do warg. Piers unosiła się i opadała ze zwodniczą regularnością. Oddychała. Jedyny znak życia. Liam spostrzegł, że ktoś niedawno musiał umyć jej włosy; były jeszcze wilgotne. Pielęgniarki zajmowały się Mikaela szczególnie serdecznie; przecież była jedną z nich. Nawet ją przebrały. Zdjęły praktyczną, bezbarwną szpitalną koszulę i założyły miękką, delikatną, ręcznie szytą.

Usiadł na krześle obok łóżka. Przez te kilka tygodni twarde plastik w kolorze wymiocin dopasował się do kształtu jego ciała; teraz krzesło stało się niemal wygodne.

- Dzień dobry. Mike - powiedział, wsypując świeże potpourri do miseczki stojącej przy łóżku. W tym tygodniu przyniósł jagody wawrzynu, żeby przypomnieć jej, iż czas płynie nieubłagane. Żeby wiedziała, że już niedługo będzie Boże Narodzenie.

Krok po kroku odprawiał codzienny rytuał: najpierw potpourri, potem starannie okrywał żonę jakąś bluzką jednego z dzieci, następnie muzyka cichutko dobiegająca z rogu, w którym stał magnetofon. Dzisiaj wybrał „Największe przeboje” zespołu The Eagles, melodie, które powinny przypomnieć jej lata spędzone w szkole średniej, i muzykę z *Ducha w operze* - wspomnienie cudownego dnia, kiedy pojechali do Vancouver obejrzeć ten spektakl. Puściłby nawet ścieżkę dźwiękową z filmu *Rocky Horror Picture Show...* byle tylko zobaczyć uśmiech na jej twarzy. Robił wszystko, co przychodziło mu do głowy, żeby pobudzić jej zmysły, uświadomić jej, że życie wciąż trwa, a oni - bardzo kochająca ją rodzina - czekają, by otworzyła oczy i do nich wróciła.

W rogu pokoju, na drewnianym pudle postawił małą elektryczną fontannę. Szum spadającej wody wtórował muzyce z taśmy.

- Hej, Mike - ujął w ręce jej stopę i delikatnie nią poruszał, tak jak uczył go fizykoterapeuta. Kiedy wykonał już cały zestaw ćwiczeń na obu stopach, kostkach i dziesięciu palcach u nóg, sięgnął po buteleczkę drogiego, perfumowanego mleczka do ciała i zaczął wcierać je w łydki.

Następnie zajął się lewą ręką żony, poczynając od kciuka. Dokładne, delikatne ruchy: zgiać... wyprostować... zgiać... wyprostować. Dostosował ruchy do melodii i rytmu swego głosu.

- Spokojnie było dzisiaj w gabinecie - mówił jak zwykle ochrypłym głosem, bo tylko taki mógł teraz wydobyć z siebie przy Mikaeli. - Znowu przyprowadzili Jimmy'ego McCrackena. Tym razem wepchnął sobie do nosa kamienną kulkę do gry. Przyszła też stara pani Jacobsen z kolejnym atakiem migreny. Oczywiście, tak naprawdę chciała po prostu pogadać. Odkąd Robbie i Janinę przenieśli się do Chelan, czuje się bardzo samotna. Przyniosła mi kawałek tego swojego wyborowego ciasta z żurawinami. Pamiętasz, jak szybko udało ci się sprzedać je na szkolnym kiermaszu słodkości?

W drugim końcu pokoju rozległo się kliknięcie, zmieniła się taśma w magnetofonie. Z kolei Barbra Streisand śpiewała o ludziach, którzy potrzebują się nawzajem.

- Mike. - Liam lekko ucisnął rękę żony. - A pamiętasz, jak tańczyliśmy to w Dworskiej Sali na piętnastej rocznicy ślubu Minorów? Grała chyba nasza miejska orkiestra. Solista zabawnie przekreślał słowa i śpiewał nie o ludziach, ale o łodziach, co potrzebują się nawzajem. Śmieliśmy się do rozpuku, aż łzy ciekły nam z oczu, a ty powiedziałaś, że jeśli powtórzy to jeszcze raz, sam będzie potrzebował łodzi, żeby się stamtąd wymknąć. Tak pięknie wtedy wyglądałaś w dżinsowej spódnicy i sportowej, kowbojskiej koszuli. Nie było faceta, który by mi ciebie nie zazdrościł. Kiedy piosenka się skończyła, pocałowałem cię. To był długi pocałunek i w końcu uderzyłaś mnie w plecy, mówiąc: „Jezu, Lee, przecież nie

jesteśmy już nastolatkami”, ale poczułem, że drżysz... i przez króciutką chwilę rzeczywiście czuliśmy się jak dzieci...

Właśnie tak spędzał teraz popołudnia. Potokiem czułych słów wlewał w nią siebie, swoje serce i duszę. Jak gdyby była wędnącym kwiatem, który potrzebuje odrobiny wody, by znowu skierować twarz ku słońcu. Opowiadał i opowiadała, cały czas desperacko wyczekując na jakikolwiek ruch, mrugnięcie okiem, poruszenie ręki, jakiś znak, że jego ciepły głos przebił się przez zimny mrok, w którym się pograżała.

- Aaa, Mike, pewnie myślałaś, że zapomniałem o naszej rocznicy - sięgnął po album ze zdjęciami, leżący na podręcznym stoliku. Jednak w ostatniej chwili zmienił zdanie i cofnął rękę.

To były zdjęcia z ubiegłorocznych świąt Bożego Narodzenia, spędzonych w Schweitzer. Mike starannie wybierała fotografie do albumu. Chciała, by jak najwierniej obrazowały ich zimowy urlop.

Liam okazał się idiotą, sądząc, że może tak po prostu otworzyć album i przejrzeć zdjęcia. Teraz dopiero uświadomił sobie, czym naprawdę była ta pamiątka: to rana, która raz otwarta, będzie się jątrzyć i sprawiać jeszcze większy ból. Spojrzał więc na niewielkie płaskie pudełko leżące obok albumu.

Od prawie dwóch miesięcy pięknie zapakowane czekało ukryte głęboko w szufladzie z próbkami leków, w jego gabinecie. Był tak podekscytowany, kiedy zdecydował, co kupić żonie na dziesiątą rocznicę ślubu. Razem z Carol ustalili, że tego dnia skończą pracę w południe, aby Liam mógł spędzić z żoną ów wyjątkowy dzień.

- Kupiłem dla nas bilety na concorde'a. Mike. Wiesz, Paryż... - Na Nowy Rok. Głos mu się załamał. Od wielu lat rozmawiali o Paryżu, razem snuli marzenia o spędzeniu sylwestra i Nowego Roku w Paryżu, w hotelu Ritz. Dlaczego wcześniej nie kupił tych biletów? Przecież nie chodziło o to, że nie było pieniędzy, nie chodziło nawet o to, że nie mogli wyjechać. Wielu ich przyjaciół proponowało, że zaopiekują się dziećmi przez dwa tygodnie podczas zimowych ferii. Cóż, takie właśnie jest... życie. Zajęcia Mike w klubie jeździeckim i trenowanie koni; siatkówka, jazda na nartach i recitale skrzypcowe Jacey; Liga Młodzików i hokejowe treningi Breta; pacjenci Liama.

Właśnie życie. Raz po raz beztrudnie rezygnuje się z realizacji swoich marzeń, narzekając potem na zmarnowane szansę i niewykorzystane możliwości. Dlaczego wcześniej nie zdawali sobie sprawy z tego, jak cenna jest każda chwila? Dlaczego nie przyszło im do głowy, że jeden upadek ze spokojnego zazwyczaj konia może przekreślić ich przyszłość?

Wstał i rękoma mocno chwycił barierkę przy łóżku. Uniósł ją lekko, potem opuścił. Grzechocząc, zsunęła się w dół i z kliknięciem opadła na dolną blokadę. Liam ostrożnie położył się na łóżku obok Mikaeli. Jedno ramię wsunął jej pod głowę i delikatnie przyciągnął żonę bliżej do siebie; uważał, by nie poruszyć igły kroplówki. Ciało było bezwładne, Mikaela wydawała się taka drobna, taka krucha, chociaż niewiele straciła na wadze, najwyżej kilogram.

Trzymał jej wiotką rękę w swojej dłoni i lekko ścisnął, aby wiedziała, że jest obok niej.

- Pomóż mi. Mike - szeptał. - Ścisnij mnie za rękę, mrugnij okiem. Zrób coś, cokolwiek. Pokaż mi, jak mam do ciebie dotrzeć...

Leżał obok niej prawie godzinę. Kiedy znowu próbował się odezwać, z gardła wydarł mu się tylko chrapliwy, urywany jęk. Brzmiał jak jej imię.

- Tatusiu?

Przez jedną, krótką chwilę myślał, że to żona się odezwała, ale jej ręka nadal bezwładnie spoczywała w jego dłoni, oczy wciąż miała zamknięte. Odwrócił się powoli. W otwartych drzwiach stała Jacey. W ręku trzymała ciasto.

- Cześć, kochanie. - Niezdarnie podniósł się z łóżka i opadł na krzesło.

Jacey ruszyła w kierunku ojca, jej długie czarne włosy rytmicznie falowały na za dużej, flanelowej, roboczej koszuli, która skrywała jej gibkie szesnastoletnie ciało. Buzię miała białą jak śnieg. Leciutko zaróżowione policzki zbladły na widok matki.

- Dzisiaj jest wasza dziesiąta rocznica ślubu - zaczęła. - Ty i mama zawsze robiliście z tego takie wielkie halo... - Urwała, nie wiedząc, co powiedzieć, a Liam odgadł, że czeka, by jej pomógł.

Nielatwe zadanie, ale skinął głową i uśmiechnął się. - Masz rację. Mama chciałaby, żebyśmy to uczcili. Jacey położyła ciasto na stoliku przy łóżku - okrągły tort, dwa razy przekładany i obficie obłany różowym lukrem, taki sam, jaki Suzie Sanman z Cukierni Leniwej Suzie przygotowywała dla nich co roku. Z jedną wszakże różnicą - na wierzchu zabrakło typowych, dedykowanych im życzeń; nie było napisu: „Dla Mike i Liama. Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy ślubu”. Liam pomyślał bezwiednie, że Suzie musiała długo zastanawiać się nad tym, co napisać na torcie, żeby brzmiało właściwie, odpowiednio uroczyste i optymistycznie. Nic nie wymyśliła, poddała się, napisu nie było.

- Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy ślubu, mamó. - Jacey podeszła bliżej do łóżka i pochyliła się nad matką. Wyciągnęła drżącą rękę i odsunęła kosmyk włosów z twarzy Mike. - Trudno uwierzyć, że minęło już dziesięć lat, jak wydałyśmy się za Liama, prawda?

Odwróciła się i uśmiechnęła do niego. W tej chwili znowu była sześciolletnią dziewczynką ze szczerbą między zębami, która zwichnęła sobie palec podczas ćwiczeń na sali gimnastycznej. Liam zrobiłby wszystko, żeby Jacey mniej cierpiała, ale teraz nie pomogłyby nawet stopy kolorowych plastrów; najzabawniejszy dowcip nie wywołałby uśmiechu na jej twarzy.

- Jak ona się dzisiaj czuje?

- Bez zmian.

Jacey przeciągnęła palcem po boku tortu, zgarniając kulkę różowego lukru.

- Czujesz zapach tortu, mamó? - zapytała, podstawiając palec z lukrem pod nos Mike. - To najlepszy krem waniliowy Suzie i lukier z dodatkiem oryginalnego likieru Grand Marnier. Taki, jaki lubiłaś... jaki lubisz.

- Jacey - Liam nie mógł już dłużej znieść jej łamiącego się głosu - przysunął sobie krzesło. Jak tam było dzisiaj w szkole?

- W porządku. - Jacey zatknęła za ucho długie pasmo włosów. - Dobrze napisałam klasówkę z matematyki.

- Wiedziałem, że napiszesz dobrze.

Spojrzała na niego, potem odwróciła wzrok. Zauważył, że nerwowo przygryza dolną wargę. Ten nawyk odziedziczyła po matce.

- O co chodzi, Jacey?

- Już niedługo odbędzie się szkolny bal - odpowiedziała dopiero po chwili. - Mark pytał, czy chciałabym pójść.

- Przecież wiesz, że możesz iść. Możesz robić wszystko, na co masz ochotę.

- Wiem, ale...

- Ale co? - podchwycił, odwracając się do niej.

- Rozmawiałam z mamą o tym balu. - Jacey unikała wzroku ojca. - Miałymy pojechać do Bellingham po sukienkę. Mama... - Głos załamał się jej ze wzruszenia i dokończyła prawie szeptem: - Mama mówiła, że nigdy nie była na szkolnym balu i chciała, żebym wyglądała jak księżniczka.

Liamowi nie mieściło się w głowie, że jego piękna żona siedziała w domu, kiedy inni bawili się na balu. Jak to możliwe, że on nic o tym nie wiedział? Jeszcze jeden z licznych sekretów żony.

- Daj spokój, Jacey. Mamie serce by pękło, gdyby dowiedziała się, że nie poszłaś na bal - zapewniał córkę Liam.

Jacey odwróciła wzrok, a potem bardzo cicho powiedziała:

- Jeśli się obudzi.

Liam pragnął chociaż raz przytulić Jacey i powiedzieć: „Ja też jestem przerażony. Co będzie, jeśli to koniec... albo co będzie, jeśli obudzi się, ale nas nie pozna... albo nigdy się nie obudzi?” Ale to były jego lęki, nie mógł się nimi dzielić z rodziną. Miał obowiązek dać dzieciom iskierkę nadziei.

- Jacey, mama się obudzi. Musimy w to wierzyć. Jej potrzebna jest nasza wiara. Nie możemy się teraz rozczulać nad sobą, nie możemy zwątpić. Jesteśmy rodziną mężnych wojowników, nie uciekamy z pola bitwy, nie poddajemy się bez walki. Prawda?

- Ale jest... coraz trudniej.

- Wiesz, nie byłaby to dla nas prawdziwa próba, gdyby było łatwo.

- Słyszałam, co mówiłeś wczoraj wieczorem - spojrzała mu prosto w oczy. - Rozmawiałeś z babcią o mamie. Powiedziałeś, że nikt nie wie, dlaczego ciągle jest w stanie śpiączki. Po wyjściu babci podszedłeś do pianina. Chciałam ci coś powiedzieć... i wtedy usłyszałam, że płaczesz.

- Ach tak... - Liam pochylił się na krześle i oparł łokcie na kolanach.

Nie było sensu kłamać. Tego okropnego wieczoru kompletnie się załamał. Opuściła go cała odwaga, w którą się zbroił, czuł, że nie ma już sił. A wszystko przez rocznicę ślubu. Siedział przy pięknym steinwayu, chciał zagrać, przywołać z powrotem muzykę, którą niegdyś grało mu serce. Ale od czasu wypadku był pusty w środku. Ta muzyka, towarzysząca mu przez wiele lat życia, po prostu ucichła, zniknęła. Nigdy nie mówił o tym z Jacey, ale ona i tak wiedziała, może nawet zauważyła to, zanim on zdał sobie z tego sprawę. Dom, który wcześniej rozbrzmiewał Bachem, Beethovenem i Mozartem, teraz pograżył się w głuchoj ciszy.

Muzyka zawsze przynosiła mu ukojenie. Przed laty w Bronksie, kiedy Liamowi krwawiło serce, gdy czuł, że traci duszę, grywał pełne pasji, gwałtowne, głośnie kawałki. Ta muzyka krzyczała, buntowała się przeciwko niesprawiedliwości świata. Podczas pełnych smutku dni, kiedy złożony chorobą ojciec stawał się jakimś innym, nieznanym człowiekiem, Liam grywał spokojne, melancholijne melodie. One przypominały mu, że życie jest piękne, że tyle cudownych rzeczy może się jeszcze zda

rzyć. Jednak teraz, gdy najbardziej potrzebował ukojenia, nie mógł grać, czuł w sobie tylko bolesną pustkę.

- Czasami ogarnia mnie taki żal, że nawet nie potrafię złapać oddechu. Potykam się, powala mnie strach, ale zawsze ląduję tutaj, przy jej łóżku. Trzymam ją za rękę i kocham z całej duszy.

Jacey popatrzyła na ojca ze smutkiem, a on jeszcze kilka tygodni temu nie byłby w stanie wyobrazić sobie, że w oczach córki może zobaczyć tyle bólu i współczucia.

- Chciałabym jej powiedzieć... - zaczęła - chciałabym ją przeprosić za te wszystkie chwile, kiedy była smutna, a mnie to nic nie obchodziło.

- Mama kocha ciebie i Breta całym sercem i duszą, Jacey. Przecież doskonale o tym wiesz. Jak się już obudzi, zechce obejrzeć zdjęcia z balu. Jeśli nie pójdziesz na bal, przez kilka miesięcy za karę będziemy jedli tylko makaron z serem z papierowych talerzy. Ty wiesz, jak niebezpiecznie jest mieć z nią na pieńku. - Liam czule uśmiechnął się do dziewczynki. - No, dobrze. Może nie znam się na robieniu zakupów dla dziewczyny w Bellingham, ale wiem, co to elegancja. Pamiętasz sukienkę, którą mama miała na sobie na ubiegłorocznym Balu Policjantów? Pojechała po nią aż do Seattle i, szczerze mówiąc, ta suknia kosztowała więcej niż mój pierwszy samochód. Ślicznie będziesz w niej wyglądała.

- Och, ta od Richarda Tylera. Zupełnie o niej zapomniałam.

- Mama miała do niej we włosach taką błyszczącą spinkę. Też możesz spiąć nią włosy. Babcia ci pomoże. Albo może Gertruda z salonu Sunny i Shear ułoży ci włosy. Mama pewnie wymyśliłaby coś lepszego, ale...

- Nie wymyśliłaby nic lepszego, tato. Naprawdę! - Jacey zarzuciła mu ręce na szyję.

- Widzisz, co się dzieje. Mike? - Liam odwrócił się do żony i uśmiechnął z przymusem. - Zmuszasz mnie do udzielania naszej szesnastoletniej córce rad w sprawie stroju. Do licha, przecież kiedy ostatnio sam wybierałem sobie ubrania, modne były spodnie dzwony.

- Tato, teraz znowu są modne.

- Słyszysz? Jeśli szybko się nie obudzisz, mogę nawet zgodzić się na wyskubanie brwi, o co ta panienka od dawna prosi.

Siedzieli razem, mówili do siebie i do kobiety, która bez najmniejszego ruchu leżała na

łóżku obok. Rozmawiali, jakby nic się nie zmieniło, jakby to był normalny dzień, w nadziei, że może fragmenty ich rozmowy, jakieś słowo, dźwięk, dotyk ręki przebiją się przez otaczającą Mike ciemność i uświadomi jej, że nie jest sama.

O trzeciej zadzwonił telefon przy łóżku. Dzwonek przerwał Jacey kolejną opowieść.

- Halo. - Liam podniósł słuchawkę.

- Cześć, Liam. Przepraszam, że ci przeszkadzam. Mówi Dawn ze szkoły.

Liam słuchał przez chwilę.

- Zaraz będę - powiedział i odłożył słuchawkę. - Chodzi o Breta - wyjaśnił Jacey. - Znowu wpakował się w kłopoty. Jadę do szkoły. Zabierzesz się ze mną?

- Nie. Babcia ma tu po mnie przyjechać, kiedy załatwi swoje sprawy.

- Dobrze. - Liam odsunął się z krzesłem w tył. Wzdrygnął się na zgrzytliwy dźwięk metalowych nóg krzesła, szorujących po linoleum. Wstał i pochylił się nad żoną. - Muszę iść. Mike, ale zaraz wrócę. Kocham cię, najdroższa. - Pochylił się niżej i pocałował wiotkie usta. - Zawsze będę cię kochał - szepnął.

Życie jest wredne.

Tak właśnie myślał Bret Campbell, siedząc na twardej ławce w pokoju pielęgniarstwa. Prawe oko, to, w które uderzył go Billy McAllister, bolało jak licho. Bret robił, co mógł, żeby się nie rozpłakać. Wszyscy wiedzą, że płakać mogą tylko dziewczyny i małe dzieci, a on przecież nie był ani dziewczyną, ani małym dzieckiem.

- Hej, inwalido! - Pani DeNormandie poklepała go po rękę. - Dlaczego się nie położysz? Dam ci lód na to oko. Pani Town zadzwoniła do szpitala. Twój tata zaraz tu będzie. - Podeszła do małej, białej lodówki pod oknem i wyjęła pakiecik z lodem. Był miękki jak torebka z zielonym groszkiem i miał kolor fluoru, którym podczas kontrolnych wizyt doktor Edwards smarował Bretowi zęby. - Proszę.

Chłopiec ostrożnie oparł się o chropowatą ścianę. Nie miał zamiaru się kłaskać. Co by było, gdyby zobaczyła go Miranda albo Katie? Śmiałyby się bez końca. Już stroiły sobie z niego żarty, a to dlatego, że je kanapki z szynką, a to, że nosi do szkoły dziecinne pudełko na drugie śniadania. Dzisiaj rano Bret postanowił, że jeśli Katie znowu powie coś na temat jego kanapek, uszczypnie ją w tłustą rękę. Oczywiście to było jeszcze przed bójką z Billym. Teraz pewnie dostanie taką burę od ojca, że już na kolejny eksces się nie odważy.

Zamknął oczy i przyłożył torbę z lodem do bolącego oka. Słyszał, jak pani D. krząta się po pokoju, układa różne rzeczy, otwiera i zamyka drzwiczki szafek. To brzmiało tak, jakby mama szykowała obiad.

NIE MYŚL O TYM.

Bret wcale nie chciał myśleć o mamie. Kiedy myślał... kiedy przypadkiem przypominał sobie, na przykład, jak drapała go po plecach, gdy razem oglądali telewizję, albo jak głośno krzyczała, kiedy podczas meczu młodzików złapał piłkę, lub jak co wieczór przez dziesięć minut tuliła go w łóżku, zanim powiedziała dobranoc i zgasiła światło... nie było dobrze, kiedy myślał o takich rzeczach. Teraz już tak często nie płakał, przynajmniej nie w ciągu dnia. Teraz tylko jakby... martwił, zamieniał się w sopel lodu. Bywało, że w ogóle nie wiedział, co się wokół niego dzieje, dopóki ktoś nie rąbnął go w plecy albo wrzasnął na niego. Dopiero wtedy przytomniał, a gdy się już ocknął, czuł się jak idiota, bo nie miał pojęcia, co zaszło. Tak właśnie zdarzyło się dzisiaj podczas przerwy. Wyszedł na zaśnieżone szkolne boisko i wystarczyło: nie wiadomo dlaczego naszły go wspomnienia.

Myślał tylko o mamie i o tym, że bardzo lubiła śnieg. Z zamyślenia wyrwał go Billy McAllister, stojący przed nim i wrzeszczący:

- Co z tobą, Bret?!

- Przepraszam, Billy - wymamrotał, nie bardzo wiedząc, w czym zawinił, że tak rozwścieczył Billy'ego.

- Chodź, Billy - odezwała się Sharie Lindley. - Przecież on nic nie zrobił. Poza tym pani Kurek mówiła, że musimy być mili dla Breta. Zapomniałeś?

- No tak - mruknął Billy, nadal z marsową miną. - Jego mama jest jak warzywo.

Przepraszam, Bret.

Bret pamiętał tylko, że wrzasnął: „Moja mama nie jest żadną marchewką!” - i rzucił się na Billy’ego. Potem pamiętał, że dmuchając w gwizdek, nadbiegł dyrektor, pan Monie, i ich rozdzielił. A teraz Bret siedzi tu, w pokoju pielęgniarki, czuje się jak idiota i zastanawia się, jak spojrzeć w oczy kolegom.

- Bretster?

Słyszając znajomy głos, Bret wzdrygnął się i powoli odwrócił.

- Cześć, tato - powiedział.

Ojciec stał w drzwiach. Był tak wysoki, że musiał schylić głowę. Wyglądał jak... złamany. Srebrzyste, jasne włosy teraz były zbyt długie - zwykle mama mu je podcinała - i opadały na okulary w drucianej oprawce. Ale Bret nie dał się zwieść tym kawałkom szkielka. Od dawna wiedział, że zielone oczy ojca dostrzegają wszystko.

- O, dzień dobry, doktorze Campbell - pani DeNormandie uniosła głowę. Układała w szklanym naczyniu drewniane łopatki do przytrzymywania języka.

- Dzień dobry, Barb - odparł cicho ojciec. Dawniej tata uśmiechnąłby się do pani DeNormandie i ona odpowiedziałaby mu uśmiechem. Teraz żadne z nich się nie uśmiechało. - Możesz zostawić nas na chwilę?

- Naturalnie. - Odłożyła drewniane łopatki i szybko wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Zapadła głucha cisza, która zwykle wróży poważne kłopoty.

- Jak tam twoje oko? - odezwał się w końcu tata.

- Nie boli. - Bret odwrócił się do ojca, żeby mu pokazać, w jakim stanie jest jego oko. Torbę z lodem upuścił na podłogę.

- Naprawdę? - zapytał tata tonem: „w tej rodzinie się nie kłamie”, i usiadł obok Breta.

- Dobrze, już dobrze. Boli bardziej, niż mnie bolało wtedy, kiedy na targu krowa Jacey nadepnęła mi na nogę. - Widząc łagodne spojrzenie ojca, Bret omal się nie rozplakał. Gdyby była tu mama...

NIE MYŚL O TYM.

- Rozumiem, że poznałeś już pierwszą zasadę dotyczącą bójk. To boli. A druga zasada jest taka: To nic nie zmienia. Kto zaczął?

- Ja.

- To do ciebie niepodobne - ojciec zdawał się zaskoczony.

- Byłem wściekły. - Bret usiłował przygotować się na straszne słowa: „Rozczarowałeś mnie, synu”.

Już był bliski łez, a tata przecież jeszcze nic nie powiedział.

W ogóle nic nie powiedział. Objął chłopca ramieniem i mocno do siebie przytulił. Bret wgramolił się na duże, wygodne kolana taty. Przynajmniej raz nie dbał o to, że zachowuje się jak małe dziecko.

- No, będziesz miał pięknie podbite oko. - Tata odgarnął kosmyk włosów z czoła Breta. - Będziesz wyglądał jeszcze lepiej niż Ian Allen po Świącie Niepodległości. Dlaczego uderzyłeś Billy’ego?

- Bo to podły tchórz.

- Ale ty taki nie jesteś.

Bret wiedział, że ojciec i tak się dowie. Ciotka Sharie, Georgia, była przyjaciółką Idy Mae z restauracji, w której codziennie jadała lunch Carol, a ta z kolei pracowała w gabinecie ojca. W mieście takim jak Last Bend wiadomość, że Bret Campbell uderzył Billy’ego McAllistera i wybił mu ząb, będzie wielką sensacją. Pozostaje tylko pytanie, dlaczego to zrobił.

- Billy powiedział, że mama jest jak warzywo. Minęły całe wieki, zanim tata się odezwał.

- Rozmawialiśmy o tym już wiele razy, Bret. Mama jest w stanie śpiączki. Po prostu śpi. Gdybyś poszedł ją zobaczyć...

- Nie chcę jej zobaczyć!

- Wiem - westchnął Liam. - No dobrze, sportowcu. Chodźmy. Tej leżanki mogą potrzebować poważnie ranne dzieciaki.

Pomógł Bretowi założyć puchową zimową kurtkę i wziął chłopca na rękę. Bret przywarł do ojca, twarz ukrył na ramieniu. Wyszli ze szkoły. Na zewnątrz padał śnieg. Przy samochodzie Liam postawił syna na oblodzonym chodniku.

Chłopiec czekał obok samochodu, aż tata otworzy auto. Zmarzły mu ręce, sięgnął więc do kieszeni po rękawiczki, ale ich nie znalazł.

To mama zawsze wkładała mu do kieszeni rękawiczki Na Wszelki Wypadek. Teraz kieszenie były puste.

Tata wsiadł do samochodu i otworzył synkowi drzwi od strony pasażera. Kiedy zapalił silnik, automatycznie włączyło się radio. Nadawali pierwszą w tym roku kolędę: *Cichą noc*.

Tata szybko zgasił radio.

Płatki śniegu osiadały na przedniej szybie, zasłaniając widok. Tata włączył wycieraczki. Pojawiły się dwa oczyszczone ze śniegu łuki. Bret wpatrywał się w nie intensywnie. Zrobiłby wszystko, byle tylko teraz nie patrzeć na tatę. *Szsz, szsz, szsz*. Wycieraczki poruszały się to w prawo, to w lewo, w prawo i w lewo, wydając dźwięk równomierny jak bicie serca.

Tata wrzucił bieg i powoli wyjechał ze szkolnego parkingu. Skręcił w Glacier Way, potem w Main Street i jeszcze raz w Cascade Avenue. W milczeniu przejechali obok pustego parkingu przy kawiarence Bean There, Done That, minęli puste okno wystawowe salonu piękności Sunny i Shear i zatłoczone wejście do sklepu Zeke's Feed and Seed.

- Założę się, że stary Zeke ma w tej chwili więcej roboty niż jednoręki tapeciarsz - powiedział tata.

To było jedno z ulubionych powiedzeń jego taty. Nikt nie mógł po prostu mieć dużo roboty. Każdy musiał mieć więcej roboty niż jednoręki tapeciarsz. Bez względu na to, co robił.

- Jasne - mruknął Bret.

- W tym roku zima zaskoczyła wielu ludzi. Śnieg spadł bardzo wcześnie.

Przez następne kilka kilometrów tata nic nie mówił. Kiedy wyjechali z miasta, brukowana ulica przeszła w żwirową, pokrytą śniegiem drogę, na której nie było widać śladów innych pojazdów. Tata przestawił napęd na cztery koła i nieco zwolnił.

Bret żałował, że tata wspomniał o wizycie u mamy. Już na samą myśl robiło mu się niedobrze. Starał się udawać przed sobą, że mama wyjechała z miasta, pojechała do Kanady na wystawę koni.

Nienawidził, gdy ktoś mu przypominał, że jest w szpitalu. Wystarczy, że nie mógł zapomnieć TAMTEGO DNIA. Zaciśnął oczy z całej siły, lecz wspomnienia i tak wracały, zwłaszcza te, których najbardziej nie lubił, które czaiły się w kółkach jego składanego łóżka i przychodziły do niego co wieczór, gdy tylko tata zgasił światło i zamknął za sobą drzwi.

„Czekaj, mamo. Poprzeczka jest w złym miejscu. Ktoś musiał ją przesunąć...”

- Przysięgasz, że mama się obudzi? - zapytał Bret, spoglądając na tatę.

Tata nie od razu mu odpowiedział, a kiedy się wreszcie odezwał, mówił bardzo cicho.

- Nie mogę przysiąc, że wszystko będzie z nią w porządku, synku. Nie mogę nawet przysiąc, że wyjdzie ze śpiączki. Ale całym sercem w to wierzę i trzeba, żebyś i ty w to wierzył. Ona tego potrzebuje.

- Ja wierzę.

Powiedział to zbyt szybko; tata wiedział, że on kłamie.

Bret oparł głowę o szybę w oknie i zamknął oczy. Nie chciał widzieć mamy w tym szpitalnym łóżku. Wolał udawać, że ona wciąż żyje. Czasami, gdy zamykał oczy, potrafił sobie wyobrazić, że mama stoi przy jego łóżku. Krótkie włosy sterczą jej wokół twarzy, ręce ma skrzyżowane na piersi. Uśmiecha się do niego i wygląda tak jak zawsze, nie ma siniaków ani żadnych zadrapań. I zawsze mówi to samo: „I jak się ma mój najukochańszy chłopczyk?”

Głupie marzenie, bez znaczenia. Bret jest być może jeszcze mały i być może czasami jeszcze nie wie, co zrobić z resztą pozostałą z dzielenia dużej liczby, ale przecież nie jest głupi. Rozumie, że to, co dzieje się w bajkach i na filmach rysunkowych, nie zdarza się naprawdę. Każdy wie, że Wile E. Coyote nie mógł naprawdę wypaść z samolotu i przeżyć

albo że królowna, która zjadła zatrute jabłko i całe lata spała w szklanej trumnie, nie mogła naprawdę się obudzić.

A mamy, które spadały z konia i uderzały głową w drewniany słupek na skraju padoku, naprawdę umierały.

7

Liam gapił się na korespondencję leżącą mu na kolanach. Prawie wszystkie listy były adresowane do Mikaeli. Rachunki ze sklepu z artykułami przemysłowymi i magazynu paszy dla zwierząt, czeki od dwunastu rodzin, które płaciły za trzymanie swoich koni w ich stajni, pocztówki, ulotki i reklamy. Kartka informująca o ostatniej wyprzedaży u Nordstroma.

Normalnie poszedłby do kuchni, rzucił kartkę na stół i powiedział: „No nie, zaczynają się świąteczne wyprzedaże...” A Mikaela roześmiałaby się swobodnie, odwróciła od kuchenki, lodówki czy pralki i zażartowała:

„Sprzedamy kilka akcji Microsoftu, to jakoś sobie poradzę...”

- Tatusiu, dlaczego tak długo stoimy przy skrzynce na listy?

- Och! Przepraszam, Bretster, zamyśliłem się. Liam zrzucił stertę listów do rynienki między siedzeniami, zdjął nogę z hamulca i delikatnie nacisnął pedał gazu. Opony firmy Explorer buksowały na miękkim poboczu drogi, potem chwyciły opór na żwirowej nawierzchni i samochód ruszył do przodu. Pusta droga

przed nimi wyglądała jak kręta rzeka śniegu. Rzędy wysokich jodeł i cedrów z obsypanymi białym puchem gałęziami niczym lamówka z obu stron opasywały wąską wstęgę drogi, wydartej lasom przez Iana Campbella prawie pięćdziesiąt lat temu. W tej okolicy było niewiele domów. Pochylone, powyginane skrzynki na listy nielicznych mieszkańców stały na drewnianych walcowatych nogach w nierównym szyku.

- Chcesz, po obiedzie ulepimy bałwana - niepewnym głosem zaproponował Liam. Zastanawiał się, gdzie Mikaela trzymała rękawiczki i wełniane skarpety. Wiedział, że gdzieś musi być pudło z napisem na wierzchu „Ubrania zimowe” czy coś w tym rodzaju, ale nie pamiętał, gdzie je w ubiegłym roku wsadzili. Może jest na strychu, za stertą ozdób choinkowych i bożonarodzeniowych dekoracji.

- Tak? Dobrze - zgodził się Bret bez większego entuzjazmu.

- Bo jeśli wolisz jeździć na sankach na wzgórzu Turnagain, to nie ma sprawy. Pan Robbin mówił, że możemy przyjechać na obiad, kiedy chcemy.

- Tak? Dobrze - powtórzył Bret.

Liamowi nic więcej nie przychodziło do głowy. Nie miał pojęcia, co jeszcze mógłby powiedzieć. Jednak obaj, i ojciec, i syn, doskonale wiedzieli, że nie będzie ani jazdy na sankach, ani łyżew i lodowiska, ani też bałwana i gorącego kakao. Nie teraz. Mogli myśleć o takich rzeczach, mogli nawet o nich mówić, ale przez ostatnie cztery tygodnie zawsze wszystko kończyło się tak samo: wchodzili razem do tego wielkiego domu otoczonego ośnieżonymi polami i każdy zajmował się swoimi sprawami.

Dziś podobnie. Razem zjedzą obiad, wymienią uwagi bez znaczenia, tylko po to, żeby przerwać ciszę, potem pozmywają naczynia, cała czwórka, i spróbują razem obejrzeć telewizję, na przykład „Przedziwne odkrycia” albo sitcomy, ale powoli rozejdą się, każde w swoją stronę. Jacey zaszyje się u siebie w pokoju, żeby gadać przez telefon. Bret usiądzie przed komputerem i wybierze głośną grę, wymagającą dobrego refleksu i zmuszającą do skupienia uwagi, a Rosa zacznie robić na drutach.

Liam zaś będzie snuł się po domu, nic nie robiąc i starając się o niczym nie myśleć. W salonie będzie przystawał przed wspaniałym fortepianem i pustym wzrokiem wodził po klawiaturze, żałując, że ani w jego sercu, ani w sprawnych palcach nie ma już muzyki.

Zmienił bieg na niższy i skręcił w lewo. Przejechał pod topornie ciosanym łukiem, który lata temu postawił tu jego ojciec, i wjechał na podjazd prowadzący do domu. Droga na całej długości ogrodzona była pokrytym teraz czapą śniegu płotem, zbudowanym z czterech poziomo mocowanych żerdzi. Gdzieś, w jakimś odległym zakamarku mózgu, Liam usłyszał

ciche pobrzękiwanie metalowego szyldu zwisającego z poprzecznej belki cedrowego łuku, na którym widniał napis: RANCZO WODOSPAD ANIOŁA. A może tylko mu się zdawało, że coś słyszy, może to tylko wyobraźnia płata mu figle. Może słyszał jedynie dzwoniącą w uszach ciszę, jaka zaległa między nim i synem.

Wjechał do garażu i wyłączył silnik. Bret natychmiast odpiął pas, chwycił swój plecak i popędził do domu.

Liam siedział bez ruchu z rękoma na kierownicy. Nie spojrzał na album i prezent, które rzucił na tylne siedzenie, ale wiedział, że tam nadal leżą.

Wreszcie wysiadł z samochodu i przez zagraconą sień wszedł do domu. Na drugim końcu długiego korytarza paliło się pomarańczowe światelko.

Bogu niech będą dzięki za Rose.

Nadal jeszcze czuł się przy niej niezręcznie; odkąd się znali, w jej obecności zawsze był zakłopotany. Rosa zachowywała się tak cholernie cicho - niczym jeden z tych szpiegów, którzy potrafią poruszać się całkowicie bezgłośnie. Kilka razy Liam przyłapał ją, jak go obserwowała. W jej ciemnych oczach dostrzegł smutek i ból, który przenikał człowieka do szpiku kości. Czasami żałował, że nie potrafi podejść do niej i z uśmiechem zapytać:

„No, jak tam. Rosa? Co u ciebie?” Niestety oboje nie czuli się wobec siebie tak swobodnie. Gdyby Liam zadał jakieś osobiste pytanie, Rosa chyba nawet by mu nie odpowiedziała. Tak więc chodzili obok siebie, mijali się, czuli swoją obecność, byli blisko, ale nie dość blisko.

Liam przechodził z pomieszczenia do pomieszczenia i wszędzie zapalał światła. Wiele razy powtarzał Rosie, że energia elektryczna nie kosztuje dużo, a ona i tak zapalała światło tylko tam, gdzie było jej potrzebne.

Zupełnie odwrotnie niż Mike. Mikaela nienawidziła pogrążonego w ciemnościach domu.

Wszedł do dużego pokoju i zatrzymał się w cieniu. Patrzył na Rose i Breta. Rozkładali grę planszową. Po chwili zaczęli grać. Liam wolałby nie zauważyć, jak cicho zachowuje się Bret. Nie słyszał klaskania w dłonie, żadnych gwizdów ani okrzyków: „Wspaniale!” - niczego, co jak ścieżka dźwiękowa zawsze towarzyszyło grze syna.

Tworzyli dobraną parę: cichy mały chłopczyk z podbitym okiem i jego równie milcząca babcia.

Była taką drobną kobietą, ta Rosa. Tylko o szerokość dłoni wyższa od wnuka, a sposób, w jaki się poruszała - zawsze ze spuszczoną głową i pochylonymi ramionami - powodował, że wydawała się jeszcze niższa. Tego wieczoru, jak zwykle, ubrała się na czarno. Posępna czerń wyraziście podkreślała bladość jej twarzy i biel włosów. Rosa była kobietą silnych kontrastów. Czerń i biel, chłód i ciepło, uduchowanie i rzeczowość.

- *Hola*, doktorze Liam - spostrzegłszy zięcia. Rosa podniosła wzrok znad gry.

Tysiące razy prosił, żeby mówiła mu po imieniu. Nic z tego, zawsze zwracała się do niego „doktorze Liam”.

- Kto wygrywa? - Uśmiechając się, Liam poszedł w ich kierunku.

- Oczywiście mój wnuk. Wykorzystuje to, że mam słaby wzrok.

- Nie słuchaj jej, Bret. Babcia doskonale wszystko widzi.

- Chcesz się do nas przyłączyć, *si*?

- Nie, dziękuję. - Liam zmierzwił Bretowi włosy. Zdawał sobie sprawę, że to tylko namiastka czułości, że ten gest nie zrekompensuje synowi braku czasu, który powinni spędzać razem, ani braku wzajemnej bliskości, ale tylko na to było go stać.

- Na pewno nie chcesz, tato? - w głosie Breta pobrzmiwało rozczarowanie.

- Na pewno, kolego. Może później.

- W porządku. Dobrze - westchnął Bret. Liam skierował się ku schodom.

- Doktorze Liam, proszę poczekać. - Jednym płynnym ruchem Rosa podniosła się z podłogi i podążyła za Liamem do pokoju stołowego.

W ciemnej, cichej jadalni spojrzała na niego uważnie. Oczy miała czarne jak węgiel i równie łatwo, jak z tekstu pisanego węglem, można z nich było wyczytać wszystko.

- Dzieci... - zaczęta - są dzisiaj bardziej niż zwykle ciche, jakieś przygaszone. Myślę, że coś...

- Dzisiaj jest dziesiąta rocznica naszego ślubu. - Liam szybko wyrzucił z siebie całe zdanie i dopiero potem zwolnił. - Dzieci... wiedziały, że w prezencie kupiłem Mikaeli bilety do Paryża.

- Och! *Lo siento*. - Cień uśmiechu przemknął przez twarz Rosy i natychmiast zgasł. - Mikaela ma szczęście, że dzieli z tobą życie, doktorze Liam. Czy już ci to kiedyś mówiłam?

Był wzruszony. Zwykła, szczerza pochwała z ust kobiety, która rzadko wyrażała swoje zdanie, znaczyła bardzo wiele.

- Dziękuję, Roso. Ja... - zaczął coś mówić, chciał powiedzieć coś innego, sam nie wiedział co, i nagle głos uwiązł mu w gardle.

- Doktorze Liam - wymawiając jego imię. Rosa przeciągała samogłoski, przez co brzmiało ono bardziej melodyjnie. - Proszę zagrać z nami. Tak będzie lepiej. To pomoże.

- Nie. Muszę... - Zły początek. Musiał tyle rzeczy. - Mam coś do zrobienia na górze. Jacey chce pożyczyć suknię Mike na szkolny bal.

Rosa przysunęła się bliżej. Odnosił dziwne wrażenie, że zamierza jeszcze coś powiedzieć, ale nagle odwróciła się i odeszła z powrotem do Breta i do gry.

Liam zablądził do kuchni i nalał sobie drinka. Alkohol piekł w gardle i jak ogień palił w żołądku. Mocno trzymając szklaneczkę w dłoni, szerokimi schodami ruszył na pierwsze piętro. Z pokoju Jacey, zza zamkniętych drzwi, słychać było muzykę. Przynajmniej Jacey uważała to za muzykę: jakieś walenie w bębny i elektryczne gitary.

Liam rzucił okiem w dół, na hol, wszedł do swojej sypialni i zapalił światło. Wokoło panował nieopisany bałagan: niepościelone łóżko, porozrzucane buty, ubrania i ręczniki. Mimo to pokój powitał go jak zawsze serdecznie. Kremowe ściany zdobione gwiazdami i księżycami, cienki, drapowany baldachim nad łóżkiem, pastelowy dywan. Kiedy zamknął oczy, zobaczył Mike, jak stoi w wielkim francuskim oknie i patrzy na padający na zewnątrz śnieg. Ma na sobie brzoskwiniowy jedwabny szlafrok, który układa się we wdzięczne fałdy na jej drobnej figurze.

Nie chciał zamykać oczu, ale pokusa była tak wielka... tak wielka... Zmusił się, by patrzeć wprost przed siebie.

Drzwi do garderoby Mike ogromniały mu w oczach. Nie odważył się tam wejść od dnia wypadku, kiedy to w swojej naiwności spakował walizkę rzeczy, których mogła potrzebować w szpitalu.

Przeszedł przez sypialnię i zatrzymał się przed wejściem do garderoby. Po chwili ujął gałkę i przekręcił. Dębowe drzwi skrzypnęły i lekko się otworzyły, jakby od tygodni czekały na ten moment. W wysokim lustrze na przeciwległej ścianie ujrzał swoje odbicie: wysoki, chudy mężczyzna z rozczochranymi włosami, ubrany w workowate ciuchy, stoi w otoczeniu barwnych tkanin. Po obu stronach na specjalnie zamówionych plastikowych wieszakach wisiały ubrania Mikaeli, ułożone kolorami jak farby na palecie malarza. Foliowe worki barwy kości słoniowej z działu projektantów mody magazynu Nordstroma były zsunięte razem w jedno miejsce. To rzadko używane stroje wieczorowe.

Dopiero po chwili Liam zmusił się do zrobienia kroku w przód. Zaczął otwierać worki, jeden po drugim. Szukał sukni, którą Mike miała na sobie na Balu Policjantów. Chyba przy szóstym worku sięgnął do wewnątrz i zamiast - jak się spodziewał - jedwabnej czy aksamitnej sukni znalazł w środku poszewkę na poduszkę, starannie powieszoną na wieszaku do spodni.

Marszcząc ze zdumienia brwi, wyjął ją z worka. Była bardzo elegancka, z białego jedwabiu, zupełnie inna niż te, których używali w domu. W rogu miała wyhaftowany monogram z połączonych liter MLT.

Mikaela Luna... Jakaś tam.

Serce na chwilę przestało mu bić. To była pamiątka z jej życia przed nim.

Powinien się odwrócić, zapiąć worek i zapomnieć o istnieniu tej poszewki. Wiedział, że tak właśnie powinien się zachować, ponieważ czuł, że ręce zaczynają mu się pocić i dreszcze przechodzą po plecach.

W ciągu wspólnie spędzonych lat w jego umyśle nagromadziło się wiele pytań, na które

nie znał odpowiedzi. Mike za każdym razem mówiła: „Nie wracajmy do tego, Liamie. Przeszłość się nie liczy, nie ma teraz znaczenia”. Zawsze kiedy widział smutek w jej oczach albo gdy coś zmieniało jej śmiech w ciche łkanie, zastanawiał się, dlaczego.

Oczywiście, że przeszłość miała znaczenie. Liam był gotów udawać, że nie ma żadnego znaczenia, ponieważ kochał żonę i ponieważ bał się tego - osoby czy wydarzenia - co wywołuje w niej tak głęboki smutek. Ale kiedy wziął do ręki poszewkę, wykonaną z tkaniny tak drogiej, że nawet nie znał nikogo, kto wiedziałby, gdzie się kupuje takie rzeczy - jego Mike z pewnością tego nie wiedziała - i zobaczył tajemniczy monogram, poczuł się jak tabaka w rogu. Przeszłość, którą konsekwentnie ignorowali, była tu, żyła z nimi przez wszystkie te lata, ukryta w worku z magazynu Nordstroma w garderobie żony. A on, jak Pandora, musiał zajrzeć do środka.

Dotknąwszy poszewki, zorientował się, że w środku coś jest. Nieprzytomnie, z zamęt w głowie, poszedł z powrotem do sypialni, ciągnąc za sobą poszewkę, i usiadł na wielkim łóżku. Długi czas wpatrywał się w poszewkę. Starał się ocenić niebezpieczeństwo, wiedział bowiem, że pewnych rzeczy nie da się cofnąć, że są tajemnice stworzone ze żrącego kwasu, który raz rozlany, potrafi zniszczyć kruche związki uczuciowe.

A jednak pragnienie dowiedzenia się wszystkiego okazało się silniejsze. Całe lata próbował zerwać przykrywkę z puszek tajemnic Mike. Zawsze uważał, że gdyby wiedział, co sprawia jej tak wielki ból, potrafiłby zrozumieć. Mógłby pomóc.

Siedział na łóżku i w ten sposób sam siebie przekonywał. W końcu odwrócił poszewkę na lewa stronę. Ze środka posypały się na materac fotografie, wycinki z gazet i papiery wyglądające jak urzędowe dokumenty, wszystkie pogniecione, pożółkłe. Ostatnią rzeczą, która wypadła z poszewki, był pierścionek z brylantem wielkości dziesięciocentówki. Liam patrzył na niego jak urzeczony, aż wzrok zaczął mu się mącić, i nagle przed oczyma miał już inną obrączkę, cienki złoty krążek. „Żadnych brylantów, Liamie” - poprosiła Mike cichutko, a jemu zdawało się, że usłyszał drżenie w jej głosie, ale nie zwrócił na to większej uwagi. Uznał, że to dobrze, iż Mikaela nie przywiązuje wagi do takich rzeczy.

A prawda była taka, że brylanty już miała.

Odwrócił wzrok od obrączki i spojrzał na zdjęcie, dużą kolorową fotografię na błyszczącym papierze. Częściowo coś ją zasłaniało, widział tylko Mikaelę w ślubnej sukni. Pana młodego zakrywał uważnie wycięty z gazety artykuł. Chciał go odsunąć, ale ręce zbyt mu się trzęsły. Idiotycznie pomyślał, że jeśli nie weźmie zdjęcia do ręki, jeśli nie zsunie z niego wycinka z gazety, mężczyzna na drugiej połowie fotografii przestanie istnieć.

Z trudem rozpoznał Mikaelę. Falujące czarne włosy miała upięte do góry w zmyślny kok, w którym pobłyskiwały brylanciki, makijaż podkreślał koci kształt brązowych oczu i przekształcił jej blade, pełne wargi w usta, o jakich marzą mężczyźni. Miała na sobie suknię bez rękawów z miękkiej, opalizującej białej tkaniny, zupełnie niepodobną do klasycznego kremowego kostiumu, w którym brała drugi ślub. Na wierzchu ponaszywano miliony perełek i koralików, co sprawiało złudne wrażenie, że suknia zrobiona jest z pokruszonych diamentów i chmurek. Panna młoda wyglądała niezmiernie.

Na tej fotografii jego żona była kobietą, jakiej wcześniej nie widział i nie znał. I to go zabolalo. Ale ten ból był niczym w porównaniu z bólem, który poczuł, spojrzawszy na wyraz jej twarzy, na jej uśmiech. Boże, dopomóż! Nigdy nie uśmiechnęła się tak do niego. Promieniała, jakby ktoś rzucił jej do stóp cały świat.

Powoli sięgnął po zdjęcie. Podniósł do góry, wycinek z gazety zsunął się z fotografii i Liam zobaczył twarz pana młodego.

Julian True.

Oszołomiony, nie mógł złapać tchu. Czuł, naprawdę czuł, jak pęka mu serce.

- Jezu Chryste - szepnął, nie bardzo wiedząc, czy to błaganie, czy klątwa.

Była żoną Juliana True, aktora filmowego, jednego z najbardziej znanych w świecie.

- Taaatoo! Obiad na stole!

Liam niepewnie podniósł się na nogi, zostawiając rozrzucone na łóżku fotografie. Zamknął za sobą drzwi, poczekał, aż usłyszy ciche kliknięcie zamka, i dopiero wtedy ruszył dalej. Nie było sensu dłużej siedzieć w pokoju. To, co zobaczył, już się nie zmieni. Te obrazy, niczym żarzące węgle, zawsze będą raniły mu serce. Kurczowo trzymając się gładkiej poręczy, szedł schodami na dół. Przed wejściem do jadalni wziął głęboki oddech.

Bret siedział przy stole. Wyglądał jak karzelek w ogromnym dębowym krześle, ręcznie wyrzeźbionym przez jego dziadka. Obok Jacey rozkładała właśnie na kolanach serwetkę w czerwono-niebieską kratkę.

- Cześć, tato - powiedziała, lekko się uśmiechając. W tej chwili była tak bardzo podobna do matki, że Liam z wrażenia omal się nie potknął.

Weszła Rosa. Niosła szklaną misę z sałatą, a pod pachą trzymała butelkę z sosem. Na widok Liama zatrzymała się na moment, potem uśmiechnęła ciepło.

- O, dobrze, bardzo dobrze, że pan jest. Proszę siadać, doktorze Liam - powiedziała, stawiając miskę na stole. Okrążyła stół i usiadła na swoim krześle.

Jak zwykle nikt nie patrzył na puste miejsce po przeciwnej stronie stołu.

Liam dotrwał do końca obiadu, zachowując się niczym jeden z robotów Disneya. Wyschnięte na wiór wargi zmuszał do uśmiechu. Zauważył, że Rosa i Jacey bacznie go obserwują. Starał się, żeby to był normalny obiad, przynajmniej tak normalny jak inne od miesiąca, ale czuł się już bardzo zmęczony i z coraz większym trudem udawało mu się zachować maskę na twarzy.

- Tato?

- Słucham, Jace? - Liam podniósł wzrok znad potrawy z kurczaka. Bezmyślnie grzebał widelcem w talerzu, tak że teraz leżała na nim nieapetyczna pomarańczowa kupka czegoś bliżej nieokreślonego.

- Czy znalazłeś tę sukienkę dla mnie?

- Oczywiście, kochanie, znalazłem. Przyniosę ją po obiedzie. Może poprosisz babcię i razem wypróbujecie jakąś odpowiednią fryzurę?

- Dziękuję, tatusiu. - Jacey uśmiechnęła się do niego.

„Tatusiu”.

To słowo miało ostry zadziór, który rozdrapywał krwawiącą ranę.

Jacey niemal od początku w ten sposób się do niego zwracała. Była wtedy malutkim stworzonkiem, czteroletnią dziewczynką z drobnymi mlecznymi zębami, kruczoczarnymi kucykami i uszami tak wielkimi, że zdawało się, iż sama nigdy do nich nie dorośnie.

Doskonale pamiętał dzień, kiedy Mike pojawiła się w klinice z Jacey na rękę. Minęło już kilka miesięcy od śmierci ojca i Liam gorączkowo szukał okazji, żeby móc znowu porozmawiać z Mikaelą.

Jacey dostała niebezpiecznie wysokiej gorączki; jej malutkim ciałem wstrząsały silne dreszcze, miała konwulsje. W jednej chwili stawała się sztywna, wyprostowana, w następnej bezwładna jak szmaciana lalka, a brązowe oczy puste i zamglone.

- Pomóż nam - cicho poprosiła Mikaela.

Liam odwołał wizyty pacjentów, którzy nie wymagali natychmiastowej pomocy, i zabrał Mikaelę z dzieckiem na ostry dyżur. Wszedł nawet do sali operacyjnej i obserwował, jak chirurg ostrożnie otwiera brzuch Jacey i usuwa pęknięty wyrostek robaczkowy. To jego, Liama, twarz dziewczynka widziała, kiedy zasypiała przed operacją, i jego pierwszego zobaczyła, gdy obudziła się w sali pooperacyjnej. Liam przekazał swoich pacjentów doktorowi Granato i następne trzy dni spędził z Mikaelą i Jacey w szpitalu. Razem oglądali przez okno w pokoju 320 pokaz sztucznych ogni z okazji Dnia Niepodległości.

Wiele godzin przesiedział w szpitalnej kawiarence, słuchając bezładnej paplaniny Mike. W pewnym momencie spojrzęła na ścienny zegar i rozplakała się. Wyciągnął rękę przez stół i ponad talerzem, z którego ledwie cokolwiek tknęła, i ujął ją za dłoń. „Z małą będzie wszystko w porządku - powiedział. - Zaufaj mi”.

Wtedy spojrzęła na niego oczyma zalanymi łzami, jego Mikaela, i drżącymi ustami

powiedziała: „Ja ci ufam”.

Taki był początek.

Jacey mówiła do niego „tato” już tak długo, że zapomniał, iż gdzieś jest jakiś inny ojciec, jakiś inny mężczyzna, który może upomnieć się o serca jego żony i córki.

- Tato. TATO! - Bret starał się zwrócić jego uwagę. Z jednym podbitym okiem mała buzia chłopca wydawała się dziwnie krzywa. - Zabierzesz mnie na eliminacje koszykówki?

- Naturalnie, Bretster.

Bret skinął głową i zaczął coś mówić do Jacey. Liam starał się skupić i słuchać, o czym mówią dzieci, ale nie potrafił. W głowie wciąż dźwięczało mu to jedno zdanie:

Była żoną Juliana True.

Podniósł głowę. Rosa przyglądała mu się. Przymrużyła ciemne oczy i taksowała go spojrzeniem.

- Czy chcesz mi coś powiedzieć, Roso?

Drgnęła, najwyraźniej zaskoczona tonem jego głosu. Liam zdawał sobie sprawę z tego, że powinien łagodniej się do niej zwracać, powinien udawać, że wszystko jest w porządku, ale to było ponad jego siły.

- Si, doktorze Liam. Chciałabym porozmawiać z tobą... na osobności.

- Oczywiście - rzekł z lekkim westchnieniem. Świetnie, pomyślał. - Kiedy dzieci już pójdą do łóżek.

Liam wiedział, że Rosa czeka na ich rozmowę, ale on sam jeszcze nie był do niej gotowy. Prawie godzinę czytał Bretowi, potem pocałował Jacey na dobranoc i wziął długi, gorący prysznic.

Jacey, zamknięta w swoim pokoju, prawdopodobnie rozmawiała przez telefon z jedną z licznych koleżanek i przymierzała sukienkę mamy. Liam nie wchodził do niej. Obawiał się, że jeśli zobaczy ją w tej pięknej sukni, tak podobną do matki, straci panowanie nad sobą.

A teraz potrzebował wyciszyć się, pozbierać myśli, побыć sam z sobą. Chryste, gdyby tylko potrafił, gdyby mógł zejść na dół, usiąść przy fortepianie i z pasją, głośno, bardzo głośno grać muzykę, która oddawałaby targające nim uczucia.

Chciał czuć złość, chciał krzyczeć, złorzeczyć, pomstować, choć to nie leżało w jego charakterze. Miłość Liama do Mikaeli była czymś więcej niż tylko uczuciem, była sumą tego wszystkiego, czym był on sam.

Co do jednego nie miał najmniejszych wątpliwości. Kochał Mikaelę zbyt mocno. A to w pewnym sensie okazało się równie złe jak kochanie kogoś niedostatecznie mocno.

Wolnym krokiem zszedł na dół.

Fortepian w pustym salonie wyglądał jak porzucona kochanka.

Liam zamknął oczy i wspomniawszy czasy, gdy co wieczór muzyka rozbrzmiewała w tym pokoju... Prawie słyszał piskliwe skrzypienie ławki, kiedy Mikaela siadała obok niego.

„Wszelkie podpowiedzi są mile widziane” - chciał powiedzieć, tak jak mówił tysiące razy w tysiące wieczorów.

„Proszę, panie pianisto, już panu mówię: albo zabierze pan żonę do łóżka, albo straci pan okazję”.

Niechętnie otworzył oczy. Pokój był pusty i cichy.

Nigdy wiele nie myślał o ciszy, teraz znał już wszystkie postaci. Cisza była tanim szklanym słojem, który więził znane głosy i odgłosy. Gdy wydostawały się na zewnątrz, brzmiały świeżo, naturalnie, prawdziwie.

Podszedł do pianina i usiadł na zabytkowej ławeczce. Jednym palcem nacisnął klawisz. Rozległ się głuchy, stłumiony dźwięk.

Pani Julianowa True.

- Doktorze Liam?

Podsyczył i uderzył ręką w klawisze. Strumień nieharmonijnych, zgrzytliwych dźwięków wypełnił przestrzeń.

Rosa stała w przewężeniu oddzielającym duży dzienny pokój od stołowego.

Liam nie chciał rozmawiać z teściową w tej chwili. Gdyby spróbowała bardziej się do niego zbliżyć, mógłby zadać jej pytanie, które tak go dręczyło: „Czy ona mnie w ogóle kochała, Roso?”

Ale - Boże miej go w swojej opiece - nie był gotów wysłuchać odpowiedzi.

- Nie chciałam ci przeszkadzać.

Liam spojrział na nią uważnie, zobaczył nerwowe drżenie rąk, prawie niedostrzegalne potupywanie prawą nogą o podłogę, i nagle obleciał go strach. Pomyślał, że ona wie, co znalazł, że zacznie teraz mówić o przeszłości Mikaeli, że powie mu więcej, niż chciał wiedzieć. Powoli podniósł się z ławki i ruszył w jej kierunku. W słabym górnym świetle Rosa wydawała się szalenie krucha, a pomarszczona skóra - prawie przezroczysta. Drobną siateczką niebieskich naczynek krwionośnych pokrywała blade policzki.

- Słucham, Roso? - powiedział.

Podniosła na niego wzrok, ciemne oczy były pełne współczucia. Liam zrozumiał, że ona wie, jak bardzo boli pęknięte serce.

- Rocznicę ślubu... - zaczęła. - Musi ci być ciężko. Sądziłam... że może, tylko nie myśl, że wściubiam stary nos w nie swoje sprawy, że może obejrzelibyśmy razem film. Bret dał mi kasetę z *Głupim i głupszym*. To jego ulubiony film. Mówi, że będę pękać ze śmiechu.

Sam pomysł, żeby Rosa obejrzała *Głupiego i głupszego*, wywołał uśmiech na twarzy Liama.

- Dziękuję, Roso - rzekł, wzruszony jej troskliwością. - Nie dzisiaj. Może innym razem.

- Chodzi o coś jeszcze. Coś jeszcze cię boli - powiedziała wolno, bacznie mu się przyglądając.

- A cóż by to miało być? - znowu starał się uśmiechnąć. - Miłość dotrze do serca mojej żony, prawda. Roso? Czy nie powtarzasz mi ciągle, że miłość wyrwie ją ze śpiączki? Ale minęły już cztery tygodnie, a ona jeszcze się nie obudziła.

- Nie poddawaj się, proszę.

Patrzył na nią bez słowa przez długą, pełną rozpacz minuty.

- Jestem załamany - wyznał cicho.

Rzeczywiście tak właśnie się czuł. Życie żony wisiało na włosku cienkim jak pajęczka nić, a teraz nagle poczuł, że całe jego życie też wisi na tym samym włosku obok życia żony.

- Nie, doktorze Liam. To nieprawda. Jest pan silnym człowiekiem. Najsilniejszym, jakiego znam.

Nie czuł się silny. Prawdę powiedziawszy, nigdy nie był bliższy załamania. Wiedział, że jeśli zostanie tu chwilę dłużej, pozwalając, by współczucie Rosy ogrzewało go jak ciepły ogień w mroźną noc, załamie się i zada jej pytanie: „Czy ona w ogóle mnie kochała. Roso?”

- Nie mogę tego zrobić! - mruknął pod nosem.

Prawie przebiegł obok krzesła, usłyszał, jak zgrzytnęło i upadło na podłogę. Odwrócił się na pięcie i stanął twarzą przed srebrną taflą starego lustra. Zmarszczki wokół oczu były szare, wyraźne, jakby wyrte rylcem.

Śmieszki. Zmarszczki radości.

Mike tak je nazywała. Tylko Liam nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio się śmiał.

Obraz przed oczyma zamazywał się i zmieniał, i przez ułamek sekundy Liam zobaczył w lustrze twarz kogoś innego. Mężczyzna był młodszy, niesamowicie przystojny, a jego zniewalający uśmiech ściągał do kin miliony widzów.

- Muszę pojechać do szpitala - powiedział Liam.

- Ale...

- Muszę pojechać teraz - powtórzył. Szybko minął Rose i w biegu chwycił płaszcz z wieszaka na ścianie. - Muszę zobaczyć się z żoną.

Tego wieczoru w izbie przyjęć było bardzo dużo osób. Jasno oświetlone korytarze rozbrzmiewały ich głosami i tupotem wielu nóg. Liam poszedł do pokoju Mike.

Wyglądała jak księżniczka upadłego rodu w cudzym łóżku. Piers rytmicznie unosiła się i opadała.

- Och, Mike - rzekł, zbliżając się do niej. Teraz nie był w stanie wykonać rutynowych

czynności, od których zwykle zaczynał swoje wizyty: potpourri, poduszki, muzyka.

Stanął przy łóżku i patrzył na żonę.

Wciąż była piękna. Zdarzały się dni, kiedy potrafił udawać przed sobą, że Mike po prostu śpi, że to normalny, zwykły poranek, że żona zaraz się obudzi i wyciągnie do niego rękę. Jednak dzisiaj nie potrafił się na to zdobyć.

- Zakochałem się w tobie, gdy cię po raz pierwszy zobaczyłem - powiedział, obejmując jej dłoń swoją ręką i czując ciepło jej ciała. Już wtedy pojął, że uciekała przed czymś... albo przed kimś. Nie miał najmniejszych wątpliwości. Ale co go to obchodziło? Pragnął tylko jednego: Mikaeli i Jacey, i wspólnego nowego życia w Last Bend. Miłości aż do śmierci. Nie wiedział, kim ona jest, kim była. Skąd miałby to wiedzieć? Nigdy nie czytał popularnych plotkarskich czasopism, a nawet gdyby takie pismo przypadkiem wpadło mu w ręce, przeczytałby o Kayli True, kobiecie, której nie znał, która nic dla niego nie znaczyła.

Kiedy Jacey doszła do siebie po operacji. Mike zaczęła odsuwać się od Liama. On widział, że Mike jest bardzo zmęczona, przerażona i wyczerpana, wślizgiwał się więc i stawał tuż za nią. „Pozwól mi być twoim buforem, osłoną przed podmuchami życiowych wichrów - szeptał. - Pozwól mi cię ogrzać”.

Rozumiał, dlaczego zbliżyła się do niego, dlaczego przyszła do jego łóżka i pozwoliła się pocałować. Była bezbronnym, samotnym małym ptaszkiem, a on zbudował jej gniazdo. Z czasem nauczyła się znowu uśmiechać. Błogosławił każdy dzień z nią spędzony.

Zamknął oczy i uporządkował wspomnienia; niektóre odsunął na bok, inne rozpamiętywał z przyjemnością. Ich pierwszy pocałunek w jasny, słoneczny dzień przy Wodospadzie Anioła... Sposób, w jaki prychała, gdy zanosila się od śmiechu... Dzień narodzin Breta... dali Liamowi potrzymać niemowlę, a Mike cicho szepnęła, że życie jest piękne. Wreszcie dzień, kiedy poprosił, żeby została jego żoną...

Bolesne wspomnienie.

To było w tym samym roku, w którym *Batman* wszedł na ekrany kin i rozbił się Exxon Valdez.

Wybrali się do Wodospadu Anioła. Leżeli na kocu na brzegu szmaragdowego jeziora. Mike miała łzy w oczach, gdy mówiła mu, że jest w ciąży.

Liam wiedział, że musi postępować ostrożnie. Było to niezwykle trudne, ponieważ z całej duszy pragnął odrzucić głowę w tył i śmiać się, krzyczeć ze szczęścia, ale pogłaskał ją po policzku i cicho, spokojnie poprosił, żeby za niego wyszła.

„Ja już byłam zamężna” - powiedziała. Pojedyncza łza stoczyła się w dół po różowym policzku.

„W porządku”. Tak on powiedział. I nic więcej.

„To ważne”.

Oczywiście, doskonale zdawał sobie sprawę, jakie to ważne.

„Kochałam go całym sercem i duszą. Myślę, że będę go kochała do końca swoich dni” - wyznała.

„Rozumiem”.

Ale to ona rozumiała. Wiedziała, że łamie mu serce. Odwróciła się i przyklękła przy nim. „Są sprawy, o których nie mogę ci powiedzieć... nigdy nie powiem. Nie chcę o tym mówić”.

- Nie było to dla mnie ważne, prawda, Mike? Miałem już czterdziestkę na karku i widziałem w życiu rzeczy, jakich nikt nie powinien widzieć. Zanim cię poznałem, nie liczyłem, że w kimś się zakocham. Wiedziałaś o tym? Dorastałem w cieniu wielkiego człowieka. Wszyscy porównywali mnie do sławnego Iana Campbella, a przy nim, czystym diamentem, byłem najwyżej półszlachetnym agatem. Potem spotkałem ciebie, a ty nigdy nie znałaś mojego ojca. Pomyślałem, że w końcu znalazłem kogoś, kto nie będzie bez przerwy porównywał mnie... Ale przecież ty już miałaś diament, prawda? A ja nadal byłem tylko półszlachetnym agatem...

Ale tego nie powiedział jej, kiedy prosił, żeby za niego wyszła, kiedy wyznała mu, że już znalazła - i straciła - miłość swego życia. Rzekł tylko, że ją kocha i że jeśli ona jest w stanie choćby w małej części odwzajemnić jego uczucie, będą szczęśliwi.

Wiedział, że chciała, by to była prawda, i wiedział również, że niezupełnie mu wierzyła. „Nigdy cię nie okłamię, Liamie. Nigdy cię nie zdradzę. Postaram się być dobrą żoną”.

„Kocham cię. Mike” - rzekł, patrząc na jej łzy.

„I ja ciebie kocham”.

Myślał, że podczas wspólnie spędzonych lat nauczyła się go kochać. Teraz ogarniały go wątpliwości. Może tylko zależało jej na nim, może tylko troszczyła się o niego. I to wszystko.

- Powinnaś mi powiedzieć. Mike - mówiąc te słowa, sam usłyszał w nich fałszywą nutę. Nie mogła mu powiedzieć. Przynajmniej w tej kwestii miała rację. Prawda była nie do zniesienia.

Chociaż na tyle go kochała.

- Znalazłem poszewkę na poduszkę. Mike - rzekł, pochylając się nad nią. - Fotografie... wycinki z gazet. Wiem... o nim. Chyba... - ciągnął po chwili i uściśnął jej rękę. - Chyba wiem, dlaczego mi nie powiedziałaś. Ale cierpię. Mike. Boże, jak bardzo cierpię i nie wiem, co robić. Czy ty mnie kochałaś. Mike? - zapytał, pochylając się jeszcze niżej. - Jak mam dalej żyć, nie znając odpowiedzi na to pytanie? Pewnie nie powinienem pytać. Pewnie powinienem dostrzec odpowiedź w twoich oczach, jakoś się dowiedzieć, że cały czas porównywałaś mnie z innym. Bóg świadkiem, że miałem wystarczająco duże doświadczenie, by to zauważyć, więc czemu nic nie widziałem? A jakże ja mogę się równać z Julianem True?

Poruszyła powiekami.

Liamowi dech zaparło w piersiach. Ścisnął jej rękę tak mocno, że mógłby skruszyć delikatne kości.

- Mike... słyszysz mnie? Zamrugaj powiekami, jeśli mnie słyszysz - prosił gorączkowo, a drugą ręką nacisnął dzwonek wzywający pielęgniarkę.

Po kilku sekundach Sarah wpadła do pokoju.

- Doktorze Campbell, czy ona... - próbowała złapać oddech.

- Poruszyła powiekami.

Sarah podeszła bliżej do łóżka, uważnie przyglądała się najpierw Mike, potem Liamowi.

Mike leżała bez ruchu, oczy miała szczelnie zamknięte.

- No, Mike, proszę. Porusz powiekami, jeśli mnie słyszysz.

Sarah po kolei sprawdzała aparaty, potem zbliżyła się do Liama.

- Myślę, że to był skurcz. Albo...

- Nie mam omamów. Nie wydawało mi się, do cholery! Poruszyła powiekami.

- Może powinnam wezwać doktora Penna.

- Tak, wezwij - polecił Liam, nie odrywając oczu od Mikaeli.

Puścił rękę żony tylko na chwilę, żeby włączyć magnetofon. Muzyka wypełniła pokój, popłynęły piosenki Carol King z albumu „Tapestry”.

Teraz Liam znowu trzymał Mike za rękę, tym razem obie, i mówił do niej, powtarzał te same rzeczy po kilka razy. Ciągłe mówił i błagał, także wtedy, kiedy Stephen wszedł do pokoju, badał chorą, a potem cicho wyszedł.

Liam mówił, aż zaschło mu w gardle, i już nie wiedział, jak jeszcze może ją błagać. Opadł na krzesło i nisko pochylił głowę. Boże, błagam, pomóż.

Gdzieś w głębi serca wiedział jednak, że to wcale nie Bóg pomógł Mikaeli poruszyć powiekami. To sprawiło imię - po tych długich tygodniach - po prostu imię tamtego. Gdy je usłyszała, zareagowała.

Julian True.

Pływa w morzu szarości i czerni... jest jakiś zapach... kwiaty... i muzyka, którą chyba nawet sną.

Chciałaby dotknąć tej muzyki, ale nie ma rąk... nie ma nóg... nie ma oczu. Czuje tylko głuchy odgłos bijącego serca. Biję szybko, jak u małego ptaszka. A w ustach czuje metaliczny smak strachu.

- Powinnaś mi powiedzieć.

- Julian.

Julian. Słowo zapadło głęboko, głęboko w serce. Na ten dźwięk serce zaczęło jej bić szybciej, chciałaby je stąpać i przytrzymać w piersi.

Julian. W mrocznych zakamarkach jej życia to imię łączyło się z innym słowem, słowem, które pamięta.

Miłość.

9

Następnego ranka, kiedy Rosa kończyła zmywać naczynia po śniadaniu, usłyszała dzwonek telefonu. Dzwonił... dzwonił... i dzwonił. Marszcząc brwi, podeszła do prowadzących na piętro schodów i krzyknęła do doktora Liama, żeby odebrał.

W drugim pokoju włączyła się automatyczna sekretarka i Rosa, usłyszawszy głos córki, dosłownie wrosła w ziemię. Przez ułamek sekundy serce wypełniła nadzieja... po chwili zdała sobie sprawę z tego, że to tylko nagrany komunikat.

- Rosa? Jesteś tam? Podnieś słuchawkę. To ja, doktor Liam.

Zarzuciła na ramię wilgotną ścierkę do statków i pobiegła z powrotem do kuchni, żeby odebrać telefon.

- *Hola* - wydyszała, z trudem łapiąc oddech.

- Czy dzieci wyszły do szkoły? - zapytał Liam.

- *Si*. Autobus Breta właśnie odjechał.

- To dobrze. Przyjedź do szpitala.

- Czy Mikaela...

- Jest bez zmian. Pospiesz się. - Zawahał się na chwilę, potem dodał jeszcze: - Roso, proszę cię, pospiesz się.

- Już wychodzę.

Nawet nie powiedział do widzenia, usłyszała ciągly sygnał przerwane połączenia.

Rosa zerwała kluczyki do samochodu z haczyka obok telefonu i chwyciła torebkę.

Na zewnątrz padał śnieg, niezbyt gęsty, lecz warunki były dostatecznie trudne, żeby starsza pani jechała ostrożniej niż zwykle. Całą drogę przez miasto i potem do szpitala starała się nie tracić nadziei. Ale doktor Liam miał smutny głos. Był silnym, zrównoważonym człowiekiem, okazywanie uczuć - do niego zupełnie niepodobne - było po prostu niepokojące. Dotychczas, mimo złych wieści, zachowywał spokój i opanowanie.

Zaparkowała na wolnym stanowisku przeznaczonym dla odwiedzających i sięgnęła po płaszcz. Dopiero wtedy spostrzegła, że na ramieniu nadal ma wilgotną ścierkę... i że dzisiaj jeszcze się nie czesała. Z rozwianymi, śnieżnobiałymi włosami będzie wyglądała jak obłąkane straszdyło. Stara i niezamężna kobieta nie może tak się pokazać ludziom.

Idąc przez parking, przyczesiła włosy. Nie miała czym ich związać, a rozpuszczone i tak się rozsypią na wszystkie strony. Lepsze jednak to niż nic.

Szybko przeszła przez szpital. Przed zamkniętymi drzwiami do pokoju Mikaeli zatrzymała się na chwilę, wzięła głęboki oddech i, zanim je otworzyła, zmówiła krótką modlitwę do Najświętszej Pani.

Wszystko wyglądało jak zawsze. Tego ranka Mikaela leżała ułożona na wznak. Snop słonecznego światła wpadał przez częściowo rozsunięte zasłony i tworzył żółtą smugę na podłodze.

Liam siedział na krześle przy łóżku. Miał podkrążone, zmęczone oczy i to samo ubranie, w którym widziała go wczoraj wieczorem: spodnie w kolorze khaki i czarny sweter. Tylko teraz ubranie wyglądało jak psu z gardła wyjęte.

- Tu dzisiaj spałeś? - zapytała Rosa, marszcząc czoło. - Dlaczego... - Przerwała zaczęte zdanie, gdyż spostrzegła, że patrzy na nią zimnym, nieprzyjaznym wzrokiem. - Doktorze Liam?

- Julian True.

Rose zatkało. Rękoma chwyciła się metalowej barierki przy łóżku. Upadłaby, gdyby się czegoś nie przytrzymała. Nogi miała jak z waty.

- *Perdón?* - wykrztusiła.

- Dobrze słyszałaś. Powiedziałem jego nazwisko.

- Dlaczego... - Drżącą rękę podniosła do piersi. Gardło miała suche jak wypalone ognisko, nie mogła wydobyć z siebie następnego słowa. Puściła barierkę przy łóżku i sięgnęła po dzbanek stojący na podręcznym stoliku, nalała sobie szklanek wody. Wypiła wodę trzema dużymi łykami, nie tak, jak wypadało pić damie. Odstawiła szklanek. Cały czas unikała wzroku Liama.

- Dlaczego teraz wspominasz przy mnie o tym człowieku? - zapytała.

- Wczoraj wieczorem, kiedy szukałem sukienki Mike, w garderobie znalazłem schowaną poszewkę na poduszkę. W środku były zdjęcia i wycinki z gazet... i pierścionek z ogromnym brylantem. - Wstał z krzesła i podszedł do Rosy. - Naturalnie znałem to nazwisko, każdy je zna, ale nie wiedziałem, że ten człowiek ma jakieś znaczenie w moim życiu.

- Ty też musiałeś kochać jakąś inną kobietę, zanim poznałeś Mikaelę. - Rosa zmusiła się do uśmiechu.

- Nie Sharon Stone.

- Zapomnij o tym, doktorze Liam - w końcu Rosa odważyła się na niego spojrzeć. - To stare dzieje. Przecież wiedziałeś, że już była zamężna.

- Stare dzieje to, na przykład, afera Watergate, Roso. To coś innego. A wiesz, dlaczego tak twierdzę?

- Dlaczego?

- Wymówiłem jego imię przy Mikaeli. Tylko tyle, wypowiedziałem jego imię i nazwisko, a ona poruszyła powiekami. Oczywiście, to może nic nie znaczyć, lecz po tych wszystkich długich tygodniach bezruchu byłby to niezwykle zbieg okoliczności. Zgadzasz się ze mną?

- Poruszyła powiekami?

- Tak.

W tym momencie spostrzegła, że oczy Liama łagodnieją, że znika z nich złość. Wyzuty z niej, wyglądał jak stary, zmęczony i przerażony człowiek.

- Cały czas - ciągnął dalej stłumionym głosem - mówiłem do niej, trzymałem ją za rękę, szcztokowałem jej włosy i nuciłem piosenki o miłości. Po co? Ponieważ przekonałaś mnie, że miłość przedrze się przez uszpanioną świadomość i poruszy jej serce. Ale to nie moja miłość ją poruszyła. Twoja też nie. Zareagowała na dźwięk jego imienia.

- *Madre de Dios!* - Rosa znowu chwyciła rękoma barierkę przy łóżku i wpatrywała się w śpiącą córkę. - Mikita, słyszysz nas, *guerida*? Porusz powiekami, proszę.

- Słyszysz - powiedział Liam z westchnieniem. - Tylko mówimy nie to, co trzeba.

Rosa chciała zatkać sobie uszy, żeby nie słyszeć tego, co Liam jeszcze może powiedzieć, a jednak nie mogła się powstrzymać.

- Jak myślisz, co powinniśmy mówić? - zapytała trochę wbrew sobie.

- Może nie powinniśmy mówić o naszej miłości do niej. - Liam przysunął się i stanął obok Rosy. Stał tak blisko, że czuła ciepło jego ciała. - Może powinniśmy mówić o jej miłości... do niego.

- Przestań...

- Chcę, żebyś mówiła jej o Julianie. Opowiadaj jej wszystko, co o nich wiesz. Przypomnij jej, jak bardzo go kochała. Może dzięki temu Mikaela do nas wróci.

Rosa odwróciła się i spojrzała Liamowi w oczy. Ręce jej drżały i czuła, że drżą jej również usta. Nie umiała powstrzymać wszechogarniającego ją drżenia.

- To może być bardzo niebezpieczne - ostrzegła.

- Wierz mi, jeśli Mikaela obudzi się dzięki Julianowi... - przejechał ręką po potarganych włosach i przytknął oczy.

Rosa mogła sobie tylko wyobrażać, jak bardzo cierpi ten dobry, bardzo dobry człowiek, który tak mocno kocha jej córkę. Miała wrażenie, że jeśli wsłuchałaby się dobrze, usłyszałaby łoskot łamanego serca.

- To jej życie - odezwał się po chwili. - Powinniśmy uczynić wszystko, żeby pomóc jej wrócić. Rosa chciałaby móc się z nim nie zgodzić.

- Spróbuję zrobić tak - zaproponowała. - Będę mówiła jej, kim była, kogo kiedyś kochała, ale stawiam warunek: nigdy nie zapomnisz, że to za ciebie wyszła, że jest twoją żoną.

Liam wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć. Nie odezwał się jednak, odwrócił się i podszedł do okna. Rosa podążyła za nim wzrokiem.

- Ale ty nie zostaniesz w pokoju, kiedy będę z nią rozmawiała, doktorze Liam? Wyjdiesz, dobrze? To byłoby zbyt bolesne.

Liam nie odwrócił się od okna.

- Zostanę - rzekł po chwili cichym, chropowatym, jakimś obcym głosem. - Czas, żebym poznał kobietę, którą kocham.

Rosa stała przy łóżku, ściskając w ręku srebrny medalion ze świętym Krzysztofem, który miała na szyi.

Przymknęła oczy.

Od piętnastu lat nie pozwalała sobie na wspomnianie tamtych dni. Tak właśnie myślała o tym okresie - „tamte dni” - kiedy on wtargnął do ich nudnego życia i wszystko się zmieniło.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak żywe wciąż były te wspomnienia. Niektórych rzeczy nigdy się nie zapomina, niektórzy ludzie zawsze pozostają tacy sami.

Przypomniała sobie tamtą Mikaelę, dwudziestojednoletnią dziewczynę z brązowymi oczami, falującymi czarnymi włosami, piękny kwiat w gorącym, odludnym miasteczku, w którym przybyli z innego kraju robotnicy mieszkali po ośmiu w pokoju w domach bez kanalizacji. W tym miasteczku granica między „przyzwoitymi” ludźmi a Meksykanami wyryta była w granicie. A Mikaeli, nieślubnego dziecka, pół-Meksykanki, nie akceptowało w pełni żadne środowisko.

Była pełnia lata, kiedy on pojawił się w ich życiu. Mikaela właśnie skończyła drugi i ostatni rok nauki w miejscowej szkole średniej. Dostała stypendium naukowe w Western Washington University w Bellingham, ale Rosa wiedziała, że jej córka wyżej mierzy.

Cambridge. Harvard. Sorbona. To uczelnie, o których marzyła Mikaela. Obie jednak zdawały sobie sprawę z tego, że dziewczyny takie jak ona nie dostają się do szkół tej rangi.

Rosa ponosiła winę za to, że Mikaela jako dziecko czuła się bardzo samotna. Najpierw całe lata czekała, żeby ojciec oficjalnie ją uznał. Potem przyszły mroczne, pełne złości i buntu lata, gdy nienawidziła i jego, i jego doskonale wychowanych białych dzieci. W tym czasie wypisywała o nim paskudne rzeczy na ścianach ubikacji dla kobiet w całym mieście. Modliła się, żeby jego niebieskooka, jasnowłosa córka, która wodziła rej w mieście, chociaż raz poczuła, co to znaczy naprawdę czegoś „chcieć”. Z czasem i ten okres minął, a Mikaela czuła się jeszcze bardziej samotna.

Pragnęła wyjechać gdzieś, gdzie dla nikogo nie byłaby nieślubnym dzieckiem meksykańskiej kelnerki. Często mówiła Rosie, że ma dość przyglądania się przez brudne szyby, jak żyją inni.

Pracowały w restauracji, ona i Mikaela. Dzień był upalny. Zbliżał się koniec długiej, ciągnącej się w nieskończoność, popołudniowej zmiany...

- Mikita, jeśli jeszcze raz wytrzesz ten stół, nic z niego nie zostanie.

Mikaela rzuciła ścierkę. Wylądowała na cętkowanej żółtej ceracie..

- Wiesz, że pan Gruber lubi czysty stół, mamó, a zaraz powinien zjawić się na lunch. Powiem Joemu, żeby zaczął szykować dla niego kanapkę z pieczenia...

Słowa Mikaeli zagłuszył donośny, grzmiący dźwięk, przypominający pierwsze odgłosy trzęsienia ziemi. Za kontuarem w małej restauracyjnej kuchni Joe podniósł głowę znad grilla.

- Co to, u diabła, było? - mruknął, wierzchem dłoni wycierając sobie usta.

Mikaela podbiegła do frontowego okna, które wychodziło na ulicę Browniów. Było samo południe, pierwszy tydzień lipca i przed żadnym ze sklepów nic się nie działo. W taki upał miasteczko pustoszało.

Hałas wyraźnie się zbliżał, stawał się coraz głośniejszy. Na wyludnionej ulicy podniósł się kurz, utworzył ciężką brązową chmurę, która podrywała z ziemi poczerniałe liście i wirującym ruchem unosiła je w górę.

Nad dachami domów przeleciały trzy helikoptery. Wyglądały jak srebrne kule na tle błękitnego nieba. Zniknęły z pola widzenia za perfumerią Benneta. Zapadła niesamowita cisza, szyby w oknach przestały drżeć.

Z tumanów kurzu wyłoniła się limuzyna. Wyglądała jak senne marzenie: smukła, czarna i niesamowicie błyszcząca, sunęła po brudnej, spalonej słońcem drodze. Żaden samochód nie mógł tak nieskazitelnie czysto dojechać do Sunville, zwłaszcza gdy jechał z Yakima bocznymi drogami. Przyciemnione szyby w oknach auta odbijały widoki zmęczonego miasta.

Mikaela pochyliła się do przodu i przylgnęła do szyby. Pomarańczowy poliester, z którego uszyto strój kelnerki, przykleił się jej do ciała. Przy suficie wolno poruszał skrzydłami drewniany wiatrak. Niewielki był z niego pożytek, na dobrą sprawę rozwiewał tylko zapach smażonego boczku.

Przed Ratusz podjechały trzy limuzyny. Zaparkowały przed budynkiem. Z samochodów nikt nie wysiadał, silniki nadal pracowały. Rury wydechowe leniwie wypluwały szary dym.

Ze sklepów zaczęli wysypywać się ludzie. Stawali na chodniku, zbierali się w grupy. Wskazując na limuzyny, które w tym mieście wzbudzały równie wielką sensację jak statki kosmiczne, zastanawiali się głośno, co się dzieje.

Rosa i Mikaela tkwiły w wąskich drzwiach restauracji. Na dźwięk odblokowywanego w samochodzie zamka tłum się uciszył. Następnie otworzyły się drzwi, wszystkie w tej samej chwili, jakby ogromne, lakierowane chrząszcze rozwijały skrzydła. Jeden za drugim z samochodów wysiadali mężczyźni w czarnych garniturach i okularach słonecznych. Potem pojawił się on. W tłumie rozległ się szmer. Rozpoznano go. - Och, mój Boże, to Julian True - szepnął ktoś. Gwiazdor zatrzymał się z niedbałą elegancją człowieka, który przywykł do tego, że wszyscy się na niego gapią. Wysoki, smukły, z długimi jasnymi włosami, zasłaniającymi mu pół twarzy, wyglądał jak wygnany z niebios zbuntowany anioł. Miał na sobie luźny podkoszulek z kieszonką i parę obszarpanych dżinsów, porozcinanych na kolanach. Jeśli spodnie kiedykolwiek były niebieskie, już dawno wypłowały.

Tłum, krzycząc, zaczął się do niego zbliżać. Jeden dźwięk, jedno imię wzbijało się ponad beładne krzyki. Julian True... To on... Julian True w Sunville! Potem zaczęły się prośby: Podpisz mi się na koszulce... w zeszycie... na serwetce.

Rosa odwróciła się, żeby szepnąć córce coś do ucha, ale słowa uwięzły jej w gardle. Mikaela wyglądała... jak zahipnotyzowana. Weszła z powrotem do restauracji i rozejrzała się w koło. Rosa wiedziała, że córka dostrzega popękaną podłogę, stłuczone klosze, nigdy nieznikającą warstwę tłuszczu, która pokrywała wszystko. Dziewczyna patrzyła na restaurację oczyma tego obcego i wstydziła się jej wyglądu.

Rosa wróciła do pracy, a Mikaela skierowała się do kontuaru i zaczęła napełniać pojemniki na cukier.

Nagle rozległ się dzwonek nad wejściowymi drzwiami i pojawił się on - był w restauracji Joego, stał pod leniwie poruszającym się sufitowym wiatrakiem.

Mikaela upuściła na stół w połowie napełniony pojemnik na cukier. Policzki się jej zaróżowiły.

Julian True posłał Mikaeli uśmiech, jakiego Rosa nigdy u nikogo nie widziała. Stary filmowy trik, który rozjaśniał scenę jak słońce, co właśnie przedarło się przez chmury. Oczy koloru szlifowanych turkusów wpatrywały się w Mikaelę, jakby była jedyną kobietą na świecie.

- Czym mogę służyć?

- Cóż, kochanie - powiedział z tym sławnym w całym świecie akcentem, przeciągając słowa, tak jak ciągnie się gęsty, słodki syrop - wiele godzin tłukliśmy się po najokropniejszych drogach, jakie kiedykolwiek widziałem od czasu wyjazdu z Lubbock. Za chwilę w drzwiach pojawią się wszystkie trzynastolatki mieszkające w tej okolicy. Miałem

nadzieję, że taka piękna istotka poda mi piwo i kanapkę i wskaże miejsce, gdzie mógłbym spokojnie zjeść.

Taki był początek.

Rosa otworzyła oczy. Za plecami czuła obecność Liama, słyszała jego miarowy oddech. Wiedziała, że milczała zbyt długo.

- *Hola*, Mikita - powiedziała cicho. Odetchnęła głęboko i znowu zaczęła: - Pamiętasz ten dzień, gdy ujrzałaś go po raz pierwszy, *querida*, twojego Juliana True?

Mikaela gwałtownie wciągnęła powietrze; jej powieki zadrgały.

Rosa poczuła nagły przypływ nadziei, szczerzej, czystej i orzeźwiającej jak woda w górskim potoku.

- Byłyśmy w restauracji, obie pracowałyśmy na południowej zmianie. I raptem ten nieopisany hałas. Helikoptery. W naszym małym miasteczku. A potem pojawił się on. A jak na ciebie patrzył! Jakbyś była jedyną kobietą na świecie. Nawet ja czułam jego nieodparty urok. Nigdy nie widziałyśmy kogoś takiego... i nigdy nie zobaczymy. Sądziłaś, że jestem za stara, aby zrozumieć, co myślisz, moja Mikaelo, ale wszystko widziałam w twoich oczach. Myślałaś, że jesteś Kopciuszkim, pokrytym sadzą i kurzem, a tu... pojawił się książę. Nazwał cię piękną istotką, pamiętasz? Boże, nigdy wcześniej tak radośnie się nie uśmiechałaś. Prawie natychmiast zaczął zwracać się do ciebie: „Kayla”. Kayla o kruczoczarnych włosach, tak cię nazywał, pamiętasz? Bałam się, że nazwie cię jakimś amerykańskim imieniem, a ty nie będziesz miała nic przeciwko temu... bo odkąd go poznałaś, nie dbałaś o to, co myślę.

Kiedy pierwszy raz cię pocałował, powiedziałaś, że czułaś się tak, jakbyś skoczyła z wieżowca. A ja na to, że taki skok może skończyć się dla dziewczyny śmiertelnym upadkiem. Pamiętasz, coś mi odparła? „Oj, mamó. Czasem warto pofruwać”.

Rosa pochyliła się i dotknęła nieruchomej, bladej twarzy Mikaeli.

- Zauważyłam, że się w nim zakochujesz, w tym mężczyźnie o twarzy anioła. Wiedziałam, że na początku będzie cudownie. Jakżeby inaczej? Wiedziałam również, że skończy się cierpieniem. Zostanie ból, który nie minie. Przekonywałam, że on nie jest dla ciebie. Roześmiałaś się, mówiąc, żebym się nie martwiła. Jakby matka mogła tak po prostu przestać się martwić.

Opuszkami palców głaskała zimny, zapadnięty policzek córki.

- Myślałaś, że nie rozumiem, ale to właśnie ja byłam jedynym człowiekiem, który potrafił cię zrozumieć. - Rosa smutno uśmiechnęła się do córki. - Obiecałaś, że nie zrobisz żadnego głupstwa. Ale ja wiedziałam, *querida*. Widziałam to w twoich oczach: ty już to głupstwo popełniłaś.

10

Każde zdanie raniło. Ból silny, przeszywający, rwał duszę na strzępy, tak jak kamień tłucze szybę na drobne kawałki. Liam bez ruchu siedział na swoim krześle, starał się zrozumieć znaczenie każdego zawieszenia głosu, poznać historię, prawdziwą historię związku Mikaeli i Juliana, domyślić się również tego, co nie zostało powiedziane.

Uczucie, jakie Mikaela żywiła do Juliana True, nie było zwykłą miłością. Liama to nie zaskoczyło. Czyż cokolwiek, co wiązało się z tym człowiekiem, mogło być zwyczajne?

Diamenty i agaty. Znowu.

Zastanawiał się, dlaczego pozwolił Mikaeli zachować dla siebie swoje tajemnice. Nie chodziło tylko o to, kim był Julian, ale o setki drobiazgów. Szkolny bal, na który nie poszła, wspomnienia, którymi się z nim nie dzieliła. Wszystko, co się z nią wiązało. Zadowalał się byle czym, bo najważniejsze dla niego było to, że ją kocha, że dzięki niemu Mike znowu się uśmiecha, potrafi się szczerze i serdecznie śmiać. Czemu nigdy nie zastanawiał się, co wypełnia jej sny, jakie są jej marzenia?

Pewnie gdzieś głęboko w duszy obawiał się tego, co może mu powiedzieć. I tak, bojąc się prawdy, godził się na milczenie, uspokojony głuchą ciszą niewypowiedzianych słów,

niezadanych pytań.

No, a dziś, gdy już wiedział? Nie był pewien, czy potrafiłby uwierzyć w jej miłość. Nie teraz, kiedy odkrył, co przed nim ukrywała. Nie wiedział, czy bliskość jej ciała jeszcze wznieci w nim ogień pożądania.

Rosa odwróciła się raptownie. Liam uświadomił sobie, że już jakiś czas temu przestała mówić. W pokoju od dawna panowała cisza, zmacona tylko miarowym brzęczeniem monitorów.

- Doktorze Liam, już więcej nie poruszyła powiekami - powiedziała.

Wstał i pokonując krótki dystans, podszedł do łóżka. Patrzył na żonę i widział nieznaną sobie osobę. Kayla. Ujął jej rękę i przytrzymał w swojej dłoni.

- Ona nigdy mi o tym nie opowiadała. Roso. Dlaczego pozwoliłem jej na takie tajemnice? - pytał.

Rosa stała obok, szczyt białej jak śnieg głowy znajdował się na wysokości ramienia Liama.

- Pochodzisz z majątnej rodziny - rzekła z prostotą. - Jesteś lekarzem, skończyłeś Harvard. Nie wiesz, jak wygląda życie ludzi takich jak my. Mikaela miała wielkie marzenia i żadnych możliwości ich realizacji. Nawet jej własny ojciec nigdy nie okazał jej rodzicielskiej miłości.

Przerwała na chwilę i odwróciła się twarzą do niego.

- Przyjechałam do Sunville jako mała dziewczynka zbierać jabłka. *Mi padre* zmarł, gdy miałam jedenaście lat. Na opryszczkę. Nie było pieniędzy na lekarstwa i nie było lekarza, który by mu pomógł. Ciągle jeszcze pamiętam obozy zbieraczy, zawsze przypomina mi je zapach dojrzałych owoców. Czuję smród pokrytej blachą chaty bez sanitariatu, w której mieszkaliśmy. Dziesięć osób w pokoju nie większym od tego. Pamiętam stare materace i upał. Tak, to pamiętam najlepiej, upał. Wyrwałam się stamtąd z mężczyzną. Nie ze swoim mężczyzną... to mój wielki grzech, ale było mi wszystko jedno. Kochałam go. *Madre de Dios*, kochałam go desperacką miłością, jaką kobiety takie jak ja kochają mężów innych kobiet. - Pochyliła się nad barierką i popatrzyła na Mikaelę. - Niestety to ja nauczyłam córkę tego, że na kochanego mężczyznę kobieta czeka zawsze, aż do śmierci.

Po smutnym akcencie na końcu zdania Liam zorientował się, że Rosa skończyła. Odwróciła w bok głowę i podniosła na niego oczy.

- *Lo siento* - powiedziała przepraszająco, odgarniając włosy z twarzy. - Jestem pewna, że wcale nie chciałeś wiedzieć tego wszystkiego. Może teraz będziesz miał o mnie złe zdanie...

- Oj, Rosa, myślisz, że nie wiem, jak to jest, kiedy kocha się osobę należącą do kogoś innego?

- Poślubiła ciebie.

- Tak. I została ze mną, i coś razem zbudowaliśmy. Z czasem zapomniałem... o rzeczach, o których powinienem pamiętać. Chyba zawsze wiedziałem, głęboko w sercu czułem, że jest taka część serca Mikaeli, która nie należy do mnie. Ale tak bardzo ją kochałem, i Jacey też, a potem również Breta. A ona wydawała się szczęśliwa. Może nawet była szczęśliwa. Wiesz, jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma.

- Nie tylko z tego powodu czuła się szczęśliwa. Tyle wiem na pewno.

- Nawet jej nie znałem. - Liam spojrzął na swą piękną żonę. Rosa nie odezwała się słowem.

- Mike? - Liam wymówił jej imię bez zwykłej czułości. Tym razem mówił do niej jak do osoby obcej. - Dość tego. Wracaj. Musimy porozmawiać o kilku sprawach.

- *Nada* - wtrąciła Rosa, wykręcając sobie palce. - Może tylko wydawało się nam, że poruszyła powiekami. Może to tylko nasze pobożne życzenia.

- Wierz mi, wolałbym, żeby mrugnęła na dźwięk mojego imienia. - Liam pochylił się niżej.

- Julian True. Julian True. Julian True.

- *Nada*.

- Mów do niej, Roso. Skończyłaś na tym, jak się w nim zakochała.

- Dalszy rozwój wydarzeń - Rosa zmarszczyła czoło - sprawił jej wiele bólu. Czy to wspomnienie nie pogorszy jej stanu?

- Ból jest silnym stymulatorem. Może nawet silniejszym niż miłość. Nie wolno nam rezygnować. Mów do niej.

Rosa wzięła głęboki oddech. Wszystko w niej buntowało się przeciwko opowiadaniu o tamtych zdarzeniach, szczególnie w obecności doktora Liama. Ale potem pomyślała o mrugnięciu. Taka mała rzecz, może to nic nie znaczyło, a może...

- Kochałaś go tak bardzo, moja Mikito. Kochałaś, jak tylko potrafisz kochać młode dziewczyny. Po prostu ściął cię z nóg. Nie było to wcale trudne, zwłaszcza że pragnęłaś fruwać. Zawładnął twoim sercem i twoim ciałem... a potem cię porzucił.

Rosa odgarnęła kosmyk włosów z czoła córki, opuszkami palców gładziła blade, chłodne ciało.

- Patrzyłam, jak na niego czekasz, dzień w dzień, noc w noc. Stałaś przy zakurzonej oknie w restauracji i wypatrywałaś samochodu.

Rosa doskonale pamiętała najdrobniejsze szczegóły z tego strasznego okresu. W oczach córki zobaczyła smutne odbicie swojej własnej przeszłości. Przewidywała, co będzie dalej. Powoli, zanim to sobie uświadomi i spróbuje się bronić, Mikaela zacznie się załamywać, podda się. Już teraz chodziła ze spuszczoną głową i cicho odsuwała się na bok, kiedy ktoś zbyt blisko do niej zbliżył. Rosa wiedziała, że to dopiero początek procesu powolnej, stopniowej utraty wiary w siebie. Wiedziała, że w końcu z jej córki zostanie tylko cień dawnej Mikaeli. Widziała to wszystko aż nadto wyraźnie, ale nie potrafiła temu zaradzić.

Próbowała rozmawiać z córką. „Ten ból - mówiła - minie, jeśli tylko będziesz chciała o nim zapomnieć”.

Mikaela odwróciła się i wzrokiem omiotła Rose od stóp do głów; popatrzyła na ściśle splecione warkocze matki, na zmarszczki przy ustach, które bynajmniej nie były dowodem często goszczącego na twarzy uśmiechu, na poplamiony poliestrowy strój kelnerki. „Czyżby, mamo? Naprawdę?” - zapytała.

- Kiedy rozmawialiśmy, powiedziałam ci, że to przejdzie, ta twoja miłość, ale obie wiedziałyśmy, że to nieprawda. Patrzyłam, jak coraz bardziej przypominasz mnie, jak powoli giniesz. No i wtedy właśnie stało się. *Milagro*. On po ciebie wrócił.

Później, gdy Rosa rozpamiętywała tę chwilę, nie mogła zrozumieć, dlaczego nie wydarzyło się nic co zapowiadałoby taki rozwój wypadków. Nie wysypała się sól przed Mikaela na szczęście, zza chmur nagle nie wyjrzało słońce. Rosa w restauracji wstawiała naczynia do zmywarki. Joe poszedł do domu i lokal był już zamknięty. Rosa walczyła ze zmęczeniem, starała się jak najprędzej skończyć pracę. Nie widziała Mikaeli, ale słyszała, jak córka krząta się po sali restauracyjnej, ustawia krzesła, zbiera popielniczki.

W pewnej chwili usłyszała coś dziwnego: odgłos monet wrzucanych do szafy grającej. To ją zaskoczyło - bardzo niewiele osób włączało muzykę w restauracji Joego. Potem rozległ się szum maszyny wybierającej płytę i wreszcie zabrzmiała muzyka. Romantyczna melodia z filmu *Oficer i dżentelmen*.

Rosa odłożyła mokrą ścierkę i biodrem zamknęła drzwiczki zmywarki. Bokiem przecisnęła się obok dużej kuchni gazowej. Zatrzymała się przy zamkniętych drzwiach, pochyliła głowę i nasłuchiwała przez chwilę. Potem odrobinę uchyliła drzwi. Początkowo nie widziała nic, w sali panowała ciemność, światła były już zgaszone. Tylko pałący się na zewnątrz neon rzucał do środka niebieską nikłą poświatę.

W najodleglejszym końcu sali zobaczyła Juliana. Przed nim bez ruchu stała Mikaela.

Wówczas Rosa zrozumiała - było to pewne jak śmierć, jak to, że tkwi w knajpie pachnącej marzeniami smażącymi się na gorącej płycie - że Mikaela oddałaby duszę za jeszcze jeden dzień z nim.

- Nie mogłam uwierzyć, że poprosił cię o rękę, *mi hija*. Wiedziałam, że twoje serce szybuje do gwiazd albo gorzej, do słońca, oślepniesz, jeśli zbyt długo będziesz w nie patrzeć z tak bliska. Zabrał cię z Sunville i rzucił ci świat do stóp. Od tej chwili byłaś kimś, kimś ważnym. Pisano o tobie we wszystkich gazetach, ciągle pokazywano w telewizji; stałaś się kobietą, jakiej wcześniej nie znałam. Kayla o kruczoczarnych włosach. Kiedy pojechałam na twój

ślub do Kalifornii, czułam się, jakbym znalazła się na Księżycu; ciągle otaczał cię tłum ludzi. Bardzo chciałam sama uszyć ci ślubną suknię, tak jak obie marzyliśmy o tym przez całe lata. Ale, oczywiście, to było niemożliwe, nie mogłam uszyć sukni... dla Kayli.

Rosa umilkła.

- Potem nastąpiły czasy, o których nic nie wiem - podjęła po chwili, zwracając się do Liama.
- Przedemną też miała tajemnice. W ilustrowanych czasopismach czytałam, że Julian pije, że spotyka się z innymi kobietami, ale Mikaela nigdy nic mi o tym nie mówiła. Pamiętam, że kiedy do mnie zadzwoniła, dzień po przyjęciu z okazji pierwszych urodzin Jacey, była załamana i czuła się wyczerpana. Powiedziała mi, moja mama dziewczynka powiedziała mi, że to koniec. - Rosa westchnęła. - Mikaela miała wtedy dopiero dwadzieścia trzy lata, lecz w jej głosie wyczułam, że już nie jest młodą dziewczyną. Miłość do Juliana sprawiła, że coś w niej pękło, nie tylko serce. To było coś więcej.

Liam ni to westchnął, ni to jęknął z wielkim smutkiem...

Rosa żałowała, że nie potrafi w takiej chwili, kiedy ból rozdziera mu serce, podejść do niego i mocno go objąć.

- Tak mi przykro, Liam - powiedziała tylko i kurczowo zacisnęła palce na barierce, aż ręce jej zbieleły. Liam wstał z krzesła i podszedł do łóżka.

- Pomóż nam. Mike - prosił. - Daj znak, że ciągle jesteś z nami. Tęsknimy za tobą, ja, Rosa, Jacey, Bret... i Julian.

Widzi coś pływającego w mętnej wodzie. Jest matę, okrągłe i białe. Podskakuje na powierzchni, wynurza się i ginie w fali. Szum morza uderzającego o jej cioto jest tak głośny, że nie słyszy nic innego. Gdzieś głęboko w głowie kołacze jej myśl, że powinna słyszeć ptaki, krzyk mew czy kwakanie kaczek, ale wokół jest tylko bezbrzeżna, niczym niezmqcona cisza.

Wie, że jeśli uda się jej odprężyć, woda będzie unosić ją na powierzchni. To takie kojące uczucie. Nauczyła się tego podczas miesięcy spędzonych nad morsem.

Dzisiaj czuje zapach sosen i drzew cynamonowych - przyjemny i znany. A teraz - coś jeszcze. Wciąga głęboko powietrze i zamiast zapachu morza czuje zapach kobiecych perfum. Zapach jej znany, prawie go pamięta. Stara się skoncentrować, przypomnieć sobie, co stało się wcześniej, lecz pamięć jej nic nie podpowiada.

- Pomóż nam. Mike. Daj znak, że ciągle jesteś z nami.

Ten głos, obcy i znajomy zarazem, zadaje pytania, na które ona nie potrafi odpowiedzieć, używa słów, których ona tak naprawdę wcale nie rozumie. Ale jest wśród nich to jedno znajome.

- Julian.

Desperacko próbuje przywołać jakieś jedno wyraźne wspomnienie. Nic z tego.

Gdyby tylko mogła otworzyć oczy...

- ...Tęsknimy...

To słowo rozumie, sprawia jej ból. Tęsknić. To znaczy być samotnym i przerażonym... Tak, to rozumie, rozumie doskonale.

Boże, błagam - modli się - pomóż mi...

Nie pamięta, czy na te słowa powinno się coś odpowiedzieć. Odpowiedzi nie ma, a ona czuje, że tonie w niespokojnej wodzie. Jest zbyt zmęczona, by utrzymać się na powierzchni, i tęskni... tak bardzo tęskni...

- Jezu Chryste, ona płacze. - Liam sięgnął po chusteczkę i delikatnie osuszył oczy Mikaeli.
- Mike, kochanie, słyszysz mnie?

Nie odpowiedziała, lecz te straszne srebrne łzy nie przestawały płynąć z jej oczu. Na poduszce pojawiła się mała szara plama. Liam nacisnął dzwonek wzywający pielęgniarkę i pobiegł do drzwi. Zobaczywszy Sarah, krzyknął, żeby sprowadziła doktora Penna.

Potem wrócił do pokoju i pochylił się nad żoną. Głaskał ją po wilgotnym policzku i szeptem powtarzał te same słowa.

- No, kochanie, wróć do nas.

- Co się stało, Liamie? - od drzwi zapytał doktor Penn, ledwie dysząc.

- Ona płacze, Steve. - Liam spojrział na przyjaciela. Stephen podszedł do łóżka i popatrzył na Mikaelę. Leżała jak martwa, policzki miała blade, ale wilgotna strużka wyglądała jak promyk nadziei w słabym świetle. Doktor Penn wyjął z kieszeni zwykłą szpilkę. Dłonią delikatnie uniósł bosą stopę Mikaeli i wbił ostry czubek we wrażliwy punkt.

Mikaela szarpnęła nogą. Z jej ust wyrwał się urywany jęk.

Stephen położył jej stopę na łóżku i ponownie przykrył ją kocem. Spojrział na Liama.

- Nie jest już w tak głębokim stanie śpiączki... - zaczął i zawahał się. - Sam wiesz, co to może oznaczać i że wcale niczego nie musi oznaczać. Ale może... może coś do niej dotarło. Cokolwiek robięś, rób to dalej.

Już dawno minęła godzina, o której Bret powinien pójść spać, kiedy chłopiec usłyszał pukanie do drzwi. Siedział na podłodze w swoim pokoju i grał w grę komputerową pod tytułem „Diddy Kong”.

- Proszę - wydawało mu się, że powiedział, ale nie miał pewności, bo skupił się na grze..

- Cześć, Bretster - pozdrowił go ojciec, uchylając drzwi i wsadzając głowę do pokoju.

Bret odwrócił wzrok od ekranu. Wystarczyło, jego zawodnik uderzył w ścianę i teraz miotał się na wszystkie strony po kolorowym ekranie.

- Cześć, tato. Chcesz zagrać? - zapytał. Ojciec usiadł obok syna na podłodze i wziął do ręki drugi zestaw przyrządów do sterowania.

- Wiesz, że nie jestem dobry w tej grze. Wolę „Gwiezdne wojny” - powiedział.

Bret rechotał ze śmiechu. Uwielbiał patrzeć, jak tata gra w „Diddy Konga”, ponieważ ojcu nigdy nie udawało się dobrze prowadzić swojego zawodnika i Bret zawsze był górą. Ustawił grę od początku i przez następne pół godziny obaj zajmowali się wyłącznie wyścigami.

- Koniec, Mario - rzekł wreszcie ojciec, odkładając swój przyrząd do sterowania. - Wygrałeś. Poddaję się.

- Mario jest z innej gry, tato.

- No, mały - ojciec niezgrabnie podniósł się z podłogi. Trzymał się poręczy łóżka Breta, jakby za chwilę miał upaść. - Czas spać. Wyłącz tę grę i umyj zęby.

Bret wyłączył monitor i zbiegł na dół. W łazience wyszczotkował zęby bardzo dokładnie - tata znany był z tego, że odsyła z powrotem do łazienki, jeśli zęby nie zostały dobrze umyte - i zrobił siusiu. Potem wrócił do swojego pokoju.

Tata już leżał na łóżku, wyciągnięty jak długi i przykryty kołdrą. Otwartą książkę położył na udach. Obok paliła się nocna lampka.

Bret bardzo lubił, kiedy tata leżał z nim w łóżku. Wtedy niczego się nie bał. Podbiegł do łóżka i chciał wejść pod kołdrę.

- Zaraz, zaraz, kolego. Najpierw załóż piżamę.

- Oj, tato... - Bret zrobił nieszczęśliwą minę.

- Nie - uśmiechnął się ojciec. - Znam cię. Prześpisz się w tym ubraniu, a jutro pójdziesz w nim do szkoły. A tak przy okazji: kiedy ostatnio brałeś prysznic?

- Wczoraj babcia kazała mi się wykapać.

- No dobrze. Ale nie wchodź do łóżka w dżinsach. Bret ściągnął brudne dżinsy i rzucił je na stertę w rogu pokoju, żeby nie szukali ich jutro rano, kiedy będzie szykował się do szkoły. Potem przegramolił się przez tatę, schował pod kołdrę i przysunął bliźniutko do ojca.

- Czy to książka o lwie? - zapytał.

- No pewnie.

Bret, zwinięty w kłębek u boku Liama, przysłuchiwał się opowieści. Głęboki, równy głos ojca sprawił, że chłopiec się wyciszył i uspokoił.

Wydawało się, że minęło zaledwie kilka minut, gdy tata zamknął książkę i położył ją na stoliku przy nocnej lampce.

- Myślę... - rzekł, obejmując Breta swoimi ogromnymi, silnymi ramionami i mocno go do siebie przytulając - że powinieneś odwiedzić mamę. Teraz to... bardzo ważne.

Tata nigdy wcześniej tak nie mówił, nie mówił, że to ważne, by Bret ją zobaczył. Dotychczas uważał, że to nie ma znaczenia...

- To nie jest straszne miejsce. To zwykły, stary pokój ze zwykłym, starym łóżkiem. Nie oszukuję cię, Bret. Mama wygląda tak jak zawsze... tyle, że śpi.

- To dlaczego nie pozwalasz mi jej zobaczyć na początku?

- Powiedzieć ci prawdę? Ponieważ miała posiniaczoną twarz. Nie wyglądała dobrze, no i trochę przerażająca była ta aparatura, którą podłączono. Teraz wszystko jest już w porządku. Nie przestraszysz się, jak tam pójdziesz, Bret. Naprawdę, obiecuję. Może będziesz smutny, może nawet się popłaczesz, ale kiedy mali chłopcy stają się dużymi chłopcami, czasami muszą pozwolić sobie na płacz.

- Przysięgasz, że mama żyje?

- Przysięgam.

Bret chciał wierzyć ojcu.

- Ona musi usłyszeć twój głos, Bretster. Wiem, że tęskni za swoim najukochańszym na świecie chłopczykiem.

Po raz pierwszy Bret pomyślał, że może to właśnie on potrafi ją obudzić. Przecież był jej ulubieńcem i kochała go najbardziej na świecie. Wciąż mu to powtarzała. Może cały czas czeka, żeby usłyszeć jego głos?

- Coś jej zaśpiewam - zaproponował cicho. - Na przykład tę piosenkę z *Annie...* Pamiętasz, jak zabrała mnie na przedstawienie? Tę piosenkę *Tomorrow* zawsze mi śpiewała, gdy nie mogłem zasnąć.

- Słońce wszędzie... jutro... - tata zaczął cicho nucić.

- Możesz się założyć o ostatniego dolara, że jutro...- Bret przyłączył się do ojca i razem odśpiewali całą piosenkę..

Kiedy skończyli, chłopcu już tak bardzo nie chciało się płakać.

- Mógłbym odwiedzić mamę jutro, przed szkołą - powiedział.

- Wspaniale. - Ojcu głos trochę drżał. - Słuchaj, chcesz dziś spać w moim łóżku?

- Mogę?

- Pewnie.

Trzymając się za ręce, wstali z łóżka i razem wyszli z pokoju. Szli do sypialni rodziców, a Bret bez przerwy myślał o tej piosence, cały czas dźwięczała mu w głowie, aż chłopiec zaczął się do siebie uśmiechać.

Następnego ranka Bret wstał wcześniej i wziął prysznic, chociaż nikt mu nie kazał. Założył najlepsze ubranie, czarne dżinsy firmy Levi i flanelową koszulę w kratę. Potem pobiegł z powrotem do sypialni ojca i stanął przy łóżku.

- Tato - mówił, stukając ojca w ramię. - Tato, obudź się.

- Cześć, Bretster - powiedział ochrypłym głosem Liam. Odwrócił się w stronę Breta i otworzył jedno oko. - Co...

- Chodźmy odwiedzić mamę.

- Dobrze, synku - uśmiechnął się Liam. - Za pięć minut będę gotowy.

Bret nerwowo przestępował z nogi na nogę. Zbiegł na dół i pozapalał wszystkie światła. Chwytał z podłogi swój plecak i zarzucił go na plecy.

Tata dotrzymał słowa, po pięciu minutach czekał na dole, gotowy do wyjścia. Wskoczyli do explorera i pomknęli w kierunku miasta.

Bret wiercił się na siedzeniu podczas jazdy do szpitala. Tej nocy po raz pierwszy śniła mu się mama. W jego śnie obudziła się, kiedy dał jej Całuska Mamusi. Na to właśnie cały czas czekała. Na Całuska Mamusi.

W szpitalu chwycił ojca za rękę i prawie ciągnął go korytarzem do pokoju mamy. Ale przed zamkniętymi drzwiami opuściła go odwaga. Nagle zaczął się bać.

- Wszystko w porządku, Bretster. Pamiętaj, możesz być smutny. Mama to zrozumie. Tylko rozmawiaj z nią, mów do niej.

Bret pchnął drzwi. Pierwsza rzecz, którą zobaczył, to dziecinne łóżko ze srebrnymi

barierkami z boku. Wcale nie łożko dla dorosłych. Nie paliło się światło. Pokój był smutny, szary.

Mama leżała na łożku. Powoli chłopiec zaczął się do niej zbliżać.

Wyglądała pięknie, jakby nic się jej nie stało. Bez trudu wyobraził sobie, jak się budzi... Ot, po prostu usiądzie na łożku, otworzy oczy i zobaczy Breta.

„Jak się ma mój najukochańszy chłopczyk?” - zapyta i wyciągnie ręce, pragnąc go przytulić.

- Możesz do niej mówić, Bret.

Chłopiec puścił rękę taty i zbliżył się do łożka. Wspiął się na srebrną barierkę i pochylił nad mamą. Potem bardzo powoli złożył na jej buzi Całuski Mamusi. Zrobił to dokładnie tak, jak zawsze robiła to mama. Pocałował ją najpierw w czoło, potem w każdy policzek, jeszcze potem leciutko jak motylek w brodę. W końcu szepnął: - Żadnych złych snów - i pocałował z boku w nos.

Leżała bez ruchu.

- Mamo, otwórz oczy. To ja, Bret. - Nabrał powietrza i zmusił się, by śpiewać, tak jak sobie to wcześniej obiecał. Trzy razy zaśpiewał *Tomorrow*.

Żadnego ruchu. Nic się nie stało.

Bret ześlizgnął się z barierki i odwrócił do ojca. Spojrzał na niego zażawionymi oczami.

- Nie obudziła się, tatusiu.

Tata wyglądał tak, jakby za chwilę sam miał się rozplakać. Bret był przerażony.

- Wiem - powiedział Liam. - Ale musimy dalej próbować.

11

O tym, jakim jest się człowiekiem, decydują pojedyncze chwile porzrucane jak plamy farby na płótnie życia. To, kim byłeś i kim kiedyś będziesz, kryje się w małych, pozornie nieważnych codziennych decyzjach. Czy powinienem starać się wejść do Drużyny Młodzików, czy powinienem uczyć się do tego egzaminu, czy powinienem zapiąć pas bezpieczeństwa, czy powinienem wypić tego drinka?

Każda z tych decyzji wydaje się nie mieć większego znaczenia, tak jak bez znaczenia jest, czy skreślisz w lewo, jadąc bez celu nieznaną drogą. Ale każda decyzja nakłada się na inne, aż wreszcie pewnego dnia uświadamiasz sobie, że to one właśnie uczyniły z ciebie człowieka, jakim jesteś.

Liam zgodził się na życie w cieniu ojca.

To była jego decyzja.

Wyjechał daleko, do Harvardu. Dowiedział się, że z miejsca, w którym się znalazł, odchodzi w różne strony wiele dróg... ale wrócił do domu, do Last Bend, gdzie się czuł bezpiecznie.

To była jego decyzja.

Zakochał się w Mikaeli i cały swój świat zbudował na chwiejnych fundamentach tego uczucia. Wiedział, że Mikaela nie darzy go równie silnym uczuciem, lecz dzień po dniu, godzina po godzinie, w miarę jak na ich życie składało się coraz więcej chwil - wydarzeń wielkich i błahych: urodzin, rocznic, wakacji z rodziną, nocy spędzonych razem na kanapie, wspólnych wieczorów przed telewizorem - pozwalał sobie na luksus zanurzania się w słodkim jeziorze zapomnienia.

To była jego decyzja.

Dzisiaj również musiał podjąć ważną decyzję. Zastanawiał się nad tym, odkąd Mike po raz pierwszy poruszyła powiekami. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że decyzja, jaką podejmie, zaważy na całym ich przyszłym życiu.

Odsunął się od biurka. Leżała na nim cała sterta kart i wiadomości, którymi powinien niezwłocznie się zająć. Nic go to nie obchodziło. Nie teraz. Chwycił marynarkę, włożył ją na siebie i wyszedł z gabinetu. Tuż przed stanowiskiem recepcjonistki Carol wyłoniła się z gabinetu rentgenowskiego i wpadła prosto na Liama.

- Och, panie doktorze! - krzyknęła, chichocząc. Liam uśmiechnął się. Od tygodni po raz pierwszy teraz znaleźli się w takiej, stosunkowo naturalnej, sytuacji.

- Chyba powinienem się cieszyć, że nie niosłaś tacy z pojemnikami z moczem do analizy - powiedział.

- Albo ze skalpelami - chichot Carol przeszedł w serdeczny śmiech.

- Chcę się wcześniej wyrwać - poinformował ją Liam.

- I bardzo dobrze. To się panu chwali. Kilka minut temu dzwoniła pańska teściowa. W szkole podstawowej nie mają prądu, więc odwołali lekcje. Teściowa mówiła, że pójdzie z Bretem nad staw pojeździć na łyżwach, gdyby chciał się pan do nich przyłączyć. - Carol poprawiła okulary na nosie i zmierzyła go wzrokiem.

Liam zeszytywniał. Nazbyt dobrze wiedział, co będzie dalej..

- Jak ona się ma? - zapytała Carol.

- Bez zmian. - Liam miał nadzieję, że udało mu się ukryć irytację. Boże, jak bardzo nienawidził tych słów! Kiedy to się wreszcie skończy, nigdy więcej ich nie wypowie. Nigdy więcej nie powie też: „Przykro mi”.

- Pozdrów ją ode mnie.

- Oczywiście, Carol. Dziękuję.

Idąc przez pustą poczekalnię, starał się uśmiechać. Przez głowę przemknęło mu wspomnienie tego, jak Mikaela zmieniała wystrój tego niewielkiego pomieszczenia. „Chyba nie spodziewasz się, że twoi pacjenci będą siedzieli na plastikowych... a cóż to za kolor na tych ścianach, nazywa się: kupka niemowlęcia?”

Teraz poczekalnia pobłyskiwała radosnymi kolorami podstawowymi: żółte ściany z lamperią w kolorze słoneczników, pomalowaną przez drugoklasistów pani Dreiling, jasne, kobaltowoniebieskie tapicerskie krzesła i jaskrawoczerwony dywan od Berbera.

Liam przypomniał sobie Mike stojącą wysoko na drabinie, twarz i włosy miała powalane żółtą farbą. Z góry wołała do niego: „Hej, pianisto, czy twoje ręce są zbyt cenne, żeby chwycić za pędzel?” Podeszedł wtedy do niej, ściągnął z drabiny, wziął w ramiona i całował jej delikatne usta.

Szybko opuścił poczekalnię.

Gdy wyszedł na zewnątrz, gwałtowna zmiana temperatury podziałała nań odświeżająco, pozwoliła otrząsnąć się ze wspomnień. Spojrzał na zegarek: pierwsza trzydzieści osiem.

Liam poczuł nagle, że nie chce jechać do szpitala i siedzieć przy łóżku żony. Trzy ostatnie długie dni spędził przy niej. Trzymał ją za rękę i bez końca powtarzał imię Juliana. Nie zareagowała ani razu.

Postawił podbity wełną kołnierz i poszedł w dół ulicą. Był jeden z tych wilgotnych zimowych dni, kiedy wydaje się, że spuchnięte, szare niebo opada na dachy domów, wplątuje ci się we włosy. Ponad zamglonym powietrzem wznosiły się góry, ale ich pokryte śniegiem szczyty ginęły w chmurach.

Wpadł do kawiarenki Bean There, Done That i zamówił bezkofeinową kawę. Irma towarzysko gawędziła z nim, przygotowując mleko, po czym nie chciała wziąć pieniędzy. Przekomarzał się z nią i przymilał, ale nie udało mu się jej przekonać. W końcu po prostu podziękował i wyszedł.

Ktoś właśnie otworzył drzwi cukierni Łazy Susan Bake Shop i po ulicy rozszedł się zapach cynamonu. Liama kusilo, żeby wejść i kupić coś na jutrzejsze śniadanie, lecz nie mógł znieść myśli, że znowu usłyszy pytanie:

„Jak ona się ma?” - i znowu będzie musiał odpowiedzieć: „Bez zmian”.

W nieruchomym, czystym, górskim powietrzu słychać było śmiech dzieci. Kierując się radosnymi krzykami dzieciaków, dotarł do farmy lam pana Robbina. Żabi staw, wygodnie położony na płaskim skrawku pastwiska, Matka Natura przemieniła w piękne, srebrne lodowisko. Wokoło stało już kilka samochodów odpowiednio zaparkowanych, by - kiedy zapadnie zmrok - smugami światła z reflektorów oświetlić ślizgawkę. Z megafonu płynęła muzyka. Suzie Sanman za składanym stołem podgrzewała garnki mleka na kuchence turystycznej, a Mayor Comfort na odkrytej płycie przygotowywał hot dogi.

Liam zobaczył Breta. Chłopiec jeździł z grupą kolegów. Rosa siedziała samotnie na jednej z ławek ustawionych blisko stawu. Przeciskając się przez zgromadzony tłum, Liam pozdrawiał znajomych i sąsiadów. Byli wyraźnie zaskoczeni, widząc go tutaj, Liam jednak udawał,

że nie dostrzega powszechnego zdziwienia. Podeszedł do Rosy i usiadł obok. Rosa bez słowa przesunęła się dalej, zostawiając mu więcej miejsca.

- Tato, tato, popatrz na mnie! - Bret machał obiema rękami. Gdy Liam podniósł wzrok, chłopiec zaczął zapamiętale i szybko jechać do tyłu, aż wpadł na Sharie Lindley i oboje przewrócili się na lód, śmiejąc się do rozpuku.

- Życie toczy się dalej, prawda. Roso? - cicho odezwał się Liam. Obserwował, jak jego syn stara się doskonalić jazdę do tyłu. Ubiegłej zimy ten sam chłopczyk ledwo radził sobie z jazdą do przodu.

- Si - przytaknęła.

Liam objął dłońmi papierowy kubek z kawą. Wilgotne ciepło na wargach sprawiło mu wyraźną przyjemność. Nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo jest mu zimno, dopóki nie zaczął się rozgrzewać. Ale przecież czyż nie tak właśnie było ze wszystkim w jego życiu?

- Nie jest z nią dobrze. Roso - powiedział.

- Si. *Yo se.*

- Mówimy do niej już tyle dni. Tak wiele razy powtarzałem jej imię Juliana, że boję się, iż nagle przypadkowo, ni w pięć, ni w dziesięć wypowiem je podczas obiadu. Myślałem, że może Bret będzie kluczem, ale odwiedza ją codziennie po szkole i... nic.

- Może ona potrzebuje troszkę więcej czasu.

- Teraz, niestety, czas nie działa na jej korzyść. Jej stan się pogarsza. Do licha, wyraźnie widzę, jak coraz bardziej zlewa się z tymi szarymi prześcieradłami. Dużo myślałem, starałem się zajrzeć w swoją duszę i chyba już wiem, co powinienem zrobić. Tylko to wydaje mi się słuszne. Sądzę, że...

Zabrzączał przypięty do paska pager. Liam rzucił Rosie szybkie, zaniepokojone spojrzenie i sięgnął po czarny aparat.

To była pilna wiadomość od Stephena Penna. Dziewięć, jeden, jeden. Hasło, że prosi o natychmiastowy kontakt.

- O Jezu! - jęknął Liam. - Chodzi o Mike.

- Weź mój samochód. Stoi niedaleko. - Rosa podała mu kluczyki.

- Mój jest na parkingu przed gabinetem - powiedział - a kluczyki są nad przednią szybą. Zabierz Breta i Jacey i przyjeździecie do szpitala. To może być...

- Zaraz tam będziemy.

- Zatrzymanie pracy serca.

Liam osunął się na krzesło. Z trudem podniósł do góry głowę.

- Nie wiem, co ci powiedzieć, Liamie. - Stephen nie odwrócił wzroku. - Serce po prostu przestało bić. Prawie natychmiast udało się nam przywrócić pracę serca, ale być może jest to jakaś wskazówka. Może jej organizm zaczyna się poddawać. Myślę... myślę, że chyba czas, abyście, ty i dzieci, przygotowali się na to, że to już koniec.

Koniec. Chciałby nigdy nie musieć mówić tego żadnemu ze swoich pacjentów, a jednak niejednokrotnie to robił.

- Od kilku dni wydawało się, że stan Mikaeli się poprawia - westchnął Stephen.

Liam wiedział, że Stephen myśli teraz o swojej żonie, Margaret, która prawdopodobnie jest w domu i razem z dziećmi lepi bałwana. Oczy przyjaciela wyrażały sympatię i współczucie. Stephen doskonale rozumiał, jak boli śmierć ukochanej kobiety.

- Jak powiedzieć dziewięciolatkowi, że czas, by pożegnał się z mamusią? A jeśli mu nie powiesz, jak, na Boga, powiesz mu jutro, że już za późno, że już nic nie może jej powiedzieć? - desperował Liam.

- Jezu, Lee. - Stephen pochylił się i oparł łokciami o biurko.

Liam widział, że Stephen szuka słów, które nie wyrażałyby tylko zrozumiałego w tej

sytuacji współczucia, lecz mogłyby dodać mu otuchy. Widział również, że nie nie przychodziło mu do głowy. To zrozumiałe. Teraz był czas na wiarę, na Boga i religię. Nauka okazała się beznadziejnie bezradna.

Zanim Stephen zdołał cokolwiek rzec, Liam wstał i wyszedł z gabinetu.

W korytarzu było bardzo jasno, światło raziło oczy. W poczekalni przy oknie stała Jacey, obok Mark. Rosa przysiadła na samym brzeżku kanapy. Bret, nadal w łyżwiarskiej kurtce i kombinezonie, przylgął do ściany przy telewizorze. Kolorki na jego policzkach wyglądały jak namalowane. Z zamarznętej grzywki na zadarty noszek kapąły kropelki wody.

- Tato? - Jacey, widząc ojca, puściła rękę Marka i z wahaniem zrobiła krok w jego kierunku.

Nie mógł im powiedzieć. Przynajmniej nie tu, nie w tym zimnym jarzeniowym świetle. Jutro powie im prawdę. Może do tej pory zdarzy się jakiś cud. A jeśli Mikaela nie przeżyje nocy... cóż, będzie musiał z tym żyć. To jeszcze jedna decyzja, która wpłynie na to, jakim stanie się człowiekiem.

- Wszystko w porządku - mówił, unikając wzroku Rosy. - Z mamą wszystko w porządku. Miała niewielkie problemy z sercem. Na chwilę przestało bić, ale już wszystko jest w porządku.

- Czy mogę pójść do niej? - zapytała Jacey.

- Tylko na minutkę lub dwie. To brzmi niedorzecznie, ale mama musi teraz odpocząć.

Jacey skinęła głową i ruszyła w kierunku drzwi. Kiedy przechodziła obok Liama, chwycił ją za nadgarstek. Zatrzymała się i odwróciła do niego.

- Wiesz, kochanie, ona nie wygląda zbyt dobrze - powiedział.

- Rozumiem, tato. - Jacey wyraźnie zbladła. - Za... zaraz wracam.

Uśmiechnął się z przymusem i puścił jej rękę. Cóż więcej mógł zrobić? Była dostatecznie duża, sama musiała sobie poradzić.

- Czy mama się obudziła? - zapytał Bret, spoglądając na ojca. Kropelka wody spłynęła mu po policzku i spadła na granatową kurtkę. Wargi mu drżały, do oczu napływały łzy.

- Nie, kochanie, nie obudziła się. - Liam pogładził zimny jak lód policzek syna. Zwalczył w sobie chęć dodania: „jeszcze nie”. Nie mógł dawać im nadziei, jakby to były cukierki. Już nie.

- Ja nie chcę jej teraz widzieć - powiedział Bret i ponownie przylgął do ściany. - Nie... nie w takim stanie. Liam nie wiedział, jak się zachować.

- Hej, Bretster - odezwał się Mark, podchodząc do nich. - Obiecałem, że kupię ci coś do picia i słodkie gumki. Może teraz to załatwimy?

- Fajnie - buzię Breta rozjaśnił uśmiech. - Mogę, tato?

Liam czuł się jak tchórz. Wykorzystywał okazję, żeby nie musieć stawić czoła trudnej sytuacji. Skinął głową. Nie było sensu udawać. Wielki ciężar spadł mu z serca. Wstał, sięgnął do kieszeni i wyciągnął dwa banknoty jednodolarowe.

- Proszę, idźcie - rzekł. - Ale zaraz wracajcie. Musimy jechać do domu.

- Spoko - zapewnił go Bret. Wziął pieniądze i ukrył je w zaciśniętej dłoni. Razem z Markiem wyszedł z poczekalni.

W końcu Liam zwrócił się do Rosy. Z jej pełnego niepokoju spojrzenia domyślił się, że czekała na tę chwilę.

Siedziała sztywna jak słupek w płocie, kolana mocno przyciśnięte do siebie, ręce złożone na podolku.

- Jest źle, si? - zapytała.

Usiadł obok niej na twardej winylowej kanapie. Kolanami uderzył w stolik do kawy. Stary numer magazynu „People” z pozawijanymi kartkami poszybował na podłogę. Liam zastanawiał się chwilę, szukał słów, które mogłyby oddać jego myśli.

- Jej serce przestało bić - powiedział po prostu.

- *Dios mio!* - Rosa głośno wciągnęła powietrze i przeżegnała się.

- Udało się im przywrócić pracę serca bez większych kłopotów... i bardzo szybko, co też jest ważne...

- Musi być coś, co możecie dla niej zrobić. Jakieś lekarstwo...
- Wierzysz w lekarstwo. Roso? - Liam uśmiechnął się ze smutkiem.
- Co zrobimy? - Rosa nie potrafiła zmusić się do uśmiechu.

Wiedział, że cały czas krążyli wokół tego pytania, od którego powinni byli zacząć.

- Iskierka nadziei zabłysła jedynie w chwili, kiedy wypowiedaliśmy imię Juliana - powiedział Liam i sam zdziwił się, że mówi normalnym głosem.

- Si. Ale może to tylko zbieg okoliczności.

- Owszem, gdyby zdarzyło się to tylko raz, nie dwa. A płacz, to też była reakcja. Jestem pewien.

- Ale przecież powtarzaliśmy jego imię wielokrotnie. Opowiadałam jej o jej małżeństwie z tym człowiekiem tyle razy, że teraz nawet przez sen potrafię powtórzyć tę historię. I *nada*.

Liam westchnął. Właśnie o tym rozmyślając, spędził bezsenną noc, przewracając się z boku na bok w ogromnym pustym łóżku. Światło słońca nie odeгнаło tych myśli, borykał się z nimi cały dzień.

Kaliber człowieka. To, jakim się jest człowiekiem. Wszystko do tego się sprowadzało. To była ta ślepa uliczka, w którą wpędzały go jego myśli.

- Musimy spróbować czegoś innego. Roso. Czegoś bardziej radykalnego. Mikaela nie reaguje na nasze głosy. A sędzę, że zostało nam już niewiele czasu.

Czuł, że Rosa odwróciła się i spojrzała na niego, ale nie podniósł głowy. Wpatrywał się w złożone na kolanach swoje dłonie, w cienką złotą obrączkę ślubną, którą nosił od dziesięciu lat.

- O czym myślisz? - zapytała.

Usłyszał niepokój w jej głosie, niewielkie załamanie w środku zdania. Zrozumiał, że Rosa wie, co on za chwilę może powiedzieć.

- Zamierzam zadzwonić do Juliana True i poprosić go, żeby do niej przyjechał. Niech on do niej mówi.

- Nie możesz tego zrobić! - Rosie aż zapało dech w piersiach.

W końcu na nią spojrzał. Była blada jak papier, ciemne oczy przypominały wypalone w kartce dziury.

- Wiesz, że nie mam wyboru.

Rosa roześmiała się nerwowo. Był to przenikliwy, chrobotliwy dźwięk, przypominający tłuczenie starej porcelany.

- On jest... niebezpieczny - wydusiła z siebie.

- Uważasz, że znęcał się nad nią fizycznie?

- Nie, nie. Oczywiście, że nie. Niebezpieczeństwo wiąże się z tym, jak bardzo ona go kocha... kochała.

Liam udał, że nie czuje się zraniony jej przejęzyczeniem.

- A on? Myślisz, że on nadal ją kocha?

- Myślę, że nigdy jej nie kochał - odwróciła się i spojrzała mu prosto w twarz. - Nie musisz tego robić. Bóg Wyprowadzi Mikaelę ze śpiączki, jeśli taka będzie Jego wola. Ty musisz dbać o *su familia*. Ten człowiek może wszystko zniszczyć. Mikaela dawno temu dokonała wyboru. Nie musisz tego robić, Liamie.

Zastanawiał się, czy Rosa zdaje sobie sprawę z tego, że zwróciła się do niego po imieniu. Ta drobna poufałość bardzo podniosła go na duchu.

- Roso, nie jesteśmy dziećmi. Wiemy, że łatwo jest popełnić błąd. Jeszcze nigdy w swoim pięćdziesięcioletnim życiu nie miałem większej pewności, jak powinienem postąpić. Mogę zadzwonić do Juliana i dać mojej żonie szansę powrotu do życia. Albo mogę do niego nie dzwonić i resztę życia spędzić dręczony świadomością, że bojąc się utracić miłość Mikaeli, pozwoliłem jej umrzeć.

Z oczu Rosy popłynęły łzy.

- Nie mógłbym spojrzeć w oczy ani sobie, ani dzieciom, gdybym ze strachu nie zrobił tego, co powinienem zrobić. Zadzwonię do Juliana True. W poszewce jest numer telefonu do jego agenta.

- Ciekawa jestem... - Rosa wyciągnęła ręce i położyła swoje dłonie na dłoniach Liama. - Ciekawa jestem, czy ona wie - powiedziała ciepłym głosem, patrząc na niego zażawionymi oczami. - Czy moja Mikita wie, jakie to dla niej szczęście, że ma ciebie?

- Czy ona mnie kochała. Roso? - Liam nie mógł się powstrzymać, chociaż wiedział, że nie powinien zadać tego pytania.

- Oczywiście - odparła i ścisnęła jego dłonie.

- Tak jak kochała jego?

Rosa zawahała się i ta chwila niepewności powiedziała Liamowi okrutną prawdę.

- *Si* - potwierdziła Rosa z uśmiechem stanowczo zbyt promiennym.

- W takim razie nie mamy się co martwić - skwitował Liam z westchnieniem.

Część III

*Z miłością tak już jest: zawsze kocha się albo zbyt,
albo nie dość mocno.*

Amelia Barr The Belle of Bowling Green

12

Beverly Hills. Dwa słowa, każde z osobna nie ma szczególnego znaczenia, ale - podobnie jak szampan i kawior - razem są synonimem wspaniałego życia. W tej utrzymanej w pastelowych barwach części Los Angeles wszystko wiązało się z fantastyką. Pył gwiazdny z pobliskiego Hollywood złotą powłoką pokrywał wszystko, co ziemskie. Widoczki z Beverly Hills znane są w całym świecie: różowe hotele z telefonami przy basenach, parkowanie samochodów przed urzędami pocztowymi przez umyślnych, stoliki w restauracjach, których nie dostaniesz za żadne pieniądze, ale wystarczy, że zaczynasz być sławny, a natychmiast posadzą cię przy najlepszym. Tutaj w kręgach wybrańców nazwiska są niepotrzebne. Harrison. Goldie. Brad. Julian.

Nawet w owym idealnym, doskonale uporządkowanym, czarownym mieście Julian True był kimś szczególnym. Był nie gwiazdorem, lecz supergwiazdorem, gwiazdą ciągle świecąca silnym blaskiem.

Jak tysiące młodych mężczyzn przed nim przyjechał do Hollywood, mając tylko przystojną twarz i marzenia. Pragnął zostać kimś i wiedział, że cel osiągnie. Wszystko zawsze zdobywał bez większego trudu: kobiety, zaproszenia, zainteresowanie, dosłownie wszystko. I bez żenady brał, co łatwo przyszło.

Dzisiaj szybował wysoko. To najbardziej podobało mu się w popularności. Sława dodawała ludziom skrzydeł. Julian True puścił pedał gazu. Silnik ferrari zareagował natychmiast, auto zwolniło i zatrzymało się przed modną nową restauracją. Zanim Julian zdążył sięgnąć klamki, umyślny parkingowy już stał przy samochodzie.

- Dzień dobry, panie True - powiedział chłopak, bez wątpienia aktor.

- Dzięki, mały. - Julian pokazał zęby w uśmiechu i nie oglądając się, ruszył do wejścia. Kiedy podchodził, drzwi natychmiast się przed nim otworzyły.

- Dzień dobry, panie True.

- Dzień dobry, panie True - kierownik sali, uśmiechając się szeroko, od razu znalazł się przy nim. - Pani już czeka przy pańskim stoliku.

- Dzięki, Jean Paul. Dopisz do rachunku po pięćdziesiąt dolarów dla parkingowego i portiera przy drzwiach i sto dolarów dla siebie. Magazyn „People” może sobie na to pozwolić.

- *Merci*.

Julian podążył za Jeanem Paulem do stolika. Wiedział, że się spóźnił, lecz nie miało to żadnego znaczenia. Ludzie, szczególnie dziennikarze, byli nauczeni, że na niego trzeba czekać.

Zatrzymał się na chwilę i rozejrzał wokół. Szukał znanych twarzy, maklerów, szefów studiów filmowych.

Niestety, była to martwa pora, już po lunchu, ale daleko jeszcze do obiadu, i sala prawie pusta.

Niedobrze.

Potrzebował podziwu i uznania. Do diabła, zasłużył sobie na nie. Nagrania do nowego filmu *Żli chłopcy z kompanii C* poszły lepiej, niż się tego spodziewał. Lepiej, niż ktokolwiek się spodziewał. Julian zarobił dwadzieścia milionów dolarów i dat studiu filmowemu pewny przebój.

Przebój. Jedno z najpiękniejszych słów.

Zobaczył reportera magazynu „People”. Kobieta - bardzo dobrze - siedziała przy najlepszym stoliku w całej restauracji. Najwyraźniej musiała powiedzieć kierownikowi sali, że jest umówiona z Julianem.

Z wdziękiem przeszedł przez salę, kilka razy dobiegły go szepty osób siedzących przy mijanych stolikach. Został rozpoznany.

- Dzień dobry, Saro Sandler - rzekł, zatrzymując się przy swoim stoliku.

Przestała oddychać, znowu zaczęła, wszystko zrobiła w tej samej chwili, jak nowo narodzone dziecko. Na policzki wypłynęły rumieńce.

- Witam, panie True - odpowiedziała na pozdrowienie, wyraźnie próbując opanować zdenerwowanie. Odrzuciła kilka opadających na czoło pasemek włosów, poprawiła okulary.

- Dziękuję, że zgodził się pan ze mną spotkać - dodała jeszcze.

- Mów mi Julian - zaproponował i posłał jej swój Wielki Uśmiech. Usiadł naprzeciwko niej. Wyciągnął jedną nogę i ciężko oparł but na sofie przy jej biodrze. Ręką przejechał po sięgających ramion włosach, zapalił papierosa i obserwował ją przez chmurkę dymu. - A więc, Saro, powiedz mi: Ameryka umiera z ciekawości, żeby czego się o mnie dowiedzieć?

- Czy nie przeważa ci... przeszkadza ci, że będę nagrywała naszą rozmowę?

- Naturalnie, że nie, kochanie - roześmiał się. - Ale będę wdzięczny, jeśli nie wspomnisz o papierosach. Kiedyś uważano, że palacze są seksowni i niebezpieczni, dziś, w purytańskich latach dziewięćdziesiątych, wyglądamy na głupków. Jakbyśmy nie potrafili panować nad swoimi słabościami, nie mieli dość silnej woli, żeby zerwać z nałogiem, który zabił już miliony ludzi. - Uśmiechnął się serdecznie, zniewalająco. Wiedział, że taki uśmiech potrafi rozbroić. Już dawno nauczył się, jak zarzucać haczyk na kobietę i schwytać ją na przynętę. Teraz było to równie łatwe jak oddychanie. - Czy miałaś okazję obejrzeć *Chłopców*?

- Fantastyczny film - pochyliła się w przód z zapalem gorliwej uczennicy.

- Tak, dziękuję. To bardzo wiele dla mnie znaczy. Dziennikarka starała się przybrać poważniejszy wyraz twarzy. Sięgnęła do dużej torby, wyciągnęła jakieś kartki, notatnik i pióro. Wzięła głęboki oddech i spojrzała na niego.

- Powiedz mi, proszę, kiedy uświadomiłeś sobie, że chcesz zostać aktorem? - zadała pierwsze pytanie.

Roześmiał się swobodnie. Znajome pytanie, ciągle na nie odpowiadał. Ten wywiad to pestka. Pochylił się w jej stronę i rzucił porozumiewawcze spojrzenie.

- Zdradzę ci pewien sekret, Saro. Nigdy nie chciałem zostać aktorem. Słowo „granie” sugeruje jakąś pracę. Aktorzy większość swojego życia spędzają, czatując na okazję na Broadwayu, doskonaląc swój fach i jedząc makaron z serem z papierowych pojemników. Ale gwiazda filmowa... - Oparł się wygodnie na sofie i patrzył na nią, jakby była najpiękniejszą kobietą na świecie. - Gwiazda to coś zupełnie innego. To błyskawica zamknięta w słoju. Sława jest najsilniejszym narkotykiem. Każdy pragnie być twoim przyjacielem. Ja chciałem być sławny. Wiedziałem to od chwili, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem, jak traktowane są gwiazdy.

- Ale jesteś wspaniałym aktorem - najwyraźniej nie podobała jej się odpowiedź, której udzielił. - Wszyscy recenzenci zgodnie tak twierdzą.

Milczał przez chwilę, mocno zaciągnął się papierosem, powoli wydmuchał dym.

- Wiem, kim jestem, kochanie, i wcale nie jestem dobrym aktorem. Ale słodka jesteś, że

tak mówisz.

- Czy Julian True to twoje prawdziwe nazwisko? - Sara zerknęła w swoje notatki.

Kolejne znajome pytanie. Julian rzucił jej jeszcze jeden hollywoodzki uśmiech.

- Saro, nic z tego, co oglądasz na ekranie, nie jest prawdziwe - rzekł miękko, uwodzicielsko wymawiając jej imię. - A jednocześnie jest to równie realne jak samo życie. Kimkolwiek byłem i kimkolwiek będę w przyszłości, znajdziesz w technicolorze tysiąc dwieście centymetrów szerokim. To, co zdarzyło się wcześniej, nie ma żadnego znaczenia.

- Bardzo ładny sposób na powiedzenie: „Bez komentarza”.

- Naprawdę?

Zrobiła jakąś notatkę i znowu spojrzała na niego.

- A teraz coś na temat miłości. Czy jest dla ciebie ważna, jakie ma znaczenie w twoim życiu?

- Cztery razy byłem żonaty. Tak, chyba mogę powiedzieć, że miłość jest ważna.

- I cztery razy się rozwodziłeś - podsumowała, starając się nie spuszczać z niego wzroku.

Niezwerbalizowane pytanie spłynęło po nim jak strumień ciepłej wody.

- Chyba jestem niepoprawnym romantykiem. Po prostu nie znalazłem odpowiedniej kobiety. Może ta jedyna przeczyta twój artykuł. Porozmawiajmy teraz o moim filmie. Do osobistych pytań wrócimy później... może przy kieliszku czegoś mocniejszego? - uśmiechnął się. Doskonale wiedział, że nie będzie żadnego później, żadnych miłych koktajli we dwoje. Prawdę mówiąc, niewiele miał do powiedzenia na temat prawdziwego życia. To nie był jego świat.

Julian jechał willową ulicą o wiele za szybko. Dojeżdżając do imponującego wjazdu do Bel Air, zobaczył parę stojącą z boku.

- Och, mój Boże, Sidney, to przecież...! - krzyknęła kobieta, wskazując na niego ręką.

Julian rzucił kobiecie swój zawodowy uśmiech, nacisnął gaz i krętą drogą pomknął dalej do Century City. Zatrzymał się przed okazałym, wysokim budynkiem i zaparkował samochód przy parkometrze.

- Dobry wieczór, panie True - odźwierny pospiesznie otworzył przed nim drzwi.

Julian poklepał się po kieszeni, stwierdził, że nic w niej nie ma. Cholera! Był przyzwyczajony do tego, że to inni regulują jego rachunki, i notorycznie zostawiał portfel w domu.

- Nie mam przy sobie pieniędzy, chłopcze. Powiem, żeby Val dał ci napiwek, dobrze?

- Oczywiście, panie True... i dziękuję. Podążając za odźwiernym, Julian przeszedł przez bogato zdobiony, wyłożony marmurami hol i skierował się do windy. Na ostatnim piętrze drzwi do apartamentu były otwarte. Przy wejściu przechadzał się agent Juliana, Val Lightner.

Bez wątpienia czekał na swego najslawniejszego klienta, czekał z otwarciem szampana.

- Hej, Juli - powitał go Val i w pozdrawiającym geście podniósł w górę kieliszek z martini. Ten ruch pozbawił go równowagi. Oparł się o framugę drzwi. - Jak tam wywiad? Słyszę, że wysłali do ciebie początkującą dziennikarkę, która po powrocie do redakcji jeszcze przez godzinę nie mogła wykrztusić z siebie słowa.

- Myślę, że chciałyby rodzić moje dzieci. - Julian wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Odkąd film wszedł na ekrany, telefony w ogóle nie milkną. Gdybyś był jeszcze bardziej namiętny, potrzebowałbyś azbestowej bielizny.

Julian i Val przyjaźnili się od lat; byli uszyci z tego samego sukna. Val zrobił pieniądze w tym biznesie już dawno temu. Pracował wtedy z Angelem DeMarco, aktorem, którego przed laty okrzyknięto młodym Robertem De Niro i który, będąc u szczytu kariery, rzucił wszystko i odszedł z filmu. Swoim odejściem uczynił z siebie postać legendarną, zdobył sławę, jakiej pewnie nigdy nie zdobyłby na ekranie. Wykorzystując pozycję Angela DeMarco, Val budował światową karierę Juliana True.

- No, wchodź, gwiazdorze - zapraszał Val i śmiejąc się sam do siebie, odrzucił z czoła pukiel jasnych jak łan zboża włosów.

Julian podążył za Valem do apartamentu, gdzie odbywało się głośnie przyjęcie. Gwiazdy filmowe mieszały się w tłumie z podrzędnymi aktorami pragnącymi sławy. Kto jest kim, dało się poznać po oczach. Uznane gwiazdy były pewne siebie, z oczu pragnących sławy wyzierała rozpacz. Wyglądali jak głodni nędzarze przy suto zastawionym stole, z którego nie mogą niczego zjeść.

Wnętrze urządzone ze smakiem i męską powściągliwością. Żadnych obrazów, żadnych bibelotów, żadnych dywanów. Val kupił apartament, wstawił do niego trochę mebli, żeby było na czym usiąść, i nazywał go domem. No, ale przecież Val nie musiał martwić się wystrojem wnętrza. W tym mieście niekupienie czegoś, na co spokojnie można było sobie pozwolić, też uznawano za wyrafinowanie.

- Muszę się napić - powiedział Julian, nie zwracając się do nikogo konkretnie, a już sekundę później ktoś podał mu drinka. Nieważne, co to było, byle wystarczająco mocne. Julian wychylił kieliszek do dna i wślizgnął się do pokoju. Wiedział, że wszyscy na niego patrzą: każdy mężczyzna chciałby być taki jak on, a każda kobieta chciałaby się z nim przespać. I czemu nie? Był u szczytu sławy. Sukces miał najpiękniejszy zapach, najwspanialej smakował. Przechodząc od grupy do grupy, Julian śmiał się, rozmawiał, nieustannie szukając kogoś wzrokiem.

Na kanapie w salonie dostrzegł oszłamiającą blondynkę w skąpej białej sukience. Wydała mu się doskonała. Podeszedł i usiadł obok niej.

- Cześć, kochanie. Jesteś najpiękniejszą kobietą w tym towarzystwie, ale to pewnie wiesz - powiedział i poufale pogłaskał ją po udzie. Cholera, ależ miała cudownie gładką skórę!

Roześmiała się radośnie, piersi kształtne jak dwa dorodne grejpfruty - najwspanialsze, jakie można kupić za pieniądze - niemal wyskoczyły z sukni na głęboki dekolt.

- Jestem Margot - zamruczała seksownie. - Margot LaMere. Jak ci się podoba? Val wymyślił mi ten pseudonim. - Pociągnęła nosem i potarła różowy koniuszek. Potem pochyliła się i tak gwałtownie podniosła w górę swój kieliszek, że bursztynowy płyn prysnął i zalał jej sukienkę. - W szkole średniej grałam w sztuce *Nasze miasto*. Miałam świetne recenzje.

Zupełnie nieoczekiwanie dla siebie Julian poczuł, że mu żal dziewczyny. W Los Angeles widział mnóstwo takich kobiet.

Przyjrzał się jej uważnie i stwierdził, że wcale nie jest taka piękna, a w dodatku przeraźliwie chuda. Włosy, wielokrotnie farbowane, wyglądały teraz jak wiechcie słomy. Na opalonej, zapadniętej klatce piersiowej kości obojczyków sterczały wysoko. Pod kilkoma warstwami tuszu do rzęs w brązowych oczach kryła się rozpacz. Do Hollywood codziennie przyjeżdżały podobne do niej dziewczyny, motyle szukające złotego kielicha sławy. Za kilka lat Margot LaMere prawdopodobnie będzie załamana, samotna i uzależniona od narkotyków.

Julian nie chciał myśleć o takim życiu. Cofnął rękę i podniósł się z kanapy.

- Zaraz wrócę, malutka - rzekł. Dziewczyna głośnie westchnęła. To ciężkie westchnienie powiedziało Julianowi, że zrozumiała. On nie wróci.

Julian zaczął przeciskać się przez tłum gości. W holu przemknął obok uprawiającej seks pary.

Odnalazł Vala w sypialni. Wciągał nosem działkę kokainy rozsypanej na nocnym stoliku. Siedząca obok niego naga kobieta miała na sobie tylko czerwone koronkowe majteczki.

- Hej, Jules. - Val odwrócił się i leniwie uśmiechnął. - Przywitaj się z May Sharona. Chciała porozmawiać z tobą o roli w... - dłonią objął doskonałą prawą pierś dziewczyny. - Jakim filmem byłaś zainteresowana, laleczko?

Teraz kobieta coś mówiła. Julian widział, że uszmiukowane usta poruszają się, ale nie słuchał. Wiedział, co ona mówi, słyszał to już wiele razy.

- Idę na inne przyjęcie. Tu się nic nie dzieje. - Sekundę za późno Julian zdał sobie sprawę z tego, że właśnie brutalnie podeptał marzenia tej kobiety.

Val nawet nie zauważył, że May Sharona - Boże, co za nazwisko - zrobiła się czerwona jak burak i z trudem łapała oddech. Chwiejnie podniósł się do pozycji siedzącej.

- O co chodzi? - wymamrotał. - Mam więcej kokainy w łazience.
- Nie, dziękuję.
- Nie? Nie? - Val uwolnił się z objęć kobiety i sięgnął po kieliszek z martini. Niepewnym krokiem przeszedł przez pokój. Ramieniem objął Juliana, zawisł na nim na chwilę, chwiał się i uśmiechał pod welonem blond włosów. - Czekaj, zanim pójdziesz, mam wiadomość dla ciebie. Ktoś dzwonił do biura, szukał ciebie. Jakiś lekarz. Powiedział, że chce porozmawiać z tobą o Mikaeli Luna. Jak ci się podoba to echo przeszłości? - Podniósł do ust kieliszek z martini i wolno sącył trunek.
- Żartujesz?
- Nie. - Val zmarszczył czoło, jakby już zapomniał, o czym mówili.
- Lekarz. Jezus, co jej się stało?
- Nie mam pojęcia. Chciał, żebyś do niego oddzwonił.
Julian poczuł dziwny ucisk w piersi. Kayla. Spośród wszystkich kobiet ją kochał najbardziej.
- Gdzie jest ten numer? - zapytał.
- Prosiłem Susan, żeby zostawiła go na twojej automatycznej sekretarce. - Val machnął ręką i niemal stracił równowagę.
- Dzięki. - Julian zareagował automatycznie. Zalała go fala wspomnień. Jego pierwsza miłość. Kayla. Od tak dawna nic o niej nie słyszał, że prawie o niej zapomniał. Prawie.
Val odsunął się od Juliana i poszedł w kierunku łóżka. Na samym brzegu upadł na nie jak kłoda drewna.
- Fajnie by było ją odnaleźć. Zaginioną panią True. Prasa ją uwielbiała. - Przerwał i zamglonym wzrokiem spojrzał na Juliana. - Ty zresztą też.

Przy bramie do swojego domu Julian powiedział coś do małego, czarnego telefonu wewnętrznego. Skrzydła misternie kutej bramy rozsunęły się natychmiast, odsłaniając krótki podjazd prowadzący do rozłożystego bungalowu w hiszpańskim stylu. Tak przynajmniej nazywał dom projektant. Pięć rodzin mogło w nim spokojnie mieszkać, ale tu, na tym zalesionym pasie ziemi, to był tylko bungalow.

Julian mieszkał w nim od dziesięciu lat, z czego dwa z Priscillą-słodziutką-jak-ciasteczko, cztery z Dorotheą-prawdziwą-suką i rok z Anastasią. Z Kaylą tu nie mieszkał.

Żadna z żon nie dodała do wystroju wnętrza domu, żadnej fotografii, lampy czy obrazu. Każda wprowadzała się tu, nie mając nic, i mieszkając tu, nic nie wniosła, a wyprowadzając się, zabierała z sobą kilka milionów z konta byłego męża. I w tym, jak przypuszczał Julian, kryło się sedno problemu. On bardziej dbał o ten dom niż o kobiety, z którymi się żenił i wprowadzał do niego.

Nie, to niezupełnie była prawda. To nie był dom. To jedynie budynek, który chciał być domem. A on, Julian, nigdy nie miał czasu dla domu.

Poszedł w górę wykładaną kamieniami ścieżką. Z obu jej stron stały gęste, wiecznie zielone drzewa w ogromnych ceramicznych donicach i, nawet o tej śpiącej porze roku, rozsiewały delikatny zapach cytrusów. Reflektory rzucały na ścieżkę złote cienie. Gąszcz różowych kwiatów późno kwitnących tropikalnych pnączy okalał główne wejście. Ścieżkę oświetlało dwanaście ceramicznych lamp w japońskim stylu.

- *Buenos noches, Señor True.* Jak udał się pokaz? - W drzwiach powitała Juliana jego gospodyni, Teresa. Jak zawsze jej strój był nieskazitelnie biały i wykrochmalony jak nowy żagiel. Nawet jeden siwy włos nie wymknął się spod gładko ułożonej fryzury.

- Kolejny przebój - odpowiedział, ale nawet się nie uśmiechnął, zbyt pochłonięty swoimi myślami. Marszcząc czoło, minął Teresę i wszedł do chłodnego, przestronnego domu. Wnętrze było pełne kontrastów: białe, zdobione sztukaterią ściany z drewnianymi elementami w kolorze ciemnego orzecha, białe, kryte drelichem ogromne krzesła i ciemne, rzeźbione drewniane stoły. Podłogę wyłożono dużymi kwadratowymi i prostokątnymi płytami terakoty, na których nie sposób było dostrzec choćby najmniejszej plamy.

W lśniącej czystości kuchni Julian nalał sobie do kubka podwójną porcję tequili i wypił

do dna, nie sięgając ani po sól, ani po cytrynę. Wsadził butelkę pod pachę i rozpoczął poszukiwania. Gdzieś w tym domu przecież musi być jakieś zdjęcie Kayli. Chodził z pokoju do pokoju, brał do ręki każdą fotografię, aż znalazł to, czego szukał. W głębi pokoju muzycznego, na półce z książkami zamocowanej tak wysoko, że nie można było dosięgnąć z podłogi, znalazł oprawioną w ramki fotografię Kayli.

Na grubym dywanie pomału opadł na kolana i wpatrywał się w zdjęcie. To ich ślubna fotografia.

Od wielu lat nie zrobiono Julianowi takiego zdjęcia. Wiedział, że jest przystojnym mężczyzną - mając czterdzieści lat, wyglądał lepiej niż w wieku lat dwudziestu czterech - ale na tym zdjęciu odkrył jeszcze coś. Był wstrząśnięty, gdy uświadomił sobie, że zdumiewa go wypisana na twarzy uczciwość. Na tym zdjęciu utrwalono ostatni prawdziwy wizerunek człowieka, jakim kiedyś Julian chciał być.

Zamknął oczy i wspominał Kaylę. Spędzali miesiąc miodowy... pływali jachtem po Karaibach...

- Powiedz mi, jak ty się naprawdę nazywasz - szepnęła z uśmiechem.

- Mowy nie ma. Nikomu nie powiem - skrzywił usta w uśmiechu, to ten jego hollywoodzki uśmiech, i od razu wiedział, że sprawił jej przykrość.

- Powiesz. Nadejdzie taki dzień...

- Tego chłopaka już nie ma, Kay. - Poglaskał ją po policzku i odsunął opadające na oczy włosy. - On nigdy nie wróci. Lubię być Julianem True. Takim chcę być dla ciebie.

- Nie rozumiesz, Jules? Możesz być kimkolwiek, gdziekolwiek, a ja i tak będę cię kochała do samej śmierci.

Otworzył oczy i popatrzył na zdjęcie.

Kochała go, jak nikt przedtem ani potem go nie kochał. Kochała jego, nie jednowymiarowy celuloidowy obrazek człowieka znanego jako Julian True. Często powtarzała, że kiedy Julian się skaleczy, ona krwawi. Nawet tylko wspominając tamte czasy po piętnastu latach, jedno wiedział na pewno: ona go naprawdę kochała.

13

Liam siedział przy biurku. Nie zapalał świateł i nie chciał przerywać ciszy, więc nie nastawił żadnej płyty kompaktowej.

Zabrzączał interkom.

- Doktorze? Jest pan tam? - Z małego czarnego pudełka rozległ się spokojny głos Carol.

- Jestem, Carol. Możesz się zbierać do domu. Skończyliśmy na dzisiaj - rzekł, wciskając guzik.

- Nie uwierzy pan, panie doktorze. Mam na linii pana, który mówi, że nazywa się Julian True. Liamowi podskoczyło serce.

- Przełącz.

- Czy pan myśli, że to naprawdę...

- Przełącz go, Carol, i zabieraj się do domu. Skończyliśmy na dzisiaj.

- Tak, panie doktorze.

Czerwone światelko na pierwszej linii zaczęło migotać. Liam wziął głęboki oddech i wcisnął klawisz jedyński.

- Mówi doktor Campbell - powiedział, podniósł słuchawkę.

- Czy to doktor Liam Campbell? - po krótkiej chwili ciszy padło pytanie.

- Tak, to ja. - Nawet przez zniekształcające dźwięk łącza telefoniczne Liam rozpoznał głos.

Mówi Julian True. Zostawił pan dla mnie wiadomość u mojego agenta, Vala Lightnera. Chodziło o Mikaelę Luna...

- Miała wypadek.

- O Boże! Czy to coś poważnego?

- Jest w stanie śpiączki.

Znowu na linii zaległa cisza, słychać było jakieś trzaski i Liam pomyślał, że Julian dzwoni

z telefonu w samochodzie.

- Śpiączka. O Jezu... Jak mogę pomóc? Pokryję koszty leczenia, pobytu w szpitalu i najlepszych w kraju lekarzy... Nie chcę sugerować, że pan nie robi wszystkiego, co możliwe, doktorze Campbell, ale...

- Jej nie są potrzebne pana pieniądze, panie True. Dzwoniłem do pana, ponieważ... ona zdaje się reagować na pańskie imię. Myślałem... to znaczy myśleliśmy, że może kiedy usłyszy pański głos...

- Sądzi pan, że dla mnie się obudzi? Liam nie spodziewał się w tym prostym pytaniu usłyszeć tyle bólu.

- Uważamy, że istnieje szansa - odpowiedział.

- Dzisiaj po południu jestem umówiony na wywiad, ale przyjadę jutro. Gdzie ona leży?

- W Ośrodku Medycznym Iana Campbella w Last Bend, stan Waszyngton. To jakieś sześćdziesiąt mil na wschód od Bellingham.

- Dobrze, poproszę Antoinette, żeby wszystko załatwiła.

- Kiedy już przyjedzie pan do ośrodka, proszę pytać o mnie. Będę w swoim gabinecie.

- Dobrze.

Liam czekał, żeby Julian zakończył rozmowę, ale ten nie przerwał połączenia, tylko dyszał w słuchawkę, nic nie mówiąc.

- Czy chce pan jeszcze coś wiedzieć? - zapytał w końcu Liam.

- Taaak. Hm... Jak ona wygląda? Chodzi o to, że chciałbym być przygotowany.

To takie ludzkie, normalne pytanie, więc dlaczego Liam poczuł, jak zalewa go złość?

- Jest piękna. Tak piękna, jak pan ją prawdopodobnie pamięta.

Biuro Vala mieściło się w północno-wschodnim skrzydle wysokościowca na Wilshire Boulevard. Wielkie okna tworzyły zewnętrzne ściany narożne. Przez nie roztaczał się widok na inne wysokie budynki, za którymi widać było już tylko brązowy smog.

Przy szklanym stoliku do kawy stało kilka smukłych krzeseł. Na ścianach porozwieszano plakaty filmowe i programy teatralne. Każdy z nich był wizytówką jednego z klientów Vala. W rogu pomieszczenia królował olbrzymi telewizor, otoczony piętnastoma mniejszymi ekranami. W chwili obecnej na wszystkich monitorach szedł jakiś muzyczny wideoklip.

Val siedział przy gigantycznym prostokątnym blacie z zielonego szkła, który pełnił rolę biurka. Przygarbiony, głowę wspierał na rękach.

Julianowi nie trzeba było mówić, że lepiej ściszyć głos. W ciągu wspólnie spędzonych lat często razem balowali, wiedział więc, kiedy jego najlepszy przyjaciel leczy paskudnego kaca. Przeszedł przez pokój i usiadł w miękkim, krytym czarną skórą krześle po drugiej stronie biurka.

- Ciszej - jęknął Val.

- Słuchaj, Val, wiem, że paskudnie się czujesz, ale naprawdę muszę z tobą porozmawiać.

- Szeptem, proszę.

- Dzwoniłem do tego lekarza w Podunk w stanie Waszyngton. Chodziło o Kaylę. Miała wypadek, jest w stanie śpiączki.

- I co, potrzebują pieniędzy na pokrycie rachunków za leczenie? - zapytał Val, powoli unosząc głowę. Oczy miał okropnie zapuchnięte i przekrwione.

- Nie. Lekarz powiedział, że ona reaguje na moje imię. Oni chyba uważają, że mogę jej pomóc wyjść ze śpiączki, jeśli będę do niej mówił.

Val przejechał ręką po włosach, zaczesując je do tyłu. Tłuste blond pasma natychmiast z powrotem opadły na popielatą twarz. Chytry uśmiešek powoli unosił jeden kącik ust. Julian od razu zrozumiał, o co chodzi. Taki wyraz twarzy Vala oznaczał: możemy-na-tym-nieźle-zarobić.

- Zupełnie jak w bajce dla dzieci. Budzi ją pocałunek ukochanego, rozumiesz? Prawdziwa miłość przywraca ją do życia. O rany, jaki to świetny tytuł!

- To poważna sprawa, Val. Ona jest w złym stanie. Może umrzeć.

- Och! - Uśmiech na twarzy Vala wyraźnie zbladł. Julian przyglądał się przyjacielowi. Z

jego twarzy wyczytał wszystko. Teraz Val myślał, że na przykład taki tytuł: PRAWDZIWA MIŁOŚĆ ZABIJA, nie brzmi dobrze.

- A zatem co zamierzasz zrobić? - zapytał w końcu Val.

Julian oparł się wygodniej. Krzesło zatrzeszczało i odchyliło się odrobinę w tył. Przez głowę, jak chmurki po niebie w letni dzień, przemykały mu obrazy i wspomnienia.

- Ona była tą jedyną, Val. Ona naprawdę mnie kochała.

- Wszystkie cię kochają, Julianie.

- Kay była inna. Ja też ją kochałem.

- Widziałem filmy, które trwały dłużej niż twoja miłość.

- Jadę tam - oświadczył Julian. Uwaga Vala bardzo go zabolala. - Zaraz po wywiadzie dla magazynu „Rolling Stone”.

- Co? Ten pieprzony film będzie wielkim przebojem, Juli. Mamy nagrany całą kupę spotkań z prasą...

- Przecież nie zniknę z powierzchni ziemi - uśmiechnął się Julian. Uwielbiał zaskakiwać Vala, chociaż udawało mu się to niezwykle rzadko. - Po prostu wyjeżdżam z miasta na dzień lub dwa. Płacę ci rocznie dwa i pół miliona dolarów, zapracuj na te pieniądze.

- W porządku, Jules - powiedział Val, potrząsając głową. - Jedź i odgrywaj rolę księcia z bajki. Ale za dwa dni wróć. Mówię poważnie.

- Jeszcze jedno. Ani słowa prasie. Muszę to zrobić sam.

- Jezu, Juli. - Val ostro spojrzał na niego. - Przecież ty nigdy niczego nie robisz sam.

- Zawsze musi być pierwszy raz.

Światło w kuchni było zgaszone, ale Liam widział dwie plamy niebieskich płomieni na kuchence gazowej. Z garnków unosił się aromatyczny zapach przygotowywanych przez Rose potraw. W jadalni już nakryto do obiadu. Na środku stołu, dodając mu szczególnego wdzięku, stał wazon ze starannie ułożonymi gałązkami sosny i liśćmi paproci.

W dużym pokoju na parapetach i wszystkich blatach stały świece. Świecznik na fortepianie rzucał na pokój żółte, migotliwe światło.

Liam usłyszał cichy, miarowy odgłos kroków Rosy, schodzącej na dół w kapciach;

- *Buenos noches*. Roso - powitał ją.

- *Buenos noches*, doktorze - odpowiedziała, kiedy już znalazła się na dole.

- Co znaczą te wszystkie świece. Roso?

- Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzają? Wiem, że to nie mój dom...

- *Mia casa es su casa* - przerwał jej. - Byłem po prostu ciekaw... dlaczego tak nagle...

Rosa weszła do dużego pokoju i zatrzymała się przy fortepianie. Na hebanowej powierzchni instrumentu pojawiło się jej odbicie upstrzone plomykami światła świec.

- Czy to wszystko dla Mike? - zapytał Liam, stając tuż za nią.

Potrząsnęła głową, a koniec siwego warkocza jak wahadło przesunął się po jej biodrach. Odwróciła się powoli i spojrzała mu prosto w oczy. Na jej twarzy malował się niepokój.

- Również dla ciebie pozapalałam te świece, doktorze Liam. Dla ciebie i dzieci. Widziałam się dzisiaj z Carol. Powiedziała mi, że dzwonił Julian True i że z nim rozmawiałeś. Wiadomości szybko się rozchodzą w tym mieście.

- Szczególnie takie - przytaknął. - Sensacyjne wiadomości. A Julian będzie tu jutro.

Wydeła usta w grymasie dezaprobaty, ale się nie odezwała.

- Uważasz, że nie powinienem do niego dzwonić.

- Nieważne, co sądzi stara kobieta.

- Chodź - rzekł i poprowadził ją do kanapy. Usiadła sztywno, kolana i dłonie ściśnięte razem, wzrok

Spuszczony.

Usiadł obok i pochylił się do przodu w nadziei, że zmusi ją do podniesienia oczu.

- Ja też się tego boję. Roso - wyznał. - Jeszcze nigdy w życiu tak bardzo się nie bałem. Ale kocham ją. Nie mogę pozwolić jej odejść, nie wykorzystawszy wszystkich możliwości.

· *Mia casa es su casa* - mój dom jest twoim domem (hiszp.).

- Ty nie wiesz, co to jest zła miłość - westchnęła ciężko. - Moja biedna Mikita dorastała, patrząc na taką miłość....i sędzę, że... jak by to powiedzieć?... zaraziłam ją swoim żalem.

- Julian True ją poślubił, Roso. Musiał ją kochać.

- Wiesz, jest miłość... i miłość. Dobra miłość, taka, jaką ty darzysz moją Mikaelę, nie zmusza młodej kobiety do ucieczki z maleńkim dzieckiem. Nie tkwi ukryta jak zadra w sercu przez całe lata. Nie pozwala ci marznąć w pustym łóżku w zimowe noce.

Liam odwrócił wzrok. Światło świec migotało w całym pokoju. Tysiące malusieńkich złotych kropeczek śmigało po ciemnych szybach okien.

- Kiedy poprosiłem Mike, żeby za mnie wyszła - mówił cicho, nie patrząc na Rose - powiedziała mi, że już wcześniej była zamężna... i że się boi, bo może już nikogo nie zdoła tak pokochać.

- Oczywiście, że się bała - podjęła Rosa. - Miłość dla kobiety takiej jak Mikaela jest czymś przerażającym. Znała tylko jeden rodzaj miłości, płomienne uczucie, które niczym ogień trawi wszystko wokół. W dodatku tyle lat patrzyła na mnie, samotną, czekającą na mężczyznę, który nigdy się nie pojawił. Jak mogła się nie bać, jak mogła czuć cokolwiek innego, gdy jej wyznałeś, że ją kochasz? Ale pamiętam, jak opowiadała mi o tobie po raz pierwszy. „Jest lekarzem, mamó - mówiła. - I okropnie mnie kocha”. A ja jej na to: „Bądź mądra i odwzajemnij jego uczucie”. Mikaela odparła wtedy, że złamane serce już nie potrafi tak bardzo kochać. Nie mogę tego zapomnieć, chciało mi się płakać. - Zniszczoną, spracowaną ręką Rosa dotknęła policzka Liama. - Rozmawiałam z nią wiele razy w ciągu tych lat, kiedy byliście razem. A gdy urodził się Bret... nie widziałam Mikaeli szczęśliwszej. Sędzę, że przestała myśleć o tym, co minęło. Ona pana kocha, doktorze Liam. Moje matczyne serce to wie.

- Ale czy dość mocno? - zapytał.

Rosa odwróciła wzrok. Z jej ust wyrwało się ciche westchnienie, brzmieniem przypominające syk powietrza uchodzącego ze starej, zużytej opony.

- Słyszałeś wiele słów, które złożyły się na historię Mikaeli, ale może ten obraz wcale nie jest prawdziwy. Była młodziutką dziewczyną, kiedy poznała Juliana, tylko odrobinę starszą od Jacey. Lecz w niczym nie przypominała Jacey. Miała słabą, biedną matkę i ojca, który nigdy nie rozmawiał z nią przy ludziach. Mieszkała w dzielnicy cieszącej się złą sławą, w domu, który wstyd było komuś pokazać. Pewnego dnia ujrzała bóstwo. Zakochała się w nim, tak jak tylko potrafi się zakochać młodziutka dziewczyna. Pobrali się... ale on nie był bóstwem. Był młodym egoistą, pragnącym jedynie się bawić. Chciał dostać wszystko, bo uważał, że wszystko mu się należało. A miłość, miłość jest trudna, prawda? I złamał to serce, które niegdyś wypełnił miłością. - Pochyliła się i dotknęła dłoni Liama. - Kiedy on przyjedzie, nie mów Jacey, kim jest. To *muy importante*. Nie możemy pozwolić, żeby zranił naszą kochaną dziewczynkę.

- Masz rację. Roso. Na razie nic nie powiemy. - Liam zdawał sobie sprawę z tego, że zatajenie prawdy przed Jacey jest swego rodzaju wygodnictwem, pójściem na łatwiznę, tłumaczył sobie jednak, że to sama Mikaela powinna wyjawic córce swoją tajemnicę.

Chociaż zgodził się z Rosą, jednak już w momencie, gdy usłyszał swoje słowa, jakiś wewnętrzny głos powiedział mu, że to nie w porządku.

Liam powoli wchodził schodami na górę. Wiedział, że nie powinien rozmawiać teraz z Jacey. Szansa, że powie, co trzeba, równała się szansie zdobycia przez niego Mont Everestu. Ale czuł, że musi z nią posiedzieć, potrzymać za rękę, popatrzeć w oczy. Oczywiście, że było to poczucie winy, choć nie tylko. Kryło się za tym znacznie więcej. Po raz pierwszy w życiu bał się, że utraci miłość córki.

Przed drzwiami zatrzymał się na chwilę, potem cicho zapukał.

- Proszę.

Otworzył drzwi. Jacey, tak jak przypuszczał, wisiała na telefonie. Szybko skończyła rozmowę i odłożyła słuchawkę.

· *Muy importante* - bardzo ważne (hiszp.)

- Cześć, tato. Tato.
- Cześć, mała.
- Jak mama?
- Bez zmian - rzekł, siadając obok córki i biorąc ją za rękę. - A ty? Jak sobie radzisz?
- Dobrze. - Jacey zmusiła bladą twarz do uśmiechu.

Liam nie wiedział, co jeszcze mógłby powiedzieć. Cały czas zaprzętały go myśli, co się stanie z nimi wszystkimi, kiedy w ich życiu pojawi się Julian True. Jacey, podobnie jak Liam, wiedziała jedynie, że Mike wyszła za mąż bardzo młodo, za człowieka, który nie dorósł do małżeństwa. Dwoje dzieciaków... takie małżeństwo nie mogło przetrwać. Ot, zwykła historia, którą Mike wymyśliła. Nie było w niej miejsca dla Juliana True.

Liam uświadomił sobie, że w przyszłości już zawsze będzie dzielił swoje życie na dwa okresy: przed i po tym, jak Mikaela zapadła w śpiączkę.

Nieszczęścia niczym brzytwa przecinały czas, rozgraniczały teraźniejszość i przeszłość, rozdzielały to, co mogłoby być, od tego, co rzeczywiście jest, z chirurgiczną precyzją. Nawet jeśli Mikaela wróci do zdrowia, ich życie już nigdy nie będzie takie samo. Liam obawiał się, że tajemnice Mikaeli jak zadra pozostaną w nim na zawsze. Paskudna, złośliwa drzazga, która utkwiała tak blisko serca, że zakłóca jego pracę, i chociaż można ją usunąć, wyciąć, pozostaną blizny. Poza tym małe odpryski przenikną do krwi, psując ją, kto wie, jak bardzo. Może więc, kiedy Liam niechcący się skaleczy, z rany najpierw popłynie krew czarna jak atrament i dopiero po chwili przypomni sobie, że powinna być czerwona.

Patrząc teraz w smutne, brązowe oczy córki, wiedział, że należy powiedzieć jej prawdę o Julianie. Wiedział również, że on tego nie zrobi. Poświęciłby własne życie, żeby oszczędzić jej takiego bólu.

- Dobrze się czujesz, tato?

- Tak dobrze jak deszcz w Seattle - zażartował, ale nie potrafił się uśmiechnąć. Pochylił się w kierunku Jacey i wziął ją w ramiona. Mocno się do niego przytuliła i na jedną cudowną chwilę Liam zapomniał o wszystkim. Liczyło się jedynie to, że ją kochał... i ona też go kochała.

Gdy się odsunął, w oczach Jacey dostrzegł tę mieszaninę rozpacz i przerażenia, która odmieniła ich wszystkich.

- Tato?

Nagle poczuł się bardzo kruchy, przy najlżejszym dotyku rozsypałby się na drobne kawałki.

- Kocham cię, Jacey. Tylko to chciałem ci powiedzieć.

- Ja też cię kocham, tato - uśmiechnęła się. Napięcie minęło, teraz czuła się odprężona. - Pamiętasz, kiedy miałam zapalenie wyrostka?

- Oczywiście - pogłaskał ją po włosach.

- Dałeś mi lizaka i obiecałeś, że zabierzesz ból... i rzeczywiście ból przeszedł.

- Żałuję, że teraz nie jest to równie proste.

- Szkoda, że nie jestem już małym dzieckiem - powiedziała bez uśmiechu.

Przytulił ją do siebie. Jeśli nawet zastanawiała się, dlaczego. tak mocno ją przytula, nigdy nie poruszyła tego tematu.

14

Miasto wyglądało jak plan filmowy. Milutka osada nocą.

Julian wyglądał przez przyciemnione okna limuzyny. Chyba nigdy nie widział tak... sympatycznego miasteczka. Odnosił wrażenie, że lada chwila zobaczy skaczące po chodniku postacie z filmów Disneya.

Opuścił wewnętrzną szybę, żeby móc rozmawiać z kierowcą.

- Szukamy Wiejskiej Rezydencji, nocleg ze śniadaniem - zwrócił się do kierowcy. - Prawdopodobnie jest w pobliżu gospody Drift On Inn.

- Znam adres, proszę pana.

- Bogu dzięki. W tak małym mieście nie mogliśmy przejechać dużo za daleko. Przecznice, może dwie?

Kierowca skręcił z Main Street w Glacier. W połowie drogi natknęli się na barykadę. Na środku ulicy, za pomarańczowymi barierkami stało kilka aut. Kierowca zatrzymał się i zaczął zawracać samochód.

- Czekaj - powstrzymał go Julian i nacisnął przycisk otwierający okno. Szyba z cichym szumem zjechała w dół, a on wystawił głowę na zewnątrz, chcąc zobaczyć, dlaczego zatarasowano ulicę. Zimne powietrze zakłuło w oczy i w nos.

Po prawej stronie rozpościerał się ogromny, spowity w biel teren. Pośrodku znajdował się duży zamrożony staw. Wokoło prowizorycznego lodowiska stały przodem zaparkowane samochody. Żółte światła ich reflektorów uczyniły z tego miejsca nowojorskie Madison Square Garden na świeżym powietrzu. Wszędzie kręciło się mnóstwo ludzi, dzieci i dorośli jeździli na łyżwach, wszyscy poruszali się w tym samym kierunku.

Rzut kamieniem od samochodu zobaczył wózek z przekąskami. Kilka osób przygotowywało hot dogi na otwartym grillu.

- Jezu, brakuje tylko Jimmy'ego Stewarta - mruknął. Schował głowę i zasunął szybę. - Jedź do tego hotelu.

Limuzyna zawróciła i wjechała z powrotem w Main Street.

- Teraz takie miasteczka to rzadkość - odezwał się kierowca, niespokojnie spoglądając we wsteczne lusterko.

Zatrzymali się przed stojącym na narożnej parceli ogromnym wiktoriańskim budynkiem, którego dach pokrywały czapy śniegu. Biały płot ze sztachet dzielił na mniejsze, foremne poletka rozległy plac przed domem. Obok otwartej bramy widniał wyryty napis: WITAJCIE W NASZEJ WIEJSKIEJ REZYDENCJI.

Julian wysiadł z samochodu. Oddech zamieniał się w białe chmurki już przy samej twarzy. Chryste, ależ zimno! Miał nadzieję, że Teresa zapakowała mu palto.

- Wnieś bagaże - polecił kierowcy, od razu idąc ku wejściu. Warstwa zmarzniętego śniegu skrzypiała pod stopami.

Drzwi otworzyły się, zanim zdążył wejść na werandę. Stała w nich siwowłosa, tęga kobieta w kwiecistej sukience i fartuchu w kratę.

- To naprawdę pan! Dziewczynki i ja nie śmiałyśmy nawet o tym marzyć. W takim miasteczku... - zaczęła chichotać.

Na wzmiankę o „dziewczynkach” wyobraził sobie gromadkę rozchukanych stworzonek, wszystkie w bawełnianych kwiecistych sukienkach. Chociaż czuł się zmęczony, posłał jej ten swój Uśmiech. Nigdy nie szkodzi przypochlebić się fanom.

- Witaj, kochanie - powiedział. Kobieta z zadowolenia aż klasnęła w dłonie, w górę uniosła się chmurka mąki.

- Kochanie... ojej! Niech no tylko powiem Gertrudzie. Upiekłam kruche ciasteczka, tak na wszelki wypadek. W „Enquirer” pisali, że to pańskie ulubione.

- Jesteś aniołem zesłanym prosto z nieba - rzekł, chociaż, prawdę mówiąc, nie bardzo pamiętał, jak, do diabła, smakują kruche ciasteczka. - Słuchaj, jeśli nie masz nic przeciwko temu, od dawna jestem w podróży i padam ze zmęczenia. Będę wdzięczny, jeśli wskażesz mi mój pokój.

- Oczywiście. - Zakręciła się na pięcie niczym bączek i w podskokach pobiegła w górę wąskimi schodami. Julian słyszał, jak za jego plecami kierowca tłucze się z bagażem.

Na pierwszym piętrze kobieta poszła do końca długim korytarzem i otworzyła drzwi do dużej, przestronnej sypialni, całej w falbankach. Laura Ashley nawet pod wpływem LSD nie znalazłaby zastosowania dla tyłu falbanek.

- To pokój dla nowożeńców - wyjaśniła, promieniejąc z radości. Wyciągnęła pulchną rękę do Juliana. - A tak przy okazji: jestem Elizabeth, ale może pan mówić do mnie Lizbet.

- Liz... bet. Jakie urocze imię! - Julian wsadził głowę do pokoju i zmarszczył brwi. - Przepraszam, a gdzie jest łazienka?

- W końcu korytarza. Trzecie drzwi na lewo.

- Chcesz powiedzieć - powoli odwrócił się do niej twarzą - że mam dzielić łazienkę z innymi?

- Tak pewnie by było, ale sezon narciarski jeszcze się nie rozpoczął. Jest pan naszym jedynym gościem. Wobec tego jest to pańska prywatna łazienka.

- Tylko że idąc tam, muszę zabierać kanapki na drogę.

- No nie... - prychnęła.

- Przepraszam, żartowałem. Pokój jest zupełnie w porządku. Proszę dać również jakiś pokój mojemu kierowcy, dobrze? Najlepiej na innym piętrze. Zapłacę za wszystkie pokoje, chciałbym, żeby cała Rezydencja była do mojej dyspozycji.

- Oczywiście - zarumieniła się i pokiwała głową. Odchodząc, cofała się tyłem i cały czas uśmiechała. Dopiero gdy była daleko, odwróciła się i zniknęła.

Julian usiadł na brzegu łóżka. Sprężyny zaskrzypiały i zajęczały pod ciężarem jego ciała.

- Rozpakuj walizki, dobrze? - polecił szoferowi i opadł plecami na łóżko.

Nagły, choć niezbyt poważny wypadek zatrzymał Liama w gabinecie prawie do piątej po południu. Zanim wszystko pozamykał i mógł wyruszyć do szpitala, zrobiło się ciemno. Kiedy wyszedł na zewnątrz, z oddali doszedł go wysoki, piskliwy śmiech dzieci. Dzieciaki szalały na lodowisku.

Wsiadł do samochodu i przejechał przez wyludnione miasto. W szpitalu skierował się do niewielkiego narożnego gabinetu, który dzielił z Tomem Granato, lekarzem ogólnym z Deming.

W chwili gdy aktor zajechał przed szpital, Liam już o tym wiedział - za drzwiami bowiem panowało wyraźne poruszenie, słychać było pospieszne kroki, głośniejsze niż zwykle szepty. Liam czekał, aż odezwie się brzęczyk telefonu.

Zamiast sygnału interkomu w drzwiach pojawiła się Sarah. Weszła, nawet uprzednio nie zapukawszy. Buzię miała zarumienioną z emocji, chichotała.

- Doktorze Campbell, jest tu pan, który chce z doktorem mówić...

- Julian True.

- Skąd pan wiedział? - zachłysnęła się ze zdumienia.

- Czary.

- Mówi, że przyjechał zobaczyć się z Mikaelą.

- Wprowadź go.

Sarah szybko skinęła głową i znikła.

No więc zaczęło się. Liam próbował się uspokoić. Tak starannie przygotowywał się dzisiaj rano. Włożył najlepsze czarne spodnie i niebieską flanelową koszulę, którą dostał od Mike w ubiegłym roku na Gwiazdkę. Teraz wiedział, że to wszystko nie miało żadnego znaczenia. Białe fartuch i tak zakrywał wszystko.

Drzwi otworzyły się.

Liam się odwrócił.

Stojący w drzwiach mężczyzna uśmiechał się, tylko tyle, a Liam poczuł, że jest mu słabo. Zdjęcia nie oddawały Julianowi sprawiedliwości; żaden obiekt nie był w stanie uchwycić magicznego uroku tej twarzy.

- Jestem Julian True - przedstawił się zupełnie niepotrzebnie.

Liam rzekłby nawet, że Julianowi podobało się udawanie, iż na świecie są jeszcze ludzie, którzy nie wiedzą, kim on jest. Powoli podniósł się z krzesła. Zdjął okulary, jak gdyby to mogło mu pomóc, i włożył je do kieszeni fartucha.

- Witaj, Julianie. Cieszę się, że przyjechałeś. Jestem Liam Campbell. Chciałem...

- Czy mogę ją zobaczyć? - przerwał mu Julian. Liam westchnął. Nie wiedział, dlaczego chciał odsunąć w czasie ten moment. Przecież i tak Julian nie miał zamiaru natychmiast wyjechać. Mimo to na myśl, że połączy tych dwoje, robiło mu się niedobrze.

- Proszę za mną - powiedział.

Prowadził Juliana korytarzem do pokoju Mikaeli. Powoli otworzył drzwi.

Julian przepchnął się obok niego i podszedł do łóżka. Długo patrzył na Mikaelę.

- Co się stało? - zapytał wreszcie.
- Spadła z konia i głową uderzyła w słupek ogrodzenia.
- Od jak dawna jest w takim stanie?
- Nieco ponad miesiąc.

Julian odrzucił z czoła kosmyk włosów.

- Cześć, Kayla. To ja, Jules - powiedział i podniósł oczy na Liama. - Czy ona mnie słyszy?
- Dlatego tu jesteś - odparł Liam, nie spuszczając wzroku z Mikaeli.
- Co mam robić?

Liam poczuł się jak spierniczały dziadek Walton, który ma radzić Robertowi Redfordowi, jak rozmawiać z kobietą.

- Po prostu do niej mów, Julianie. - Liam zniżył głos do szeptu. - Czasami reaguje na jakieś... wspomnienia... historie z przeszłości.

- I na moje imię. Reaguje na moje imię, tak?

- Tak. - Ta odpowiedź bardzo wiele kosztowała Liama. Julian przysunął krzesło do łóżka i usiadł.

- Proszę nas na chwilę zostawić samych, dobrze, doktorze? - zwrócił się do Liama i nie zwlekając, rzekł do Mikaeli: - Czołem, Kayla. To ja, Jules.

Nie zareagowała.

Liam odważył się wypuścić powietrze z płuc. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo się bał, że właśnie na dźwięk głosu Juliana Mikaela po prostu się obudzi, ot tak, zwyczajnie się obudzi.

- Kayla, kochanie? - Julian ujął jej rękę.

Liam nie mógł na to patrzeć, nie mógł znieść tego, że Julian jej dotyka. Odwrócił się i wyszedł z pokoju. Na korytarzu ciężko oparł się o ścianę.

Stał tak prawie pełną minutę. Najwyraźniej musiał nieco ochłonąć, ponieważ w tej chwili zdał sobie sprawę z tego, co zrobił... albo raczej czego nie zrobił.

Nie powiedział Julianowi, że jest mężem Mike.

Julian nigdy nie potrafił pisać swoich kwestii.

Przyszło mu do głowy, żeby przywołać pielęgniarkę i poprosić o jakieś przyzwoitsze krzesło, ale zrezygnował. Nie był kompletnym głupcem, wiedział, że po prostu próbuje myśleć o czymś innym, czymkolwiek, byle nie o leżącej przed nim kobiecie.

Wyglądała pięknie, jak Śpiąca Królowna. Prawie spodziewał się, że zaraz usiądzie, uśmiechnie się i powie:

„Cześć, Jules, dlaczego tak późno?”

Wyobrazil sobie dźwięk jej głosu i lata rozłąki przestały istnieć. Od dawna już o niej nie myślał, ale teraz, gdy na nią patrzył, doskonale pamiętał, co czuł, jak się czuł, kiedy był w niej zakochany... i kiedy ona go kochała. Spośród wszystkich kobiet, z którymi się związał, tylko Kayla, ona jedna, stworzyła mu bezpieczną przystań, coś, co gotów był nazwać domem.

- Pamiętasz, jak to się zaczęło, Kay? Zamknął oczy, ożyły wspomnienia.

- Kiedy pocałowałem cię po raz pierwszy, myślałem, że umrę. Wiesz, nastolatki często nadużywają zwrotu: „myślałem, że umrę”. Ja nie. Wtedy naprawdę myślałem, że umrę. To było przerażające. Serce bilo mi niesamowicie szybko, nie mogłem złapać tchu i rzeczywiście pomyślałem: „To koniec. Umieram”. Smakowałaś jak wiosenny deszcz, wiedziałaś o tym? Tak nieprzytomnie bytem w tobie zakochany, że zdawało mi się, iż tonę. Pamiętasz nasz pierwszy raz? Leżeliśmy na wełnianym kocu w jakimś sadzie. Posłałem swojego asystenta aż do Yakima po butelkę szampana Dom Perignon. Chciałem być pierwszym, który pokaże ci, co to znaczy tańczyć wśród gwiazd, znaleźć się w siódmym niebie. Nie wiedziałem, że będę twoim pierwszym kochankiem. Spróbowałaś szampana i roześmiałaś się. Założyłaś ręce za głowę i wpatrując się w niebo, poprosiłaś, żebym ci o sobie opowiedział. Próbowałem sprzedać ci historyjkę spreparowaną przez Vala, ale powiedziałaś: „Czas, który spędzamy razem, jest bardzo cenny. Nie chcę, żeby skończyło się

na tym, iż wiem o tobie tylko tyle, ile napisano w «Enquirer». Chcę wiedzieć, że naprawdę coś dla ciebie znaczą”.

Usiłował przypomnieć sobie, jak to się stało, że ich miłość się skończyła. Była taka głęboka, ta studnia odwzajemnianych uczuć. Więc jakim cudem znaleźli się na powierzchni ziemi? Zastanawiał się nad tym, choć w głębi serca doskonale wiedział, jak to się stało.

Kayla chciała, żeby dorósł. Brzmiało to niezwykle prosto, lecz gdy przyjrzał się uważniej całej sprawie, musiał przyznać, że w tym właśnie tkwił problem. Ona chciała, żeby Julian poświęcił się rodzinie. On zaś, mając zaledwie dwadzieścia trzy lata, nie był przygotowany do roli męża, a co dopiero ojca. Pragnął tylko się bawić... więc się odsunął. Poszedł bezmyślną, dobrze znaną ścieżką, pełną kobiet, których imion się nie pamięta, przyjęć, które nigdy się nie kończą.

Poczuł, jakby otworzyły się jakieś drzwi. Za nimi mignął mu obraz prawdziwego siebie, nie złotego chłopca, nie gwiazdora, ale samotnego młodzieńca, jakim był kiedyś. Od tamtych czasów nie udało mu się nikogo prawdziwie pokochać. Najbliższe wielkiej miłości było uczucie do Kayli. To najlepsze, co zdarzyło mu się w życiu, a jednak zrezygnował z tego.

Patrzył na jej twarz, podziwiał cudowne półksiężycy jej czarnych rzęs, jasne, pełne usta. Cóż mógł powiedzieć tej kobiecie, którą, jak sądził, dobrze znał, a tak naprawdę nie znał w ogóle, kobiecie, której bezmyślnie złamał serce, tak bezmyślnie, jak dziecko bez zastanowienia niszczy zabawkę, którą się znudziło?

Łzy napłynęły mu do oczu. Sam nie mógł w to uwierzyć. Od lat nie płakał. Naturalnie z wyjątkiem sytuacji, za które mu płacono.

- Podobałoby ci się to, Kay. Ja płaczę - pochylił się ku niej i oparł brodę na zimnej, srebrnej balustradzie. - Pamiętasz naszą pierwszą kłótnię? To się zdarzyło na jednym z przyjęć wydanych przez Vala po zakończeniu zdjęć do jakiegoś filmu. Val wspomniał, że ma dla mnie rolę w filmie pod tytułem *Pluton*. Ja mu na to: „Kogo, do diabła, obchodzi ta wojna?” - a ty na oczach wszystkich mnie uderzyłaś. Powiedziałaś, żebym zrzucił maskę tego cholernego gwiazdora i spróbował coś zagrać.

Tak się zaczęło. To był początek końca, ale Julian był zbyt zadufany w sobie, żeby to zauważyć.

- Zawsze tak wiele ode mnie wymagałaś, Kayla - rzekł cicho, potrząsając głową. - Nigdy nie miałem takiego talentu... Dlaczego tego nie dostrzegłaś?

Spojrzał na nią i dopiero teraz spostrzegł skromną złotą obrączkę na serdecznym palcu lewej ręki.

- Jezu Chryste - szepnął. - Jesteś mężatką?

15

Liam przejeżdżał przez Last Bend. Miasto połyskiwało blaskiem świateł, błyszczało jak brylantowa tiara na białym aksamicie. Dalej, w tle, widać było postrzępione niebieskie szczyty gór, sięgające ku rozgwieżdżonemu niebu.

Zaparkował przed gospodą Wiejska Rezydencja, nocleg ze śniadaniem. W ciszy zakłócaney tylko delikatnym szumem włączonego w samochodzie ogrzewania, posiedział chwilę spokojnie. Chciał zebrać myśli.

Ostatnią rzeczą, której teraz pragnął, była rozmowa z Julianem True, niestety, nie miał wyboru. Kiedy wreszcie podniósł w górę oczy, Julian stał przy aucie. Idiota miał na sobie czarny podkoszulek i dzinsy. Musiało mu być cholernie zimno.

Liam wyciągnął rękę i odblokował drzwi od strony pasażera. Julian wślizgnął się na siedzenie i wygodnie oparł.

- Jezu Chryste, ale zimno - z uśmiechem odwrócił się do Liama. - Cieszę się, że wpadłeś. Skóra mi cierpła na myśl, że spędzę wieczór w tym pokoju bez łazienki, oglądając jeden z trzech kanałów telewizji. Co powiesz na drinka?

- Dobrze - zgodził się Liam, chociaż bez zastanowienia potrafiłby wymienić co najmniej

trzy tysiące dwieście rzeczy, na które miałyby większą ochotę. Znowu uruchomił silnik i pojechał przez miasto. Nie przychodziło mu do głowy nic, co mógłby powiedzieć, a Julian też nie palił się do rozmowy. Zaparkował przed kręgielnią Lou's Bowl-O-Rama i wysiadł z samochodu. - Chodź - rzekł do Juliana.

W porze przedobiadowej w kręgielni Lou's Bowl-O-Rama panował spokój. Wszystkie cztery tory stały puste. We wnętrzu jak zawsze czuć było swąd spalenizny i papierosowy dym. Właściciel, Lou Padinsky, stał za barem i wycierał kontuar wilgotną szarą szmatą. Zobaczył Liama i wykrzywił usta w uśmiechu, aż wypadł mu z nich papieros. Popiół spadł na ladę i natychmiast został usunięty.

- Witam. Jak się pan ma, doktorze? Liam w odpowiedzi skinął mu głową.

- Podaj nam dwa piwa, dobrze, Lou?

- Już się robi, doktorze. - Lou zarzucił ścierkę na ramię i odwrócił się do beczek z piwem.

Liam poprowadził Juliana do czerwonej kanapy na tyłach torów do gry w kręgle.

Usiedli naprzeciwko siebie. Liam specjalnie przyjechał właśnie tu, bo po pierwsze, oświetlenie w kręgielni było kiepskie, a Bóg jeden wie, że wcale nie chciał oglądać twarzy młodszego mężczyzny w dobrym świetle, po drugie zaś, pragnął uniknąć tłumu ciekawskich, podnieconych przyjazdem do Last Bend prawdziwej gwiazdy filmu. Miał nadzieję, że Julian nie będzie czuł się dobrze w takiej dziurze, chociaż, kiedy się nad tym zastanowił, doszedł do wniosku, że człowiek pokroju Juliana nigdzie nie czuje się źle.

Liam wiedział, że to trochę dziecinne, ale potrzebował jakiegoś wsparcia, choćby tak mikrego jak słabe oświetlenie.

Popatrzył na młodszego mężczyznę i przypominał sobie wszystko, czego się o nim dowiedział. Internet okazał się niezwykle pomocny. Dowiedział się na przykład, że Kayla True pewnego dnia po prostu „zniknęła” oraz że na początku Julianowi i Mike wiodło się bardzo dobrze, byli szczęśliwi, lecz coś (niektórzy dziennikarze twierdzili, że narkotyki, inni - że kobiety, jeszcze inni - że obcy) przyćmiło ich szczęście. Wiedział też, że czterokrotnie żonaty Julian True był jednym z najlepiej opłacanych aktorów w świecie.

Do stolika podszedł Lou i postawił przed nimi dwa duże kufle. Piwo chlusnęło na stół ponad brzegiem kufli.

- Dzięki - Julian posłał mu promienny uśmiech. Lou chciał konwencjonalnie coś odpowiedzieć, ale nagle zmienił zdanie.

- Zaraz, zaraz. Ty wyglądasz jak ten facet... - zaczął zdumiony.

Julian uśmiechał się tak promiennie, że Liam miał ochotę sięgnąć po słoneczne okulary.

- Hm - zamruczał Julian.

- Julian True. Pewnie często pan to słyszy?

- Bezustannie.

- Takiej stawie chyba łatwiej podrywać babki, co? - Lou porozumiewawczo szturchnął aktora łokciem, potem zwrócił się do Liama: - A jak się czuje twoja piękna żona?

- W porządku. Dziękuję, Lou.

Lou skinął głową i skierował się z powrotem do baru, nucąc pod nosem jakąś piosenkę.

Liam upił łyk piwa.

Julian oparł się wygodnie, ramiona rozłożył szeroko i wsparł na oparciu kanapy. Liam pomyślał, że aktor wygląda jak lew wyciągający się na słońcu.

- Nie przypuszczałem... że ona będzie... - Julian nie skończył zdania.

- Jest w lepszym stanie, niż była.

- Jezu! - Julian przymrużył oczy. Po raz pierwszy przyglądał się Liamowi.

- Na początku tygodnia poruszyła powiekami.

- Poruszyła, to dobrze, co?

- To lepsze niż nic.

- Cholernie ładnie z pana strony, że pan do mnie zadzwonił. My, ludzie filmu, na pewno nie mamy takich oddanych lekarzy. No, może Liz i Michael mają, ale nikt więcej.

- Jestem jej mężem.

- Pan?

- Jesteśmy małżeństwem od dziesięciu lat - spokojnie wyjaśnił Liam. Postanowił, że nie pozwoli, by zranił go ton głosu Juliana. - Na pewno zauważyłeś obrączkę...

- A niech mnie! - Julian wywracał oczami. Liam za żadne skarby świata nie podjąłby tego tematu.

- Hej, Lou! - Julian podniósł w górę rękę. - Podaj mi paczkę marlboro, dobrze?

Lou skrzywił twarz w uśmiechu i chwycił paczkę papierosów. Szybkim krokiem ruszył do ich stolika.

- Jak miło widzieć palacza w Last Bend! Jesteśmy wymierającym gatunkiem - rzekł, kładąc przed Julianem papierosy i paczkę zapalek.

- Dobrze powiedziane, Lou. Dziękuję. Julian otworzył paczkę, wyjął papierosa i przypalił. Dym kłębił się na wysokości jego twarzy, ale nawet przez tę szarą chmurę Liam wyraźnie widział, że ani na chwilę nie spuszcza z niego niebieskich oczu. Julian sięgnął po piwo, wypił duży łyk i odstawił kufel.

- Musi ją pan bardzo kochać. Znaczy, żeby do mnie dzwonić - odezwał się po chwili.

- Bardzo ją kocham - odparł Liam cicho.

- To miejsce - Julian znowu oparł się wygodnie - przypomina mi wilgotną knajpę, w której pracowała Kayla.

- Naprawdę?

- Boże, ależ była piękna! - uśmiechnął się z rozmarzeniem. - A ci dobrzy, bogobojni chrześcijanie z Sunville traktowali ją jak śmiecia.

- Mówiła, że nigdy do nich nie pasowała, nie traktowali jej jak jednej z nich.

- A kto, do diabła, by tego chciał? To miasto było jak wrzód na oku Boga, ale ona cierpiała z tego powodu. Bardzo się bała, że skończy jak matka. Kay zrobiłaby absolutnie wszystko, żeby być częścią czegoś, żeby mieć poczucie przynależności.

- Na przykład wyszła za ciebie za męża?

- Albo za ciebie - tym razem Julian się nie uśmiechnął. - Chyba rozumiem, dlaczego przyjechała do tego miasteczka. Pewnie... po mnie potrzebowała kogoś takiego jak ty.

- Co zaszło między wami? - Liam nie mógł się powstrzymać przed zadaniem tego pytania. Paliło go w język, w ustach pozostawiło gorzki smak.

- Wiesz, jak to jest - westchnął Julian. - Byliśmy w sobie zakochani... a potem przestaliśmy się kochać. Cholera, miałem dwadzieścia trzy lata i nie bardzo wiedziałem, kim chcę być, ale na pewno nie Wiernym Mężusiem. - Odwrócił wzrok, głęboko zaciągnął się papierosem i wolno wydmuchał dym. - Zresztą nawet nie próbowałem. Kiedy odchodziła, powiedziała, że będzie czekać, aż przyjadę zabrać ją z powrotem. Do śmierci. Powiedziała, że aż tak długo będzie na mnie czekać.

Liam wolałby nie rozumieć tego tak dobrze. Sączył piwo, przyglądając się Julianowi przez oszronione szkło.

- A co z córką? Dlaczego nigdy nie skontaktowałaś się ze swoją córką? - zapytał.

Julian drgnął. Mój Boże, pomyślał Liam, on nie pamiętał o Jacey. Wskoczył do samolotu, spieszył się tutaj i nawet nie przyszło mu do głowy, że tu jest jego dziecko.

- Była taka malutka, gdy widziałem ją po raz ostatni. Szczerze mówiąc, nie wiem, co do niej czuję. Myślę, że sprawy jakoś się ułożą, kiedy się z nią spotkam.

Liam wiedział, że bogaci są inni, a sławni i bogaci jeszcze bardziej różnią się od zwykłych ludzi, ale dotąd nie potrafił pojąć, kim jest człowiek, który tak nonszalancko traktuje serce młodej kobiety. Mógł chociaż udawać, że wstydzi się swego zachowania.

- Ona nie wie, że jesteś jej ojcem - rzeki.

- Co? Kay jej nie powiedziała? Moim zdaniem powinna być z tego dumna...

- Bardzo ją zraniłeś, Julianie.

- No tak. Cholera.

- Sam jej to powiesz?

- Ja? Nie.

Boże, wybacz! Liam poczuł wyraźną ulgę.

- To małe miasto. Nie chciałbym, żeby dowiedziała się... - Liam próbował się upewnić.

- Ja nic nie powiem. Jeśli ludzie zaczną coś podejrzewać, wyjaśnię, że jestem tu z ramienia Fundacji Spełniania Życzeń. Liam, proszę... poczekajmy i zobaczymy, co będzie z Kaylą, dobrze? To znaczy, jeśli się nie obudzi...

- Dobrze - zgodził się Liam, przyglądając się Julianowi bardzo uważnie. - Poczekamy.

Rosa nie położyła się spać. Czekala na Liama. Kiedy wszedł do domu, odłożyła na bok robótkę na drutach, wstała i szła przez duży pokój w jego kierunku. Zaczęła coś mówić. - Przepraszam, Roso, nie teraz. Liam wyminął ją szybko. Nie chciał słyszeć tego, co miała mu do powiedzenia, cokolwiek to było.

Poszedł na górę i cichutko wsunął się do sypialni Jacey. Spała mocnym snem, jedno ramię odrzuciła daleko w lewą stronę, jakby nawet przez sen sięgała po stojący przy łóżku telefon.

Zawsze będziesz moją córeczką - wyszeptał.

Następnego ranka Liam obudził się wcześniej i cicho wstał z łóżka, uważając, żeby nie zbudzić spokojnie śpiącego obok Breta. Szybko wziął prysznic, chwycił jakieś ubranie z szafy, wrzucił je do torby i zbiegł na dół. Na pustym stole w kuchni zostawił karteczkę do Rosy i dzieci, życząc im dobrego dnia.

Świtało. Wąskie smugi różowej poświaty zdobiły wierzchołki drzew. Frontony wszystkich sklepów czerniały zamkniętymi okiennicami.

Podjechał pod szpital, zaparkował na swoim stanowisku i poszedł do pokoju Mikaeli. Zapalił światła i od razu rozsunał zasłony w oknie.

Potem powoli się odwrócił.

Mike leżała nieruchomo, jak zawsze, twarz miała bladą, mięśnie wiotkie, ręce równo ułożone wzdłuż ciała. Na kocu, którym ją szczelnie okryto, nie było ani jednej zmarszczki.

Dopiero kiedy wypuścił z płuc powietrze, Liam uświadomił sobie, że od wejścia do pokoju wstrzymywał oddech. Bat się, że Julian już ją obudził.

Teraz po raz pierwszy zrozumiał, jak ważne jest dla niego to, żeby to on dotarł do jej podświadomości.

- Cześć, Mike - szepnął, włączając muzykę. Dzisiaj wybrał pieśni w wykonaniu Andrei Bocellego. Chciał jej przypomnieć rzewne, poruszające piękno życia.

Na podłodze przy łóżku postawił torbę, otworzył ją i wyjął granatowy kaszmirowy sweter, który mu kupiła podczas ich ostatniego wyjazdu do Vancouver. Delikatnie ułożył go na jej piersi.

- Czy czujesz mój zapach. Mike? Mój? Wiedział, że kiedy zamknie oczy, przypomni sobie ostatni dzień tej wyprawy. Przejechali granicę kanadyjską, żeby obejrzeć wystawiany przez wędrowną trupę spektakl po tytulem *Rozłam*. W zaciemnionym teatrze, wśród nieznanym im ludzi, trzymali się za ręce jak para nastolatków.

- Następnego dnia kupiłaś mi ten sweter, pamiętasz? Próbowałem cię przekonać, że jest zbyt drogi, za dobry dla mnie, że mnie wystarczy bawełniany sweter od Eddiego Bauera. - Głos mu się załamał. - A ty powiedziałaś, że nic nie jest dla mnie zbyt dobre, że zasługuję na wszystko, co najlepsze.

Czule wziął ją za rękę.

- Ale nie to chciałem rzec. Wiesz o tym, prawda? Opuścił barierkę. Ostrożnie położył się na łóżku obok niej.

- Nie wiem, czemu nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, żeby przynieść tu mój sweter. Ubiegłej nocy obudziłem się zlany potem z tym pytaniem w głowie. Myślałem o wszystkich, tylko nie o sobie... o wszystkich, których kochałaś, tylko nie o sobie. Zawsze mówiłaś, że to moja największa zaleta. To, że najpierw myślę o innych, dopiero na końcu o sobie. Ale to jest również moją największą wadą. Oboje o tym wiemy.

Uniósł w górę jej rękę, skrzywił się z żalu, czując jej całkowity bezwład, i ucałował dłoń.

- Pozwalałem, by wszyscy inni karmili cię swoimi wspomnieniami, ponieważ sam bałem się ich siły. Bałem się, że... się załamię. Chyba nadal się boję, ale nie przeżyję kolejnego dnia z tym strachem. Zdaje się, że potrafię myśleć tylko o tobie i Julianie. On zakochał się w

młodziutkiej dziewczynie, która miała wielkie marzenia i świetnie się czuła na szybkim torze, w dziewczynie, która oczarowała cały kraj. Nie potrafię sobie wyobrazić tej kobiety. Ja zakochałem się w pielęgniarce o przerażonych oczach i wrażliwym sercu. Nie znam cię „tamtej” i świadomość tego powoduje, że czuję się... zagubiony. To tak, jakby nasze wspólne życie było jakąś fikcją.

Wziął głęboki oddech.

- Gdy myślę o nas, myślę o drobnych sprawach. Na przykład o ostatnich świętach Bożego Narodzenia, kiedy wszyscy pojechaliśmy na narty w góry Schweitzer. Powiedziałaś wtedy, że jeśli chodzi o sport, który powoduje, że zamarzają ci nawet włosy w nosie, to marzysz jedynie o tym, żeby z nim skończyć.

Uśmiechnął się na to wspomnienie. Po raz pierwszy jego słowa przybliżyły ją ku niemu. Nie żonę zastygłą we śnie, lecz roześmianą, radosną, pełną życia kobietę, z którą się ożenił.

- Wróciliśmy do domu akurat na Dni Lodu. Ty, jak zwykle, wszystko organizowałaś.

Przypomniał sobie coś i wybuchnął głośnym śmiechem.

- Pamiętasz, co zdarzyło się w sali gimnastycznej? Zostałem tam, ostatni. Zastanawiałem się, jak włożyć ten cholerny wóchaty kombinezon. Wszyscy byli już na zewnątrz, przygotowywali się do wyścigu saneczkowego. Szukałaś mnie - znowu się uśmiechnął. - Weszłaś do sali w tym śmiesznym kostiumie Królowej Lodu z drużyny końskich zaprzęgów ratowniczych i powiedziałaś:

„Zawsze kochałam mężczyzn w strojach Wielkiej Stopy”. Złapałem cię za rękę i zaciągnąłem do szatni dla chłopców. Ty zamknęłaś drzwi na klucz.

Śmiała się równie radośnie jak on. „Liam, nie tutaj...”

Wziął ją w ramiona i unióś w górę, tak że stopami nie dotykała podłogi. Pocałowała go mocno, podniecająco. Długi pocałunek pozbawił go tchu w piersiach.

Zdarł z niej cienką, przejrzystą jak mgielka białą suknię z poliestru i długie białe jedwabne pantalone, które miała pod spodem...

- Byłaś równie szalona. Rozsunęłaś zamek błyskawiczny i ściągnęłaś ze mnie kostium...

Liam roześmiał się w głos. Od tygodni nie słyszał swojego gardłowego śmiechu.

- Jezu, czuję się jak jeden z tych facetów odbierających zgłoszenia telefonu zaufania. Pamiętasz, co było potem. Mike? Pamiętasz? Kochaliśmy się w takim miejscu, my, małżeństwo z dwojgiem dzieci i całym miastem czekającym na nas na zewnątrz. Kochaliśmy się jak wariaci, jak para namiętnych nastolatków. I gdy byliśmy w trakcie, Myrtle zapukała do drzwi szatni. A my! My leżeliśmy na podłodze w szatni dla chłopców, nadzy, spoceni, oplatając się wzajemnie swoimi ciałami jak powój. Musiałem zakryć ci usta ręką, żebyś była cicho. Bo śmiałaś się tak bardzo, że cała się trzęsała, a w twoich oczach błyszczały łzy radości. Westchnął z rozczuleniem.

- Jezu, byłaś taka piękna. Nigdy nie zapomnę, jak cudownie wtedy wyglądałaś i jak cudownie ja się czułem, trzymając cię nagą w ramionach. Kiedy Myrtle odeszła, wybuchnęłaś tak gromkim śmiechem, że myślałem, iż słyszy cię całe miasto. Powiedziałaś: „No, to możemy pożegnać się z naszą reputacją”. Śmiałem się razem z tobą i odparłem: „Mów za siebie. Sądzę, że moja reputacja nie ucierpi, wręcz odwrotnie, znacznie się poprawi”.

Drżącą ręką pogłaskał ją po włosach.

- Tacy byliśmy. Mike. Tacy znowu możemy być, jeśli tylko otworzysz oczy i popatrzysz na mnie. Kocham cię. I zawsze będę. Bardzo, bardzo cię kocham.

Powoli pochylił się i pocałował ją w czoło, szepcząc: „Zawsze będę”.

16

Julian obudził się z kacem. Oczywiście, to było nieuniknione. Bo cóż można było robić w tym skalistym normańskim mieście? Tylko siedzieć w pokoju, oglądać jeden z trzech programów telewizyjnych i pić. Wczoraj wieczorem prawie trzy godziny Julian próbował dodzwonić się do Vala. Po każdej nieudanej próbie wypijał łyk szkockiej whisky.

Z pewnym trudem przewrócił się na bok, sięgnął po telefon i wykręcił numer biura Vala. Po drugim sygnale Susan odebrała telefon: „Lightner and Associates”.

No, wreszcie. Julian usiadł na łóżku.

- Czy jest Val?

- Cześć, Julian. Poczekaj chwilę.

Val podszedł do telefonu.

- Juli. Co słyhać na pokrytej śniegiem, dalekiej północy?

- Gdzie ty, do diabła, byłeś? Cały wieczór próbowałem się do ciebie dodzwonić.

- Zaraz, zaraz, kolego. Gdybym chciał słyhać takich wymówek, dawno bym się ożenił. - Roześmiał się ze swojego dowcipu. - Kręciliśmy *Tajemnicze jezioro*, ten nowy, wyciskający łzy z oczu film z Annette Bening i Richardem Gere. Potem wszyscy... no wiesz, jak to jest. Wróciłem do domu dopiero po czwartej. No, ale o co chodzi?

- Widziałem Kaylę.

- Tak się domyślałem. Jak ona się czuje? Starał się słowami wyrazić swoje odczucia, lecz - jak zawsze - trudno mu było zdobyć się na taką szczerość.

- To niesamowite, Val. Ona leży na łóżku nieprzytomna. Nie wiedziałem, co robić. Mówili, że reaguje na wspomnienia, więc zacząłem opowiadać jej o nas. - Roześmiał się głośno. - Znasz mnie, nie pamiętam, co było wczoraj, a tu wspominam moment, kiedy po raz pierwszy ją pocałowałem. Czulem... czulem... coś czulem.

- Juli, ja czuję się zobowiązany zwrócić ci uwagę na niepokojące nekrofilskie skłonności.

- Bardzo śmieszne.

- Więc w czym rzecz? Chcesz zostać dłużej, o to ci chodzi?

Julian był rozczarowany. Pragnął porozmawiać z Valem, chociaż ten jeden jedyny raz, o sprawach naprawdę ważnych.

- Ona mnie kochała, Val. Chyba to najlepiej pamiętam: jak się człowiek czuje, gdy jest kochany.

- Wszystkie kobiety cię uwielbiają.

- Ale to nie to samo, prawda? - zapytał cicho. Val milczał, a Julian zastanawiał się, czy jego agent tym razem go słuhał.

- Nie, chyba nie - powiedział wreszcie. - A co zamierzasz zrobić z tym nagłym wybuchem uczuć?

O tym Julian nie pomyślał. Tak go zaabsorbowały własne uczucia i odczucia, że w ogóle niewiele myślał.

- Cóż, chyba nic. Ona jest zameżna.

- Co?!

Julian gwałtownie odsunął słuchawkę od ucha. Val wrzasnął tak głośno, że pewnie w całym mieście zaczęły szczeakać psy.

- Dobrze słyzałeś. Wyszła za mąż... za tego lekarza, który do mnie dzwonił.

Na linii słyhać było znajomy dźwięk przypalanego papierosa, potem wydmuchiwanie dymu prosto do słuchawki.

- Czy on ją kocha?

- Tak. Jej pokój to kapliczka ku czci ich wspólnego życia, a pielęgniarka mówiła mi wczoraj, że on godzinami przesiaduje przy jej łóżku, codziennie od dnia wypadku. Czasami nawet zostaje z nią na noc.

- A więc to on jest tym wybrańcem. Cholerny bohater, który kocha żonę tak bardzo, że dzwoni do ciebie, jej pierwszego męża, żebyś pomógł ją obudzić. Jezu, prasa dopiero miałaby używanie. - Val zamilkł na chwilę. Wyraźnie się zamyślił, chociaż to dla niego było raczej nietypowe. - Lepiej uważaj, Jules.

Julian wiedział, że Val ma rację. Kayla należała do przeszłości. Sama też miała nowe życie, w którym dla niego nie było miejsca. Ale kiedy jej dotykał, przypominał sobie, jak bardzo się kochali, a to spowodowało, że poczuł się... bardzo samotny.

- Julian? Wracaj natychmiast, dobrze? Słyhaj, jutro masz być w...

Julian odwiesił słuchawkę. Nagle Hollywood i cała jego kariera stały się nieważne i

odległe, były jak poźółkła fotografia w porównaniu z barwnymi wspomnieniami jego pierwszej miłości.

Zamknął oczy. I chociaż to ostatnia rzecz, na jaką miał ochotę, wbrew sobie zaczął wspominać bolesną młodość...

Jego matka, Margaret Jameson Atwood Coddington, od początku mówiła, że chłopiec jest jej przekleństwem. Okazało się, że miała rację. Ojciec zmarł osiem miesięcy po urodzeniu syna, matka zaś przy lada okazji przypominała Julianowi, że nigdy nie chciała dziecka. Nauczyła go nazywać ją mamą i pozwoliła, by było go widać, ale nie słyhać. Kiedy tylko syn dostatecznie podrośł, wysłała go do Szwajcarii, do szkoły z internatem. Wiele lat spędził w tej szkole, podczas gdy ona zmieniała mężów, przechodziła kolejne operacje plastyczne, bywała na przyjęciach. Przesyłała mu czeki, ale nigdy nie wysłała listu.

W wieku szesnastu lat przyszły gwiazdor spakował do plecaka najpotrzebniejsze rzeczy i wrócił do Ameryki. Podejmując po drodze różne idiotyczne prace, dotarł do Lubbock w stanie Teksas.

Właśnie skończył dziewiętnaście lat, gdy mignęła mu przed oczami jego przyszłość. Naturalnie uosabiała ją kobieta. Wciąż jeszcze pamiętał jej oszołamiącą urodę. Wybrała go, jakby był torebką, której nie mogła sobie odmówić. „Biorę go” - powiedziała. Później dowiedział się, że to sławna aktorka. Przyjechała do miasta kręcić zdjęcia do filmu. Zanim się zorientował, sam był już w filmie, potem - w Hollywood. Z dnia na dzień stał się sensacyjnym odkryciem, niezwykłym talentem. Zmienił i nazwisko, i swoje życie. Val roztoczył nad nim opiekę, spreparował skomplikowany życiorys, z którego wynikało, że Julian wcześniej stracił rodziców. To Val wymyślił mu ten pseudonim: „Julian True”.

Całe lata Julian z niepokojem oczekiwał, że wreszcie ktoś go zdemaskuje, ale nikt prawdy nie odkrył.

Jedynie Kayla upierała się, by go poznać. Poznać prawdziwego człowieka, człowieka ukrywającego się pod maską sławy. I on powiedział jej o sobie wszystko. Nie ujawnił tylko prawdziwego nazwiska.

- Jezu, teraz myślę o mojej matce. Dość tego. - Spuścił nogi z łóżka, wstał i chwiejnym krokiem poszedł korytarzem do łazienki.

Wziął prysznic w wykładanej białą glazurą kabinie prysznicowej, najmniejszej w całym świecie (w razie czego mogła spełniać rolę trumny), potem ubrał się w spłowiałe dżinsy i czarny podkoszulek. Na koniec włożył płaszcz, kupiony wczoraj w najmodniejszym lokalnym sklepie: Zeke's Feed and Seed, postawił kołnierz i wyszedł z pokoju. Szybko zbiegł na dół. Po drodze zastukał do drzwi swojego szofera.

- Pospiesz się, jedziemy! - krzyknął.

Lizbet wyskoczyła z kuchni i spotkała go w foyer. Cała była ubrudzona mąką i wyglądała jak przygotowany do smażenia pączek.

- Do widzenia, panie True. Czy wróci pan na lunch?

- Nie wiem. Do widzenia, Lizbet. - Otworzył frontowe drzwi i od razu spostrzegł grupę ponad dziesięciu nastolatków. Stały na chodniku, za białym ogrodzeniem. Gdy pojawił się w drzwiach, zaczęły wykrzykiwać jego imię.

Wyglądało na to, że w miłym miasteczku plotki rozchodzą się bardzo szybko.

Julian uśmiechnął się szeroko.

- Witam panie. Cieszę się z tego spotkania. Zbiły się w ciasną gromadkę. W strojach czirliderek i z gołymi nogami wyglądały jak wijący się wąż. Chichotały bez przerwy. Julian zbiegł po schodkach.

- Co my tu mamy? Komitet powitalny Last Bend? O raju, jakie śliczne panienki! Czuję się zaszczycony.

- Da mi pan swój autograf, panie True? - zapytała jedna z dziewczynek. Miała mocno zarumienione okrągłe jak spodeczki policzki.

- To dla mnie wielki zaszczyt. Wyjął z kieszeni pióro i zaczął rozdawać autografy. Dziewczynki mówiły jedna przez drugą, chichotały i, dodając sobie odwagi, popychały się nawzajem.

- Dzisiaj mamy szkolny bal, panie True... Może zechciałby pan wpaść? - zapytała inna nastolatka, krztusząc się ze śmiechu, zanim skończyła pytanie.

Julian położył rękę na sercu. Boże, jak on to lubił!

- Jak to? Założę się, że taka ślicznotka ma już partnera.

- Tak, Serena - krzyknęła któraś z dziewcząt - ty już masz partnera! Może pójdzie pan za mną, panie True?

Właśnie miał odpowiedzieć na jej głupiutkie pytanie, kiedy zobaczył tamtą dziewczynę. Stała z tyłu, uśmiechała się, ale nie chichotała, nie prosiła o autograf.

Jego osłabione serce na chwilę przestało bić.

Była piękna, miała hollywoodzką urodę. Wysoka, smukła brunetka z łagodnymi oczami w kolorze gorzkiej czekolady. Kruczoczarne włosy jak wodospad atramentu opadały jej na plecy. To musiała być ona...

Julian źle napisał swoje nazwisko i oddał kartkę papieru rudowłosej dziewczynie. Przyjęła ją z radością, odsłaniając w uśmiechu cały rząd kolorowych klamer na zębach.

Z łatwością przecisnął się przez grupę i podszedł do ciemnowłosej dziewczyny. Serce waliło mu jak młotem.

- A kim ty jesteś, kochanie?

- Mam na imię Jacey. Juliana Celeste. J (dzej) C (si).

Jego córka. Był zbyt oszołomiony, żeby cokolwiek powiedzieć. Po raz pierwszy zobaczył swoją prawdziwą córkę. To już nie zacierający się obraz niemowlaka w kołysce, ale młoda dziewczyna, która dorastała bez niego.

Nie chciał zamykać oczu, powieki same jakoś opadły. W ciemności zobaczył sytuację sprzed lat. On i Kayla leżą w łóżku, a między nimi delikatnie ułożony tobołek, zawinięte w kołderkę maleńkie dziecko.

„Czyż ona nie jest doskonała?” - bardziej stwierdziła, niż zapytała Kayla...

Otworzył oczy i spojrzał na córkę.

- Panie True? - zarumieniła się i wyglądała jeszcze ładniej. - C... co pan robi w Last Bend?

- Przyjechałem... na... z... z ramienia Fundacji „Spełnię Twoje Życzenie”. Odwiedzam chorych w szpitalu.

- Moja mama jest chora. Jest w stanie śpiączki. Może... może mógłby pan ją odwiedzić.

- Z przyjemnością. Nawet zrobię to od razu.

- Już jestem, panie True! - Chichoty nastolatek zagłuszył donośny głos szofera.

Dziewczynki cofnęły się natychmiast, okazując szacunek, jakiego od dawna nie widział w Hollywood. Wszystkie oprócz Jacey. Stała bez ruchu i wpatrywała się w niego nagle posmutniałymi oczami.

Julian przez długą chwilę przyglądał się Jacey, usiłując zapamiętać jej twarz, potem poszedł do limuzyny. Nie odwrócił się, ale kiedy już był w samochodzie, znowu patrzył na nią przez przyćmione szyby.

Pierś rozsadzało mu jakieś nowe, nieznanne uczucie. Nie mógł normalnie oddychać.

Co za wstyd!

Noc zapadła bardzo szybko, świat jakby gwałtownie oślepl. Ostatnie promienie zachodzącego słońca zamazywała ciemność. Liam odwrócił się od okna i spojrzał na córkę.

Jacey stała przed wysokim lustrem i przyglądała się sobie. Włosy miała zaczesane do tyłu, zwinięte w ogromny kok i udekorowane czterema różowymi kryształowymi motylkami. Gładka lawendowa suknia świetnie na niej leżała.

Wyglądała tak dorośle. Liam poczuł smutek, jak gdyby już stracił swoją małą córeczkę.

Ona też miała zamglone oczy. Wiedział, że myśli o matce.

- Byłaby z ciebie taka dumna - powiedział. - Ślicznie wyglądasz.

- Dziękuję, tato.

- Wiesz, co sobie przypomniałem? Twoje pierwsze Halloween w Last Bend. Miałaś pięć lat i przebrałaś się za wróżkę. Mike pojechała aż do Bellingham po najpiękniejszą różową satynę. Ponaszywała na tę suknię tysiące różowych cekinów. - Podszedł do córki i przez

chwilę widział ją taką jak wtedy: malutką księżniczkę w błyszczącej taniej tiarze. - Mike i ja nie byliśmy jeszcze małżeństwem, ale tego wieczoru... - głośno przełknął ślinę - zapytałaś, czy możesz nazywać mnie tatą.

- Pamiętam.

- Gdyby była tu teraz twoja mama... Jacey wzięła go za rękę i mocno ścisnęła.

- Wiem.

Liam zmusił się do uśmiechu.

- No, moja pani, już czas.

Zeszli na dół, trzymając się za ręce. Kilka minut później Rosa wprowadziła do salonu Marka. Miał na sobie granatowy garnitur, białą koszulę z żabotem i lawendową muszkę. Czarne jak węgiel włosy zaczesał gładko do góry.

- Och, Jacey! - odezwał się Mark, podchodząc do niej. - Wyglądasz oszałamiająco.

- Dziękuję, Mark - uśmiechnęła się. Na piętrze Bret wsadził głowę między wsporniki balustrady schodów i na cały głos zaczął śpiewać:

- Oto idzie panna młoda, gruba, wielka...

- Bret! - krzyknął Liam, starając się nie wybuchnąć śmiechem. - Przestań.

Bret, chichocząc, zbiegł po schodach na dół, poślizgiem podjechał do siostry i stanął obok niej. Jacey stuknęła go łokciem w ramię.

- Wielkie dzięki, szkrabie.

Bret podniósł głowę i popatrzył na siostrę. Rosa wyszorowała go tak dokładnie, że buzia mu dosłownie lśniła.

- Naprawdę pięknie wyglądasz - pochwalił siostrę.

- Dzięki, mały.

Mark wręczył Jacey przezroczyste plastikowe pudełeczko. W środku leżał stroik-bransoletka ze storczykiem i cieniutkimi lawendowymi wstążeczkami.

- To dla ciebie. Norma z przedszkola powiedziała, że to jest najbardziej eleganckie.

Zmieszał się nieco, niezdarnie próbował otworzyć pudełeczko, wreszcie zrezygnował i podał je Jacey.

Jacey wyjęła stroik i rozciągając gumkę, wsunęła na rękę.

- Dziękuję. Babciu, mogłabyś przynieść z lodówki kwiat do butonierki Marka?

Rosa skinęła głową i pospieszyła do kuchni. Chwilę później wróciła z małym białym goździkiem, którego koniuszki płatków zabarwione były na niebieskofioletowy, lawendowy kolor.

- Proszę.

Zapadła niezręczna cisza. Liam chciał ją przerwać, ale czuł, że gardło ma spuchnięte i suche. Co chwila obracał się w bok, do żony, żeby powiedzieć: „Spójrz na nią, kochanie”, lecz obok niego nie było nikogo. Miał nadzieję, że Jacey nie zwróci uwagi na drżenie w jego głosie.

- Dobra, dzieciaki. Czas na zdjęcia - zaskrzeczał, niby wesoło. Mark jęknął.

- Bardzo zabawne. - Jacey stuknęła go w ramię. Wzięła go za rękę i podprowadziła do fortepianu. Chłopak objął ją ramieniem w talii i przyciągnął do siebie.

- Myślcie o seksie! - podpowiedział Bret, dając nurka za kanapę. Z miejsca, w którym się schował, dochodził głośny chichot.

Liam zrobił tyle zdjęć, że starczyłoby na duży artykuł w magazynie „Town and Country”. Zdawał sobie sprawę z tego, że przedłuża ceremonię. Zachowywał się tak, jakby jakimś cudem mogła tu wejść Mikaela, gdyby tylko udało mu się zatrzymać ich trochę dłużej.

- Już dość, tato - śmiejąc się, powstrzymała go Jacey. - Orkiestra pewnie gra już kolejne kawałki.

Wysunęła się z objęć Marka i podeszła do Liama.

- Wiem - powiedziała cicho - mama będzie chciała obejrzeć mnie na tych zdjęciach. We wszystkich pozach i z każdej strony. Dlatego biorę aparat do torebki. Będę robiła zdjęcia. Sfotografuję wszystko.

Liam objął ją i mocno przytulił.

- Idźcie już i dobrej zabawy - powiedział, odsuwając córkę od siebie i uśmiechając się serdecznie.

Jacey pocałowała Rose i Breta na do widzenia i pospieszyła do drzwi.

Liam stał przy oknie w kuchni i patrzył, jak odjeżdżają. „Pojechała, Mike”. Normalnie teraz odwróciłby się do stojącej obok żony i wziął ją w ramiona. Mikaela rozplakałaby się. Liam podszedłby do fortepianu, usiadł i zagrał coś słodkiego i smutnego, coś, co stworzyłoby atmosferę, jakiej potrzebowała, żeby serdecznie opłakiwać swoją małą dziewczynkę, która właśnie przechodzi przez most do dorosłości.

Tyle że teraz to on gotów był się rozplakać, to jemu przed oczyma mignęła wizja opustoszałego w niedalekiej przyszłości gniazda. To on ze smutkiem myślał, o ile cichszy stanie się dom, gdy Jacey go opuści.

I nie było nikogo, kto by go przytulił.

Głośno westchnął, poszedł do dużego pokoju i włączył telewizor.

Julian wiedział, że nie powinien tego robić, że to niewłaściwe, niebezpieczne nawet, lecz nie mógł się powstrzymać. I prawdę mówiąc, nie próbował. Samokontrola nigdy nie była jego mocną stroną. Właściwie nie potrafił powiedzieć, dlaczego chce iść na bal, ale przecież z reguły nie szukał uzasadnienia swojego zachowania. Po prostu chciał pójść i tylko to się liczyło. Spędził długi, przygnębiający dzień, siedząc przy łóżku Kayli w szpitalu, i potrzebował jakiejś rozrywki.

W swoim pełnym ozdóbek pokoju szykował się, jakby szedł na rozdanie Oscarów, a nie na szkolny bal w prowincjonalnej miejscowości. Założył czarną jedwabną koszulę i spodnie od Armaniego, czarne z zakładkami. Nie zwracał głowy szoferowi, pieszo udał się do oddalonej o trzy przecznice szkoły średniej. Kiedy dotarł na miejsce, nie czuł policzków, tak bardzo były zmarznięte, oczy łzawiły mu z zimna i bardzo chciało mu się palić.

Szedł pustymi korytarzami, co jakiś czas przystając, żeby popatrzeć na puchary umieszczone w szklanych gablotach między rzędami szarych metalowych szafek na rzeczy osobiste uczniów.

Przed wejściem do wielkiej sali zatrzymał się, wziął głęboki oddech i otworzył podwójne drzwi. W pierwszej chwili nic nie widział, potem, kiedy oczy stopniowo przyzwyczyły się do ciemności, zobaczył, że salę gimnastyczną przekształcono w uroczy tropikalny raj. Przy ścieżce wyłożonej złotym miękkim dywanem stało kilka sztucznych palm. Kilkunastu chłopców w garniturach z partnerkami w balowych sukniach ustawiło się w kolejce do zdjęć. Po przeciwnej stronie sali, pod ścianą, orkiestra grała jakąś szybką melodię, która Julianowi nawet wydała się znajoma.

Zorientował się, że został rozpoznany. W sali zaległa cisza. Przystano tańczyć. Dzieciaki odsunęły się nieco i szepcząc między sobą, utworzyły szpaler wiodący na parkiet. On zaś rozglądał się wokół, posyłając obecnym swój wystudiowany serdeczny uśmiech, aż spostrzegł ją. Była na parkiecie ze swoim chłopakiem. Nawet z tej odległości Julian widział, że patrzą na niego.

Ruszył naprzód, tak jak go kiedyś uczono: z wysoko podniesioną głową, uśmiechem na twarzy i starannie unikając kontaktu wzrokowego z mijanymi osobami.

Melodia się skończyła i orkiestra zaczęła grać następną. Była to miłosna piosenka z filmu *Titanic*. Przekłete serce nadal biło.

Zatrzymał się przed Juliana, J.C. (dziej si) - pouczył się w myśli - i wyciągnął dłoń.

- Mogę prosić?

Thum wstrzymał oddech. Jej chłopak, wysoki, przystojny młodzieniec w okropnie tanim garniturze, wyglądał na zakłopotanego.

- Pozwolisz? - Jacey zwróciła się do chłopaka.

- Noo... tak, proszę.

Julian porwał ją w ramiona i zaczęli tańczyć. Thum otaczał ich ciasnym kręgiem, rozmawiano tak głośno, że muzykę ledwo było słycać.

- Dlaczego wybrałeś akurat mnie? - zapytała.

- A dlaczego nie? - uśmiechnął się. - A więc, J.C. o kruczoczarnych włosach, powiedz mi coś o sobie. Masz dobre stopnie? Dużo przyjaciół? Uprawiasz bezpieczny seks?

Roześmiała się w głos. Ten gardłowy, barowy śmiech to był śmiech Kayli.

- Zadajesz pytania jak mój tata, tylko on nie pyta o moje życie seksualne.

Sposób, w jaki powiedziała „tata”, jednocześnie uśmiechając się do niego, zabolął go, poczuł ukłucie w sercu.

Dziwne, ale nigdy aż do dziś nie myślał o tym słowie. „Tata”. Zwykle słowo, a znaczy tak wiele. Oznacza rzetelność, zaufanie, dojrzałość. Nawet teraz, trzymając córkę w ramionach, Julian nie potrafił sobie wyobrazić, że jest czymkolwiek tatą.

- Panie True? Słyszał pan, co mówiłam?

- Przepraszam - roześmiał się swobodnie. - Myślałem o czymś innym. Jak tutaj spędzacie wolny czas?

- Normalnie - Jacey wzruszyła ramionami. - Jeździmy na nartach, na łyżwach, gramy w kręgle, jeździmy konno. Latem chodzimy nad Jezioro Anioła. W Currigan Point jest świetna huśtawka. Po prostu lina spuszczone z ogromnego drzewa, z której doskonale skacze się do wody.

To na pewno nie było „normalne” spędzanie wolnego czasu w Los Angeles, nie przez dzieci znanych ludzi. Gdyby J.C. dorastała przy Julianie, żyłaby za żelaznymi bramami, pod czujnym okiem ochroniarzy. Nie wiedziałyby, jak to jest skoczyć na rowerze do miasta po coś zimnego do picia.

Julian dopiero dziś zrozumiał, o co przed laty prosiła go Kayla. Używała słów takich jak: „zdrowe” i „bezpieczne”, ale to nie były właściwe określenia. Ona pragnęła, żeby ich córka miała normalne życie.

Tylko tyle. Normalne życie.

Julian nigdy tego nie chciał. A teraz, obejmując Jacey, która była i nie była jego córką, zastanawiał się, czy cena, jaką zapłacił za sławę, nie okazała się zbyt wysoka.

Nagle uświadomił sobie, że bardzo zawiódł córkę. Na chwilę stracił oddech, tak bardzo go to zabolęło. Poczuł się tak, jakby wszedł do doskonale znanego pokoju, na przykład własnej sypialni, i zastał ją zupełnie pustą.

Oczywiście powinien to wiedzieć, ale dotychczas wcale się nad tym nie zastanawiał.

Nie był ojcem J.C. W jej domu żył mężczyzna, który ją kochał, podnosił, kiedy się przewróciła, który wiedział, czy nosiła na zębach klamerki korygujące zgryz albo czy podczas snu chrapała. Powstała z jego, Juliana, nasienia, ale nie on je hodował. Nigdy nie potrafiłby wypielegnować tak pięknego, tryskającego życiem i zdrowiem kwiatu, który teraz trzymał w ramionach. Jak mógłby pomóc dorastać komuś innemu, skoro na sobie musiał skupiać wszystkie promienie słońca?

Był wystarczająco rozsądny, by rozumieć, że nie jest i nigdy nie będzie ojcem tej dziewczyny, mimo to marzył, w głębi duszy pragnął, żeby było inaczej.

Melodia dobiegła końca. Z żalem pochylił się i pocałował ją w policzek. Potem zrobił to, co potrafił najlepiej: odszedł.

Liam siedział w dużym pokoju, małymi łykami popijał mocno rozwodnioną szkocką whisky, kiedy usłyszał podjeżdżający samochód.

Poczuł narastające napięcie. Siedział tu już kilka godzin przy słabym świetle jednej lampki i rozmyślał o decyzji, którą podjęli z Julianem. Im więcej o tym myślał, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że zatajenie prawdy przed Jacey jest i nierozważne, i niebezpieczne. Mieszkali w małym miasteczku; plotki rozchodziły się tu z szybkością pszczoły przenoszącej się z kwiatka na kwiatek. Z jednego przydomowego ogrodu przedostawały się do drugiego ponad odgradzającym je płotem, a przy większych odległościach wykorzystywały linie telefoniczne. Fortel z Fundacją „Spełnię Twoje Życzenie” był dobry, lecz nie na długo. Przy tym Liam nie wierzył, że Julian rzeczywiście rozumie, jak poważna jest to sprawa. Ktoś, kto mówi: „Wiesz, jak to jest. Byliśmy w sobie zakochani, a potem przestaliśmy się kochać” - ma bardzo mgliste pojęcie o miłości, nie wie,

jak boli krwawiące serce.

W istocie chodziło o to, że nie chciał oszukiwać Jacey. Nie wierzył w słuszość czy celowość kłamstwa, unikanie prawdy dla „czyjegoś dobra” było zwykłym wykrętem. Nic dobrego z tego nigdy dla nikogo nie wynikało. Ilekroć spoglądał na Jacey, czuł dzielący ich wysoki, paskudny mur tego kłamstwa.

Frontowe drzwi otworzyły się z hukiem i do pokoju przyfrunęła Jacey. Policzki miała mocno zarumienione, czarne jak kawa oczy radośnie błyszczały.

Nie mógł jej teraz powiedzieć, nie dzisiaj. Z tej nocy Jacey musi mieć tylko miłe wspomnienia.

- Cześć, tato - rzuciła rozmarzonym głosem, wykonując kilka tanecznych pas z rękoma uniesionymi w górę niczym zawodowa tancerka.

Chwycił aparat fotograficzny i zrobił kilka zdjęć - dla Mike.

- Jak się udało?

Podpłynęła do kanapy i padła na siedzenie jak koliber.

- Absolutnie cudownie. Wspaniale. Zrobiłam miliony zdjęć dla mamy - stłumiła ziewnięcie.

Popatrzył na nią. Kochał ją tak bardzo, że aż bolało go serce.

- Będzie chciała je wszystkie obejrzeć.

Z uśmiechem na ustach zerwała się na nogi, zawirowała i odpłynęła w kierunku schodów. Liam poszedł za nią, po drodze gasząc światła.

Przy drzwiach do swojego pokoju Jacey zatrzymała się i uśmiechnęła znacząco.

- Zgadnij, co się stało.

- Co? - Liam próbował odsunąć pukiel włosów z jej czoła.

- Julian True przyszedł na bal. Poprosił mnie do tańca. Mnie! Nazywał mnie Jacey o kruczoczarnych włosach. Tego wieczoru chyba nigdy nie zapomnę.

Ręka Liama na policzku Jacey zastygła w bezruchu.

- Ale... - zaczął niezdecydowanie.

- Dobranoc, tato.

Zanim zdążył odpowiedzieć, pocałowała go w policzek, weszła do swojego pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

Długo, jeszcze bardzo długo stał przed drzwiami do sypialni Jacey. Potem delikatnie zapukał. Kiedy się odezwała, uchylił drzwi i starał się uśmiechnąć.

- Sł... hm... słuchaj, właśnie dostałem wezwanie, nie bój się, nie chodzi o mamę, ale muszę pędzić do szpitala. Niedługo wrócę.

Jacey miała nieobecny wyraz twarzy, uśmiechała się z rozmarzeniem. Liam wiedział, że prawie nie słyszała, co mówił.

- Dobra. Jedź ostrożnie.

Skinął głową i zamknął drzwi. Ogarniała, go coraz większa złość. To złe uczucie kłujące serce nie pasowało do niego; było jak za mały, tani wełniany sweter. Pobiegł do garażu i wsiadł do samochodu.

Kiedy podjechał, Julian siedział na schodkach przed gospodą i palił papierosa. Idiota! Miał na sobie tylko podkoszulek i dżinsy, trząsał się z zimna.

Liam zatrzymał się i wyskoczył z samochodu.

- Co ty sobie, do diabła, myślisz?! Julian spojrział na Liama. Zimno nie było łaskawe dla jego twarzy, całkowicie pozbawiło ją koloru.

- Musiałem ją zobaczyć - rzekł.

Liamowi złość przeszła jak ręką odjął. Czuł się pusty w środku. W niebieskich oczach Juliana widział bezmierny smutek, świadomość całkowitej porażki. Oczywiście, że Julian musiał ją zobaczyć.

- Jest śliczna, Liamie. Wierna kopia Kayli. Przyglądałem się jej i... nie zobaczyłem nic z siebie.

Liam milczał. Domyślał się, że Julian nigdy wcześniej nie myślał o córce, nie zastanawiał się, co to znaczy być ojcem dla dziecka. Dla młodej dziewczyny.

Julian po raz ostatni zaciągnął się papierosem, potem wbił go w pryzmę świeżego śniegu. Rozległ się syk, w górę uniosła się smużka dymu.

- Nie powiedziałem jej. Nie wyobrażam sobie, żebym kiedykolwiek mógł jej to powiedzieć. Liam zrobił krok w przód.

- Dlaczego nie? - zapytał.

- Jak mam ci to wyjaśnić? - westchnął, chmurka pary zawirowała mu przed twarzą. - Niszczę wszystko, czego się dotknę. - Julian spróbował się uśmiechnąć. - Właśnie zdałem sobie z tego sprawę. Nie chcę skrzywdzić J.C.

Liam poczuł, że wreszcie dostrzega w Julianie coś prawdziwego. Zrobiło mu się żal młodszego mężczyzny.

Julian wstał ze schodów.

- Nie mów jej, Liamie. Proszę, nie...

Później Liam będzie się zastanawiał, co go do tego skłoniło: smutek i żal w oczach Juliana czy jego własny strach przed zranieniem wrażliwego serduszka Jacey. Cokolwiek by to było, powiedział:

- Dobrze, Julianie.

17

Julian siedział przy łóżku Kayli i karmił ją opowieściami z ich wspólnego życia. W końcu zrozumiał, jak ważne było poruszenie powiekami. W tej chwili i on pragnął dostrzec jakikolwiek znak życia.

Jej skóra wydawała się jeszcze bledsza niż dwadzieścia cztery godziny temu.

- Hej, Kay - powiedział cicho, pochylając się nad nią. Rozległ się okropny skrzyp, gdy nogi krzesła przesunęły się po linoleum. Ucieszył go ten dźwięk. Wszystko wydawało się lepsze od tej dzwoniącej w uszach ciszy.

Zamknął oczy. W ten sposób było mu łatwiej wrócić do przeszłości. W ciemności łatwiej przypominał sobie dziewczynę, w której się zakochał.

- Myślałem o dniu, kiedy poprosiłem cię, żebyś za mnie wyszła. Pamiętasz ten dzień?

Była późna jesień, zimno, a powietrze w Sunville ostre. Z każdym oddechem wdychali w płuca mocny zapach dojrzewających jabłek. Julian nie myślał o powrocie do Kayli. Rozstając się z nią po skończeniu zdjęć do filmu, sądził, że była tylko jeszcze jednym karbem na nodze jego łóżka, taką samą przygodą jak francuska gimnastyczka, z którą sypiał, gdy w Paryżu kręcili zdjęcia do poprzedniego filmu. Ale każda godzina z dala od Kayli wydawała mu się długa jak dzień, a każdy dzień zdawał się trwać miesiąc. Ku własnemu zaskoczeniu stwierdził, że za nią tęskni.

No więc wrócił do tej zapadłej dziury, gdzie diabeł mówi dobranoc. Czekał, aż będą zamykali restaurację i Kayla będzie sama, wtedy cichutko wsunął się do środka i podszedł do szafy grającej...

- Nigdy nie zapomnę tego widoku. Stałaś przy kontuarze, a ten obrzydliwy pomarańczowy strój kelnerki przylegał ci do ciała. Nigdy nie zapomnę, jak w twoich ustach brzmiało moje imię... Wiedziałem, że nawet nie odważyłaś się mieć nadziei, iż po ciebie wrócę, że zastanawiałaś się, jaką cenę trzeba zapłacić za takiego jak ja mężczyznę. Powiedziałaś: „Nie jestem w ciąży, jeśli to przyjechałeś sprawdzić”.

Julian prawie uśmiechnął się do siebie.

- Chciałbym być facetem, który wraca, żeby zadać takie pytanie. Wiem, że powinienem się odwrócić na pięcie i wyjść, ale czułem, że znowu coś między nami zaiskrzyło. Wielka, namiętna miłość. Jeszcze nigdy w życiu tak bardzo się nie bałem, a ty jakimś cudem to świetnie wiedziałaś. Próbowałem powiedzieć ci prawdę o sobie. Mówiłem, że nie jestem ciebie godzien, że nie byłem wierny żadnej kobiecie, a ty tylko się uśmiechałaś. I tak wyznałem ci całą prawdę. Że wróciłem do Hollywood i zacząłem czytać scenariusze, udzielałem wywiadów, rozmawiałem z ludźmi... ale kiedy budziłem się rano, myślałem o tobie. Gdy wieczorem kładłem się spać, myślałem o tobie. Kiedy kochałem się z innymi

kobietami, myślałem o tobie. Wiedziałem, że to cię zrani, a jednak powiedziałem. Miałem nadzieję, że może resztę uda się zachować w tajemnicy, bo być może wyrzucisz mnie za drzwi i znowu będę mógł cię opuścić. Ale ty po prostu stałaś, uśmiechałaś się do mnie i czekałaś. Pamiętasz, co potem powiedziałem? „Nie chcę cię kochać, Kaylo”. Wiem, że usłyszałaś ważne słowa: „nie chcę”, ale postawione obok: „kochać”, wydawały się bez znaczenia. Wyciągnąłem z kieszeni i podałem ci małe, kryte pluszem pudełko. Rozpląkałaś się, widząc, że to pierścionek z brylantem. Przykłęknąłem na jedno kolano, pamiętasz? Zrobiłem tak jeden jedyny raz w życiu. Na kolanach błagałem cię, żebyś za mnie wyszła. Wyjęłaś pierścionek i wsunęłaś go sobie na palec. Chciałem powiedzieć coś romantycznego, tymczasem powiedziałem: „Mądrze zrobisz, jeśli się nie zgodzisz”.

Julian dotknął ręki Mikaeli.

- Wiedziałem, że cię skrzywdzę, Kay. Wcześniej czy później. Przepraszam cię, bardzo przepraszam... Zaskrzyphiały otwierane drzwi. Julian usłyszał miarowy stukot kroków Liama.

- Jak ona się dzisiaj czuje?

- Bez zmian. - Julian wzruszył ramionami. Liam włożył kasetę do magnetofonu, była to piosenka *Lost in Love* (Zakochani po uszy) zespołu Air Supply, potem zajął swoje zwykłe miejsce po drugiej stronie, blisko łóżka.

- Jak się masz, Mike? - przywitał ją.

Julian zazdrościł Liamowi, że potrafi całymi godzinami siedzieć przy żonie, mówić do niej, trzymać za rękę, wierzyć, że wszystko dobrze się skończy, chociaż Mikaela z dnia na dzień nikła.

Julian popatrzył na Kaylę. Myślami znowu wrócił do dnia, kiedy się jej oświadczył.

- Skrzywdziłem ją - rzekł cicho i sekundę za późno zorientował się, że wypowiedział te słowa na głos.

- Dlaczego?

Od wczorajszego wieczoru Julian czuł, że z mężem Kayli łączy go dziwna więź. Liam był jedynym na świecie człowiekiem, który wiedział, jak czuje się ktoś godzinami czekający na cud.

- Ze mną jest coś nie tak. Nie potrafię długo kochać. Pragnąłem Kayli, pragnąłem jej tak, jak żadnej innej kobiety nie pragnąłem ani wcześniej, ani później. Byłem w niej tak szaleńczo zakochany...

- Może z „byciem zakochanym” jest jak ze śmietaną. Wcześniej czy później i tak skwaśnieje. Ale jeśli masz szczęście, przejdziesz przez etap „bycia zakochanym” i skończysz, po prostu kochając kogoś.

- Ty tak właśnie ją kochasz?

- Tak.

Julian wiedział, że jego następne pytanie zrani Liama, musiał jednak je zadać.

- A czy ona też tak cię kochała? Julian spostrzegł, że Liam chciał go okłamać, zapewnić, że oczywiście, kochała z całego serca. Zauważył również moment, kiedy Liam się poddał i postanowił powiedzieć prawdę.

Liam skrzywił usta w półuśmiechu.

- Co za ironia losu! Tak, myślę, że mnie kocha... ale nie wiem, czy kiedykolwiek była we mnie zakochana. - Liam na chwilę przerwał, potem zapytał: - Czy ty miałaś kiedyś rodzinę? To znaczy taką prawdziwą rodzinę, która razem przetrwa i dobre, i złe czasy... która nie pozwoli, żebyś znalazł się na dnie?

Julian poczuł ukłucie w sercu. Zawsze pragnął mieć rodzinę, ale rodzina znaczy „dawać-i-brać”. A on zawsze specjalizował się tylko w „brać-i-brać”. Jedyłą jego szansą była Kayla. Gdyby się jej trzymał, może dziś wiedziałby, jak to jest czuć się członkiem grupy ludzi, którzy kochają cię bez względu na wszystko, którzy cierpią, kiedy coś ci się nie uda, i cieszą się z twoich sukcesów.

Julian poklepał się po kieszeni, szukając papierosów, potem uzmysłowił sobie, że jest w szpitalu. Liam obserwował go i naprawdę teraz go widział. Julian czuł się tak, jakby całe

jego wnętrze znalazło się na stole operacyjnym, odkryte przed oczami Liama. I okazało się, że jest jak płuca palacza, czarne i zniszczone.

Julian nie odpowiedział. Liam w końcu sięgnął po krzesło, przysunął je do siebie i usiadł. Następną godzinę obaj na zmianę mówili do Kayli.

Po jakimś czasie Liam spojrzał na zegar.

- Muszę się zbierać. Dzieci już niedługo wrócą do domu. - Wstał i pogłaskał Kaylę po policzku. - Trzymaj się, dziecinko. Przyjdę jutro. - Pochylił się i pocałował ją w czoło, mrużąc coś, czego Julian nie dosłyszał.

- Jak ty to robisz? - zapytał Julian, gdy Liam był już przy drzwiach.

Z ręką na klamce Liam odwrócił się do niego.

- Co robię?

- Wciąż wierzysz, że ona wyjdzie ze śpiączki.

- Ja ją kocham.

Julian zmarszczył czoło.

- Wiem. Ale jak możesz ciągle jeszcze wierzyć, że się obudzi? Liam przeniósł wzrok z Juliana na żonę.

- Muszę.

Liam wyszedł. Bez niego cisza w pokoju wydawała się Julianowi bardziej krępująca. Przyniósł się bliżej łóżka, ujął bezwładną dłoń Kayli i ścisnął mocno.

- Dlaczego tak dobrze pamiętam, jak się w tobie zakochałem, a nie pamiętam, jak to się skończyło? Nasza miłość jest czysta jak kryształ, jest wciąż żywa w mej pamięci, ale nasze małżeństwo, nasze życie razem pograżyło się w mroku zapomnienia. Pamiętam tylko dzień, kiedy odeszłaś. Nie pamiętam, żebym starał się cię zatrzymać. Próbowałem? Czy powiedziałem: „Nie opuszczaj mnie?” Czy zdawałem sobie sprawę z tego, kim się stanę bez ciebie? - westchnął ciężko. - Jezu, Kayla, czy chociaż mi na czymś zależało?

Słyszysz, jak woła ją po imieniu.

Próbuje go dotknąć, ale nikogo przy niej nie ma. Czuje, że znowu ogarnia ją panika.

Przez głowę przelatują jej różne obrazy, zmieniają się szybko niczym kształty w dziecięcym kalejdoskopie, a kiedy obraz się zatrzyma, ona jest już gdzie indziej. W domu.

Próbuje coś powiedzieć, zawołać, lecz ma kłopoty z gardłem. Gdzieś daleko słyszy jakiś jęk. To jej jęk... a może nie...

Teraz jest w Hollywood, w ich domu, czeka na Juliana. Wygląda przez okno, wszystko, co widzi, jest szare. Szare drzewa, szare kwiaty, szare niebo, jedynie siedząca na gałęzi i spoglądająca na nią z góry wrona jest czarna.

Nie, to nie wrona. To jej dziecko. Płacze. Instynktownie odwraca się, żeby pójść do córki, ale słyszy kroki niani. Waha się chwilę, boi się przeszkadzać starszej kobiecie o surowym wyrazie twarzy, która sprawia wrażenie, że najlepiej wie, jak należy opiekować się małą dziewczynką.

Jest zmęczona życiem wypełnionym śmiechem, narkotykami i seksem uprawianym w nie swoich łóżkach. Jest zmęczona szczupłymi, pięknymi kobietami o pustych oczach, które nigdy nie noszą w torebkach zdjęć swoich dzieci. Czuje się samotna, teraz bardziej niż kiedykolwiek. Od urodzenia Jacey Julian stał się jakiś obcy. Nigdy nie bierze córki na ręce ani do niej nie mówi. Tylko zatrudnia jakieś kobiety, żeby robiły to, co Kayla pragnęłaby robić sama.

Jak mogło go to nie zmienić? Jak mogło go nie zmienić pojawienie się dziecka w ich życiu? Ona zmieniła się w każdym calu.

Stoi w cieniu w salonie, obok dekoracyjnego gazowego kominka, który wprawdzie wygląda i syczy jak prawdziwy, lecz nie daje prawdziwego ciepła.

Kiedy Julian wróci do domu, jak zwykle późno i pachnąc perfumami innej kobiety, ona spostrzeże, że mąż wygląda staro, że jest zmęczony. Zastanawia się, od jak dawna on prowadzi takie życie, jak długo ona nie zauważała, że on się stacza. Narkotyki i alkohol zostawiły swoje piętno na jego skórze, na wszystkim, zmieniły nawet jego sposób

poruszania się. Cokolwiek teraz robi, wygląda to jak na zwolnionym filmie.

- Jules?

Odwraca się do niej i uśmiecha, chociaż jeszcze jej nie widzi.

- Czołem, dziecinko.

Podchodzi bliżej, ma mocno zaczerwienione oczy, i wiecznie wilgotny nos od zażywania kokainy. Jules porusza się niepewnie, marionetka z pozrywanymi sznureczkami. Serce jej pęka, gdy na niego patrzy.

Ujmuje jego rękę w swoje dłonie, usiłując nie dostrzegać drżenia jego palców, nie zwracając uwagi na nieprzyjemną wilgoć na wewnętrznej stronie ręki.

- Musimy porozmawiać, Jules. W oczach mężczyzny pojawia się błysk irytacji. Chociaż starał się to ukryć, ona widziała wyraźnie.

- Nie zaczynaj znowu, Kay, Jezus, nie zaczynaj... Wiem, zapomniałem o urodzinach naszego dziecka. Ale przestańmy wreszcie o tym mówić.

Wysuwa rękę z jej dłoni i idzie do barku, przygotowuje sobie koktajl i szybko, zbyt szybko go wypija. Potem sięga do kieszeni i wyjmuje torebkę z kokainą.

Widzi, jak on zażywa narkotyk, patrzy na niego z bezmiernym smutkiem. W końcu odwraca się.

- Musimy zmienić nasze życie, Julianie.

- Wiem, kochanie - szepcze, całuje jej policzki, oczy, obejmuje dłońmi twarz. - I zmienimy.

Wiele razy słyszała taką odpowiedź, ale teraz już jej to nie zadowala.

- Nie mogę patrzeć, jak się niszczysz, Jules. Ja... zbyt mocno cię kocham, żeby ci na to pozwolić. I nie mogę pozwolić, żeby Juliana dorastała w takich warunkach. Pragnę, żeby mogła czuć się bezpiecznie.

Julian marszczy brwi.

- Czuję, że tym razem mówisz poważnie. Odwraca się od niego i podchodzi do dużego okna. To zabawne, myśli, jak szybko życie może się zmienić. Jedna minuta, jedno zdanie, które tak naprawdę nic nie znaczy, i nagle wyraźnie widzisz wszystko to, czego wcześniej nie dostrzegaliśmy.

Jules staje za jej plecami. W szybie odbija się jego zamglona sylwetka.

- W Sunville powiedziałeś prawdę - mówi bezbarwnym, smutnym głosem. - Naprawdę wcale nie chciałeś się ze mną ożenić.

- Nie chciałem cię stracić.

Zastanawia się, czy on rozumie, jaka przepaść dzieli jej pytanie i jego odpowiedź.

Nie może wychowywać Juliany w takim świecie. Bez względu na to, jak bardzo kocha Juliana, nie może tego zrobić własnej córce. Sama dobrze poznała ból, jaki czuje dziecko, gdy ojciec się nim nie interesuje.

- Przykro mi, Julianie. Przepraszam - szepcze. Po policzkach spływają jej łzy.

On obejmuje ją ramionami, mocno przytula.

- Kocham cię, Kayli. Ale nie mogę tego wszystkiego rzucić. Taki już jestem.

Czule dotyka dłońmi jego twarzy.

- Kocham cię, Julianie, kocham bardziej niż... - Nie jest w stanie dokończyć zdania. Niczego nie można porównać z wielką miłością, jaką darzy tego człowieka. - Chciałabym, żebyśmy byli starzy i siwi i żeby to wszystko było już za nami - mówi w końcu. - Chciałabym, żebyśmy mieli po sześćdziesiąt lat, siedzieli razem przy kominku ze zdjęciami naszych wnucząt na kolanach... żebyśmy zaśmiewali się, wspominając te czasy. Chciałabym... - Głos jej zatamuje, ból w sercu staje się nie do zniesienia. Już nie zdoła powiedzieć nic więcej.

Nie może tego znieść, nie może znieść tych wspomnień. Zamyka oczy i ponownie pogrąża się w błogosławionej ciemności...

Tego wieczoru podczas obiadu Liam starał się uśmiechać i prowadzić swobodną rozmowę z ukochanymi dziećmi, ale naprawdę słyszał tylko przejmujące chwile ciszy między

wypowiadanymi zdaniem. Kiedy nakładał sobie drugą porcję ryżu, we wglębieniu dużej srebrnej łyżki ujrzał swoje odbicie.

Ogarnął go strach; czuł się tak, jakby w najciemniejszą zimową noc skakał na głowę do Jeziora Aniola.

Ręka zaczęła mu drżeć. Srebrna łyżka stukała o cynowy talerz.

- Tatusiu? - Bret szeroko otworzył oczy. - Dobrze się czujesz?

Liam upuścił łyżkę i wyciągnął obie ręce. Jeśli ktoś był zaskoczony jego zachowaniem, nie dał tego po sobie poznać.

- Weźmy się za ręce - powiedział.

Wyciągnęli ręce. Liam poczuł, jak mała dłoń Breta wsuwa się do jego dłoni, potem Jacey ujęła jego drugą dłoń. Po przeciwnej stronie stołu Rosa trzymała ręce dzieci.

Czuły, pełen ufności dotyk rąk dzieci sprawił, że Liam poczuł, iż wraca mu wiara - wiara, której tak bardzo potrzebował.

- Pomódlmy się. Roso, możesz zacząć?

Obserwowała go przez stół. Liam wiedział, że go rozumie. Skinęła głową, zamknęła oczy i pochyliła głowę. Melodyjny, rzewny głos Rosy brzmiał jak muzyka.

- Boże Ojczy, dziękujemy Ci, że we czwórkę możemy siedzieć przy tym stole, dziękujemy Ci za to, że wszyscy darzymy się miłością i możemy się nawzajem wspierać. Dziękujemy Ci za to, że Mikaela żyje. Wiemy, że czuwasz nad nią, że ją chronisz i błogosławisz i że nie opuszczasz jej w mroku snu, w którym jest pogrążona. Przyjmij nasze gorące modlitwy i wysłuchaj pokornych prośb. Pozwól jej wrócić w ramiona kochającej rodziny. W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen.

Liam otworzył oczy i popatrzył na dzieci.

- Bardzo was kocham - powiedział czule.

Tak to teraz bywało. Najszczęśliwsze, ciche chwile, jak ta właśnie, poutykane były w zakamarki codziennego życia. Każde z nich uczyło się dostrzegać rzeczy, na które dawniej nie zwracali najmniejszej uwagi. I cieszyć się życiem, które jeszcze trwa.

Część IV

*Życie można zrozumieć, tylko patrząc wstecz,
ale żyć trzeba, patrząc w przód.*

Søren Kierkegaard

18

Jaka cudownie niebieska woda! Mikaela jest na dnie basenu, patrzy w górę. Czuje się ciężka, woda hamuje jej ruchy, lecz ona wie, że jeśli się dobrze skoncentruje, jeśli zaangażuje całą swoją wolę, będzie mogła poruszyć palcami rąk i nóg. Zdaje sobie sprawę z tego, że kiedyś, dawno temu, taki ruch byłby niczym, czymś, co potrafi zrobić nawet niemowlak, ale dla niej, pogrążonej w otchłani błękitnej wody, ten ruch jest prawdziwym wyczynem, jest wszystkim.

Płynie, przebija się przez wodę coraz wyżej i wyżej, nie czuje ciężaru własnego ciała. Woda rozstępuje się przed nią, utrzymuje jej ciało w stanie nieważkości.

Dotarła na powierzchnię, woda spływa z jej twarzy. Zaczepuje tchu, wdycha słodki zapach sosen, potem zachłannie wciąga powietrze do płuc. Palce dłoni zginają się, sięgają ku czemuś... jakiemuś cieniowi, majaczącemu przed nią.

Otwiera oczy, z jej ust wyrzywa się krzyk. Jest przeraźliwie jasno, nie może znieść tak silnego światła.

- Jezu Chryste, otworzyła oczy. Mike... jesteśmy tutaj...

Bierze głęboki oddech, próbuje się uspokoić i ponownie otwiera oczy. Początkowo świat jest chaotyczną mieszaniną kontrastów: przeraźliwej bieli rażącego światła i czarnych

chwiejących się cieni. Czuje coś ciepłego na swojej dłoni. Próbuje to uchwycić, ale palce znowu są wyprostowane, sztywne, niezdolne do ruchu.

Porusza powiekami, całą siłą woli próbuje odwrócić głowę. Coś jej przeszkadza, to wybrzuszenie bawełnianej tkaniny.

Cienie tańczą przed oczami, pojawiają się jak fatamorgana na pustynnej drodze, po chwili powoli nabierają kształtów.

Wkoło niej stoją trzy osoby, mężczyźni.

Julian. Widzi go, widzi te ukochane niebieskie oczy wpatrzone w nią z góry. Wyciąga do niego rękę, chce dotknąć jego twarzy delikatnym, pieszczotliwym gestem, lecz nie kontroluje swoich ruchów i zamiast tego z całej siły uderza go w twarz. Widząc jego zdumienie, chciałaby się roześmiać, w rzeczywistości jednak wybucha płaczem. Woda znowu spływa jej po policzkach, woda słona jak czarne morze, w którym była pogrążona. Boi się. Nie może przestać płakać.

Próbuje coś powiedzieć. To boli, pali w gardle. Mimo to przez zaciśniętą, poranioną krtani przeciskają się jakieś dźwięki. Są poszarpane, brzmia obco, ale kiedy słyszy wypowiedziane przez siebie słowo, płacze jeszcze żałośniej.

- Ju... li... an.

- Jestem tu, kochanie - odzywa się głos, który bardzo dobrze pamięta, głos, który porusza czułe struny w jej sercu. - Kayla, kochanie, jesteś przytomna? Ściśnij moją dłoń.

Znowu otwiera oczy, wolno mruga powiekami. Długo nie może skupić wzroku, a gdy się to w końcu udaje, widzi, że Julian stoi obok i patrzy, a ją ogarnia fala radości.

- Ty... wróciłeś.

Pochyliła się nad nią inny mężczyzna. Z przodu na białym fartuchu jest napis: „Dr Liam Campbell”.

- Cześć, Mike.

Marszczy brwi i próbuje odwrócić głowę, żeby poszukać Mike. Nie może, czuje się zmęczona, daje za wygraną. Usiłuje przypomnieć sobie, jak się tu znalazła. Nic nie pamięta. Pamięta każdą chwilę swego życia do momentu, kiedy pożegnała się z Julianem. Potem jest tylko pustka. Przeraza ją to.

- Ja... nie... gdzie...

- Jesteś w szpitalu - ktoś mówi.

- Juliana - zaskrzeczała. - Gdzie jest moje dziecko?

- Dziecko? - Julian odwrócił się do drugiego mężczyzny. - O co tu, u licha, chodzi?

Coś było nie w porządku. Nagle uświadomiła sobie, że została ranna. Ranna. A oni nie chcą jej nic powiedzieć o Julianie. O Boże...

Drugi mężczyzna dotyka jej twarzy. Gest jest delikatny, czuły, uspokoiła się. Zamrugowała powiekami, wpatrując się załzawionymi oczami w jego rozmazaną twarz. Osuszył jej łzy chusteczką z ligniny.

- Nie płacz. Mike. Twoja córka ma się dobrze. Nic się jej nie stało.

Wierzyła mu. Julianie nic się nie stało.

- Kim...

- Nie bądź niecierpliwa. Nic nie pośpieszaj. Na wszystko przyjdzie czas.

- Kim... jesteś? - udało się jej wyrzucić z siebie. Zanim zdążył odpowiedzieć, straciła zainteresowanie. Głowa straszliwie jej ciążyła i bardzo ją bolała. Najważniejsze, że jej dziecku nic się nie stało.

Zamknęła oczy i ponownie zanurzyła się w chłodnej, niebieskiej wodzie. Wróciła do miejsca, gdzie było spokojnie, ciepło, gdzie się nie bała.

* * *

- Niepamięć wsteczna.

Liam i Julian siedzieli po drugiej stronie masywnego dębowego biurka Stephena Penna. Stephen wyglądał na zmęczonego i całkowicie wyczerpanego.

Liam pochylił się do przodu i oparł łokcie na udach.

- W pourazowych...

- Do cholery, poczekaj chwilę! - Julian zerwał się na równe nogi. Miotał się po niewielkim gabinecie, niczym lew po klatce. Co chwila nerwowo przeczesywał ręką włosy. - Nie spędziłem dwudziestu lat na studiach i nie mam pojęcia, o czym mówicie. Co to, do diabła, jest niepamięć wsteczna?!

Stephen zdjął z nosa małe okrągłe okulary i ostrożnie położył je na zagraconym biurku. Nie patrzył na Liama.

- W chwili poważnego urazu - zaczął - mózg przestaje rejestrować wspomnienia. Dlatego ofiara poważnego urazu głowy rzadko pamięta sam wypadek. Najczęściej ostatnią zapamiętaną rzeczą jest coś, co zdarzyło się kilka dni, tygodni... a nawet lat wcześniej. Często są to wspomnienia ważnych, mających wielkie znaczenie wydarzeń: ślub, narodziny dziecka, tego rodzaju rzeczy. Wygląda na to, że umysł Mikaeli... zatrzymał się, że tak powiem, na wydarzeniach sprzed kilkunastu lat. Jej się wydaje, że Jacey jest wciąż maleńkim dzieckiem. - Przerwał na chwilę. - Najwyraźniej w ogóle nie pamięta życia u boku Liama.

- Jak długo, twoim zdaniem, potrwa amnezja? - zapytał Liam, chociaż doskonale znał odpowiedź.

- Trudno przewidzieć. - Stephen cedził słowa. - Mimo to jest szansa, że w końcu sobie przypomni. Długotrwała niepamięć wsteczna jest zjawiskiem rzadkim. - Zniżył głos i dodał: - Ale jednak się zdarza.

- Jak możemy jej pomóc? - cicho zapytał Liam.

- W chwili obecnej jest przerażona i zdezorientowana. Musimy postępować bardzo, bardzo ostrożnie. Ludzka psychika jest bardzo wrażliwa, nie trzeba urazu głowy, żeby zranić człowieka. Nie możemy zasypywać Mikaeli niepokojącymi informacjami. - Stephen spojrzał na Liama. - Sądzę, że najlepiej będzie, jeśli pozwolimy jej samej wszystko sobie przypomnieć.

- Chcesz powiedzieć - Liam westchnął ze znużeniem - że i dzieci, i ja powinniśmy trzymać się z daleka.

- Przykro mi, Liamie. Wyobrażam sobie, jakie to dla ciebie musi być trudne. Uważam jednak, że trzeba jej dać więcej czasu, by mogła wrócić do siebie. Wyobraź sobie, jak byś się czuł, wiedząc, że gdzieś ci umknęło piętnaście lat życia.

- Dobrze - zgodził się Liam. - Rozumiem. - Pochylił się jeszcze bardziej w przód, zwiesił głowę i wpatrywał się w orientalny dywan tak długo, że w końcu kolory zlały się w jeden wielki siniak.

Co, na Boga, ma powiedzieć dzieciom?

Julian podszedł do automatu telefonicznego i zadzwonił do Vala.

- Dzisiaj się obudziła - poinformował, kiedy Val odebrał telefon.

- Niemożliwe! Jak się czuje?

- Ma amnezję. Nie pamięta nic z okresu ostatnich piętnastu lat. Myśli, że nadal jesteśmy małżeństwem.

- Chcesz powiedzieć...

- Nadal mnie kocha, Val. Nie ma żadnych złych wspomnień. Nie pamięta, że się rozstaliśmy. Val zagwizdał cicho.

- Jezu Chryste, co zrobiłeś, spisałeś to wszystko? To brzmi jak bajka, a ty jesteś księciem. Prasa po prostu kocha takie historie.

Julian ciężko oparł się o ścianę.

- Nic nie rozumiesz. Jak mam jej powiedzieć, że ja wcale po nią nie przyjechałem? Val? Val?

Zamiast odpowiedzi w słuchawce rozległ się sygnał. Julian zaklął i odwiesił słuchawkę. Po raz pierwszy, odkąd tu przyjechał, poczuł strach. Bał się, naprawdę się bał.

Mikaela żyła. Ten cud był Liamowi potrzebny. W ciągu ubiegłych tygodni prosił Boga, żeby przywrócił ją do zdrowia, żeby otworzyła oczy. Cały czas usiłował spokojnie,

racjonalnie myśleć o zniszczeniach, jakie mogła spowodować długotrwała śpiączka. Paraliż, uszkodzenie mózgu, nawet śmierć. Na te ewentualności starał się przygotować. Jednak nigdy nie prosił Boga, by przywrócił jej pamięć. Taka myśl nawet nie powstała mu w głowie.

Teraz, jadąc do domu, sam siebie próbował przekonać, że niepamięć wsteczna jest częstym, krótkotrwałym skutkiem ubocznym poważnego urazu mózgu.

Krótkotrwałym. Kurczowo trzymał się tego „określenia, lecz obawy były silniejsze.

A jeśli Mike nigdy nie przypomni sobie ani jego, ani dzieci?

Skupił się na oddychaniu. Bzdurna sprawa, ale gdyby nie myślał o równym oddechu, wpadłby w panikę. Ocaleje, jeśli głęboko zaczerpnie powietrza.

„Kim jesteś?”

Czy kiedykolwiek zapomni to pytanie? Czy zapomni ból, jaki go przeszył w tym strasznym momencie, kiedy wypowiedziała imię Juliana... i zaraz potem zapytała Liama, kim jest.

Doskonale wiedział, że przyczyną takiego zachowania jest stan, w jakim Mikaela się znajduje, pourazowa luka w pamięci wskutek urazu głowy. Ale przecież był nie tylko lekarzem, był również człowiekiem, mężczyzną, kochającym mężczyznę, i czuł się tak, jak każdy normalny mężczyzna czułby się na jego miejscu. Tak jakby po dwunastu razem przeżytych latach - chwilach doniosłych i mało ważnych, miłości wyrażanej podczas codziennych zajęć, posiłków i wieczornych rozmów - Liam nie pozostawił po sobie najmniejszego śladu.

Tak jakby jego miłość podobna była do fal, które kształtują i przesuwają linię brzegu, ale nigdy jej w istotny sposób nie zmieniają.

Nie powinien tak myśleć. To niedorzeczne. Przecież Mikaela całym sercem kochała swoje dzieci, a o nich również zapomniwała...

Nie, to nieprawda. Zapomniwała tylko Breta, syna Liama. Pamiętała Jacey. I Juliana.

Nie potrafił otrząsnąć się z narastającej w nim straszliwej obawy, że ostatecznie jego miłość nie ma znaczenia, w ogóle się nie liczy. Co powie dzieciom? Tak wiele już przeżyły, tak bardzo cierpiały, tak bardzo się bały. Biedny Bret dzielnie odwiedzał ją codziennie, śpiewał jej ulubione piosenki, czekając na jeden uśmiech. Będzie przybity, kiedy się dowie, że mama go nie pamięta. Jedno puste spojrzenie Mikaeli i Bret się załamie.

Jacey spróbuje podejść do tego jak osoba dorosła, ale w duszy - a to, niestety, znacznie ważniejsze - też załamie się jak mała dziewczynka. Zrozumie, że wszystko, co łączyło ją i Mike, przepadło. Każda rozmowa, każde wspomnienie wspólnie spędzonych chwil, będzie teraz należeć wyłącznie do Jacey.

Liam nawet nie chciał myśleć o swoich obawach. Dostatecznie silnie przygnębiała go myśl o prawdopodobnej reakcji dzieci.

- Boże, błagam - szepnął. - Tego już nie zniesiemy. To nazbyt wiele.

Na przedniej szybie, przerywając panującą w samochodzie ciszę, zaskrzeczały włączone wycieraczki. Zaczął padać lekki śnieg, płatkami pstrzył szybę, gromadził się na piórach wycieraczek.

Liam włączył radio. Z głośników popłynęła melodia *Memories* w wykonaniu Barbry Streisand.

Nacisnął wyłącznik. Chryste, co będzie następne? *As Time Goes By*?

Śnieg sypał coraz gęstszy. Liam nawet nie widział podjazdu do własnego domu, dopóki się na nim nie znalazł.

Wrzucił napęd na cztery koła i zmniejszył szybkość. Ostrożnie wjechał na nierówną zwirową dróżkę prowadzącą do garażu.

W sieni zatrzymał się na chwilę. Chciał się jakoś pozbierać, uspokoić. Dopiero potem wszedł do środka.

- Halo! - krzyknął. - Już jestem.

Usłyszał ciche kroki na drewnianej podłodze. Pojawiła się Rosa w kapciach i starym fartuchu Mike z klubu jeździeckiego, narzuconym na czarną domową suknię.

- *Buenos noches* - powiedziała, ocierając brew dłonią i pozostawiając na czole śnieżnobiałą smugę mąki. - Robię... biskwity na obiad. Nalać ci filiżankę kawy, *si*? A może

wolisz kieliszek wina?

- Gdzie są dzieci?

- Jacey powinna wrócić za *momento*. Bret jest na górze, bierze prysznic. Chciałbyś...

- Mike się obudziła.

- *Dios mio* - głośno wciągnęła powietrze. Ręką zakryła sobie usta. - To cud. Jak ona się czuje?

Liam nie wiedział, jak w prostych zdaniach zawrzeć wszystko, co zdarzyło się w ciągu tego niesamowitego dnia.

- Nie poznała mnie, Roso - w końcu powiedział po prostu. Sam słyszał straszny ból w swoim głosie. Ten głos brzmiał obco, niepodobnie. - Julia... Juliana poznała.

Ręka Rosy powoli, bardzo powoli opadła w dół. Kobieta bezwiednie zacisnęła dłoń w pięść.

- Co to znaczy? - zapytała.

- Mógłbym podać szereg naukowych wyjaśnień, ale i tak wszystko sprowadza się do tego, że pamięć ją zawodzi. Jej się wydaje, że ma dwadzieścia cztery lata i nadal jest żoną Juliana. Myśli, że Jacey wciąż jest małym dzieckiem.

Rosa patrzyła na niego ze znanym mu wyrazem twarzy. Miała minę pacjenta, któremu właśnie przekazał złą wiadomość. Desperacko pragnęła, żeby dał jej bodaj cień nadziei.

- Ale to się zmieni? Będzie lepiej. *Si?* - zapytała.

- Mamy nadzieję, że to stan przejściowy. - Liam lekko zaakcentował słowo „nadzieja”. - Zazwyczaj ludzie odzyskują pamięć.

- To znaczy, że ona nie pamięta ani ciebie, ani dzieci, ani tych wszystkich lat, które przeżyła bez niego.

Każde słowo Rosy było kamieniem, a ułożone jeden na drugim stworzyły ciężar, pod którym Liam się załamał. Błyskawiczny przeskok od nadziei do bolesnego rozczarowania. Od tygodni obawiał się tej chwili, momentu gdy i serce, i rozum powiedzą dość. A teraz, kiedy to się stało, nie czuł nic. Nie przeżywał straszliwych mąk, nie wybuchnął płaczem, którego nie byłby w stanie opanować. Czuł tylko wielkie odrętwienie, ogromną, zżerającą go od wewnątrz pustkę.

- Nie - odpowiedział Rosie.

Rosa zamknęła oczy i spuściła głowę. Wyglądała, jakby się modliła.

- Ależ musisz cierpieć... Nie jestem w stanie sobie tego wyobrazić.

- To prawda - przyznał ze ściśniętym gardłem. Po chwili Rosa podniosła głowę, brązowe oczy, tak podobne do oczu Mike, były pełne łez.

- Co powiesz dzieciom?

No właśnie. Liam westchnął.

- Nawet nie mogę o tym myśleć, Roso.

- *Si*. Tyle czasu się o to modliły. Serca im pękną, kiedy się dowiedzą, że mama ich nie pamięta.

- Wiem. To małe miasto. W takiej miejscinie trudno utrzymać coś w tajemnicy.

Tajemnice. Takie, na przykład, jak sławny ojciec, o którym dziewczynka nic nie wie.

- Na razie nic im nie mów. - Rosa zrobiła krok do przodu. - Przynajmniej dziś wieczór. Daj Mikicie czas do jutra. Może wtedy nie będziemy musieli powiedzieć *ninos* tej strasznej prawdy, *si?* - Spojrzała na Liama. - Wierzyłeś w Mikaelę, doktorze Liam. Od samego początku pokładałeś wiarę w Bogu i w Mikaeli. Nie rezygnuj teraz, nie poddawaj się. Ona nadal cię potrzebuje... może teraz nawet bardziej.

- Zawsze mnie potrzebowała. Roso. Dlatego za mnie wyszła. Ale chodzi o coś innego.

Rosa zadrżała.

Liam wiedział, że zrozumiała, co powie, jeszcze zanim skończył myśleć.

- Chodzi o miłość.

Tego wieczoru po obiedzie Liam starał się koncentrować na sprawach, które nie pozwoliłyby mu myśleć o Mikaeli. Siedzieli wszyscy w dużym pokoju i patrzyli na jakiś film pokazywany w telewizji, ale wydawało się, że nikt nie ogląda go z zainteresowaniem.

Podczas przerwy na reklamę Jacey wzięła do ręki pilota i całkowicie wyciszyła dźwięk.

- A więc - odezwała się niespodziewanie - jak się czuje mama?

- Hm. - Liam odłożył czasopismo medyczne. - Bez zmian - odpowiedział po chwili, przerywając niezręczną ciszę. - Słuchajcie, mam pomysł. Może zorganizujemy sobie taką naszą noc pod chmurką?

- Na dworze jest strasznie zimno. - Jacey zmarszczyła brwi.

- Wiem, wiem. - Liam roześmiał się sztucznie. - Chodziło mi o taką noc na niby. Tak jak to robiliśmy, kiedy Bret był malutki. Wyłączymy telefony i zniemiemy śpiwory do salonu. Weźmiemy suchy prowiant, pestki do chrupania, a ja opowiem wam historię Sama McGee.

- Fantastycznie! - wykrzyknął Bret.

- Od lat tego nie robiliśmy. - Jacey wyglądała na przerażoną. - I nie możemy wyłączyć telefonów. Gdyby mama...

- Mam swój pager. Jeśli... cokolwiek się zdarzy, od razu włączymy telefony.

- Powiedziałaś Markowi, że zadzwonię do niego wieczorem. - Jacey nie była przekonana. Nadal miała wątpliwości, czy pomysł ojca jest rzeczywiście dobry.

- Chyba przeżyjesz kilka godzin bez rozmowy z Markiem? - Liam uśmiechnął się do córki.

- Na pewno nie - pisnął Bret. Położył rękę na piersi i dramatycznie wywraçał oczami. - Ona umrze, jeśli nie porozmawia ze swoim chłopakiem.

- Bardzo zabawne. - Jacey żartobliwie trzepnęła brata w głowę. - Zobaczymy, co powiesz, kiedy już przestaniesz uważać, że wszystkie dziewczyny są trędowate.

- No, zgódźcie się - odezwał się Liam z uśmiechem. - Będzie fajnie. Babcia nigdy nie nocowała pod chmurką.

- Będzie odlatowo, babciu. - Bret odwrócił się, żeby spojrzeć na Rose. - Tata jest najlepszym na świecie gawędziarzem.

- Potrafi opowiadać różne historie, si? - Rosa uśmiechnęła się do niego.

- No, to zabierajmy się do roboty. - Liam klasnął w dłonie.

Godzinę później byli gotowi.

Noc zmieniła duży pokój w ogromną, prostokątną pieczarę. W kamiennym kominku trzaskał ogień, płomienie rzucały złoty blask, tańczące cienie przesuwaly się po kątach. Wszystkie meble ponakrywali zielonymi i brązowymi wełnianymi szalami; kamuflaż dobry, jak każdy inny. Ogromnym niebieskim prześcieradłem przykryli fortepian, przemieniając go w tajemnicze Fortepianowe Jezioro, w którym często, także podczas letnich wakacji, ginęli pływacy.

Jacey cichym głosem snuła opowieść wymyśloną przez nich wszystkich już dawno temu.

- Ludzie z miasteczka przysięgają, że w noc taką jak ta: spowitą w śnieg, zimową, ciemną, kiedy na bezchmurnym niebie pojawia się księżyc w pełni, słyszą krzyki dusz nieszczęśników, którzy utonęli tu dawno temu.

- To nie tak, ona źle opowiada - skrzywił się Bret. Jacey roześmiała się złowieszczo, włączyła latarkę i od dołu oświetliła swoją twarz.

- Ale to jeszcze nie koniec... jeszcze jest o małym chłopcu, który oddalił się od obozowiska i znalazł się na brzegu Fortepianowego Jeziora...

Bret pochylił się do przodu. To był zupełnie nowy i bardzo interesujący wątek.

- Co się z nim stało? - zapytał przejęty chłopiec. Liam przymknął oczy. W pokoju pachniało prażoną kukurydzą i dymem palącego się drewna, gorącą czekoladą i topniejącymi w ciepłe słodkościami. Liam wyobraził sobie, że Mike siedzi obok niego, głowę oparta na jego ramieniu, ręką obejmując go w pasie.

Smutek był właśnie taki. Czasami długie minuty mijały w błogosławionej nieświadomości - zwyczajny ojciec, cieszący się dźwiękiem głosów swoich dzieci - a potem nagle przypominał sobie pytanie: „Kim jesteś?” - i przeszywał go ból tak straszny, że nie mógł

złapać oddechu. W takich chwilach przed oczyma stawało mu całe życie. Widział je jak bezkresną, pustą autostradę, na końcu której czaił się strach, nieracjonalny, ale paraliżujący strach, że straci Mikaelę na rzecz Juliana. Przerazające, niedające się stłumić uczucie co pewien czas ogarniało go bez reszty.

- Tatusiu! Tatusiu! - krzyczał Bret.

Liam odsunął od siebie przykre myśli i podniósł wzrok. Spojrzał prosto w zaniepokojone, uważne, brązowe oczy Rosy.

- Tatusiu, teraz ty opowiedz o zastrzeleniu Dana McGrew. To moja ulubiona historia.

Liam odchylił się w tył, swobodnie wsparł plecy na oparciu kanapy (teraz wygasłym wulkanie, noszącym nazwę Góry Mikaeli) i szeroko rozpostarł ramiona. Bret na kolanach przegramolił się przez pokruszone krakersy, rozsypaną prażoną kukurydzę i pozwijane w rulony śpiwory, wdrapał się na kanapę i przytulił do ojca. Jacey i Rosa również przysunęły się bliżej. Siedziały obok siebie przed ciepłym kominkiem.

Chociaż od lat nie recytował tego wiersza, Liam przypomniał go sobie z zaskakującą łatwością. To była opowieść o poszukiwaczach złota w Yukon, którzy...

Walczyli o kobietę.

Liam zdusił przekleństwo w ustach.

- Hej, Bretster, może lepiej opowiem o Samie McGee?

- Wykluczone. Ma być Dań McGrew. Liam westchnął i zamknął oczy.

- Kilku chłopaków - zaczął cicho - zabawiało się w barze Malamute...

Musiał bardzo się skupić, żeby mówić dalej. Kiedy skończył ostatnie zdanie, udało mu się nawet uśmiechnąć.

- To nie była ładna opowieść - orzekła Rosa, marszcząc brwi.

Liam zignorował jej uwagę.

- No, dzieciaki, pora wyszczotkować zęby. Już północ.

- Jak to, na biwaku? Na pewno nie będę mył zębów - zarzekł się Bret.

- Dalej, cuchnące usta, idziemy - ucięła Jacey, biorąc brata za rękę.

Po chwili dzieci były już z powrotem i wsuwały się do śpiworów. Liam pocałował każde na dobranoc i wstał.

- Dokąd idziesz? - Bret zerwał się jak sprężyna.

- Idę odprowadzić babcię do domku dla gości. Zaraz wracam.

- Ale będziesz spał tu, na dole, tak?

- Oczywiście.

- Dobranoc, babciu. - Bret wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Dobranoc, babciu - pożegnała Rose Jacey. Rosa ucałowała ich oboje i wyszła za Liamem z pokoju. W sieni założyli palta i buty, potem Liam nacisnął przycisk otwierający drzwi garażu i razem wyszli na zewnątrz.

Piękny księżyc rzucał szklisty blask na pokryte śniegiem pastwiska i z tyłu podświetlał czarne drzewa. Całe ranczo wyglądało niezmiernie, mieniło się błękitem, czernią i bielą.

- Mike uwielbiała takie noce - powiedział Liam. - Gdyby tu teraz była, biegłaby przed nami, garściami zbierając śnieg i lepiąc śnieżki... albo bez uprzedzenia upadłaby na plecy, rozkładając ręce i udając anioła. Mam nadzieję, że śnieg jeszcze się utrzyma, kiedy Mike wyjdzie ze szpitala.

Dotarli do furtki. Spod migoczącej iskierkami warstwy świeżego śniegu sterczały guzowate, brązowe gałęzie pnącej róży. Latem była tu ściana jasnej zieleni i jaskrawego rózu.

W nocnej ciszy otwierana furтка przeraźliwie zaskrzypiała. Rosa poszła przodem, otworzyła drzwi wejściowe i zapaliła światło w kuchni. Zdjęła palto i powiesiła je na starej zbroi przy drzwiach. Liam swoje przewiesił przez oparcie krzesła, stojącego przy kuchennym stole.

- Co mówiła moja Mikita... - Rosa odwróciła się do Liama - gdy opowiedziałeś jej o naszym małżeństwie?

Liam był zaskoczony, nie spodziewał się takiego pytania.

- Nie powiedzieliśmy jej.
- Co? Przecież to szaleństwo. Powinniście...
- Steve uważa, że prawda może wywołać zbyt wielki szok. Nie chcemy, żeby ponownie zapadła w śpiączkę.

Rosa zastanawiała się przez chwilę nad tym, co usłyszała, po czym pokręciła głową.

- Wy, mężczyźni i lekarze, robicie tylko to, co uważacie za słuszne. Ale ja jestem jej matką, si? Zawsze opiekowałam się Mikaelą. I teraz też nie przestanę. Potrzebne mi będą zdjęcia, które znalazłeś.

Liam próbował sobie wyobrazić, jak to jest, kiedy ma się taką matkę. Jak silna w życiu staje się osoba, która wie, że jest takie miejsce na ziemi, gdzie znajdzie spokojną przystań nawet po najboleśniejszym upadku.

- Roso - rzekł cicho, delikatnie dotykając jej dłoni. - Cieszę się, że tu jesteś. Nie wiem, jak bym sobie bez ciebie poradził.

Rosa chwyciła jego rękę w obie dłonie i mocno ścisnęła.

- Jesteś silniejszy, niż przypuszczasz, Liamie. Widziałam tę siłę w tobie podczas ubiegłych tygodni. Teraz uważasz, że Mikaela cię nie potrzebuje, że zapomniała o tobie, ponieważ cię nie kocha. Mylisz się. To nieprawda. Może otworzyła oczy, ale *mi* *hija* nadal śpi. Daj jej jeszcze trochę czasu.

Tym razem obudziła się bez trudu. Żadnego pływania na dnie basenu, żadnego czarnego, wzburzonego morza, falami uderzającego w jej ciało. Po prostu... otworzyła oczy i już.

Wokół jej łóżka stali jacyś ludzie. Niektórych widziała już wcześniej, innych nigdy nie spotkała. Mówili coś do niej i do siebie nawzajem. Widziała, jak otwierają się i zamykają ich usta, otwierają i zamykają, lecz nic nie rozumiała.

„Czy wiesz, gdzie jesteś... kim jesteś... co się zdarzyło...”

Chciała, żeby się zamknęli, żeby zamilkli. Powoli, jedną po drugiej, zaczęła rozróżniać twarze, zaczynała rozumieć zadawane pytania. Doktor Penn, sympatyczny mężczyzna w białym fartuchu i z siwymi włosami, uśmiechał się do niej.

- Dzień dobry, Mikaelo. Pamiętasz mnie?

- Penn - odpowiedziała. Jej głos chrząścił jak skorupy starej porcelany i wydawał się równie kruchy. Gardło ciągle jeszcze ją bolało. - Co... mi się stało?

- Spadłaś z konia i uderzyłaś się w głowę. Miałas poważny uraz głowy. Byłaś w stanie śpiączki.

Chciała go o kilka rzeczy zapytać, ale nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów.

- Nie martw się, Mikaelo. Wszystko sobie przypomnisz. - Stephen odwrócił się do nieznanych jej osób: - Chodźmy. Ona musi odpocząć.

Poczekajcie. Spróbowała usiąść. To było trudne; prawa strona, ciała była zbyt ciężka, a ona za słaba, żeby mogła się poruszyć. Serce zaczęło jej bić bardzo szybko, oddech zmienił się w łapczywe chwyty powietrza. Zanim przypomniła sobie właściwe słowa, którymi mogłaby ich zatrzymać, wszyscy już wyszli.

Drzwi do jej pokoju skrzypnęły, uchyliły się i weszła kolejna nieznajoma - tęga kobieta w niebieskim uniformie z poliestru. Na pulchnej twarzy widniał pogodny uśmiech.

- Dzień dobry, Mikaelo. Jak się dzisiaj czujesz? Chora zmarszczyła brwi. Przecież nazywała się Kayla. Wszyscy znali ją jako Kaylę. Wszyscy. To dlaczego wszyscy uparcie nazywają ją Mikaela? Od lat nie używała tego imienia, chyba od wyjazdu z Sunville.

Chciała zmusić nieposłuszny język do sformułowania pytania. Szukała słowa „witam”. Kołatało się jej gdzieś po głowie, ale zginęło, zanim dotarło do ust.

- Wczoraj wieczorem usunęliśmy cewnik, pamiętasz? Myślałam, że może będziesz miała ochotę sama pójść do łazienki. Lekarz przyjdzie za chwilę.

Kayla podniosła oczy na kobietę i próbowała zmusić usta do wydania właściwych dźwięków.

- Kim... gdzie?

- Nazywam się Sarah Fielding, kochanie - pielęgniarka odpowiedziała na niezadane

pytanie. Obeszła łóżko dookoła i odrzuciła kołdrę.

Kayla spojrzała w dół na swoje szczupłe, owłosione nogi. Wydawało się, że wszystko jest z nimi w porządku. Więc dlaczego nie może nimi normalnie poruszać?

Sarah wsunęła pulchne ramię pod głowę Kayli i delikatnie pomogła jej się podnieść. Oszczędnymi, ekonomicznymi ruchami najpierw posadziła ją na łóżku, potem pomogła stanąć na drżących nogach. Kayla uwiesiła się na pielęgniarce i próbowała zrobić kilka kroków. Musiała ciągnąć za sobą ciężką prawą nogę, ale obie kobiety zwycięsko, chociaż powoli, pokonywały dystans do drzwi po przeciwnej stronie pokoju.

- Kochanie, jak myślisz? Poradzisz sobie sama w ubikacji?

Ubikacja. Słowo przez chwilę wirowało w powietrzu, potem wylądowało na białej porcelanowej misce klozetowej, obok której stała. Ubikacja.

- Tak - odpowiedziała, kurczowo chwytając się blatu przy umywalce. Drżała na całym ciele, ciężko dyszała, lecz stała o własnych siłach.

- Poczekam na zewnątrz. Krzyknij, jeśli będziesz mnie potrzebowała. - Sarah wycofała się i przymknęła za sobą drzwi.

Kayla osunęła się na chłody klozet. Czuła żywy ogień, gdy oddawała mocz. Ręką zasłoniła usta, żeby nie krzyczeć z bólu. Kiedy skończyła, pochyliła się do przodu i znowu uchwyciła się blatu. Niezdarnie podniosła opierające się ciało do niepewnej pozycji stojącej.

I wtedy zobaczyła swoje odbicie w lustrze: twarz kredowobiałą, krótkie włosy, które wyglądały, jakby ktoś obciął je dziecięcymi nożyczkami.

A przecież miała włosy długie, sięgające aż do pasa. Julian nie pozwoliłby jej ściąć włosów.

Drżąc na całym ciele, przysunęła się bliżej lustra, wilgotne dłonie oparła na chłodnej szklanej tafli. Wokół oczu i ust dostrzegła drobne kreseczki. Nigdy wcześniej ich nie widziała. Takie kreseczki miała na twarzy mama... A w czarnych włosach było więcej niż kilka siwych...

Krzyknęła.

Energicznie pchnięte drzwi otworzyły się szeroko, do środka wpadła Sarah.

- Co się stało? - zapytała.

Kayla chwiała się na nogach. Twarz zasłoniła rękoma.

- Jestem... stara. O Boże... co się stało?

- Zawołam lekarza.

- Jestem stara... - Kayla złapała pielęgniarkę za rękaw. - Co się stało?

- Zaraz wracam. - Sarah wyrwała fartuch z dłoni Mikaeli i wybiegła z pokoju, zatraskując za sobą drzwi.

Kayla ujęła w dłoń garść włosów - teraz takich bardzo krótkich - i przyglądała się siwym pasemkom. Nie mogła oddychać, kolana się pod nią ugiwały.

- O... Boże...

Jak długo leżała w tym łóżku? Jak długo... Do pokoju wpadł doktor Penn. Tuż za nim, z trudem łapiąc oddech, wbiegła zarumieniona Sarah. Kayla spojrzała na lekarza i zaczęła płakać.

- Ile mam lat? - Wydawało się jej, że wykrzyczała to pytanie, w rzeczywistości jednak zdołała je jedynie wyszeptać łamiącym się głosem.

- Uspokój się, Mike - doktor Penn ujął jej dłoń w swoje ręce.

- Jestem Kayla! - Tym razem naprawdę krzyczała.

- Czy mam przynieść coś na uspokojenie, doktorze? - zapytała Sarah.

- Nie! Nie usypiajcie mnie znowu. Będę... będę spokojna - jednym tchem wyrzuciła z siebie Kayla. Ścisnęła rękę lekarza i załzawionymi oczami patrzyła na niego błagalnie. - Ja... ja się boję...

Gestem dobrego przyjaciela delikatnie dotknął jej twarzy, a ona zastanawiała się, jak to możliwe, żeby ktoś spał tak długo, że budzi się stary.

- Pamiętasz, co ci mówiłem? Byłaś w stanie śpiączki, Mike. Sądziłem, że mając doświadczenie jako pielęgniarka, będziesz wiedziała, co to znaczy. Zapomniałem, że... no, wszystko jedno.

Tym razem pamiętała słowo „śpiączka”. Kojarzyło się jej z inną dziewczyną, Karen Ann Quinlan, zwiniętą w kłębek, lekką jak piórko...

Doktor Penn ciągle jeszcze coś mówił. Nie wiedział, że w jej głowie rozlega się zagłuszający wszystko, przeraźliwy ryk.

- Wróć do siebie... Kayla. Teraz troszkę odpocznij. Usta jej drżały. Łzy strużką spłynęły do kącików ust i zostały na języku wilgotny, słony smak.

- Jak długo... w spaniu? - wykrztusiła z trudem.

- Nieco ponad miesiąc.

Usłyszawszy odpowiedź, poczuła tak wielką ulgę, że roześmiała się w głos. Chciała wytrzeć sobie oczy, ale nie kontrolowała ruchów rąk. Uderzyła się w nos i zaśmiała jeszcze głośniejsze.

- Wszystko w porządku - uspokoił ją doktor Penn. Mówił równym, miłym głosem. - Nie panujesz nad swoimi emocjami, nie kontrolujesz układu motorycznego. Na szczęście nie ma żadnych trwałych uszkodzeń. Wszystko będzie dobrze, niedługo odzyskasz panowanie nad swoimi odruchami.

Ciągle jeszcze się śmiała, a łzy toczyły się w dół po policzkach i spadały na gołe ramię. Czuła się jak idiotka: jednocześnie śmiała się i płakała. Nie przejmowała się zachwianym układem motorycznym, martwiła się o swoje życie.

- Ile... ile ja mam lat?

Doktor Penn zawahał się, spojrzał na Sarah, potem znowu przeniósł wzrok na Kaylę.

Po wyrazie jego oczu zorientowała się, że chce skłamać.

- Nie... proszę... proszę nie kłamać - szepnęła. Doktor Penn ciężko westchnął.

- Trzydzieści dziewięć - odpowiedział. Zupełnie ją zatkało. Wpatrywała się w jego szare oczy i z niedowierzaniem kręciła głową.

- Nie... nie... nie mam jeszcze dwudziestu czterech. Dwa i pół roku temu wyszłam za mąż. Juliana niedawno obchodziła swoje pierwsze urodziny. Doskonale wszystko pamiętam.

- Ale innych rzeczy... innych czasów... jeszcze nie pamiętasz. Powoli przypomnisz sobie. Najlepiej będzie, jeśli poczekaasz, aż wszystko samo ci się stopniowo przypomni. Daj sobie trochę czasu.

Musiała zmobilizować wątłe siły, żeby sformułować jedno krótkie zdanie.

- Chcę... się teraz zobaczyć z mężem - powiedziała. Doktor Penn znowu spojrzał na Sarah.

- Dobrze - skinął głową. - Za chwilę.

Kiedy wyszli z pokoju, Kayla starała się oddychać równo i spokojnie. Wgramoliła się z powrotem do łóżka, w którym czuła się bezpiecznie. Julian powie jej prawdę. Powie jej...

Znowu otworzyły się drzwi. Lecz to nie Julian pojawił się w wejściu, na progu stał jakiś obcy mężczyzna.

- Nie... już nie... - pokręciła głową.

Powoli podszedł do łóżka.

Zmarszczyła brwi. Nie potrafiła złożyć rozbieganych myśli w zdanie. Chciała mu powiedzieć, żeby sobie poszedł.

Dotknął jej, wziął ją za ramię i ostrożnie przyciągnął do siebie. Czuła się w jego ramionach jak szmaciana lalka.

Przyglądał się jej, a oczy miał niewiarygodnie zielone. Nigdy w niczyich oczach nie znalazła tak pokrzepiającego spojrzenia. Sposób, w jaki na nią patrzył, uspokajał. Poczła się bezpiecznie.

- Na zawsze - szepnął.

Te słowa poruszyły jakąś głęboko ukrytą strunę w jej duszy. Poczła, że jej ciało nieruchomieje, oddech wyrównuje się. Nawet powietrze w płucach zdawało się samoistnie wymieniać. Te słowa: „na zawsze” płynęły poprzez nią całą, znaczyły coś, czego, chociaż bardzo chciała, nie mogła zrozumieć, i nie znalazłszy punktu zaczepienia, odpłynęły.

- Pamiętasz mnie? - spytał, delikatnie nią potrząsając.

I nagle wszystko sobie przypomniała.

- Tak... pamiętam - odpowiedziała cicho. - Jesteś drugim lekarzem.

Puścił ją. Zrobił to tak niespodziewanie i raptownie, że bezwładnie upadła na wysoko

ułożone poduszki. Przez głowę przemknęła jej dziwna myśl, że chyba go zraniła. Te zielone oczy były teraz pełne smutku...

- Przepraszam... - wyszeptala, chociaż nie miała pojęcia, czym sprawiła mu przykrość. - Ja tylko... ja chcę zobaczyć się z mężem.

Kiedy się odwrócił, niemal przywołała go z powrotem. Chociaż wiedziała, że to absurdałne, pragnęła, żeby znowu na nią spojrział, żeby jej dotknął, żeby sprawił, by poczuła się bezpiecznie.

- Dobrze - powiedział cichym, ciepłym głosem. - Pójdę po Juliana.

20

Julian czekał w poczekalni. Starał się zachować spokój, ale nie potrafił powstrzymać odruchowego potupywania nogą. W poczekalni były tylko dwie osoby: on i Stephen, mimo to zdawało się, że w pomieszczeniu brak jest powietrza, jakby zgromadziło się w nim zbyt wiele osób. Liam kilka minut temu poszedł do Kayli.

Prawie całą noc Julian spędził, zastanawiając się, jak i kiedy odkryć Kayli prawdę o ich dawnym życiu. A teraz siedział tu, dochodziło południe, a on dalej nie znalazł rozwiązania.

Wszedł Liam. Wyglądał jak... zbity pies. Przeciągnął ręką po włosach i ciężko westchnął. Nawet z tej odległości Julian spostrzegł, że ręka Liama drży.

- Chce zobaczyć się z mężem. - Liam spojrział na Juliana.

- I co teraz? - Julian zwrócił się do doktora Penna. - Wyjaśniłeś jej, że ma trzydzieści dziewięć lat, i wyszedłeś. Co mam jej powiedzieć, kiedy spyta, co się z nią działo przez ostatnie piętnaście lat?

- Powiedz jej, co się z tobą działo - rozległ się głos Liama.

- Jasne. - Julian błyskawicznie odwrócił się do niego. - Chciałbyś.

- Chciałbym? Nie chciałbym, żebyś nawet znalazł się z nią w tym samym pokoju. - Liam ruszył w kierunku Juliana. - Jeśli zada ci konkretne pytanie, masz powiedzieć jej prawdę. Możesz próbować unikać odpowiedzi, ale nie wolno ci kłamać. Steve mówił, że nie mógł nie odpowiedzieć na jej pytania. Nie data mu żadnej szansy.

- Może nie powinienem do niej iść.

- Jak taki tchórz mógł grać Człowieka-Węża?

- To było *Zielone zagrożenie* - sprostował automatycznie - i we wszystkich niebezpiecznych scenach miałem dublera. - Julian zniżył głos do szeptu, tak że tylko Liam słyszał, co mówi. - Boję się... że sprawię jej ból.

- To najlepsza wiadomość, jaką dzisiaj usłyszałem. Julian milczał, czekając, że Liam jeszcze coś powie.

- No dobrze - odezwał się w końcu - pójdę do niej. Wszedł z poczekalni i ruszył korytarzem w dół. Szedł wolno, bardzo wolno.

Przed wejściem do pokoju chorej zatrzymał się na chwilę. Przywołał na twarz radosny uśmiech i otworzył drzwi.

Spała.

Cicho zamknął za sobą drzwi i podszedł do łóżka. Wyglądała tak spokojnie, tak pięknie...

Zamrugowała powiekami i powoli otworzyła oczy.

- Jules? To ty?

Pochylił się nad nią. Zmobilizował wszystkie siły, żeby się uśmiechnąć.

- Witaj, Kayla.

Starła się podnieść do pozycji siedzącej. Kiedy wreszcie się jej to udało, ze zmęczenia z trudem łapała oddech. Na czole lśniły kropelki potu.

- Gdzie jest Juliana? Chcę zobaczyć swoje dziecko...

- Zaraz tu będzie. Naprawdę.

- Tęskniłam za tobą. - Uśmiechnęła się i niepewnym, niekontrolowanym ruchem wyciągnęła do niego rękę. - Wiedziałam, że po nas przyjedziesz.

Chwył jej dłoń i mocno ścisnął.

- Ja też za tobą tęskniłem. - Prawda zawarta w tym prostym zdaniu zaskoczyła go. Naprawdę tęsknił za Kaylą, tęsknił również za człowiekiem, którym kiedyś był, którym mógłby być, gdyby zostali razem.

Zatrzymała wzrok na jego twarzy. Z ciekawością, lecz i pewną dezorientacją wodziła po niej oczami.

- Ty też jesteś starszy.

- Miło, że to dostrzegłaś. Słuchaj, czy pamiętasz...

- Dlaczego jesteście starzy?

Uśmiechnął się z przymusem.

- Nie skończyłaś czterdziestu lat. Jesteś młoda.

- Julian, nikt nie chce mi powiedzieć prawdy. Wiem, że ty mnie nie okłamiesz. Proszę... muszę zrozumieć.

Chciał skłamać, rozpaczliwie pragnął skłamać, ale nie mógł.

- Masz pewne luki w pamięci, i tyle. Lekarze twierdzą, że to nic takiego.

- Piętnaście lat to nie jest nic.

- Wszystko sobie przypomnisz. Tylko nie staraj się niczego przyspieszać. - Pochylił się i pocałował ją. Smakowała dokładnie tak, jak pamiętał: słodko, uległe, rodzinie. Kiedy ją pocałował, poczuł się... pełniejszy, lepszy.

- Jak mogłam zapomnieć piętnaście lat pełnych miłości do ciebie i Juliany? Opowiedz mi o nas, Jules. Pomóż mi sobie przypomnieć.

- Och, kochanie... - Zrobiłby wszystko, by wymazać smutek i żal z jej oczu. - Jest piękna, Kay. Podobna do ciebie jak kropla wody.

Spojrzała mu prosto w oczy. Jej bledziutka twarz była zaskakująco poważna. Takiej Kayli Julian nigdy nie widział.

- Pamiętam, że odeszłam. A ty pamiętasz, jak to było, Julianie?

- Pamiętam.

- Pakowałam walizki, kupiłam samochód, zielone osobowo-towarowe auto z drewnopodobnym wykończeniem, i załadowałam do niego bagaże. Nie wzięłam nic z naszego wspólnego życia, nie wzięłam nawet pieniędzy. Byłam pewna, że bardzo szybko przyjedziesz zabrać nas z powrotem... Pamiętam, że czekałam i czekałam, ale nie pamiętam, żebym cię jeszcze kiedyś zobaczyła.

Był gotów się rozplakać, tak podle się czuł.

- Tak mi przykro, kochanie. Jezu, jak okropnie mi przykro!

- Jak długo, Jules?

- Ja... jak długo co?

- Jak długo?

Dotknął jej mięciutkiego, delikatnego policzka. Znalazł się w sytuacji bez wyjścia, chyba że skłamać, a kłamstwo nie miało najmniejszego sensu. Przecież za dziesięć sekund ona może sobie wszystko przypomnieć.

- Do tej pory - odparł zmęczonym, łamiącym się głosem. - Dopiero teraz...

Zmarszczyła brwi.

- Co dopiero teraz? Mam trzydzieści dziewięć lat, co znaczy, że moja... nasza córka ma szesnaście. Nie chcesz chyba powiedzieć...

- Dopiero teraz - powtórzył cicho.

Jej oczy zaszklily się łzami, ból stawał się coraz silniejszy, aż w końcu zdawało jej się, że wessał całe powietrze z płuc i ona nie ma już czym oddychać.

- Chcesz powiedzieć... że nigdy po mnie nie przyjechałeś? Przez te wszystkie lata, nigdy?

On też poczuł łzy w oczach.

- Byłem młody i głupi. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że łączy nas coś szczególnego. Długo trwało, zanim dorosłem.

- Nigdy - z jej ust znowu wyrwało się to jedno słowo. Wypowiedziała je matowym, bezbarwnym głosem, jakby samo słowo było martwe. - O mój Boże!

- Kayla, przepraszam.

- Nic dziwnego, że nie pamiętałam.

- Nie patrz tak na mnie.

- Jak?

- Jakbym... złamał ci serce.

Próbowała otrzeć łzy z oczu, nie udało się, uderzyła się dłonią w policzek.

- Chyba zrobiłeś to dawno temu, jednak mam szczęście, mogę to samo przeżyć dwa razy. Och, Jules - wyczerpana, opadła na poduszki. - Tak bardzo cię Kocham. Lecz to nie wystarcza, prawda? - Odwróciła głowę i zamknęła oczy. - Szkoda, że nie zapomniałam ciebie.

- Nie mów tak. Proszę... - Chciał scalać łzy z jej

oczach, ale nie miał do tego prawa. Znowu ją zranił, tak jak przypuszczał, ponownie sprawił jej ból, i żałował tego bardziej, niż przypuszczał. Nagle z całą wyrazistością zobaczył, co stracił. Po raz pierwszy w życiu pragnął, żeby czas się cofnął, pragnął być człowiekiem, który potrafi prawdziwie kochać.

- Odejdź - niezdarnie odwróciła się na bok.

- Kayla, nie...

- Odejdź, Julianie. Proszę.

Gdyby miał odwagę Liama, wiedziałby, co powiedzieć. Tymczasem czuł się pusty, wyprany ze wszystkiego. Odwrócił się od niej i skierował do drzwi.

- Chcę zobaczyć córkę - oświadczyła. Nie odezwał się, tylko skinął głową. Nawet nie wiedział, czy zauważyła, że jej odpowiedział. Wyszedł na korytarz.

Pragnęła zwinąć się w malutką, otoczoną bezpiecznym kokonem kuleczkę i znowu odciąć się od całego świata.

On nigdy nie przyjechał.

Nie mogła tego pojąć. Wiadomość ją po prostu załamała. Długo, bardzo długo leżała w pustym łóżku, obolałym umysłem próbując objąć prawdę, zbyt bolesną, żeby można ją było zrozumieć.

Co robiła przez te wszystkie lata? Gdyby sprawy miały się normalnie, gdyby ona czuła się normalnie, czy roześmiałyby się mu w nos, mówiąc, żeby sobie poszedł, że już dawno przestała go kochać?

To było piekło. Nie wiedziała, kim się stała w ciągu tych lat po opuszczeniu Juliana. Wszystko, czego się nauczyła, czego dotykała, w co wierzyła, gdzieś przepadło razem ze wspomnieniami, które łącznie, jedno za drugim, składały się na jej życie.

A co z córką, malutką dziewczynką? Przecież ona od wielu lat już wcale nie jest malutka. Mikaela w pamięci miała pulchniutkiego berbecia z brązowymi oczami i burzą kruczoczarnych włosów, który w jednej chwili potrafił histerycznie zanosić się płaczem, a już w następnej radośnie się śmiać. Pamiętała, co czuła, trzymając to dziecko w ramionach. A potem już nic.

Nie pamiętała wiosennych kapelusików z falbankami, pudełek z drugim śniadaniem, wypadających mlecznych zębów. Piętnaście zgubionych lat, przeszłość równie nieznana jak przyszłość.

Wolałaby odczuwać złość niż ów bolesny, wszechogarniający żal.

W głębi serca pozostała tamta, dwudziestoczteroletnią kobietą, bardzo zakochaną w swoim mężu. Tylko że on już nie był jej mężem, ona zaś miała piętnaście lat na wyleczenie ran, które jej zadał.

Piętnaście lat wymazanych z pamięci.

Bez wspomnień nie ma upływu czasu, nie ma zmian, nie ma dojrzewania. Jest tylko jej miłość do Juliana, taki pędzący pociąg uczuć. A ona nic nie może zrobić, może tylko dalej tym pociągiem jechać.

Swoją zdradą chyba musiał coś w niej zabić. Była tego pewna, ponieważ kiedy powiedziała „nigdy”, czuła to w sercu i w duszy. Zbyt mocno go kochała i ta zła, niebezpieczna miłość ją zniszczyła. Wiedziała o tym, lecz to, że się o czymś wie, samego faktu wcale nie zmienia.

- Mikita, nie śpisz? - skrzypnęły otwierane drzwi.

- Mama!

W drzwiach, uśmiechając się radośnie, stała Rosa. Mikaela łapczywie nabrała powietrza w płuca, zachłysnęła się i podniosła drżącą rękę do ust.

- Och, mamoo...

Minione lata nie były dla Rosy łaskawe. Jej włosy stały się śnieżnobiałe, a ciemną skórę porysowały głębokie zmarszczki, zwłaszcza wokół oczu i ust. Mikaela chciała zapytać: „Co się stało?” - ale zanim sformułowała pytanie, знаła już odpowiedź. Niedobra miłość. Rosa podeszła do łóżka. Dotknęła policzka Mikaeli.

- *Milagro* - wyszeptła. Pochyliła się i czule objęła Mikaelę. - Myślałam, że już nigdy nie zobaczę twojego uśmiechu, *hija*. - Cofnęła się nieco.

Mikaelę ścisnęło w gardle.

- *Hola, Mama*.

- Bardzo za tobą tęskniłam. - Rosa kurczowo trzymała Mikaelę za rękę.

- Co mi się stało, mamoo? Nikt nie chce mi wyjaśnić. Rosa wzięła szczotkę z podręcznego stolika i zaczęła szczotkować krótkie włosy córki.

- Spadłaś z konia.

- Tak mi powiedziano. Co ja, do cholery, robiłam na koniu?

- Pamiętasz brzydkie słowa - uśmiechnęła się Rosa. - Wcale się z tego nie cieszę. W ciągu ubiegłych lat nauczyłaś się dobrze jeździć konno. Uwielbiasz konną jazdę.

- Opowiedz mi o Julianie, mamoo. - Mikaela chwyciła matkę za rękę.

Rosa powoli odłożyła szczotkę do włosów. Kościste palce zacisnęła na barierce otaczającej łóżko.

- Teraz mówimy na nią Jacey. Jest wspaniała, każdy chciałby mieć taką córkę. - Załawionymi oczami popatrzyła na Mikaelę. - Jest piękna, utalentowana, *muy inteligente*. I bardzo lubiana; nigdy nie słyszałam, żeby czyjś telefon tak często dzwonił. Mikita, rozejrzyj się wokoło i powiedz mi, co widzisz.

Mikaela po raz pierwszy rozejrzała się po pokoju. Wszędzie stały kwiaty, porozwieszane były balony, dziesiątki kart z życzeniami poustawiano rzędem na stoliku i parapecie okna.

- Czy to wszystko od Juliana? - zapytała. Rosa machnęła ręką, jakby odgarniała śmiecie.

- Nie, nie od niego. Od twoich przyjaciół. Teraz tutaj jest twój dom, Mikaelo. To cudowne miejsce, zupełnie inne niż Sunville. W każdym sklepie, do którego wejdziesz, ktoś o ciebie pyta. Kobiety z miasteczka codziennie przynoszą do domu coś do jedzenia. Tak, *mi hija*, bardzo cię tu kochają.

Mikaela nie potrafiła wyobrazić sobie, że znalazła prawdziwy dom, miejsce, którego czuła się częścią, i nie pamięta tego. To nie w porządku...

Spojrzała na matkę.

- On nigdy po mnie nie przyjechał, mamoo.

- Wiem. Bardzo cierpiałaś z tego powodu. Może teraz cierpisz jeszcze bardziej. Zatem pamiętasz, dlaczego od niego odeszłaś. Sądziłam, że może zapomniawsz.

- Chcę zobaczyć swoją córkę. Rosa milczała.

- To... zrani jej serduszko... to, że nie pamiętasz - rzekła po chwili. - Doktor Liam chciałby, żeby dać ci jeszcze jeden dzień. Może sobie przypomnisz, si? Przecież nie chcesz jej zranić?

Mikaela nie wiedziała, jak udało się jej znieść przeszywający całe ciało ból.

- Wiem, jak cierpi dziecko, kiedy rodzic nie chce go znać. Znam to uczucie... dzięki swojemu ojcu.

- Nigdy go tak nie nazywałaś.

- Wiem - westchnęła ze znużeniem. - Ale to, że będę nazywała go inaczej, nie uczyni z niego innego człowieka, prawda?

- Nie. - Rosa sięgnęła do kieszeni i wyjęła fotografię. - Popatrz.

Palce nie były sprawne, Mikaela kilka razy próbowała wziąć zdjęcie do ręki, aż wreszcie Rosa pomogła córce i delikatnie przygięła jej palce. Na zdjęciu była Mikaela, Rosa i śliczna młoda dziewczyna. Stały w jakimś nieznanym pokoju, obok wspaniałej, pięknie

udekorowanej choinki.

Mikaela łapczywie chłoneła wszystkie szczegóły wyglądu dziewczynki: brązowe oczy, miły uśmiech, sięgające talii czarne włosy.

- To moja Juliana... Nie, moja Jacey.

- Si. Wspomnienia, one są w tobie, Mikaelo. Połóż tę fotografię na sercu i śpij dobrze. Serce przypomni sobie to, co zapomniała głowa.

Mikaela popatrzyła w oczy tak bardzo podobne do jej własnych. Próbowwała z całych sił, ale i tak nie mogła sobie przypomnieć, że przytulała tę dziewczynkę, gładziła ją po włosach, całowała w policzek.

- Och, mamó - szepnęła i rozplakała się.

21

Wkrótce po lunchu Mikaela zasnęła.

Wiedziała, że śni. To pierwszy sen, jaki śniła od czasu wyjścia ze śpiączki. Uczucie było znane, przyjemne. W jej śnie świat przypominał rozmazaną plamę błękitów i zieleni. Lekki letni wietrzyk delikatnie poruszał gałęziami wysokich, wiecznie zielonych drzew.

Szła pustą drogą. Ciało miała całkowicie sprawne, prawa noga nie ciągnęła się za nią z tyłu, palce rąk swobodnie się zginały. Wyszła zza zakrętu żwirowej drogi i na zboczu wzgórza ujrzała wielką drewnianą stajnię. Na otaczających ją polach grupami stały konie, z zadowoleniem szczypiąc zieloną, bujną trawę, tak wysoką, że zakrywała im kopyta aż do pęcin.

Szła dalej, prawie płynęła, minęła stajnię i poszła w kierunku pięknego drewnianego domu.

Nagle na niebie pojawiły się ciemne chmury, zasłoniły cytrynowe słońce i pograżyły w cieniu drewniany dom. Zaczął padać deszcz. Krople zimnej wody kapały na jej uniesioną w górę twarz jak łzy samego Boga.

Drzwi frontowe otworzyły się przed nią.

Potknęła się na schodach wiodących na ganek. Krzyknęła, chwyciła się poręczy. W delikatną dłoń głęboko wbiła się drzazga. Podniosła rękę do góry, zobaczyła strużkę jasnej, rubinowej krwi spływającą w kierunku nadgarstka.

- Nie - spróbowała powiedzieć, ale wiatr porwał słowo i poniósł je w dal, a ona szła dalej. Przeszła przez ganek i weszła do domu.

Drzwi zatrasnęły się za nią. Po omacku, wodząc ręką po gładkiej drewnianej ścianie, poszła w kierunku schodów, które, zupełnie nie wiadomo skąd, wiedziała, że tam są.

U podnóża schodów zatrzymała się, nadśluchiwała. Gdzieś w tym chłodnym, ciemnym domu płakało dziecko.

Już idę. Słowa przebiegły jej przez głowę, lecz nie dotarły do ust. Znowu była w ruchu, tym razem biegła.

Płacz stawał się coraz głośniejszy, brzmiał bardziej natarczywie. W głowie Mikaeli pojawił się na moment wzruszający obraz: maleńki rudy chłopczyk ssał kciuk. Siedział skulony w kącie i czekał na mamę.

Ale przed sobą widziała setki drzwi, a korytarz ciągnął się kilometrami, bez końca. Pobieгла korytarzem, po drodze otwierając mijane drzwi. Za nimi nie było nic, czarne prostokąty ziały pustką upstrzoną światłem gwiazd i wionęły przejmującym zimowym wiatrem.

Nagle płacz ustał. Cisza przeraziła ją jeszcze bardziej. Przyszła za późno... za późno... za późno...

Obudziła się przerażona. Sufit w pokoju pokrywały białe dźwiękoszczelne panele. W porównaniu z mrocznym snem wydawał się jasny i czysty.

To szpital.

Przy oknie w jej pokoju stał mężczyzna. W pierwszej chwili pomyślała, że to Julian, ale zaraz zauważyła, że ma na sobie białe fartuch.

Odwrócił się twarzą do niej i wtedy zobaczyła, że nie jest to doktor Penn. To ten drugi, zaraz, jak on się nazywał? Był wysoki, miał trochę za długie blond włosy i miłą twarz. Wyglądał jak znacznie starszy brat aktora z filmu *Grom i szybkonogi*. Jeff Bridges, tak, ten aktor nazywał się Jeff Bridges. Poczła rozgoryczenie, uświadamiając sobie, że pamięta nazwisko aktora, a nie może sobie przypomnieć nic ze swojego życia.

- Powinieneś podciąć włosy - słowa po prostu wymknęły się jej z ust. Niezadowolona z siebie, skrzywiła się. Co, na Boga, sprawiło, że tak się odezwała do tego mężczyzny?

Przejechał ręką po zmierzwionych włosach i uśmiechnął się. To był smutny uśmiech. Zastanawiała się, dlaczego ten człowiek jest taki... strapiony.

- Tak, rzeczywiście powinienem. Moja... żona podcina mi włosy. Kiedy się odezwał, poczuła dreszcz.

- To ty jesteś tym głosem - powiedziała cicho. Przysunął krzesło i usiadł przy łóżku. Patrzył na nią odważnie, bez skruchy. W jego oczach było coś... jakaś wielka tęsknota, tak poruszająca, że zapragnęła go dotknąć. Przecież to szaleństwo, nawet go nie znała.

- Jakim głosem? - zapytał po chwili.

- Kiedy spałam, słyszałam twój głos.

- Nie wiedziałem, czy w ogóle cokolwiek słyszysz. - Liam znowu się uśmiechnął. - Wydawało mi się, że mówię całą wieczność i zostanie tak już na zawsze.

„Na zawsze”. Znowu to wyrażenie. Drażniło ją, poruszało jakąś zapomnianą strunę.

- Kim jesteś? - zapytała.

Długą chwilę przyglądał się jej uważnie.

- Jestem doktor Liam Campbell.

Czuła, że to nie jest właściwa odpowiedź. Rozejrzała się po pokoju, popatrzyła na fotografie stojące na okiennym parapecie, na które wcześniej nie zadała sobie trudu spojrzeć, na buteleczki z aromatycznymi płatkami, na śliczne jezioro wyłożone gładkimi czarnymi kamykami. Podświadomie przeczuwała, że to właśnie ten człowiek włączał taśmy z jej ulubionymi piosenkami. To on dał jej coś, czego mogła się chwycić, by przetrwać mroczną nicość, w której się pogryzła.

Tak, to ten mężczyzna - ten obcy człowiek ze smutnymi i jakby znajomymi oczami - czuwał przy jej łóżku przez te wszystkie dni, mówił do niej, czule dotykał i czekał. Przypomniła sobie dotyk jego ręki gładzącej jej włosy, kiedy spała; pamięta, jak brzmi jego śmiech. Tak, naprawdę wie, jak brzmi jego śmiech. Jest grzmiący, gardłowy, wypełnia cały pokój i zachęca innych do wtóru.

- Pamiętam, jak się śmiejesz - powiedziała, sama zaskoczona. Chyba sprawiło mu to przyjemność. Uśmiechnął się.

- Tak właśnie będą wracały wspomnienia. Kawalek po kawałku.

- Kim jesteś?

- Jestem doktor Li...

- Nie. Kim jesteś dla mnie?

Wyglądał, jakby uszło z niego powietrze, zapadł się, skurczył w tym obrzydliwym krześle. Powoli podniósł się na nogi i sięgnął po jej lewą rękę. Gładził jej palce z tak wielką czułością, że na chwilę straciła oddech. Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek ktokolwiek ją tak dotykał, i nagle coś zaczęła sobie przypominać, jakieś niejasne wspomnienie kołatało się jej po głowie. Co to dokładnie było, nie potrafiła powiedzieć.

- Tę obrączkę - rzekł cicho - włożyłem na twój palec dziesięć lat temu.

Spojrzała na palec. Ślubna obrączka.

- Jesteś... - nie potrafiła wymówić tego słowa.

- Jestem twoim mężem.

To po prostu niewiarygodne.

- Ale... Julian...

- Julian był twoim pierwszym mężem.

Wpadła w panikę. Najpierw dziecko, teraz mąż. Czego jeszcze nie pamiętała? Ilu rzeczy jeszcze się dowie?

Wpatrywała się w niego i z niedowierzaniem potrząsała głową. Chciała powiedzieć: „To niemożliwe”, ale w ciągu kilku ostatnich dni przekonała się, że wszystko jest możliwe.

- Jak mogłam zapomnieć o czymś takim? Jak mogę... nic do ciebie nie czuć?

Drgnął. Ten ledwo dostrzegalny wyraz bólu przekonał ją, że mówi prawdę.

- Nie martw się tym, kochanie. To zrozumiałe, że nie pamiętasz.

- Ja... ja nie wiem, co ci powiedzieć... Liamie - smakowała imię językiem, lecz nic nie poczuła. Zwyczajne spółgłoski i samogłoski, bez żadnego szczególnego znaczenia.

- Wszystko w porządku - pogłaskał ją po policzku. Ale nic nie było w porządku. Absolutnie nie było w porządku. Ten mężczyzna jest jej mężem, jej mężem, a ona nic do niego nie czuje. On jest jej rodziną. Co się zdarzyło w ciągu ostatnich dziesięciu lat? Kiedyś musiała przestać kochać Juliana i zaczęła kochać tego łagodnego, spokojnego człowieka. Co będzie teraz, skoro pamięta tylko swoją miłość do Juliana?

Spróbowała się do niego uśmiechnąć. Wargi jej drżały, próba okazała się totalnym fiaskiem.

- Opowiedz mi o naszym życiu razem. - Takie słowa spłynęły z jej ust, choć naprawdę chciała poprosić:

„Spraw, żebym znowu cię pokochała...”

Uśmiechnął się. Wiedziała, że przywołuje wspomnienia, które teraz należały wyłącznie do niego.

- Byłaś wtedy pielęgniarką. Poznałem cię, gdy opiekowałaś się moim ojcem... - Spojrzał jej w oczy i zapytał: - Czy mogę trzymać cię za rękę?

Pytanie ją zaskoczyło. Była w nim niezwykła... delikatność i było takie staromodne. Pomyślała, jak bardzo Liam różnił się od Juliana. Julian nigdy by o coś takiego nie zapytał, nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że ktoś może nie chcieć jego pieściot.

- Tak, oczywiście - zgodziła się.

Ich spojrzenia się spotkały, nie odrywali od siebie wzroku. Czuli się niezręcznie w obecności tego mężczyzny, obcego i męża zarazem.

Mąż.

- Niesamowite, co? - uśmiechnął się krzywo. W odpowiedzi uśmiechnęła się także i pochyliła w jego stronę. Uważnie obserwowała twarz Liama, szukając czegoś, czegokolwiek, jakiegokolwiek śladu, który mógłby obudzić wspomnienia. Nie znalazła nic. Przyznała jednak, że miał dobre oczy, życzliwość aż biła od niego.

- Musi ci być ciężko - zagadnęła łagodnie.

- Gorzej było, kiedy leżałaś w śpiączce. Wiedziała, że to nieprawda.

- Czy to ty... zawiadomiłeś Juliana?

- Tak.

- Nie rozumiem. Jeśli jesteśmy małżeństwem, dlaczego to zrobiłeś?

- Nie mogłem... ja nie mogłem cię obudzić. Codziennie spędzałem tu długie godziny, trzymałem cię za rękę, mówiłem do ciebie, puszczałem ci twoje ulubione piosenki. Robiłem wszystko, co tylko przyszło mi do głowy, żeby dotrzeć do twojej podświadomości, ale... dni mijały, a ty leżałaś jak nieżywa. - Mówił coraz ciszej. Teraz słycać było tylko gardłowy szep. - Wiedziałem, że cię tracę.

- Ale dlaczego Julian?

Westchnął ciężko, z sykiem wypuścił powietrze z płuc.

- Ponieważ wiedziałem, Mikaelo. Na moment serce przestało jej bić.

- Co wiedziałeś?

- Że nigdy nie przestałaś... go kochać. Przez chwilę nie mogła złapać oddechu.

- Bardzo mnie kochałaś. - W jej głosie dało się słyszeć zdziwienie. Nie pamiętała, by już kiedyś czuła się podobnie, taka dziwna, przerażająca mieszanina radości i smutku, uczucie, że jest się kochaną tak bardzo, bez reszty. Julian jej tak nie kochał. Jego miłość przypominała rozgrzane do czerwoności fajerwerki, które wybuchały wokół niej w technikolorze, ale gdy się wypaliły, zostawało jedynie zimne, czarne niebo.

- Nadal cię kocham - rzekł, uśmiechając się do niej ze smutkiem, który ranił jej serce.

- Ja też musiałam cię kochać.
- Tak - zgodził się po długiej, zbyt długiej chwili milczenia.
- Ale nadal kochałam Juliana, prawda? - nie pytała, stwierdziła raczej, jednocześnie uświadamiając to sobie z całą ostrością. Poczowała ból, zrozumienie okrutnej prawdy sprawiło jej ból. - Zraniłam cię - rzekła cicho, łagodnie. - Czy wiedziałam, że cię zraniłam?
- Mam nadzieję, że nie.
- Przykro mi - podniosła na niego oczy.
Powinna powiedzieć jeszcze wiele rzeczy, ale nie wiedziała, jak. Czyż można przeproszać za coś, czego się nie pamięta?
Albo jeszcze gorzej, za coś, co boisz się, że znowu zrobisz?

Zaczęło się zwyczajnie. Zaszumiwały elektronicznie otwierane drzwi. Julian siedział w głównym hallu, gapiąc się na zegar ścienny. Zdawało się, że smukłe czarne wskazówki zatrzymały się na drugiej czterdzieści pięć. Teraz Liam był u Kayli. Prosił Juliana, żeby na niego poczekał.

- Cześć, Juli.

Julian podniósł wzrok i zobaczył Vala wolnym krokiem idącego w jego stronę. Zamiast zwykle noszonych spranych dżinsów i filmowego podkoszulka agent miał na sobie czarny garnitur, świetnie dobraną jedwabną koszulę i krawat. Blond włosy - świeżo ostrzyżone i wymodelowane - firanką loków opadały mu na ramiona. Val nie trudził się zdejmowaniem okularów, oczy nadal były ukryte za przyciemnionymi szklami.

Gdyby nie czuł się tak podle, Julian chyba uśmiechnąłby się na jego widok

- To Last Bend, idioto, nie Cannes. Jedyny projektant mody, jakiego tu znają, to L.L. Bean. - Julian wstał i odwrócił się w drugą stronę.

Wtedy ich zobaczył. Na zewnątrz, za oszkloną ścianą po obu stronach drzwi wejściowych w szeregu ustawiały się półciężarówky i wynajęte samochody. Ludzie w pomiętych czarnych ubraniach jak szarańcza wysypywali się z aut i ustawiali półkolem.

Widział to już wiele razy. Nie miał wątpliwości, co się dzieje. Ludzie mediów zjechali do miasta.

- Jezu, Val, coś ty zrobił?

Val podniósł ręce do góry.

- Jesteś ulubieńcem publiczności. Wystarczyło szepnąć parę słów kilku osobom, a cała sprawa rozniosła się lotem błyskawicy. Muszę przyznać, że nie spodziewałem się aż takiego tłumu.

- Żeby cię szlag, Val! Mówiłem, żebyś nie... - Julian przerwał. Już za późno, dziennikarze go spostrzegli.

Hurmem wpadli do środka, mikrofony powłóczane, kamery na ramionach gotowe do pracy. W kilka sekund otoczyli Juliana i Vala.

- Teraz już nie możesz się schować. - Val puścił oko do Juliana.

Julian czuł, że musi ich wyprowadzić ze szpitala. Przepchnął się przez tłum i energicznie zmierzał ku wyjściu na lodowaty ziąb. Szarańcza podążyła za nim, jednocześnie zarzucając go pytaniami.

- Julian, czy to prawda? Odnalazłeś swojego Kopciuszka?

- Jak ciężko jest ranna?

- Czy jest piękna?

- A dlaczego w rejestrze przyjętych do szpitala nie ma Kayli True? Czy to specjalnie, żeby zachować anonimowość?

Julian uniósł w górę dłonie i przesłał wszystkim swój profesjonalny uśmiech. Błyskały flesze, kable przesuwwały się po jego stopach.

- Panie i panowie, tu nic się nie dzieje. Przyjechałem do Last Bend z ramienia Fundacji „Spełnię Twoje Życzenie”. To wszystko.

Val uderzył go w plecy. Mocno uderzył.

- Jest zbyt skromny, żeby powiedzieć wam prawdę. Wszyscy wiedzą, że pierwsza żona

Juliana, Kayla, to miłość jego życia. Niestety, oboje byli wtedy zbyt młodzi... - Przerwał i rozejrzał się wokół.

Z zadowoleniem stwierdził, że skupił na sobie uwagę dziennikarzy; wygrał konkurs na najważniejszą postać. Julian widział to w wyglądających oczach ludzi mediów, słyszał w pełnej wyczekiwania ciszy.

W tej sytuacji najlepsze intencje Juliana diabli wzięli. Boże, miej go w swojej opiece, ale nie może pozwolić, żeby to Val znalazł się na honorowym miejscu w świetle jupiterów.

- Możecie sobie wyobrazić, jak się czułem, kiedy dowiedziałem się, że miała wypadek. Natychmiast przyjechałem, żeby czuć przy jej łóżku...

- Czemu do ciebie telefonowano?! - krzyknął ktoś z oddali.

- Powiedziano mi, że Kayla została poważnie ranna...

- Czy ma uraz mózgu?

- Może właśnie dlatego pytała o Juliana!

Val delikatnie dotknął ramienia Juliana.

- Miesiąć była w stanie śpiączki - wyjaśniał Val, znowu przejmując inicjatywę. - Przez pewien czas wydawało się, że sytuacja jest beznadziejna... - Zawiesił głos i ze smutkiem potrząsał głową. - Potem lekarze stwierdzili, że Kayla reaguje tylko na imię Juliana.

W tłumie rozległ się szmer zadowolenia. Dziennikarze docenili wartość tematu, który właśnie im podsunęto. Kilka osób zerknęło na zegarek. Zastanawiali się, jak skontaktować się ze swoimi wydawcami wcześniej, niż zrobią to inni.

- To oczywiste, że Julian pospieszył do Kayli - mówił Val. - Spędzał przy niej całe dnie, mówił do niej, trzymał ją za rękę, przypominał, że jest ktoś, kto ją kocha i czeka, żeby się obudziła. - Val uśmiechnął się radośnie i rzucił dziennikarzom porozumiewawcze spojrzenie. Dawał im do zrozumienia, że teraz usłyszą najlepszą część historii. - Wczoraj obudziła się ze śpiączki. Julian był przy niej. Był pierwszą osobą, którą zobaczyła.

Jedna z dziennikarek, wyraźnie poruszona, głośno westchnęła.

- A jakie były jej pierwsze słowa?

- Ona... - Julian chciał odpowiedzieć, ale nikt nie zwracał na niego uwagi.

- Czy nastąpiło uszkodzenie mózgu?

- Czy ciągle jeszcze kocha Juliana?

Teraz to Julian westchnął. Westchnął ciężko. Nic ich nie obchodzi cudowne przebudzenie Kayli. Oni chcą tematu na frapujący artykuł, pragną lukrowanej bajeczki, wzruszającej do łez albo, jeszcze lepiej, odrobinę skandalicznej. Może zakończonej śmiercią. Wszystko jedno, byle to była sensacja.

Julian rozejrzał się wokół, popatrzył na otaczające go twarze. Rozpoznał kilku niskopłatnych dziennikarzy z kolorowych bulwarowych czasopism. Tacy nigdzie na dłużej nie zagrzewali miejsca. I trudno się dziwić, to nie była praca, którą normalny człowiek mógłby i chciałby wykonywać przez dłuższy czas.

Byli jakby odbiciem jego własnego życia. Śmieszne, ale nigdy wcześniej nie przyszło mu to do głowy. Zawsze traktował media jak zło konieczne; wiadomo - bez prasy i telewizji nie zdobywa się sławy. Dziś jednak dostrzegł pusty czarny krąg wokół punktu oświetlanego przez reflektor centralny. To, co chwytiał obiektyw, wcale nie było prawdziwe.

Ale Julian miał tylko życie takie, jakie utrwalano na taśmie, i dlatego to życie było puste. Wszystko, co prawdziwe, sprzedawał za chwile w świetle jupiterów.

- To już wszystko na dzisiaj - powiedział, żałując, że w ogóle z nimi rozmawiał.

- Macie świetny tytuł, koledzy: „Pocałunek prawdziwej miłości budzi Śpiącą Królową” - podsumował zadowolony z siebie Val.

* * *

Kiedy Liam wyszedł z gabinetu Stephena, usłyszał swoje nazwisko wywoływane przez szpitalny megafon. Podszedł do najbliższego aparatu telefonicznego i wystukał swój kod. Chciano mu przekazać wiadomość od Rosy. Czekala na niego w hallu głównym. Sprawa była bardzo pilna.

Spostrzegł Rose, zanim ona jego zobaczyła. Z ramionami skrzyżowanymi na piersi stała w

samym środku pomieszczenia. Już to go zaniepokoiło, z reguły bowiem Rosa ze spuszczoną głową chowała się po kątach. Nawet z dużej odległości Liam widział, że zaciska usta ze złości.

Coś było nie w porządku.

Podszedł bliżej i zauważył, że zmarszczki wokół oczu i ust, te wyrażające zaniepokojenie i smutek, stały się wyraźniejsze.

- Roso?

- Widzisz, co on zrobił?

- O czym ty mówisz?

- Jestem *mu*y zła - wzięła głęboki oddech. - Jestem w domu, radio gra, ja przygotowuję tortille na dzisiejszy obiad, n? Podają lokalne wiadomości. - Rosa skinęła głową w kierunku drzwi wejściowych, gdzie tłum ludzi otaczał Juliana. - To niesamowita wiadomość, doktorze Liam. Mówią, że Julian wyprowadził ze śpiączki miłość swojego życia.

- Psiakrew! - Liam pobiegł przez hali, zobaczył, że tłum zgromadził się na zewnątrz, więc bez namysłu skierował się do drzwi.

Reporterzy kołem otaczali Juliana, błagalnym gestem wyciągali do niego ręce, w których, zamiast książeczek do nabożeństwa, tkwiły mikrofony. Mówili wszyscy naraz, pytania nakładały się jedno na drugie i ginęły w ogólnej wrzawie.

- Kiedy będzie można przeprowadzić wywiad z Kaylą?

- Kiedy będzie można wam obojgu razem zrobić zdjęcia?

- Czy zamierzacie powtórnie się pobrać?

Liam chwycił Juliana za ramię i odwrócił go do siebie twarzą. Próbując nie patrzeć na dziennikarzy, powiedział cicho:

- Muszę z tobą porozmawiać.

Natychmiast. Julian miał przynajmniej tyle przyzwoitości, żeby zrobić zakłopotaną minę.

- Oczywiście, panie doktorze - z przymusem uśmiechnął się do tłumy. - To doktor Liam Campbell - przedstawił Liama. - Jest... lekarzem Kayli.

Z tłumy natychmiast posypały się pytania. Liam stanowczo wszystkich ignorował. Trzymając Juliana za ramię, ciągnął go przez hali, minął Rose, po czym wepchnął aktora do pustego gabinetu lekarskiego.

Sekundę później drzwi ponownie się otworzyły, weszła Rosa.

- Dzień dobry. Roso - powitał ją Julian, potem odwrócił się do Liama. - Przepraszam, Liamie. Mówiłem swojemu agentowi, żeby trzymał prasę z dala od tego, ale mnie nie posłuchał. Naprawdę jest mi bardzo przykro. I wierz mi, oni są jak termyty, kiedy raz zaroją się w twoim domu, już się ich nie pozbędziesz. Gdybym z nimi nie rozmawiał. Bóg wie, co mogliby wymyślić. W ten sposób przynajmniej znają prawdę.

- Chyba twoją prawdę. - Liam zmierzył go wzrokiem.

- O co ci chodzi?

- Sprzedałeś im romantyczną historyjkę, czyż nie? Z tobą w roli głównej, piękny księżę przybywa w czarnej limuzynie, żeby ją wyrwać z rąk śmierci.

- Nie słyszał pan najgorszego, doktorze Liam - odezwała się Rosa, podchodząc do rozmawiających mężczyzn. - Gdy wchodziłam do szpitala, słyszałam pytania. Dziennikarze pytali go o córkę.

- Jezu Chryste! - Liam chwycił Juliana za ramię i silnie nim potrząsnął. - Powiedz, że ją ochroniłeś. Powiedz, że nie puściłeś nawet pary z ust, kiedy pytali o córkę.

- Chroniłem ją - Julian skrzywił się lekko - naprawdę ją chroniłem, ale Val... on im powiedział, że Jacey jest czirliderką.

Po raz pierwszy w życiu Liam uderzył człowieka. Zamachnął się i rąbnął pięścią w ładną chłopięcą szczękę Juliana. Silny ból promieniował aż do ramienia.

- W zespole jest tylko osiem dziewcząt. - Liam teraz odwrócił się do teściowej: - Zostaniesz tutaj z Mike. Trzymaj prasę z dala od niej. Ja zabiorę dzieciaki i wrócę tu z nimi najszybciej, jak to będzie możliwe. Wejdziemy tylnym wejściem.

Boże, daj, żebym zdążył.

Liam spojrział na zegar na tablicy rozdzielczej explorera: trzecia zero pięć. Dziewczeta z zespołu skończyły próbę pięć minut temu.

Mocniej nacisnął gaz. Przy wjeździe na teren szkoły średniej zorientował się, że jedzie zbyt szybko. Gdy skręcił kierownicę, koła zapisać i samochód wpadł w lekki poślizg. Na ułamek sekundy stracił kontrolę nad autem. Całe szczęście, że koła szybko ponownie złapały przyczepność. Samochód potoczył się podjazdem w dół aż na szkolny parking.

Spóźnił się. Przed wejściem do szkoły już kłębił się tłum dziennikarzy. Rozstawione wokoło reflektory wyglądały jak czarne muchy. Wszyscy mówili jednocześnie, było gwarno niczym w ulu.

Liam wyskoczył z samochodu i pobiegł w kierunku zgromadzonych. Na ziemi leżały rozdeptane przymy starego, brudnego śniegu. Dwa razy pośliznął się i omal nie upadł. Kiedy dotarł na chodnik, serce biło mu jak młotem.

- Jacey! - jego głos zginął w ogólnym hałasie. Dziennikarze otoczyli niewielką grupę dziewcząt jak stado zgłodniałych wilków. Nieustannie przepychali się i popychali nawzajem, ponieważ każdy usiłował zdobyć korzystniejszą pozycję. Liam nie miał szans przedostać się do Jacey. Reporterzy jeden przez drugiego wykrzykiwali pytania.

- Która z was jest Juliana?!

- Tutaj nie ma żadnej Juliany. - Liam usłyszał odpowiedź pani Kurek, trenerki dziewcząt. - Proszę stąd odejść.

Liam starał się ponad głowami innych zobaczyć, co się dzieje wewnątrz kręgu, ale za każdym razem trafiał wzrokiem albo na światła, albo na kamery. Dziennikarze wiedzieli, jak zamknąć dostęp do obiektu ich zainteresowań.

Krzyknął głośno imię córki i ponownie spróbował przedrzeć się przez ściśnięte, jak sardynki w puszcze, żywe ciała. Bez skutku.

- Której z was matka była w stanie śpiączki? Wiedział, że teraz wystarczy, jeśli koleżanki spojrzą na Jacey...

- Tutaj jest!

Tłum poruszył się, rozdzielili i ponownie zbił w ciasny krąg wokół Jacey, izolując ją od koleżanek i trenerki. Wilki oddzielające małą owieczkę od stada.

- Jesteś córką Kayli?

- To ty jesteś Juliana?

Liam widział, że Jacey oddycha ciężko, nerwowo. Była wystraszona.

- Jestem Jacey - odpowiedziała cicho. - Moja mama jest w stanie śpiączki...

Mikrofon pofrunął w kierunku jej ust, niemal uderzając ją w nos.

- Jakie to uczucie być jego córką?

Liam głośno zawołał Jacey po imieniu. Chwycił za ramiona kamerzystę, który stał przed nim, i mocno popchnął. Aparat upadł na ziemię, kamerzysta zachwiał się i odskoczył w bok.

Liam przedarł się przez wyrwę w dumie.

- Jace, chodź tutaj...

Ich oczy spotkały się ponad tłumem. Liam spostrzegł strach w oczach córki. Widział, jak ogarnia ją panika, nie w jednej chwili, ale krok po kroku, stopniowo. Bez pardonu przedzierał się przez tłum. Jacey wyciągnęła do niego ręce.

Parł do przodu, on też wyciągnął przed siebie ręce, wyprostował palce, by jak najszybciej dotknąć dłoni córki.

- Jakie to uczucie być córką Juliana True?! - krzyknął ktoś.

Gwar ucichł. Jacey spojrzała na Liama, ze zdumienia otworzyła buzię, szeroko rozwarła oczy.

- Jezu Chryste, ona nie wie...

- Rusz się. Bert, zrób zdjęcie jej twarzy... teraz...

- ODSUNĆ SIĘ OD NIEJ! - Liam wściekle wrzeszczał. Rzucił się do przodu, roztrącając

ludzi na strony i pomagając sobie łokciami.

W końcu do niej dotarł. Objął ją ramieniem i mocno do siebie przytulił. Czuł, jak bardzo drży.

- Wszystko w porządku, kochanie - szepnął jej prosto do ucha, chociaż sam wiedział, że nie jest w porządku.

- Kim ty jesteś?! - krzyknął ktoś do Liama.

- To lekarz - odpowiedział ktoś inny. - Co ty...

- Ona nie ma wam nic do powiedzenia - głos Liama brzmiał opryskliwie. Ten obcy ton pochodził gdzieś z ciemnych zakamarków jego duszy. Pociągnął oszołomioną Jacey, przepchnął się z nią przez tłum i pomógł jej wsiąść do samochodu.

Dziennikarze posuwali się za nimi krok w krok, cały czas wykrzykując pytania i pstrykając zdjęcia. Ostatnią rzeczą, jaką Liam usłyszał, zanim zatrzasnął drzwi auta, było polecenie:

- Spisz numer rejestracyjny samochodu.

Zapalił silnik i wcisnął gaz. Samochód ruszył, koła chwilę buksowały na miękkim śniegu, w końcu wyjechał z parkingu.

Serce waliło mu w piersi, w ustach miał metaliczny smak strachu. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak niezręcznie. Wiedział, że dał się pokonać, że zawiódł. Nie ochronił jej. To była jego wina. Pozwolił, żeby zraniono córkę, którą kochał nad życie.

Jacey odwróciła się na siedzeniu i obserwowała drogę za nimi.

- Nie jadą za nami - powiedziała. Jej głos brzmiał obco.

Liam skręcił w zaśnieżoną leśną drogę, prowadzącą do Stanowego Parku Krajobrazowego przy Wodospadzie Anioła. Wybrał tę drogę, ponieważ widniała tylko na bardzo dokładnych mapach tej okolicy. Nikt nie powinien ich tam szukać.

Dojechali do końca drogi. Pusty parking, pokryty dziewiczym śniegiem, wyglądał jak czysta kartka papieru. W gęstych lasach późnym popołudniem było już zupełnie ciemno.

Liam zaparkował obok tablicy informacyjnej, topornie ociosanej drewnianej piramidy, na której wyryto historię tych wodospadów, odkrytych i nazwanych przez Iana Campbella na cześć jego ukochanej żony.

Liam wziął głęboki oddech i wreszcie odwrócił się do córki:

- Nie zdążyłem dotrzeć do ciebie na czas. Spojrzała na niego. W jej oczach dostrzegł strach i dezorientację.

- Czy to prawda, tato?

W tej chwili chciał być zły na Mike, ale jedynie czuł się pusty i zimny w środku.

- To prawda. Twoja mama była żoną Juliana True.

Jacey zbladła jeszcze bardziej. Wyglądała tak dziecinnie; jakże łatwo było ją zranić.

- On jest moim ojcem? - zapytała.

„Ojciec”. Słyszając to słowo, Liam poczuł ból, jakby strzała przebiła mu krtań. Przez moment nie mógł wydobyć z siebie głosu, a kiedy wreszcie się odezwał, mówił matowym, bezbarwnym głosem.

- Tak - przyznał.

- O mój Boże... - Jacey zrobiła okrągłe oczy. Cekał, że dziewczynka jeszcze coś powie, ale ona nie przerywała ciszy. Liam czuł, jakby między nimi coraz wyżej piętrzyły się morskie fale, aż urosły niczym odgradzający ich mur, przez który widzieli tylko swoje zniekształcone sylwetki. Usiłował zastanowić się, co powinien powiedzieć, lecz nic nie przychodziło mu do głowy. Wewnętrzna pustka krwawiła przejmującą ciszą. W końcu rzekł to, co chyba rzeczywiście było ważne:

- Powiniem ci powiedzieć...

- Czy to dlatego przyjechał do miasta? Żeby zobaczyć się z mamą?

- Tak.

- Czy ty wiedziałaś, że on jest moim ojcem? Zrozumiał, o co jej chodziło. Nie mogła uwierzyć, że przez te wszystkie lata ją okłamywał, i chociaż bardzo chciał chronić Mike, nigdy nie zachowałby się nieuczciwie wobec Jacey. To dlatego teraz czuła się zraniona.

- Wiedziałem tyle samo co ty. Słyszałem tę samą historię. Mike powiedziała mi, że wyszła

za mąż bardzo młodo, za mężczyznę, który uwielbiał przyjęcia i pragnął się tylko bawić. Nie miałem pojęcia, że chodziło o Juliana. Odkryłem prawdę, szukając tej sukienki, w której poszłaś na bal.

- Ponieważ nigdy nie chciała mówić o moim drugim ojcu... myślałam, że był jakimś próżniakiem albo złym człowiekiem. Ze to jakiś przegrany facet, którego poznała w college'u. - Przerwała i popatrzyła na Liama. - Kiedy byłam mała, zawsze, gdy pytałam o niego, płakała, więc przestałam pytać. Jezzz... Julian True.

Liam starał się nie okazać, że czuje się dotknięty, widząc uśmiezek błakający się na jej ustach. Która nastolatka nie byłaby podniecona, dowiedziawszy się, że znany gwiazdor filmowy jest jej ojcem? To przecież wcale nie znaczy, że odwróci się teraz od ojca, który zawsze był przy niej, który trzymał ją za rękę, scałowywał jej dziewczęce łyzy. Tak to sobie tłumaczył podczas coraz bardziej przedłużającej się ciszy.

- Kiedy miała zamiar mi powiedzieć? Gdy ludzie już osiedlą się na Księżycu?

Złość dopadła go szybciej, niż przypuszczał, i nie wiedział, jak sobie z nią poradzić. Nie sposób zrozumieć i usprawiedliwić krzywdy, jaką Mike wyrządziła córce. Zachowała się egoistycznie, niewłaściwie, a teraz, wiele lat później, wszyscy zapłacą za kłamstwo, potajemnie ukryte w jedwabnej poszewce na poduszkę.

- Nie wiem, kiedy zamierzała ci powiedzieć - odezwał się w końcu Liam.

Widział, że Jacey lada moment może wybuchnąć płaczem. Oddychała płytko, jakby już połykała łyzy.

- To dlatego przyszedł na bal... żeby ze mną zatańczyć... ale nic nie powiedział. Skąd wiedział, że mama miała wypadek?

- Dzwoniłem do niego. Zorientowałem się... że mama reaguje na jego imię. Myślałem więc, że może obudzi się, kiedy on będzie do niej mówił. I miałem rację. Wczoraj się obudziła.

- Julian ją obudził? Po tych wszystkich godzinach, które my spędziliśmy, mówiąc do niej bez przerwy?

Liam drgnął. Poczul się osaczony; tyle razy przekonywał Jacey, że miłość przedrze się przez mrok, w którym pograżona jest Mikaela.

- No cóż...

- O mój Boże! A co, jeśli... - tym razem nie zdołała powstrzymać łez. Rzuciła się Liamowi w ramiona, jakby znowu była małym dzieckiem. Żałośnie płakała z głową na jego ramieniu. Ciepła wilgoć łez przebiła się przez flanelową koszulę. Po chwili odsunęła się, wyglądała jakoś inaczej, jakby łyzy zmyły ostatnie ślady małej dziewczynki i przekształciły ją w młodą kobietę.

- Nienawidzę jej - wyznała i znowu zaniósła się płaczem.

- Nie, to nieprawda. - Liam pogłaskał córkę po policzku. - Czujesz się zraniona, jesteś na nią zła i masz do tego pełne prawo. Ale nie mogłabyś nienawidzić swojej mamy. Ona bardzo cię kocha, Jace...

- No, a ty? Ciebie też okłamywała przez te wszystkie lata.

- Czasami ludzie kłamią, ponieważ chcą chronić swoich najbliższych - próbował wyjaśnić, lecz nie udało mu się stłumić ciężkiego westchnienia. - Może uważała... że nie potrafimy zrozumieć prawdy.

Jacey pociągnęła nosem i wytarła go wierzchem dłoni. Kiedy spojrzała na Liama, w jej oczach nadal lśniły łyzy, usta wyraźnie drżały.

- On mnie nie chciał, prawda? To dlatego nigdy nie dzwonił ani nie pisał.

Liam rad by skłamać, ale przecież to kłamstwa przywiodły ich na ten bolesny zakręt w ich życiu.

- Nie znam Juliana tak dobrze. Nie umiem ci odpowiedzieć. - Spostrzegł, że Jacey jest jego odpowiedzią zaskoczona, zdezorientowana i wściekła. Prawda pchnęła ją na krętą, wąską ścieżkę i teraz tylko ona sama mogła znaleźć właściwą drogę. - Przepraszam cię, Jacey. Przepraszam za wszystko.

Spojrzała mu w oczy. Łzy ciekły jej po policzkach.

- Kocham cię... tatusiu.

Usłyszał lekkie wahanie, jej głos załamał się na chwilę, zanim nazwała go tatą.

- Ja też cię kocham, Jacey. Nadal jesteśmy rodziną - szeptał. - Pamiętaj o tym. Mama bardzo kocha i ciebie, i Breta... o cholera, Bret - cofnął się tak raptownie, że uderzył głową w boczną szybę.

- Dziennikarze. - Jacey usiadła prosto na swoim siedzeniu i zapięła pas bezpieczeństwa. - Już pół do czwartej. Bret jest na muzyce.

Bret coraz bardziej się wściekał. Próba pokazu z okazji świąt Bożego Narodzenia trwała już ponad godzinę, a Bret, jak większość chłopców, nienawidził tkwić bez ruchu w jednym miejscu. Wszyscy uczniowie czwartej i piątej klasy byli ustawieni w trzech rzędach, na trzech wysokościach. Nauczycielka muzyki, pani Barnett, uszeregowała ich według wzrostu, co oznaczało, że dziewczęta stały między chłopcami, a to zawsze rodziło problemy.

Pani B. uderzyła drewnianą pałeczką w metalowy stojak do nut.

- Dzieci, proszę, uważajcie. Powtórzmy jeszcze raz ostatnią zwrotkę. - Pani B. podniosła swoje „berło” i skinęła głową panu Adamsowi, siedzącemu w rogu sali. Na dany sygnał zaczął grać *Cichą noc*.

Bret nie pamiętał ani jednego słowa.

Katie trąciła go łokciem w zebra:

- Śpiewaj! - syknęła.

- Zamknij się! - Bret oddał jej cios z nawiązką.

- Wszystko powiem pani - boleśnie uszczypnęła go w mięsień przedramienia.

- Odwal się!

Katie opuściła ręce i tupnęła nogą tak silnie, że cała ławka, na której stali, zadrżała.

- Pani Barnett! - krzyknęła piskliwym głosem. - Bret Campbell wcale nie śpiewa.

Palce pana Adamsa pobłądziły na klawiszach. Salę wypełniły chaotyczne dźwięki, potem zaległa cisza.

Katie rzuciła Bretowi uśmiech pełen złośliwej satysfakcji.

Wywrócił oczyma. Niech sobie gada, jemu i tak wcale nie zależy.

- Oj, Katherine - pani B. powoli opuściła pałeczkę - to chyba nie jest twoja sprawa, prawda?

- Ona uważa, że wszystko jest jej sprawą! - krzyknął ktoś ze śmiechem.

Katie splonęła rumieńcem. Buzia pokraśniała jej jak piwonia.

- Przecież pani mówiła, że wszyscy... Pani B. uśmiechnęła się do Breta. Był to jednak dziwny uśmiech, trochę naganny, trochę smutny.

- Nie czepiajmy się Breta. Wszyscy wiemy... Bret pokazał Katie język.

- ...że jego mama właśnie obudziła się ze śpiączki. Cała ich rodzina przeżywa teraz trudny okres.

„Wszyscy wiemy, że jego mama obudziła się ze śpiączki”.

Bret z trudem łapał oddech. To nie może być prawda. Tata powiedziałby mu, gdyby mama się obudziła. Ale pani B. powiedziała...

Zachwiał się i żeby nie upaść, uchwycił się ramienia Katie.

Dziewczynka pisnęła i już otworzyła usta, gotowa znowu poskarżyć się na niego, lecz spojrzawszy na Breta, zamilkła.

- Wyglądasz okropnie. Będziesz wymiotował? - zapytała go, marszcząc brwi ze zdumienia.

- Mój tata nie zrobiłby tego - rzekł Bret, zwracając się do Katie.

Nagle drzwi sali otworzyły się z hukiem. W wejściu stała Jacey. Twarz miała czerwoną, zamazaną jakimiś smugami, wyglądała, jakby płakała.

- Pani Barnett - odezwała się od drzwi - muszę natychmiast zabrać Breta do domu.

- Biegnij, Bret - zezwoliła pani B., skinąwszy głową Jacey.

Bret uwolnił się od Katie tak raptownie, że czworo dzieci spadło z ławki. Słyszał szepty i wiedział, że mówiono o nim. Było mu wszystko jedno.

Minął stojących półkolem zaciekawionych kolegów. Teraz nawet nie dbał o to, że wszyscy

widzą, jak bliski jest leż. Chciał tylko, żeby pani B. przyznała, iż się pomyliła. Tata na pewno powiedziałby mu, gdyby mama się obudziła.

Podszedł do siostry. Nagle poczuł się bardzo mały, jak figurka wojownika z ułamanymi nogami, patrząca w górę na G.I. Joego. Serce waliło mu tak mocno, że aż kręciło mu się w głowie.

- Czy mama...

- Chodź, Bretster. - Jacey wzięła go za rękę, wyprowadziła z sali i powiodła korytarzem w dół. Ich explorer stał na miejscu przeznaczonym dla szkolnego autobusu, chociaż o tej porze było to absolutnie zakazane. Autobusy zaczną lada moment podjeżdżać po dzieci. Tata siedział za kierownicą.

Jest niedobrze.

Bret pozwolił, żeby wepchnięto go na tylne siedzenie niczym worek ziarna. Jacey zapięła na nim pas bezpieczeństwa, potem wskoczyła na przednie siedzenie. Zanim Bret zdążył pomyśleć, co powiedzieć, już pędzili przez miasto. Na ulicach było mnóstwo ludzi. Rozwieszali dekoracje na festyn z okazji Dni Lodu, który miał się odbyć w najbliższy weekend. Tata nikomu nie odpowiedział na pozdrowienie. I jechał stanowczo zbyt szybko.

Bret chciał o coś zapytać, chciał krzyżeć, ale czuł, jakby sam Superman ścisnął go za gardło.

Tata zatrzymał samochód przed tylnym wejściem do szpitala. Nawet nie spojrzął na Breta, rzucił okiem tylko na Jacey.

- Zostań z bratem - rzekł. - I trzymajcie się z dala od głównego hallu. Muszę porozmawiać z Samem z administracji. Za dziesięć minut spotkam się z wami w kawiarence, dobrze?

Jacey skinęła głową.

Taty już nie było. Biegł daleko przed nimi. Jacey i Bret szli pustym korytarzem na tyłach szpitala. Echo ich kroków dzwoniło w uszach tak, że na obojgu skóra cierpła. Bret drżał.

Umarła. Tym razem to pewne. Kiedy wejdzie do pokoju mamy, zastanie puste łóżko. Będzie już za późno, już się z nią nie zobaczy...

Oderwał się od siostry i pognął w kierunku pokoju mamy.

- Bret! Wracaj!

Nie zwrócił uwagi na krzyk Jacey. Biegł dalej. Przed pokojem mamy zatrzymał się poślizgiem i otworzył drzwi.

Mama leżała na starym łóżku i wyglądała jak zawsze. Spała..

Potknął się. Tylko dlatego, że kurczowo trzymał się gałki przy drzwiach, nie upadł.

Nie wiedział, które uczucie brało górę: ulga, że tata jednak nie kłamał, czy rozczarowanie, że mama jednak się nie obudziła.

Cichutko zamknął drzwi i podszedł do łóżka.

Nadal bat się, gdy widział mamę w tym stanie. Chociaż cały czas była bardzo ładna i tata zwrócił mu uwagę na ważne rzeczy, na przykład rumieńce na jej policzkach czy miarowo unoszącą się i opadającą przy każdym oddechu klatkę piersiową...

„To dobre znaki” - twierdził tata.

Ale dla Breta wyglądała jak martwa. Ciągle musiał sobie powtarzać, że mama żyje.

„To wciąż jest mama, Bretster. Musisz o tym pamiętać”.

Starał się czerpać siłę ze słów taty. Jego tata, tata, który nigdy nie kłamał, mówił, że mama żyje... gdzieś.

Bret przysunął się jeszcze bliżej, wspiął się na barierkę i pochylił nad mamą. Był tak blisko, że czuł jej delikatny oddech na swoich rzęsach. Zamknął oczy i spróbował przywołać jakieś miłe wspomnienia.

„No cóż, chyba każdy, kto potrafi osiodłać tego konia, rzeczywiście jest już dość duży, żeby pojechać do Wodospadu Anioła. Jestem z ciebie bardzo dumna, synku”.

Wiedział, że się rozplacze na wspomnienie tej sceny. I rzeczywiście, łzy napłynęły mu do oczu. Pamiętał tylko, jak mama przyklękała na zimnej, brudnej ziemi i przytuliła go do siebie. Najbardziej brakowało mu jej uścisków, może nawet bardziej niż pocałunków.

Usłyszał, że za nim otwierają się drzwi, po czym doszedł go cichy dźwięk kroków siostry.

- Chodź, Bret. Tata prosił, żebyśmy czekali na niego w kawiarence.
- Chwileczkę - pochylił się jeszcze niżej i dał śpiącej Mikaeli Całuska Mamusi, zrobił to dokładnie tak, jak mama go całowała: delikatny pocałunek w czoło, potem w każdy policzek i leciutki jak piórko w brodę, następnie dłuższy z prawej strony nosa. Z wargami przy nosie mamy wyszeptał magiczne słowa:

- Żadnych złych snów.

Kiedy się podniósł, serduszko bardzo go bolało. Po policzku spłynęła łza i upadła na wargę mamy.

I wtedy bardzo powoli otworzyła oczy.

Bret niemal spadł z barierki.

Uniosła się do pozycji siedzącej i wpatrywała się w niego. Czekał i czekał, lecz się nie uśmiechnęła.

- Witaj, chłopczyku.

W końcu uśmiechnęła się, ale nie tak.

To nie była jego mama.

Bret otworzył usta i... nie mógł wydobyć z siebie głosu. Cały czas czekał, modlił się, śnił. W każdym śnie mama budziła się i powtarzała to samo: „Jak się ma mój najukochańszy chłopczyk?” A potem brała go w ramiona i tuliła do siebie, tak jak zawsze to robiła...

Łzy napływały mu do oczu.

Pani z twarzą jego mamy zrobiła zdziwioną minę.

- Czy coś się stało? - zapytała.

To też nie były właściwe słowa. Jego prawdziwa mama powiedziałaby: „To chyba nie łzy widzę w oczach mojego dużego chłopca...”

Nie, zaprzeczyłby, nawet jeśli nie byłaby to prawda, ale kiedy otworzył usta, wyrwało się z nich tylko westchnienie.

Fałszywa mama rozglądała się po pokoju. Zatrzymała wzrok na stojącej przy drzwiach i płaczącej Jacey.

- Jak się ma moja najukochańsza dziewczynka? - powiedziała.

Bret cichutko jęknął. Nie mógł tego wytrzymać. To były jego słowa, a ona oddała je Jacey.

UCIEC. MUSZĘ STAĆ UCIEC.

Tylko o tym mógł myśleć. Wybiegł z budynku i pognął przed siebie w zapadającą ciemność.

Gdy dobiegł do drogi, był skostniały z zimna, ale nie zwracał na to uwagi. Biegł dalej.

23

„Teraz mówimy na nią Jacey”.

Czuła się, jakby patrzyła w lustro, w którym odbijała się przeszłość. Instynktownie chciała wyciągnąć ręce. Myślała o wszystkim, co zapomniała. Pierwsze słowo jej córki, jakie było jej pierwsze słowo? Jak się zachowywała, gdy pierwszego dnia szła do szkoły? Czy sama wsiadła do wielkiego żółtego autobusu i pomachała ręką na do widzenia, czy też kurczowo trzymała się mamy, płakała i prosiła, żeby jeszcze jeden dzień mogła zostać z nią w domu?

- Mamo?

Cudne brzmienie tego słowa spowodowało, że utrata pamięci stała się niemal nie do zniesienia. Fakt, że może być obca dla własnego dziecka...

- Jacey - szepnęła i wyciągnęła ręce.

Jacey powoli ruszyła w jej kierunku. Mikaela wyczuwała niepewność i wahanie córki, ale w końcu Jacey pochyliła się ponad barierką. Mikaela wplotła córkę ramionami i przyciągnęła do siebie. Wdychała słodki, zapomniany zapach swojej malej dziewczynki - nie puder dla niemowląt, który doskonale pamiętała, tylko jakiś cytrynowy, dorosły zapach.

Kiedy odsunęła się nieco, spostrzegła, że Jacey płacze.

- Nie płacz. - Mikaela pogłaskała ją po policzku. - Wszystko będzie dobrze.

- Jak? - Łzy spływały Jacey po policzkach. - Jakim cudem będzie dobrze?

- Odzyskam pamięć. Zobacysz.

- Straciłaś pamięć? - Jacey zrobiła okrągłe oczy. - To dlatego... - odwróciła się i spojrzała na otwarte drzwi.

- Przykro mi. Mam pewne luki w pamięci...

- Dlaczego tata nic mi nie powiedział?

- Sądzę, że proszono Juliana, by nic na ten temat nie mówił.

- Julia... Ty nie pamiętasz taty? - głos Jacey ledwo dał się słyszeć.

- Och, pamiętam Juliana... przynajmniej do pewnego czasu. Nie pamiętam nic po odejściu od niego. Myślę...

- Wspaniale! - Jacey patrzyła na Mikaelę, jakby matce nagle wyrosły rogi. - Nie mogę w to uwierzyć.

- Gniewasz się na mnie. Jesteś na mnie zła. - Mikaela przybrała surowy wyraz twarzy.

- Moim tatą jest Liam Campbell. - Jacey zacisnęła dłonie na cienkim szpitalnym szlafroku Mikaeli. - Zakochałyśmy się w nim dawno temu, gdy miałam zaledwie cztery lata. Od dziesięciu lat on jest twoim mężem. A ty go nie pamiętasz. Pamiętasz tylko Juliana, który nigdy do mnie nie zadzwonił, nie przysłał życzeń na urodziny, nigdy nie chciał mnie nawet zobaczyć.

- Ale Julian jest twoim ojcem. - Mikaela była zdezorientowana.

Jacey cofnęła się o krok. Starła się zachować spokój, ale jej opanowanie wisiało na włosku.

- Aha, jest moim ojcem, świetnie. A przez twoje kłamstwa do dziś nie miałam o tym pojęcia.

Mikaela poczuła, jakby ktoś zadał jej silny cios w żołądek.

- Nigdy ci nie mówiłam?

- Nie.

- Och, Jacey... - Mikaela nie wiedziała, co powiedzieć. Jaką kobietą się stała, że potrafiła tak bardzo skrzywdzić swoją córkę? - Jacey, ja...

Energicznie pchnięte drzwi otworzyły się na całą szerokość. Do pokoju z zaróżowionymi policzkami i bez tchu wpadła Sarah.

- Jacey, miałam nadzieję, że cię tu znajdę. Właśnie dzwoniła recepcjonistka. Widziała, jak Bret wybiegł ze szpitala. Nie chciał się zatrzymać...

- Bret! O mój Boże! To moja wina! - Jacey minęła tęgą pielęgniarkę i wybiegła z pokoju. Mikaela bezradnie patrzyła na Sarah.

- Kim jest Bret? - zapytała.

- Odpocznij, kochanie. - Sarah popatrzyła na nią ze współczuciem.

Serce Mikaeli biło zbyt szybko. Spodziewała się, że lada chwila w którymś z aparatów włączy się sygnał alarmowy. Cały pokój wirował jej przed oczami, było jej słabo, kręciło się jej w głowie. Chwyliła Sarah za ramię i pociągnęła tak mocno, że pielęgniarka wpadła na barierkę przy łóżku.

- Sarah... czy ty mnie znałaś... przedtem?

- Oczywiście. To ja cię tu zatrudniłam, kiedy ukończyłaś szkołę pielęgniarską.

Mikaela puściła Sarah i opadła na poduszki. To tylko nic nieznaczące fakty, a ona chciała znać prawdę.

- Czy byłam dobrym człowiekiem?

Sarah popatrzyła na nią i uśmiechnęła się ciepło. - Miałś serce czyste jak anioł, Mikaelo. Byłaś... i jesteś dobrym człowiekiem. Możesz mi wierzyć.

Pragnęła w to wierzyć, jednak nie mogła. Wiele lat okłamywała córkę i z pewnością złamała serce Liamowi. Po raz pierwszy pomyślała, że może ten zanik pamięci to dar od Boga. Chwilowa zwłoka, żeby grzesznik mógł poczuć się jak święty.

Julian siedział bezpiecznie ukryty w limuzynie i przyglądał się dziennikarzom tłoczącym się za przyciemnionymi szybami.

Dzisiaj naprawdę wyciął niezły numer. Bez dwóch zdań. Napuścił sfore na swoją własną córkę. Jeszcze nie dawali tego w telewizji, nie widział więc migawek nakręconych przed wejściem do szkoły średniej, ale opowiedziano mu wszystko z detalami: jak zaskoczyli Jacey, jak zarzucili ją pytaniami.

„Jakie to uczucie być córką Juliana True?” I to, jak odgadli okropną prawdę: „Ona nie wie”.

Zobaczył, że na zewnątrz Liam przeciska się przez tłum dziennikarzy.

Julian wtulił się głębiej w siedzenie i nerwowo pocierał bolący podbródek. Ostatnią osobą, z którą chciałby teraz rozmawiać, był Liam Campbell.

Julian wstydził się tego, co zrobił. Zwykle gdy popełnił coś niewłaściwego, płacił za to. Tak dosłownie. Ludzie pracujący dla niego obrzucali pieniędzmi każdego, czyjemu życiu lub mieniu kontakt z Julianem True wyrządził jakąś szkodę.

Dziś po raz pierwszy w życiu chciał okazać się lepszym człowiekiem, zrobić coś dobrego.

Wyjął z kieszeni słoneczne okulary i włożył je na nos. Grzebieniem przecesał potargane włosy i wysiadł z samochodu. Padał śnieg. Znowu.

- On wysiadł!

Dziennikarze hurmem ruszyli ku niemu, mikrofony trzymali w wysuniętych do przodu rękach. Wyglądali tak podle, jak on sam się czuł. Ta pogoda. Jest stanowczo zbyt zimno. Pomyślał, że gdyby musieli na zewnątrz czekać na swoją sensację, woleliby znaleźć się w Los Angeles, gdzie od słońca można było wprawdzie nabawić się raka skóry, ale nigdy nikt nie miał pęcherzy z powodu odmrożenia.

Prawie nie słyszał pytań, którymi go zarzucano. Bez słowa, z poważnym wyrazem twarzy przecisnął się przez tłum. Wiedział, że nie wejdą za nim na teren szpitala. Byli podobni do wampirów, czekali na zaproszenie.

W połowie drogi do pokoju Kayli zobaczył córkę. Stała w poczekalni, tyłem do niego, sztywna i nieruchoma jak słup soli.

- Juliano! - sekundę za późno przypomniał sobie, że użył niewłaściwego imienia. - Jacey.

Powoli odwróciła się twarzą do niego. Na jedną krótką chwilę przeszłość stała się teraźniejszością. Oczy miała czerwone i zapuchnięte, usta drżały. Wyglądała dokładnie tak jak Kayla w dniu, w którym od niego odeszła.

- Cześć - powiedziała tylko.

- Miałem... miałem nadzieję, że będziemy mogli porozmawiać. Wiem... znasz już prawdę o mnie... o nas.

- Nie teraz - zrobiła krok w jego kierunku, mocno obejmując się ramionami. - Mój brat gdzieś uciekł.

- Co ty mówisz? - Julian zmarszczył brwi. - Ja nie mam innych dzieci.

- Dobrze, mój przyrodni brat.

- Jezu - szepnął - Nikt mnie nie uprzedził, że jest jeszcze jedno dziecko. On jest synem Kayli... i Liama?

Jacey skinęła głową.

- Ma na imię Bret. Dzisiaj zobaczyliśmy mamę po raz pierwszy, odkąd się obudziła. Nie poznała nas. To było straszne. I Bret... uciekł.

Julian pragnął jej pomóc, chciał powiedzieć coś, co złagodziłoby jej smutek, ale przecież wcale jej nie znał, nie wiedział, czego w tej chwili najbardziej potrzebuje. Nie, to nie była prawda. Wiedział, że potrzebuje ojca.

Naturalnie Liam wiedziałby, co robić. Właśnie takie chwile i tysiące innych podobnych uczyniły z Liama ojca Jacey. Julian nie mógł nagle stać się kimś, kim nie był.

- To nie twoja wina. Tata go znajdzie.

- Taak... - Popatrzyła na niego, nie odzywając się więcej.

Julian pragnął zajrzeć w smutne oczy dziewczynki i zobaczyć w nich swoją przyszłość. Jednakże widział tylko swoją spaprana przeszłość.

- Twój ojciec to naprawdę ktoś. Odnajdzie twojego brata. Możesz mi zaufać.

- Zaufać? Tobie? - Powoli zbliżyła się do niego. - Czy ty kiedykolwiek o mnie myślałeś?

Potrafił wyczuć, kiedy należy skłamać, i chociaż rozumiał, że uczciwy człowiek wybrałby trudniejszą drogę, skłamał.

- Bez przerwy - rzucił jej nerwowy uśmiech. - Wyglądasz dokładnie tak jak twoja mama, gdy ją poznałem. Jesteście dwiema najpiękniejszymi kobietami, jakie kiedykolwiek spotkałem.

Widział, że mu nie uwierzyła, co gorsza, widział również, że jego kłamstwo sprawiło jej przykrość. Ofiarował więc córce jedyną rzecz, na którą było go stać. Powiedział prawdę:

- Nie, właściwie to nie. Po odejściu twojej mamy ja... żyłem dalej. Kochałem ją... i mógłbym kochać ciebie... lecz nie zastanawiałem się nad tym, tylko po prostu żyłem dalej. Bardzo mi przykro, ale mama... i tata bardzo cię kochają. I, rany boskie, wierz mi! Jak już Kayla kogoś pokocha, to jest to uczucie nie z tej ziemi.

Odwróciła się do niego plecami, postąpiła kilka kroków do przodu i stanęła przy oknie.

Poszedł za nią. Chciał dotknąć jej ramienia, jednak się nie ośmielił. Przyglądał się ich odbiciu w szybie, dwie postacie ramię przy ramieniu w matowej szybie okiennej.

- Bardzo cię przepraszam. Za wszystko. Za dziennikarzy, za te lata, gdy się nie odzywałem, za listy, których nie napisałem. Przepraszam.

W pewnej chwili, kiedy ciche łzy córki zamigotały na szkle, Julian przez mgnienie oka ujrzał obraz swojej pustej duszy. Pojawił się niespodziewanie i zniknął bardzo szybko, trwał nie dłużej niż jeden oddech, ale Julian wiedział, że już nigdy tego nie zapomni.

Liam próbował nie myśleć o tym, co złego mogło się stać w ten ciemny grudniowy wieczór, gdy Bóg zdecydował w ciągu ostatnich trzydziestu minut obniżyć temperaturę o cztery stopnie. Albo o tym, że Bret jest gdzieś sam, jego najdroższy dziewięcioletni chłopczyk, nadal jeszcze bardziej dziecko niż młody mężczyzna, błąka się w ciemności. Czy Bret rozumiał, jak niebezpiecznie jest chodzić brzegiem szosy, gdy drogi są oblodzone... a padający śnieg o połowę zmniejsza widoczność?

Liam nie przypominał sobie, żeby z Bretem rozmawiał na ten temat, i dlatego jeszcze bardziej się denerwował.

Bez przerwy spoglądał na wskaźnik temperatury, który zainstalował na tablicy rozdzielczej. Na zewnątrz było minus trzydzieści stopni, tak zimno, jak tylko może być w tym regionie w środku zimy. A Bret był gdzieś tam...

Przestań.

Nic mu nie jest. Na pewno się schował, siedzi sobie w jakimś ciepłym, suchym miejscu...

I myśli o tym, dlaczego mama go nie poznała; zastanawia się, czemu tata nie powiedział mu prawdy.

- Trzymaj się, Bretster - szepnął Liam. Tak mocno zaciskał ręce na kierownicy, że nie zdziwiłby się, gdyby pozostały na niej wgłębienia. Pochylił się do przodu i przez zabrudzoną szybę uważnie obserwował drogę przed sobą. Padał gęsty śnieg, wycieraczki nie nadążały zmiatać go z szyby.

Szosa była pusta, tak jak parking przed szpitalem. Liam najpierw stracił cenne minuty, przeszukując szpital. Nie mógł uwierzyć, że Bret wybiegł na zewnątrz. W końcu jednak musiał przyjąć do wiadomości fakt, iż jego syn był tak bardzo zraniony i przestraszony, że pognął przed siebie bez opamiętania. Prawdopodobnie nawet nie czuł kłuszącego mrozu, gdy wypadł na dwór przez podwójne drzwi.

Przynajmniej w pierwszej chwili.

Teraz zapewne kostnieje z zimna. Wybiegł przecież bez wierzchniego okrycia.

Zadzwoił telefon w samochodzie.

Serce Liama stanęło na chwilę, kiedy naciskał klawisz „Odbiór”.

- Znalazł się? - zapytał, nawet nie wiedząc, kto dzwoni.

- Nie - usłyszał cichy, drżący głos Jacey. - Ale wszyscy go szukają. Babcia jest w domu, czeka na telefon. Ja czekam w szpitalu, na wypadek gdyby tutaj wrócił. Myślałam...

- Wiem, kochanie. Jednak lepiej będzie, jeśli się rozłączymy.

- Tato? - Przerwała na chwilę. Liam doskonale wiedział, co czuje. - Bardzo mi przykro.

- To nie twoja wina. To ja jestem winien. Powinienem powiedzieć wam prawdę. Później o tym porozmawiamy, dobrze? Kiedy... już sprowadzimy go bezpiecznie do domu.

- Tak. Kiedy będzie w domu.

Liam rozłączył się i ponownie skupił na drodze. Musiał to zrobić, musiał skoncentrować się na zwyczajnych rzeczach: drodze, ulicznych latarniach, osłoniętych miejscach przy drodze, gdzie można się było schować. Wtedy jeszcze jakoś się trzymał.

Cały swój ogromny strach podzielił na małe cząsteczki. Na niewielkie fragmenty, detale, nad którymi umiał zapanować.

Zmniejszył szybkość z piętnastu kilometrów na godzinę do dziesięciu. Oddalił się zaledwie jakieś pięćset metrów od szpitala. Przed nim, w oddali, było miasto, wiodła do niego niekończąca się, kręta, pogrążona w ciemności droga.

Szczegóły.

Odwrócił głowę w prawo, patrzył na ciemne pola po tej stronie drogi. Bret nie przeszedłby na drugą stronę; wiedział, że tego robić mu nie wolno. Co do tego Liam miał pewność. Jego syn nie przechodziłby przez drogę sam w nocy... ale czy nie wsiadłby do samochodu kogoś obcego?

Liam opanował przerażające drżenie całego ciała. Boże, spraw, żeby Bret pamiętał, iż nie wolno wsiadać do obcych samochodów.

Termometr wskazywał, że temperatura na zewnątrz spadła o kolejny stopień.

Liam cały czas koncentrował się na szczegółach: noga na gazie, ręce na kierownicy, wzrok penetruje pobocze, gdzie nie było nawet śladu stóp. Tylko dywan świeżego śniegu.

Przed nim, po prawej stronie drogi, rozciągał się kompleks terenów rekreacyjnych. Znajdowały się tu wielkie metalowe budowle, stajnie, arena i pawilony. Stajnia, skąpiana w jasnym świetle, wyglądała jak ogromna boja świetlna w otaczających ją ciemnościach.

Palily się światła... w środku zimowej nocy.

Obudziły w sercu Liama nadzieję. To było jedno z ulubionych miejsc Mike. Ta stajnia. Mike i Jacey spędzały tu latem długie godziny, zajmując się pokazami koni, organizacją lokalnych jarmarków i kliniki jeździeckiej. Zaledwie kilka miesięcy temu Bret zdobył tu swoją pierwszą nagrodę jeździecką.

Przy zjeździe z głównej drogi Liam zwolnił. Czuł kropelki potu na czole między brwiami. Ręce miał wilgotne i zimne.

Każda zła decyzja może mieć fatalne konsekwencje. Liam znowu spojrzął na termometr: wskaźnik temperatury stał w miejscu, na dwudziestu dziewięciu stopniach poniżej zera. Skręcił na wyboistą ścieżkę i nacisnął gaz do dechy. Przez chwilę koła próbowały złapać przyczepność. Jechał z twarzą tak blisko przedniej szyby, że nosem niemal dotykał szkła. Dotarliśmy na parking, wcisnął hamulec. Samochód zarzucił, potem stanął.

Liam zostawił silnik na chodzie i wyskoczył z auta. Biegł, zapadając się w miękkim śniegu.

- Bret?! - zawołał donośnie. Krzyk odbił się echem od niewidocznych gór i wracając, uderzył go jak cienka, ostra blaszka lodu.

Otworzył na oścież metalowe drzwi. Oświetlona stajnia z rzędem pustych boksów wydawała się ogromna.

- Bret?! - wrzasnął.

Biegł od boksu do boksu, zaglądając po kolei do każdego. -

Znalazł Breta w ostatnim, tym, z którego ubiegłego lata korzystała Mike podczas pokazu koni. Zwinięty w kłębek, chłopiec trząsał się z zimna i ssał kciuk.

Liam jeszcze nigdy nie czuł tak wielkiej ulgi; nie mógł się ruszyć ani wydobyć z siebie głosu, nie potrafił nic zrobić. Osunął się na ziemię i wziął syna w ramiona.

- Och, Bret - szeptał łamiącym się głosem. - Tak bardzo się bałem.

Bret odsunął się nieco. Na pąsowoczerwonych policzkach lśniły strużki łez, oczy nabiegły mu krwią.

- Wiedziałem, że mnie znajdziesz, tatusiu. Ja... - Znowu zaczął drżeć i zalał się łzami.

- Wszystko w porządku, dziecinko - uspokajał go Liam, gładząc po włosach. Bret zamrugał powiekami i spojrzął na Liama.

- Tttt... tato, ona nawet mnie nie przy... przytuliła.

- Tak mi przykro, Bret - gładził syna po policzku. - Powinienem powiedzieć ci prawdę.

- O... ona już ni... nie jest moją mamusią, prawda?

- Ależ jest - cicho, łagodnie zaprzeczył Liam. - Jest twoją mamą, tylko ten wypadek... coś się zepsuło w jej głowie i teraz nie pamięta nawet naprawdę ważnych rzeczy.

- Nnn... na przykład mnie?

- I mnie. I Jacey.

- Pamięta Jacey!

- Nie. Słyszała o Jacey, i dlatego domyśliła się, kim jest. A naprawdę wcale jej nie pamięta.

- To dlaczego - Bret otarł oczy - nikt nie powiedział jej o mnie? Ja też jestem ważny, tak samo jak Jacey.

- Jesteś dla niej wszystkim, Bret. - Liam westchnął ciężko. - Ty i Jacey jesteście dla niej całym światem. Bardzo cierpiała, słuchając o Jacey. Płakała i płakała. Ja... po prostu nie mogłem powiedzieć jej jeszcze o tobie. Miałem nadzieję, że sama sobie przypomni, a wtedy... wszystko będzie dobrze.

Bret głęboko wciągnął powietrze. Liam widział, że stara się zachowywać jak dorosły.

- Czy mama odzyska pamięć?

Liam chciał rzec: „Oczywiście”, ale w ciągu ostatnich tygodni dowiedział się tylu nowych rzeczy o swoich dzieciach i o sobie samym. Byli dostatecznie silni, żeby znieść prawdę. Kłamstwo było jedyną raną, która się jątrzyła.

- Lekarze są zdania, że przypomni sobie większość rzeczy. Nie drobne szczegóły, tylko to, co naprawdę ważne, na przykład nas. Sądźmy, że to sobie przypomni.

- Ale nie jesteście tego pewni?

- Nie. Nie jesteśmy pewni. Wiesz co?

- Co?

- Miłość... jestem przekonany, że przypomni sobie wszystko, co kocha.

Bret zamyslił się. Długo rozważał, co mu rzeki tata.

- Dobrze, tatusiu - powiedział wreszcie. Liam uśmiechnął się. Bogu niech będą dzięki za wielkie serce mego dziecka.

- Tatusiu?! Bardzo cię kocham.

Te proste słowa podziałały jak balsam na zbolące serce Liama. Ożywiły je, jak ciepły letni deszcz ożywia łaknące wilgoci kwiaty.

- Ja też bardzo cię kocham, Bret. - Liam mocno przytulił syna. - I jestem z ciebie dumny. Ciężko jest małemu chłopcu zrozumieć takie trudne sprawy.

Powoli zaczęli się podnosić z ziemi. Liam wziął Breta na ręce i wyniósł go ze stajni. Kiedy zgasił światła, ogarnęła ich absolutna ciemność. Na zewnątrz wciąż sypał śnieg. Kierując się światłami explorera, dobrnęli wreszcie do samochodu. Wsiadli i Liam od razu zadzwonił do Rosy i Jacey, żeby przekazać im dobrą wiadomość. Rosa zaproponowała, że pojedzie do szpitala zabrać Jacey i razem spotkają się już w domu.

Bret oparł się wygodnie. Chociaż Liam włączył ogrzewanie na cały regulator, chłopiec drżał z zimna.

- Przepraszam, tatusiu.

- W porządku, synu. Każdy musi czasem uciec od wszystkiego, żeby zebrać myśli - spojrzał na Breta. - Tylko następnym razem może po prostu poszedłbyś do swojego pokoju i zatrzasnął za sobą drzwi?

- Dobrze. - Bret prawie się uśmiechnął. - Ale trzasnę nimi naprawdę mocno.

24

Liam nie mógł puścić dłoni Breta. Całą drogę do domu ścisnął małe, zimne paluszki chłopca.

Kiedy wjechali do garażu, Liam zgasił silnik i odwrócił się do syna. Oddałby wszystko za to, żeby wiedzieć, co powinien teraz powiedzieć Bretowi.

Gdyby życzenia miały skrzydła, wszyscy żebracy fruwaliby w powietrzu.

To było jedno z ulubionych powiedzeń Mike. Znowu ją wspominał. Wiedział, co by powiedziała, gdyby tu była: „No, chodź, pianisto, czas stawić czoło muzyce”.

To wspomnienie dodało mu sił, których tak bardzo potrzebował.

- Bret, jest jeszcze coś, o czym musimy porozmawiać.

Bret odwrócił się do ojca. Buzię miał nadal czerwoną od silnego mrozu.

- Naprawdę musimy?

Dotychczasowe doświadczenia nauczyły go, że może spodziewać się tylko czegoś złego. I że powinien bać się tego, co może usłyszeć.

- Chodźmy, przygotuję gorącą czekoladę, usiądziemy przy kominku i pogadamy - zachęcał Liam.

- Czekoladę z cukrem. Pychota.

- To rusz się, Jimie Carreyu - uśmiechnął się Liam. Bret spojrzał na niego wielkimi, szeroko otwartymi oczami. Wyglądał jak sowa.

- Tak powiedziała do mnie mama... tego dnia... no, wiesz... zanim spadła z konia.

Liam zmierzył ciągle wilgotne włosy syna.

- Takie właśnie są nasze wspomnienia. Pojawiają się nie wiadomo skąd. Tak jak tobie przychodzą do głowy, tak przyjdą do głowy i mamie. I wiesz co, Bretster, lepiej będzie, jeśli pozwolisz im wracać razem z takimi uczuciami, jakie zechcą ze sobą przynieść. Nie powinieneś się bać tego, co czujesz. Nigdy się tego nie bój.

- Dobrze, tatusiu.

Bret wysiadł z samochodu i wszedł do domu. Po drodze zapalał wszystkie światła. Liam szedł za nim i gasił te, które paliłyby się niepotrzebnie. W dużym pokoju rozpałił w kominku, a kiedy już wesoło trzaskał ogień, poszedł do kuchni i przygotował dwie filiżanki rozpuszczalnego kakao. Do porcji Breta wlał sporo mleka, potem ostrożnie zaniósł oba kubeczki do dużego pokoju, gdzie jego syn już bawił się swoim ludzikiem, jak zwykle wydając przy tym przedziwne dźwięki.

Liam zatrzymał się, wziął głęboki oddech... i po chwili ruszył dalej. Tak właśnie zachowywali się rodzice. Tę rozmowę trzeba było odbyć. Jutro Bret pójdzie do szkoły i jakiś dzieciak w klasie zapyta go o Juliana True. Chłopiec zasługiwał na to, żeby dowiedzieć się prawdy od ojca.

- Hej, kolego! - zawołał Liam, podając kubek synowi. Bret zajrzał do kubka i skrzywił buzię.

- Nalałeś mleka. Teraz wygląda jak rozmiękły papier toaletowy.

- A mama nie dolewa mleka... żeby było chłodniejsze?

- Do rozpuszczalnego kakao wrzucasz kostki lodu, mleka dodaje do prawdziwego. Ale nic nie szkodzi, tato. - Odważnie pociągnął duży łyk. - Hmm...

- Bardzo cię kocham, Bret - uśmiechnął się Liam. Bret odstawił kubek. Liam wiedział, że chłopiec już więcej nie będzie pił.

- Ja też cię kocham, tato.

- Chodź no tutaj.

Liam usiadł w ogromnym, miękkim fotelu stojącym przy kanapie. Kupili go na ulicznej wyprzedaży w okolicy LaConner. Mike wydała więcej pieniędzy na renowację tego fotela, niż zapłaciliby za nowy, ale zawsze powtarzała, że jest tak wygodny jak pięćdziesiąt lat razem wzięte. Swobodnie mieścił się w nim ojciec z dziewięcioletnim synem.

Bret wdrapał się Liamowi na kolana.

Liam pogłaskał synka po buzi. Pewnie tego lata pojawią się pierwsze pryszcze na tym malutkim nosku - pomyślał.

- Czy to jeszcze coś o mamie?

- Pamiętasz, dawno temu wspominaliśmy ci, że mama już wcześniej była zameźna?

- Tak. Z drugim tatą Jacey. Liam z wysiłkiem przełknął ślinę.

- A wiesz, że Julian True przyjechał do naszego miasta?

- Człowiek-Wąż? Ej, tato, wszyscy o tym wiedzą.

Liam z trudem powstrzymał uśmiech.

- Bogiem a prawdą on woli, żeby go pamiętano z roli w *Zielonym zagrożeniu*, ale nie w tym rzecz. Chodzi o to, że on przyjechał odwiedzić mamę.

- Człowiek-Wąż zna naszą mamę?

Liam wziął głęboki oddech i od razu przeszedł do istoty sprawy.

- Nawet dobrze zna. Mama była jego żoną.

- Taaa, jasne... - Bret prychnął z niedowierzaniem.

- To prawda, Bretster.

Bret zrobił poważną minę. Siedział bez słowa dłuższą chwilę, próbując zrozumieć to, co tata właśnie mu powiedział.

- Ale to ty jesteś moim tatą... a mama jest moją mamą, tak?

- Tak.

Bret zdawał się na wszystkie strony rozważać nową sytuację. Chwilami marszczył czoło, chwilami się rozpogadzał.

- Okay - rzekł w końcu.

- Okay? - Liam oczekiwał łez, wybuchu złości, czegoś bardziej... no, jakiejś silniejszej reakcji niż zwykle, spokojne „okay”. Może Bret nie zrozumiał...

- Tak, okay. Mama Sally Kramer była kiedyś żoną Lonniego Harrisa ze sklepu z paszą, a tata Billy'ego Adamsa był mężem Gertrudę z salonu fryzjerskiego Sunny i Shear. Przy nich eksmąż mojej mamy to dopiero ktoś. Ej, słuchaj, myślisz, że mógłby mi załatwić plakat z Człowiekiem-Wężem do mojego pokoju?

- Zdumiewasz mnie, Bret - powiedział Liam łagodnie.

Trzasnęły energicznie otwierane drzwi do sieni. Jacey i Rosa wpadły do środka. Jacey pełnym głosem wołała brata po imieniu. Podbiegła do nich i uklękła przy fotelu.

- Och, Bret... - płacząc, obiema rękami z czułością wodziła po buzi Breta, tak jak osoba niewidoma dłońmi próbuje zapamiętać kształty. - Nigdy, nigdy więcej tego nie rób.

Bret odsunął rękę siostry.

- Tylko mnie nie całuj. Koszmar. Hej, Jace, wiesz, że mama była kiedyś żoną Juliana True i on jest twoim drugim tatą?

Jacey otworzyła buzię ze zdumienia. Otarta Izy z oczu.

- Na pewno nie!

Bret uśmiechnięty szeroko, pochylił się do Liama i szepnął mu prosto w ucho:

- Mnie pierwszemu to powiedziałaś? Liam stłumił uśmiech.

- Jesteś już dużym chłopcem. Bret rechotał zadowolony.

- A tak - rzekł do siostry, wypinając drobną klatkę piersiową - ale nie martw się, my nadal jesteśmy rodziną.

Jacey objęła ramionami i ojca, i brata. Wilgotny od łez policzek przytuliła do pleców Breta.

- Rodziną - powiedziała cicho. - Teraz tylko potrzeba nam mamy.

Tego wieczoru podano sensacyjną wiadomość. Zdjęcia Kayli i Juliana pokazywano w telewizji, każde opatrzone jakimś komentarzem, ich wspólne życie przedstawiano w epizodach interesujących szeroką widownię. O ósmej, zaraz po programie rozrywkowym, po raz pierwszy zadzwonił telefon. Liam popełnił błąd i odebrał. Jakaś kobieta z klubu jeździeckiego piskliwym głosem dopytywała się, czy to prawda.

Potem telefon już nie milkł. Liam wyciągnął przewód z gniazdka.

Starał się zachowywać normalnie, robić to, co zwykle. Zjadł obiad, pozmywał naczynia, trochę czasu spędził, oglądając razem z dziećmi telewizję, następnie położył Breta do łóżka i poczytał mu na dobranoc.

Kiedy Bret wreszcie usnął, ostrożnie wstał z łóżka i cichutko wymknął się z jego pokoju. Już miał schodzić na dół, gdy spostrzegł smugę światła pod zamkniętymi drzwiami do pokoju Jacey. Westchnął i poszedł korytarzem w kierunku jej sypialni.

Przed drzwiami zatrzymał się, po chwili zapukał.

- Hej, kochanie, to ja.

- Och, wejdz.

Otworzył drzwi. Zachowywała się dokładnie tak, jak się spodziewał. Siedziała na łóżku ze słuchawkami na uszach i płakała. Telewizor był włączony.

- No jak, dziecinko?

Zdjęła słuchawki i rzuciła je na leżący obok stos prześcieradeł i koców.

Liam wziął krzesło z siedziskiem z różowej poduszki wypchanej fasolką i przysunął je do łóżka. Usiadł na wygodnej wyściółce.

- Nakrzyczałam na nią - odezwała się Jacey. - Mama po miesiącu budzi się ze śpiączki, a ja na nią nakrzyczałam.

- Nie zadrećzaj się tym, kochanie. Jutro pójdziesz do niej i powiesz, jak bardzo ją kochasz.

- Naprawdę ją kocham, tylko jestem na nią wściekła i boję się, że nigdy sobie nas nie przypomni. Ze będzie pamiętała tylko... jego.

- Żałuję, że nie jesteś małą dziewczynką - powiedział cicho. - Dziecku mógłbym wymyślić jakąś historyjkę, mógłbym polaskotać i rozbawić albo dałbym lody na patyku.

- Coś, co pozwoliłoby zmienić temat - uśmiechnęła się Jacey.

- Właśnie. Niestety, jesteś prawie dorosła i już nie mogę uchronić cię przed całym złem tego świata. Ale wierz mi, prawda jest taka: miłość ma wiele barw i odcieni. Niektóre są tak przejrzyste, że wszystko przez nie widać, inne czarne jak grafit. - Zamilkł. Nie przychodziło mu do głowy nic, co nie brzmiałoby nieprzekonująco czy żałośnie. Zaczerpnął powietrza i powiedział to, w co sam wierzył. - Jacey, nie wiem, w jaki sposób przeszłość twojej mamy wpłynie na naszą rodzinę, lecz wiem jedno: zawsze będziemy rodziną, cała czwórka. Jakoś pomożemy sobie nawzajem przez to przejść. Wiesz, po to właśnie jest rodzina.

- Bardzo cię kocham, tatusiu.

Poczuł skurcz serca. To dziecinne słowo „tatusiu” przypomniało mu wszystko, przez co razem przeszli. Pomogą sobie nawzajem przez to przejść w ten czy w inny sposób, a kiedy to się wreszcie skończy, będą wiedzieli, jakie uczucia ich łączą.

- Ja też bardzo cię kocham, Jacey. Chodź tutaj, uściskaj swojego staruszka.

Zsunęła się z łóżka, usiadła mu na kolanach i objęła ramionami.

Krzesło było za małe dla obojga, zjechali razem ze śliskiej poduszki i wylądowali jedno na drugim na podłodze. Zanieśli się śmiechem, rozdzielili i niezdarnie podnieśli na nogi.

- Dobranoc, tato.

- Dobranoc, Jacey.

Wyszedł z pokoju córki, zamknął drzwi i zszedł na dół. Bez celu krążył z pokoju do pokoju. Dopiero gdy znalazł się w salonie, tuż obok fortepianu, uświadomił sobie, że coś go tu ciągnęło.

Usiadł przy fortepianie. Klawiatura tonęła w mroku. Nie chodzi o to, że potrzebował światła, by grać. Niczego nie potrzebował: ani nut, ani światła, ani słuchaczy. Potrzebował tylko Mikaeli...

Palcem wskazującym uderzył w klawisz. W pokoju zabrzmiała pojedyncza nuta - B z bemolem. Przypomnił sobie czasy, kiedy tu siadywał, cała rodzina zgromadzona wokół niego, żona siedząca najbliżej, a on grał, wkładając w muzykę całe swoje serce. Samotna nuta ucichła.

Cofnął ręce znad klawiatury. Jeszcze nie mógł grać.

Julian siedział przy jednym ze stolików na tyłach kręgielni Lou's Bowl-O-Rama i patrzył na czwarty już kufel piwa. Była dziesiąta wieczór, chyba najlepsza pora na grę w kręgle w miłym miasteczku.

Z tyłu dochodził go gwar, ludzie zbierali się w grupy, pokazywali go palcami, szeptali między sobą. Z niezrozumiałego szumu wielu głosów najczęściej wybijało się słowo „Mikaela”.

Nie zwracał uwagi na innych. Będąc gwiazdą, nauczył się izolować w tłumie gapiących się na niego ludzi. Człowiek uczy się patrzeć, nie widząc, i przyglądać się badawczo, z nikim nie

nawiązując kontaktu wzrokowego. Znakomitość na sto dwa. Niestety, w pewnym momencie człowiek uświadamia sobie, że wcale nie pragnie doprowadzać do perfekcji umiejętności izolowania się w tłumie.

Wypił łyk piwa.

Nie mógł zapomnieć pustki, którą dzisiaj dostrzegł w sobie. Oczywiście, powinien o tym doskonale wiedzieć, ale nie należał do tych, co to zastanawiają się nad takimi sprawami.

Całe lata niedbale używał słowa „miłość”. Używał go tak często, że nawet ludziom - dziennikarzom, przyjaciółom, innym kobietom - mówił, iż Kayla jest jego jedyną prawdziwą miłością.

Teraz, kiedy poznał Liama, nigdy by tego nie powiedział. Liam prawdziwie kochał, a Julian miał okazję zajrzeć mu w serce.

Pomyślał, że podoba mu się miłość. Chyba dlatego żenił się tak wiele razy, choć naprawdę pragnął czegoś innego, czegoś takiego jak w filmie (a może pierwsza była książka?) *Co się zdarzyło w Madison County*.

Idealne marzenie mężczyzny: kilka dni namiętej, szalonej miłości, która nie wywraca życia do góry nogami i pozostawia po sobie słodko-gorzkie uczucie żalu, że wszystko się skończyło. Oczywiście traciło się tę jedyną prawdziwą miłość, ale ileż romantyzmu było w takiej stracie! I słusznie, czemu nie miałoby być? Ta miłość nie musiała przechodzić próby czasu, nie zdawała egzaminu z szarej codzienności, nie sprawdzała się dzień po dniu, jak kropla wody podobnym do pozostałych. Trwała chwilę w najpiękniejszym rozkwicie, a z biegiem lat we wspomnieniach nabierała jeszcze silniejszego blasku.

Dziś Julian rozumiał, że jedyne uczucie, jakie pozostało mu po małżeństwie z Kaylą, to uczucie żalu. Ten żal miał smak wytrawnego portwajnu, który z czasem dojrzewał, stawał się słodkim mocnym winem, mogącym uderzyć do głowy.

To było lepsze niż prawda: że ją pokochał, ożenił się z nią, widział, jak od niego odchodzi, i żył dalej swoim życiem. Że jego miłość do Kayli była uczuciem przemijającym.

Albo jeszcze gorzej: że miał w sercu pustkę, której nigdy nie uda się zapełnić, że nie był zdolny do prawdziwej miłości.

Ktoś poklepał go po ramieniu.

- Hej, Juli. Szukałem cię po całym mieście. Grasz w kręgle?

Julian nawet się nie uśmiechnął.

- Znasz mnie, Val. Lubię sport, kiedy uprawiają go inni. Val zachichotał i usiadł przy stoliku.

- Val - zwrócił się do niego Julian - czy ty czasem zastanawiasz się, co dzieje się z takimi jak my, gdy już się zestarzeją?

- Dla mnie wzorem jest Sean Connery. Sześćdziesiąt osiem lat, a babki nadal na niego lecą. Ty możesz być Jackiem albo Warrenem, ale, na Boga, Connery jest mój.

Julian wpatrywał się w kufel z piwem.

- Myślę, że skończymy jako ludzie bardzo samotni. Będziemy siedzieć w drogich fotelach w drogich domach, przeglądając albumy ze zdjęciami i wspominając, kim niegdyś byliśmy i czego to nie mieliśmy. Powypadają nam włosy, przestaniemy być przystojni i nikt nas nie będzie odwiedzał.

Val podniósł rękę do góry.

- Podaj mi szkocką, dobrze?! - krzyknął do Lou i ponownie odwrócił się do Juliana. - Jesteś prawie tak zabawny jak kuracja odtruwająca.

Jak w ogóle mógł się spodziewać, że Val go zrozumie? Julian zawsze łaknął hollywoodzkiego blasku i splendoru. Myślał, że umrze, jeśli nie zostanie kimś, z kim się liczone. I osiągnął swój cel. Ale każdy rok był jak stłuczone świecidełko i dopiero teraz, w Last Bend, Julian zdał sobie sprawę z tego, co stracił, walcząc o sławę. Już wiedział, jak skończy. Będzie starzejącym się, aroganckim aktorem, bywalcem wszystkich przyjęć, będzie pił zbyt dużo, palił zbyt wiele i przesypiał się z każdą kobietą w zasięgu ręki. Będzie szukał, cały czas będzie szukał...

Aż pewnego dnia zda sobie sprawę z tego, że zrezygnować ze znalezienia tego, czego

szukał, i że ból, jaki czuje w sercu, już nie minie.

Kayla go kochała i dzięki swej wielkiej miłości dostrzegła puste miejsce w jego sercu. Rozumiała, że prawdziwe, trwałe uczucie nie może rozkwitnąć, kiedy rośnie na jałowej, kamienistej ziemi. Nie ma wątpliwości, ona miała nadzieję, że po nią przyjedzie inny Julian, odmieniony, lepszy. Lecz głęboko w duszy musiała wiedzieć, że on nigdy się nie pojawi. Dlatego nie powiedziała Jacey prawdy o ojcu. Po co opowiadać romantyczne historyjki o kimś, kogo się więcej nie zobaczy?

- Proszę bardzo. - Lou postawił szklaneczkę szkockiej whisky przed Valem. - A tobie coś podać, Julianie?

- Nie, dziękuję, Lou.

- Ty komuś dziękujesz? Jezu, Juli, co się dzieje? - zdziwił się Val. Julian spojrzał na przyjaciela.

- Kayla spowodowała, że... przyjrzałem się swemu życiu, Val, i wiele nie zobaczyłem. Val zamyślił się.

- Wiesz - odezwał się po chwili - jesteś jak te nastolatki, które oglądają zdjęcia modelek w czasopiśmie i sądzą, że te dziewczyny naprawdę tak wyglądają. A ty i ja, my wiemy o hulankach, o braniu narkotyków, o Oświęcimiu. Myślisz sobie, że może lepiej byłoby prowadzić inne życie, z kosiarką do trawników, sąsiedzkimi festynami i drużyną młodzików. Ale ty taki nie jesteś. Czy ty nie zdajesz sobie sprawy z tego, że ci prawdziwi faceci, pracujący od siódmej do siódmej, żeby utrzymać swoje usmarkane dzieci i grube żony, oddaliby wszystko za choćby jeden dzień takiego życia, jakie ty prowadzisz?

- To niech sobie je biorą.

- Julianie, ona jest mężatką - przypomniał Val ze smutkiem w oczach.

- Wiem - odpowiedział. - A jeśli ja ją Kocham?

* * *

Kiedy rozpada się czyjeś życie, powinien być huk. Okropny hałas, który zatrzymałby przechodniów. Potężny grzmot, jakby Partenon walił się w gruzy, a nie cisza, zwykła codzienna cisza.

Jego żona kochała innego mężczyznę. Nie mógł ignorować tego faktu. Bez względu na to, jak bardzo starał się odsunąć od siebie tę myśl, uparcie wracała.

Liam leżał w łóżku i wpatrywał się w tiulową siatkę przeciwko komarom, osłaniającą ich małżeńskie łożo. Dochodziła północ, a on nie mógł zasnąć.

Nie mógł zapomnieć tego, co widział dzisiaj w telewizji, ani komentarzy, które słyszał w programie.

„Prawdziwa miłość, po wielu latach”.

„Pocałunek Pięknego Księcia budzi Śpiącą Królową”.

W każdym programie pokazywano zdjęcia Kayli. Na wszystkich była młoda, pełną życia kobietą, niewątpliwie bez pamięci zakochaną.

Tej kobiety Liam nigdy nie widział. Aż do dziś, do tej chwili, miał nadzieję, że dostrzeże jakiś ślad, choćby najbardziej ulotny, jakąś cechę swojej żony. Lecz z każdego zdjęcia patrzyła nań tylko Kayla.

Teraz nie była ani Kaylą, ani Mikaelą. Bez wspomnień była jak listek wirujący we śnie, ale przecież już wkrótce opadnie na ziemię. Przypomni sobie te piętnaście razem spędzonych lat. Liam musi w to wierzyć.

I co wtedy?

Wtedy Mikaela będzie potrzebowała czegoś konkretnego, co pozwoli jej utrzymać się na powierzchni. Tą kotwicą będzie jej miłość do dzieci, ona bowiem stanowiła istotę jej duszy. Nic i nikt - nawet Julian - nie oderwie jej od Jacey i Breta.

Kiedy Mike dojdzie do siebie, potrzeby dzieci postawi na pierwszym miejscu. Jak zawsze. Odeszła od Juliana z powodu Jacey, za Liama wyszła z powodu Breta.

W końcu nadal pozostanie żoną Liama. Tak, tego był pewien. Dla dobra dzieci Mike znowu poświęci swoje wielkie uczucie.

Te wnioski okazały się marnym pocieszeniem, wręcz odwrotnie, raczej jeszcze bardziej

przytłoczyły Liama.

Julian nie stanowił zagrożenia dla ich małżeństwa. O tym Liam doskonale wiedział. To miłość Mikaeli do Juliana była zagrożeniem. Przedtem Liam potrafił wmówić sobie, że Mikaela darzy go dostatecznie dużym uczuciem. Ale teraz, gdy widział, jak ona patrzy na Juliana...

Zamknął oczy.

Nadal panowała głucha cisza. Jego życie rozsypywało się tak cicho, jak cicho bije serce umierającego. Ledwo słyszalne, głuche uderzenie, a potem... już nic.

25

Mikaela śniła, że jest w wielkim drewnianym domu.

Znowu słyszała płacz dziecka, ale tym razem bardziej się bała. Weszła po schodkach i przeszła przez ganek. Obok niej zaskrzypiał i poruszył się, jak za dotknięciem niewidzialnej ręki, fotel na biegunach.

Ujęła gałkę w drzwiach i przekręciła. Pchnęła drzwi tak mocno, że uderzyły o ścianę.

- Halo?! - zawołała piskliwym szeptem, tłumionym dodatkowo jej ciężkim oddechem.

Znowu płacz, tym razem głośniejszy.

Ręką macała ścianę. Wiedziała, że tu jest kontakt, ale gdy natrafiła na niego palcami, wydała okrzyk ulgi. Zapaliła światło - rogi jeleni ozdabiające żyrandol rzuciły delikatne, złote cienie na pusty stół w jadalni. Przez moment zobaczyła siebie przy tym stole, siedziała na konkretnym krześle, słyszała głos, który mówił: „No, dzieciaki, teraz mówcie, jak wam minął dzień...”

Ale nikogo w środku nie było, tylko trzy zjawy, dźwięk widelców uderzających o talerze, stukot szklanek stawianych na heblowanym stole.

- Gdzie jesteś?! - krzyknęła.

Znowu rozległ się płacz. Sunąc ręką po stole, przeszła do szerokich schodów, wykonanych z pociętych bali. Czowała za sobą obecność jakichś ludzi, którzy coś do siebie szeptali i popychali ją głębiej, coraz głębiej w ciemność na górze. Odwróciła się raptownie i - nikogo za nią nie było. Szła na piętro, za nią skradał się tylko jej własny cień.

- Ma... mu... siu... Ma... musiu...

- Gdzie jesteś?! - krzyknęła.

Odpowiedziała jej cisza.

Zaczęła biec, lecz tym razem nie widziała przed sobą żadnych drzwi, żadnych okien... słyszała tylko płacz dziecka.

Biegła i biegła. Korytarz skończył się ślełą ścianą.

- Gdzie jesteś? - pytała bezradna.

Odwróciła się. Korytarz zniknął. Spojrzała pod nogi. Zobaczyła, że stoi na małym kawałku dywanu.

Przed nią pojawiły się drzwi.

Ręka jej drżała, gdy sięgała do mosiężnej gałki. Przekręciła ją bez trudu. Otwierała drzwi powoli, centymetr po centymetrze. Za drzwiami panowała absolutna ciemność.

Znowu usłyszała cichy płacz dziecka.

Dotknęła chropowatej ściany i zabłysło światło.

Malec leżał w rogu, chude białe nóżki były wygięte pod dziwnym kątem. Miał na sobie flanelowe bokserki - takie jak tatusia - i podkoszulek z aplikacją Seattle Super Sonic.

Spojrzał na nią. Na bledziutkiej twarzy lśniły strużki łez, brązowe oczy, pełne bólu, wydawały się ogromne jak jeziora.

Chłopiec ze szpitala.

- Mamusiu? - powiedział.

- Bret! - krzyknęła, upadła na kolana i wzięła go w ramiona.

Obudziła się. Wspomnienia płynęły, przeplatały się, nakładały jedno na drugie.

Powtórzyła imię, powtarzała je wielokrotnie.

Bret. Bret. Bret. Chłopczyk, od którego się odwróciła, do którego nawet się nie odezwała, kiedy pochylił się i pocałował ją w czoło delikatnie jak motylek.

Jej maleńki chłopczyk.

Sięgnęła po telefon, ale zanim wykręciła numer, zauważyła zegar na ścianie. Była trzecia rano.

Nie mogła zadzwonić. Zamknęła oczy i oparła się na poduszkach, pozwalając, by znowu ogarnęły ją wspomnienia.

Mikaela obudziła się spłoszona. Spojrzała na zegar. Dziewięta trzydzieści.

- Cholera! - Dzieci były już w szkole, pomyślała.

Na stoliku przy łóżku stała taca z jedzeniem. Wyglądało nieapetycznie. Jak ktokolwiek mógł odzyskać zdrowie, jedząc takie śmieci?

Westchnęła i odsunęła tacę dalej.

Zamknęła oczy. Myślała o tym, co sobie wczoraj przypomniała.

Bret. Jacey. Jej ukochane dzieci. I choć nadal nie potrafiła przypomnieć sobie tysięcy drobiazgów, większość rzeczy pamiętała.

Julian. Przypomniała sobie owe dni i noce, kiedy czekała przy aparacie na jego telefon, kiedy usypiała zmęczona płaczem i czekała. Czekala...

I Liam. Pamiętała wszystkie „jak” i „dlaczego”, wszystkie wątpliwości związane z jej uczuciem do niego... i jak nigdy nie było jej dość jego miłości, bo to nie była taka miłość.

Całe lata spędziła, czekając na przyjazd Juliana, ale w pewnym momencie musiała zacząć żyć własnym życiem. Zapisła się do szkoły, została pielęgniarką i podjęła pracę właśnie w tym budynku.

Liana spotkała w szpitalu, w pokoju, w którym leżał jego ojciec. Czula się wtedy taka samotna, taka zagubiona. Z prasy dowiedziała się o kolejnym małżeństwie Juliana i załamała się. Gdy Liam zaproponował wspólne wyjście, zgodziła się.

Wiedziała, że Liam zakochał się w niej niemal od pierwszego wejrzenia, i chociaż nie podzielała jego uczuć, łaknęła miłości, pragnęła, żeby ktoś się o nią troszczył. Dzień po dniu Liam udawał, jak bardzo ją kocha, jak bardzo jej pragnie.

A jednak, kiedy stwierdziła, że jest w ciąży, poczuła się jak w potrzasku. Z najdrobniejszymi szczegółami pamięta dzień, w którym mu powiedziała.

Byli nad Wodospadem Anioła, w ich ulubionym miejscu. Wylegiwali się na kocu. Kiedy wyznała mu, że spodziewa się dziecka, z trudem zdusił w sobie okrzyk szczęścia, a potem cicho, spokojnie poprosił, żeby za niego wyszła.

Opowiedziała mu co nieco o swojej przeszłości. „Już byłam zamężna. Kochałam go całym sercem. Przykro mi, ale chyba będę go kochała aż do śmierci”.

„Rozumiem”, tylko tyle rzekł, usłyszawszy jej wyznanie. Ale to ona rozumiała. Rozumiała, że łamie serce temu dobremu, wrażliwemu mężczyźnie, który kochał ją tak, jak ona kochała Juliana. Chciała wierzyć, że mogą być razem szczęśliwi. I pod wieloma względami byli. Nauczyła się kochać Liama, choć nigdy nie zakochała się w nim po uszy. Prawdę mówiąc, nigdy sobie na to nie pozwoliła. Teraz widziała to wyraźnie.

W cichości ducha nadal czekała na Juliana. Bardzo głęboko w sercu, w miejscu zarezerwowanym dla prawdziwej miłości, cały czas paliła świeczkę, modląc się o jego powrót. To dlatego jej uczucie do Liama było takie kruche, takie słabe. Jak cienka warstwa lodu na głębokim lazurowym jeziorze. Nie mogło być inne, skoro Julian zajmował tak wiele miejsca w jej sercu.

Nie wie, czy wówczas tego żałowała - tego jakoś nie mogła sobie przypomnieć - albo czy chociaż przyjrzała się sobie dostatecznie uważnie, żeby w ogóle to dostrzec. Ale dziś żałowała, okropnie żałowała.

Cała jej przeszłość oplatała ją jak ogromna, splątana, pełna śmieci sieć. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek zdoła rozplatać ją na tyle, żeby znaleźć ukryte w niej perły.

Zamknawszy oczy - a czasami nawet wtedy, kiedy ich nie zamykała - widziała niteczki swojego życia. Były wszędzie, w niezliczonych bukietach i doniczkowych kwiatach,

wypełniających pokój, w całej harmonii kart z życzeniami powrotu do zdrowia, poustawianych na okiennym parapecie, w grubym pliku wiadomości telefonicznych, który codziennie przynosiła jej pielęgniarka.

W Last Bend znalazła swoje miejsce. Smutne było to, że dotychczas tego nie dostrzegą. Przez całe lata uważała, że jest tu obca. Nawet gdy zgłaszała się na ochotnika do wielu różnych akcji charytatywnych, organizowała imprezy sportowe, siadała do obiadu w domach przyjaciół i popijała poncz z sąsiadami po mszy w kościele, zawsze uważała, że nie należy do tego środowiska. Teraz wiedziała, że ten paskudny bagaż wciąż dźwigała z sobą od młodych lat. I tak kurczowo się go trzymała, że nawet nie zauważyła, iż walizki są puste.

Pogrążona w swoich myślach, nie usłyszała pukania do drzwi.

Weszła Rosa. Wyglądała staro, a jej białe włosy po raz pierwszy nie były splecione w schludny, ścisły warkocz. Miała na sobie zaprasowane w kant czarne spodnie i czerwony golf. W rękę trzymała dużą, kwadratową księgę.

Mikaela podniosła się do pozycji siedzącej.

- *Recuerdo mi vida. Mama* - powiedziała cicho, nawet się nie witając z matką.

Rosa potknęła się, potem zamarła w bezruchu. Brązowych oczu nie odrywała od twarzy Mikaeli.

- Pamiętasz? Wszystko pamiętasz?

- Jak Bret się czuje... po wczorajszym?

- *Milagro*. - Rosa poruszyła się i szurając nogami szła w kierunku łóżka. Uśmiechała się łagodnie. - Z nim wszystko w porządku. Ten twój chłopaczek ma odważne serce. No i, naturalnie, był przy nim doktor Liam.

Mikaela przełknęła z wysiłkiem.

- Czy mogłabym teraz zobaczyć dzieci?

- Bret jest dzisiaj na wycieczce. Pojechał z klasą obserwować orły w Rockport. O tej porze ptaki zmieniają miejsce pobytu. Jacey o dwunastej ma wygłosić referat na zajęciach z nauk społecznych. Właśnie zbliża się koniec semestru.

Zawiedziona, Mikaela opadła na poduszki.

- No tak. Rzeczywiście, przecież życie toczy się dalej, prawda, mamó?

- To tylko krótka zwłoka. Przyprawdę je do ciebie po południu, si? - Rosa wręczyła Mikaeli gruby, oprawiony w skórę album, który trzymała w rękach. - To dla ciebie.

- *Muy caro, ech. Mama?* - Mikaela pogładziła piękną skórę.

- Za pewne rzeczy warto więcej zapłacić. Myrtle, twoja przyjaciółka z perfumerii, powiedziała mi, że od dawna chciałaś go mieć.

Tego Mikaela nie pamiętała, wiedziała jednak, że od kilku lat nosiła się z zamiarem zrobienia rodzinnego albumu. Jeszcze jeden punkt na długiej liście rzeczy do zrobienia.

- *Gracias, Mama*. Jest naprawdę piękny.

- Och, kiedyś nie byłaś taka *stupido*. Otwórz.

Mikaeli szczęka opadła ze zdziwienia. *Stupido? Stupido?* Mama nigdy tak do niej nie mówiła, w ogóle nie używała takich słów.

- Jeśli łaska, proszę o trochę więcej szacunku dla kogoś, kto miał uraz mózgu - żartobliwie poprosiła.

- *Lo siento*. - Rosa wzruszyła ramionami. - Ostatnio spędzałam dużo czasu z pewnym małym chłopcem, stąd te zmiany. Czy uwierzysz, że wczoraj powiedziałam, iż kreskówka jest „obłądną?”

- Cały Bretster. W zeszłym roku wszystko było straszliwe albo byle jakie. Teraz jest obłądne. - Mikaela otworzyła album. Na pierwszej stronie ujrzała kopertę z przezroczyściej gniecionej bibułki, z zasuszonymi fiołkami w środku. W ramce na środku strony Rosa starannie wykaligrafowała: „Mikaela Conchita Luna True Campbell”.

Brzmiało to, jakby była członkiem rodziny królewskiej. Mikaela powoli odwróciła kartkę. Na śnieżnobiałym tle widniała stara czarno-biała fotografia z pozawijanymi rogami: oto

· *Recuerdo mi vida. Mama* - Przypominam sobie swoje życie, mamó (hiszp.).

· *Muy caro, ech. Mama?* - Bardzo drogi, prawda. Mamó? (hiszp.).

ona z matką na tle chaty, w której mieszkały podczas zbioru jabłek, dwanaście osób w jednej izbie, bez toalety.

Wspomnienia tamtych czasów Mikaela nadal nosiła w sercu. Tkwiły w nim jak potłuczone, ostre kawałki szkła. To były czasy, które kształtowały osobowość Mikaeli, niszczyły jej marzenia.

Całe życie uciekała od tych wspomnień, tak jakby sądziła, że jeśli pobiegnie dostatecznie szybko, zdoła oddalić się od prawdy. Teraz wreszcie stała w miejscu i widziała przeszłość taką, jaką rzeczywiście była. Patrzyła na te zdjęcia nie oczyma dziecka, lecz oczyma matki. Rosa nie miała żadnego wyboru. Biedna Latynoska bez wykształcenia, która słabo mówiła po angielsku, nie miała innego wyjścia. Mogła tylko...

Mikaela spojrzała na matkę.

- Ja też bym tak zrobiła, mamó - powiedziała.

- Co zrobiła?

- William... dom... Gdyby Jacey wgramoliła mi się na kolana i patrzyła na mnie smutnymi, pożądanymi oczami, zrobiłabym to samo.

Rosa rozplakała się. Mikaela po raz pierwszy widziała matkę płaczącą.

- Wszystko oddałabym za to, żeby kochać go mniej, a siebie bardziej. Ale nie żałuję, bo mój grzech tobie dał szansę na lepsze życie.

- Przepraszam, że tak długo czekałam, by ci to powiedzieć.

- Oglądaj dalej. - Rosa niecierpliwym gestem osuszyła oczy.

Mikaela odwróciła kartkę, potem następną i jeszcze następną. To były nieliczne fotografie z jej lat dziecięcych.

A potem ujrzała zdjęcie ślubne. Julian i Kayla.

Mikaela raptownie wciągnęła powietrze. Tę fotografię schowają. Pamięta doskonale. W poszewce na poduszkę w swojej...

- Liam je znalazł, kiedy leżałam w śpiączce - powiedziała matowym głosem.

- Si - przyznała Rosa cicho, ze smutkiem.

Mikaela nawet nie potrafiła sobie wyobrazić, jak bardzo cierpiał Liam, oglądając jej życie na tych zdjęciach. Małżeństwo z Julianem trzymała w tajemnicy, ponieważ żaden mężczyzna nie mógł się z nim równać, ale również - jeśli chciała być wobec siebie szczerą - dlatego, że nie umiała uwolnić się od obsesji, którą nazywała prawdziwą miłością. Pragnęła, żeby ta jej część, która go kochała, należała wyłącznie do niej. Nie podzieliła się nim nawet z Jacey.

Może bała się, że jeżeli odkryje swoje prawdziwe uczucia, jeśli będzie mówiła o Julianie jak o kimś przeciętnym, po prostu pierwszym swoim mężu, przestanie go kochać. A myśl, że nie kocha Juliana, była nie do zniesienia. Ta miłość decydowała o jej istnieniu.

Mikaela powoli przewracała kartki. Hipnotyzowały ją obrazy z jej dawnego życia.

Zapomniała już, jaka była młoda, kiedy wychodziła za Juliana.

Na zdjęciach z pierwszego okresu ich małżeństwa wyglądała pięknie, twarz miała pogodną i zawsze uśmiechniętą, na późniejszych wyraźnie zeszczuplała i przygasła.

Później obok Mike na fotografiach pojawiała się Jacey. Nie było widać tylko uśmiechniętego ojca. A jeszcze później, kiedy czekały na Juliana, ktoś obcy robił im zdjęcia.

- Och, mamó - westchnęła.

Rosa przerzuciła kilka kartek, aż znalazła pierwsze zdjęcie z Liamem.

- Widzisz? - zapytała.

- Czy co widzisz?

- Swoją uśmiech. Znowu się uśmiechasz. Od razu to zauważyłam, jak tylko przysłałaś mi swoje zdjęcia z Liamem.

Mikaelę ogarnął wielki, bolesny smutek.

- Dlaczego go nie kochałam, mamó? Co jest ze mną nie w porządku?

- Przecież znasz odpowiedź na to pytanie.

- Spaprałam swoje życie.

- Jesteś młoda - roześmiała się Rosa. - Trzeba bardzo wielu lat, żeby spaprać swoje życie.

Doskonale to wiem.

- Jak mam to naprawić? - Mikaela spojrzała na matkę. Rosa spoważniała.
- Pozwól, że jeszcze coś ci powiem. Kiedy coś ukrywasz, trzymasz w tajemnicy, obdarzasz to... tajemną mocą. Popatrz na swoje życie, Mikita, spójrz na nie choć raz... a może sama się zdziwisz tym, co zobaczysz.

26

Mikaela liczyła minuty do wizyty dzieci. Po wyjściu Rosy spędziła godzinę z fizykoterapeutą, ucząc się, jak z wdziękiem posługiwać się łyżką. Kto by pomyślał, że tak cholernie trudno jest włożyć łyżkę do miski z owsianką, nabrać zupy, a potem donieść ją do ust. W pewnej chwili chciała rzucić śniadaniem o ścianę, ale przypomniała sobie, dlaczego mężczyźni wyładowywali swoje napady złości na martwych przedmiotach, a kobiety nie: one potem musiały sprzątać.

Dochodziła dwunasta w południe. Mikaela stała przy małym oknie w swoim pokoju i obserwowała szpitalny parking. Na zewnątrz wisiały już bożonarodzeniowe dekoracje. Kolorowe żarówki oplatały uliczne latarnie, a wieczorem, dzięki migotliwym światełkom, zwyczajny parking będzie wyglądał jak świat baśni.

Oznaki zbliżających się świąt nieoczekiwanie zasmuciły Mike. Zwykle była wielką entuzjastką Bożego Narodzenia, niespokojnym derwiszem z zacięciem rozwieszającym świąteczne ozdoby, gromadzącym koło siebie dzieci, by siedząc razem na kanapie, jak co roku, wspólnie obejrzeć *Czyż nie wspaniale jest życie* i *Cud na 34 Ulicy*. Tego roku czuła tylko rozdzierającą, bolesną pustkę. Nie wiedziała, gdzie jest jej miejsce, nie miała poczucia przynależności, a Boże Narodzenie jeszcze bardziej uzmysławiało jej, jak bardzo pogubiła się w życiu.

Usłyszała pukanie do drzwi.

Odwróciła się tak szybko, że się potknęła. Prawa noga nadal była słaba i nie reagowała na szybkie ruchy ciała. Mike rękoma chwyciła się parapetu i prawie na nim zawisła, żeby nie przewrócić się na paskudną, pokrytą cętkowanym linoleum podłogę.

W drzwiach stał Liam. Wyglądał, jakby czuł się niezręcznie, niepewnie. Wysoką, szczupłą sylwetkę pochylił w bok, zbyt długie włosy opadały mu na jedno oko. Wszedł do pokoju, ale zatrzymał się z dala od Mikaeli.

Widziała niepewność w jego oczach; nie miał pojęcia, jak się mają sprawy między nimi. I przecież nie mogło być inaczej, teraz kiedy poznał jej tajemnicę. Mikaelę ogarnął wstyd. Tak bardzo go zraniła...

- Witaj, Liamie. - Chciała powiedzieć coś jeszcze, lecz nie wiedziała, od czego zacząć. Nie wiedziała nawet, czy w ogóle jest jakiś punkt wyjścia prowadzący tam, gdzie chcieli dojść.

Patrzył na nią bez uśmiechu.

- Rosa mówi, że przypomniałaś sobie wiele rzeczy.

Puściła parapet i kuśtykając, poszła w jego kierunku. Prawą, częściowo bezwładną rękę przyciskała do żołądka, który nagle zaczął ją boleć.

- Tak. Ciągle jeszcze są jakieś białe plamy, jednak dużo wspomnień już do mnie wróciło.

- Wspaniale - rzekł Liam bez entuzjazmu. Mówił matowym, bezbarwnym głosem, zupełnie obcym, niepodobnym do swojego zwykłego tonu.

Mikaela spojrzała na niego, dostrzegła siateczkę zmarszczek wokół oczu. To były świeże zmarszczki, efekt zamartwiania się jej wypadkiem.

„Kocham cię, Liamie”. Te słowa pragnął usłyszeć. Mogłaby to powiedzieć, nawet się nie zmuszając, nawet byłaby szczerą. Przecież go kocha, zawsze go kochała. Ale to rozwodnione uczucie, bliższe przyjaźni, świadomości, że jest jej z nim miło, że w jego towarzystwie czuje się swobodnie. Nie była to namiętna miłość.

Gdybyż Julian był tylko jej pierwszą miłością! Wtedy spokojnie mogłaby zakochać się w Liamie. Mało kto spędza całe życie ze swoją pierwszą miłością.

Niestety, Julian nie tylko był jej pierwszą miłością. Zawsze twierdziła, że uczucie, którym

darzyła Juliana, to miłość. Teraz, stojąc twarzą w twarz z mężem, zdała sobie sprawę z tego, czym stało się naprawdę: to bynajmniej nie miłość, to była obsesja.

Pierwsza miłość była jak słodka piosenka, rozczulała, wprowadzała w nostalgiczny nastrój. Obsesja to coś zupełnie innego; to niezrozumiałe, tajemnicze pragnienie, które nigdy nie przekształca się w coś pięknego. Od pierwszej miłości pewnego dnia można się uwolnić. Natomiast obsesja chwyta cię za gardło i prześladowa aż do śmierci.

- Nie chcę ci sprawić przykrości, Liamie - powiedziała łagodnie.

Uśmiechnął się. To był smutny, zmęczony uśmiech, wytarty jak stara peleryna.

- Nie wiem, jak z tobą rozmawiać, Mike. Czuję się... jakbym stąpał po głębokiej wodzie.

- Liamie...

- Pozwól mi skończyć. - Liam podniósł do góry rękę. - Muszę powiedzieć kilka rzeczy. Mogłaś być ze mną bardziej szczerą. Może gdybyś była, mielibyśmy jakąś szansę.

Odwróciła się od niego i kuśtykając, poszła w stronę łóżka. Położyła się i naciągnęła kołdrę pod samą szyję, jakby cienka warstwa bawełny i akrylu mogła ją osłonić przed bolesnymi ciosami. Raniły ją jego słowa.

- Wiem - przyznała.

W zielonych oczach Liama błysnęły iskierki złości, błysnęły i natychmiast zgasły. Ich miejsce zajął rozdzierający serce wyraz rezygnacji.

- Czy ty nie zdajesz sobie sprawy z tego, co ja czułem?... Kochałem cię przez te wszystkie lata, wiedząc, że tobie to nie wystarczy, i pragnąc, najbardziej na świecie pragnąc, żebyś ty kochała mnie tak, jak ja kochałem cię. - Liam ciężko westchnął. - Kocham cię, Mike. Kocham cię od chwili, gdy po raz pierwszy cię zobaczyłem...

- Postąpiłam tak, ponieważ cię znałam - wyjaśniała. - Wiedziałam, co czujesz, wzrastając w cieniu Iana. Nie chciałam, żebyś ciągle zastanawiał się, jak wypadasz w porównaniu z Julianem. Myślałam... że jeśli nie będziesz wiedział, kim był mój pierwszy mąż, łatwiej zapomnisz, że już wcześniej byłam mężatką. To dotyczyło także Jacey. Uważałam, że Julian jest... zbyt wielką figurą, żeby dziecko mogło zapomnieć, a ona tak bardzo potrzebowała ciebie jako swojego ojca.

- Wszystko rozumiem. Mike. - Jej imię wypowiedział cichutko. Zdawało się, że to nie słowo, lecz westchnienie. - Chcę jedynie powiedzieć: żadnych więcej kłamstw. Tylko o to cię proszę. Kiedy ty spałaś, ja się obudziłem. Wcześniej potrafiłem żyć złudzeniami, wierzyłem, że pewnego dnia wszystko się zmieni. Wmawiałem sobie, że potrafię kochać za nas dwoje, ale nie potrafiłem, prawda? - Pogłaskał ją po policzku tak czule, że o mało się nie rozplakała. - Może miałaś rację, ukrywając przede mną przeszłość. Kiedy nie wiedziałem, mogłem udawać, że pewnych drobnych rzeczy nie widzę. Pozwoliłem ci zachować twoje tajemnice, milczenie i twój smutek. Wyobrażasz sobie, jak teraz odbierałbym twoje ciche dni? Ciągle bym się zastanawiał, czy to o nim myślisz.

Mikaela czuła, jak pęka jej serce, ból stawał się nie do wytrzymania.

To ona zasiała ziarna tego bólu, a potem długie lata podlewała je, nawoziła i pielęgnowała swoją obsesję.

Liam pochylił się nad nią, ujął jej twarz swoimi silnymi, pewnymi dłońmi i bardzo wolno pocałował ją w usta. W tym czułym dotknięciu warg zawarł i ból zranionego serca, i rozpacz, i piękne uczucie wielkiej, trwałej miłości.

Mikaela ciągle jeszcze próbowała uspokoić serce i odzyskać oddech, kiedy Liam odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Była trzecia. Za godzinę przyjdą dzieci. Mikaela leżała w łóżku i bezmyślnie patrzyła w ekran telewizora umieszczonego w rogu, pod sufitem. Szedł piękny czarno-biały film *Czyś nie wspaniale jest życie*.

Prawie się kończył. George Bailey, to znaczy Jimmy Steward, właśnie uświadomił sobie, jaki jest świat bez niego i że zmieniło się wszystko, czego kiedykolwiek pragnął, na co czekał. Teraz wdzierał się do tego starego domu pełnego przeciągów, złamał poręcz...

Mikaela, jak zwykle, zalała się łzami, lecz tym razem nie płakała z żalu nad George'em

Baileym, płakała nad sobą. Gdy mieszkańcy miasta zaczęli przychodzić, przynosząc pieniądze, by pomóc spłacić pożyczkę, instynktownie odwróciła się, szukając Liama, by mu powiedzieć, że właśnie idzie jego ulubiony fragment filmu.

Ale Liama nie było, nie było też choinki w rogu ani dzieci potrząsających paczuszkami pod drzewkiem i jęczących, że już milion razy oglądali ten film.

Odrzuciła kołdrę, wstała i podeszła do szafy. Pod rzędem pustych wieszaków samotnie stała jedna mała walizka z brązowej skóry. Pochyliła się i podniosła ją lewą ręką - prawa nadal była zbyt słaba, żeby mogła nią cokolwiek podnieść. Zniosła walizkę do łóżka i położyła na materacu. Otworzyła małe mosiężne zamki, wieko odskoczyło.

Przesunęła dłońmi po ubraniach. To z pewnością robota Liama, takie niemal artystyczne spakowanie jej ulubionych rzeczy. Czarna szeroka spódnica, biały golf i uzupełniająca strój gobelinowa kamizelka. Srebrny pasek, który zawsze nosiła do tej spódnicy. Para czarnych butów do konnej jazdy. Staniczek i majteczki. Pamiętała także o jej ulubionych kolczykach. Złote koła z wiszącymi w środku cherubinkami. I kosmetyki, nawet szczotka do włosów i perfumy.

Zastanawiała się, jak on musiał się czuć, stojąc w jej przestronnej garderobie i wybierając ubrania do zapakowania w walizce, która być może nigdy nie zostanie otwarta...

Mikaela chwyciłaby cokolwiek, byle prędzej wyjść z tej garderoby, i upchnęłaby przypadkowo zgarnięte ciuchy w papierowej torbie.

Ale nie Liam. Bez względu na to, jak wielki sprawiało mu to ból, stał tam, zastanawiał się, wybierał, przeglądał. W pewnej chwili Mike pomyślała, że gdyby przyjrzała się uważnie, dostrzegłaby małe szare plamki, ślady jego łez, na białym golfie.

Zdjęła z siebie liche szpitalny szlafrok i rzuciła go na profilowane różowe krzesło. Z trudem zaczęła się ubierać. Prawa ręka okazała się bezużyteczna, ale Mike zacięła się: ciągnęła, upychała, zapinała, aż była gotowa.

Potem poszła do łazienki, zmoczyła włosy i zczesła je do tyłu. Nie potrafiła nałożyć makeupu lewą ręką, więc tylko poszczypała policzki, żeby się trochę zaróżowiły.

Wyszła z pokoju i powędrowała korytarzem, nie mając pojęcia, dokąd idzie. Kiedy znalazła się w szpitalnej kaplicy, uświadomiła sobie, że od początku tu właśnie zmierzała.

Kłęcząc przed ołtarzem, wpatrywała się w mosiężny krzyż. Potem zamknęła oczy i wyobraziła sobie ołtarz w kościele Świętego Michała.

- Boże, błagam, pomóż mi. Wskaż mi drogę.

Początkowo była tylko ciemność. Potem pojawił się mały, żółty promyk słonecznego światła. Słyszała dochodzące gdzieś z daleka głosy: cienki głosik chichoczącego dziecka i czuły głos mówiącego do niej mężczyzny.

Widziała się na pogrzebie, stała z tyłu, z dala od grupy żałobników, zgromadzonych przy grobie. To pogrzeb Iana. W mroźnym powietrzu brzmiały smutne dźwięki kobzy. Liam odwrócił się i zobaczył ją. Prawie go nie znała, a jednak ruszyła w jego stronę. Wzięła go pod rękę i odprowadziła do samochodu. Nie odzywali się do siebie ani słowem. Liam wszedł do limuzyny, a ona patrzyła, jak odjeżdża...

Obraz zamazał się, znowu wyostrzył, wreszcie zniknął. Odezwały się wspomnienia, pojawiały się bez ładu i składu, z różnych okresów, różnych miejsc, po prostu przypadkowe chwile z życia. Ona i Liam tańczą na ubiegłorocznym festynie... ona zmywa, on wyciera naczynia... wiezie ją do sklepu z paszą tą czerwoną ciężarówką, którą nazywali kupą złomu.

Pamiętała ślub z Liamem, ale teraz po raz pierwszy go czuła.

Bała się otworzyć oczy.

- Jeszcze - błagała. - Chcę zobaczyć jeszcze więcej...

Msza o północy. Ubiegły rok. Siedzieli w pierwszej ławce, cała czwórka, odświętnie ubrani. Bret wciąż miał mokre włosy i całą mszę wycierał kropelki wody z policzków. Uśmiechnęła się na to wspomnienie. Wtedy, w wigilię Bożego Narodzenia, była awantura o to, żeby się wykapał. Chłopiec odkładał prysznic na ostatnią chwilę i w końcu pojechał do kościoła z mokrymi włosami.

Wyraźnie widziała ich czwórkę, byli jak skręcone razem włókna liny, wspierali się

nawzajem, pomagali sobie, stanowili jedność.

Powoli otworzyła oczy. Przed nią zamajaczył krzyż, sztuczne kwiaty na ołtarzu wyglądały jak plamy wyblakłej farby. Spuściła wzrok, patrzyła na obrączkę na swojej lewej ręce.

- Skrzywdziłam Liama - szepnęła, nie wiedząc, czy mówi do siebie, czy do Boga. Nie mogła znieść myśli, że tak bardzo go skrzywdziła przez te wszystkie lata. Jak wielki ból sprawia mu w tej chwili?

Ponownie zamknęła oczy i opuściła głowę. Nie czekała już na wspomnienia - każde raniło ją do szpiku kości - ale i tak wróciły. Była z Liamem w tym szpitalu, w poczekalni. Breta zabrano do gabinetu chirurgicznego. Lekarze mówili coś o śrubkach i blaszkach i o dłoni, która może już nigdy nie zaciśnie się w pięść.

Byli oddaleni od siebie, Liam stał przy oknie, ona siedziała na krześle przy kanapie. Ich przerażenie sprawiło, że atmosfera w poczekalni stała się gęsta, a ściany i meble wydawały się czarne. Mike gorączkowo poszukiwała sposobu, żeby jakoś podnieść na duchu męża, tego spokojnego, kochającego człowieka, który żądał tak niewiele. Wstała z krzesła i podeszła do niego. Kiedy dotknęła jego ramienia, jeszcze bardziej się skurczył. Odwrócił się do niej i powiedział: „Nie powinienem mu pozwolić”. Objęła go ramionami i przytuliła. „To nie była twoja wina” - odparła. Słyszając te proste słowa, ten najsilniejszy mężczyzna, jakiego знаła, oparł głowę na jej ramieniu i rozplakał się jak dziecko.

Czuła się, jakby przyglądała się tej scenie z bardzo, bardzo daleka, oczyma zupełnie innej kobiety. Z tej perspektywy doskonale wiedziała, co widzi. To miłość. Czysta i szcera.

„Rozumiesz? Teraz wiesz, co to miłość, Mikaelo”.

Usłyszała te słowa tak wyraźnie, jak wyraźnie słyszała bicie kościelnych dzwonów. Otworzyła oczy i rozejrzała się w koło. Była sama.

Usta powoli ułożyły się do uśmiechu. Najświętsza Paniienka w końcu do niej przemówiła, tyle lat się do Niej modliła i Ona wreszcie przemówiła.

Dziwne... Matka Boska mówiła głosem Rosy.

27

Mikaela była z powrotem w swoim pokoju. Spacerowała od ściany do ściany. W pewnym momencie usłyszała pukanie do drzwi.

Zacząła się denerwować. Tak bardzo ich wszystkich skrzywdziła... A jeśli rodzina jej nie wybaczy?...

Odsunęła się od okna i podeszła do łóżka. Prawą ręką mocno chwyciła się barierki. Z podniecenia nawet nie zauważyła, że ręka jest już sprawniejsza i palce lepiej się zginają.

W otwartych drzwiach stała Jacey. Wyglądała na równie zdenerwowaną.

Mikaela pokuśtykała w stronę córki. Wyciągnęła osłabioną prawą rękę i pogłaskała Jacey po policzku.

- Witaj, Jacey.

- Ja... ja bardzo przepraszam, mamu. Nie powinnam była tak krzyknąć.

- Och, kochanie... - Mikaela z trudem przełknęła ślinę. - Nigdy nie przepraszaj za okazywanie swoich uczuć. - Przysunęła się jeszcze bliżej. - Nadal mam pewne luki w pamięci. Nie pamiętam twojego pierwszego dnia w szkole, nie wiem, ile miałaś lat, kiedy wypadł ci pierwszy ząb. Mało nie oszalałam, próbując odnaleźć wspomnienia tych chwil w mojej skołatanej głowie. I nie udało się. Ale pamiętam, że bardzo cię kocham. Kocham cię nad życie. Trudno mi uwierzyć, że mogłam cię tak bardzo skrzywdzić.

W oczach Jacey zalśniły łzy.

- Wiesz, co pamiętam? Naszą ostatnią babską wycieczkę. Pojechaliśmy do teatru Bractwa 45 w Seattle i oglądaliśmy *Przeminęło z wiatrem*. Pamiętam, jak siedziałam w ciemności, trzymając cię za rękę. - Mikaela przerwała i wzięła głęboki oddech. Zdawała sobie sprawę z tego, że robi uniki. Jacey nie to chciała usłyszeć, nie to Mike powinna powiedzieć. - Tego wieczoru zjadliśmy obiad w Caniis, pamiętasz? Bożonarodzeniowe łodzie pływały po Jeziorze Waszyngtona. Wtedy, tak jak dziesiątki razy wcześniej w ciągu ostatnich lat,

próbowałam powiedzieć ci o Julianie.

Jacey nie sprawiała wrażenia przekonanej. Była trochę wystraszona, trochę zła, trochę smutna. Mikaela doskonale знаła swoją córkę. Potrafiła wszystko wyczytać z jej twarzy.

- Więc dlaczego mi nie powiedziałaś? - zapytała Jacey.

Mikaela setki razy przygotowywała sobie odpowiedź na to pytanie. A jednak wciąż nie miała pewności, co należało zrobić. Nawet teraz, po wszystkim, przez co przeszli, nie chciała wyjawić Jacey całej prawdy.

- Od tej pory żadnych kłamstw, mamó - przypomniała Jacey.

- Wiem, *guerida*. Ale nie chcę sprawić ci przykrości. Właśnie dlatego nie mówiłam ci prawdy.

- Powiedz mi wszystko.

- Zbyt mocno kochałam Juliana. Kiedy za niego wyszłam i przeniosłam się do Kalifornii, stałam się kimś innym, cudzoziemką nazywaną Kaylą True, osobą bez przeszłości. Tego zawsze pragnęłam. Twoja *abuela* próbowała mnie przekonać, że on nie jest mężczyzną dla mnie, lecz jej nie słuchałam. Tak bardzo kochałam Juliana... W Hollywood... zagubiłam się. Nie zagubiła się tylko biedna latynoska dziewczyna, którą przecież byłam, chodzi o to, że zatraciłam swoją osobowość. To ja się zagubiłam. Robiłam wiele rzeczy, których dziś się wstydę. - Próbowała się uśmiechnąć. Nie udało się. - A później zaszłam w ciążę. Ty pozwoliłaś mi się odnaleźć. Wiedziałam, czego pragnę dla ciebie, chociaż straciłam rozeznanie, czego pragnę dla samej siebie. Wiedziałam tylko, jakie powinno być życie mojej córki. A Julian... no cóż, on nie był gotowy zostać ojcem.

- Nie chciał mnie. - Z oczu Jacey kapąły łzy. Mikaela znowu wzięta głęboki oddech. Teraz mogła jedynie brnąć dalej.

- Nie. - Ujęła dłonie Jacey w swoje ręce i mocno je ścisnęła. - Ale ja chciałam cię mieć i zapewnić ci dzieciństwo, jakiego nigdy nie miałam. Więc odeszłam od Juliana.

- Ale go kochałaś.

- Tak.

Po policzku Jacey spłynęła łza. Mikaela siłą woli powstrzymała się, żeby jej nie otrzeć. Niektóre łzy miały być wylane, niektóre musiały zostać wylane. To jedna z prawd, których Mikaela dotychczas nie rozumiała.

- A wiesz, co ja pamiętam? - odezwała się Jacey cichym, drżącym głosem. - Kiedy byłam mała, często pytałam cię o mojego tatę. Wtedy zaczynałaś płakać. Płakałaś, aż w końcu przestałam pytać. To przeze mnie, to ja zniszczyłam twoje życie, prawda?

- Nie. Nigdy tak nie mów. - Mikaela tak mocno ścisnęła rękę córki, że poczuła chrzęst cienkich kosteczek. - To ja sama je zniszczyłam... na pewien czas. Potem poznałam Liama... i znowu się odnalazłam. Wiem, nie byłam szczerą ani wobec ciebie, ani wobec Liama i teraz muszę znaleźć jakiś sposób, żeby to naprawić. Razem tworzymy rodzinę i o tym przede wszystkim musimy pamiętać. Poradzimy sobie. Razem przebrniemy przez ten trudny okres.

- Czy wrócisz do domu?

Dom. To słowo przywołało tak klarowne wspomnienia, że Mikaela mogłaby je zasuszyć i oprawić w ramki.

Liam siedzi przy fortepianie. Ma na sobie obcięte z długich krótkie spodnie i ten zabawny podkoszulek, który dostał na ubiegłorocznym zjeździe lekarzy. Na podkoszulkę jest napis: VIAGRA UTRZYMA CIĘ W FORMIE. Na hebanowej lśniacej tafli fortepianu stoją dwa kieliszki. Liam gra jej ulubioną piosenkę: A Time for Us.

Ona podchodzi do niego z tyłu, dotyka go w ramię i mówi: „No, pianisto, zabierz żonę do łóżka albo stracisz okazję”.

On się odwraca, uśmiecha do niej, a w jego oczach jest właśnie to: miłość, zaproszenie, pożądanie, wszystko, co widziała tak wiele razy i zawsze - aż do tej pory - uważała za rzecz oczywistą, samą przez się zrozumiałą.

Mikaela roześmiała się. Zdawała sobie sprawę z tego, że to wielce niestosowna reakcja na pytanie Jacey, ale nie mogła się powstrzymać. Czowała taką radość, że aż kręciło się jej w

głowie. Wcale nie byłaby zdziwiona, gdyby spojrzała w dół i stwierdziła, że unosi się w powietrzu.

- Chodź do mnie - wyciągnęła do córki ramiona. Mocno przytuliła Jacey. Boże, jakie to cudowne uczucie!

- Och, mam... tak bardzo za tobą tęskniłam. Bałam się...

I wtedy klapka się otworzyła. Zapach włosów córki, wilgoć jej łez spowodowały, że Mikaela sobie przypomniała. Śmiała się i płakała jednocześnie.

- Ojej... mam, mam! Pamiętam twój pierwszy dzień w szkole. Miałaś na sobie czarny sztruksowy sweter i niosłaś pudełko ze śniadaniem z Fraggles Rock. Nie chciałaś sama wsiąść do autobusu, więc wsiadłam z tobą. Byłam jedyną matką w szkolnym autobusie.

- Kocham cię, mam. - Jacey odsunęła się nieco, podniosła głowę do góry i uśmiechnęła się do matki.

- Och, Jacey, ja też cię kocham. I bardzo przepraszam za wszy...

Drzwi otworzyły się gwałtownie. W wejściu stali Rosa i Bret.

- Bret uważał, że Jacey miała już dość czasu dla siebie. - Rosa wzruszyła ramionami.

Mikaela pocałowała Jacey w mokry policzek i odsunęła się od niej.

Bret tkwił bez ruchu, ręce sztywno spuszczone wzdłuż ciała, małe dłonie zaciśnięte w pięści. Wargi mu drżały, w oczach miał strach. Niepokój i niepewność poznał dopiero niedawno. Chłopczyk, którego chowała, nie znał strachu... to nie było to niezdecydowane, niepewne siebie dziecko.

Mikaela próbowała się uśmiechnąć, lecz ten wymuszony uśmiech jeszcze bardziej go przeraził. To nie był jej normalny, znany mu uśmiech.

Rozpłakała się, nie zdołała powstrzymać łez. Przykłękała przed Bretem i wyciągnęła rękę.

- Jak się ma mój najukochańszy w świecie chłopczyk?

- Mamusiu! - krzyknął i rzucił się w jej ramiona z takim impetem, że przewróciła się do tyłu, pociągając go za sobą.

Leżała na obrzydliwym linoleum, tuląc do siebie syna, aż oboje nie mogli złapać oddechu.

- Kocham cię, Bretster - szepnęła wprost w małe, różowe uszko. Chłopiec ukrył twarz na jej ramieniu. Bardziej czuła, niż słyszała, kiedy łamiącym się głosem szepnęła w odpowiedzi:

- Ja też cię kocham, mamusiu.

Po chwili odsunęli się od siebie i niezdarnie próbowali podnieść na nogi. Prawa, niezupełnie sprawna ręka drżała tak bardzo, że uniemożliwiła Mikaeli powstanie, pozostała więc na kolanach, nie wypuszczając rączki Breta ze swojej dłoni.

Ponad głową syna spojrzała na Rose, która teraz również zalewała się łzami.

- Szkoda, że nie możemy sprzedać całej tej wody Kalifornijczykom - zażartowała Mikaela, pociągając nosem.

Bret zachichotał. Tak właśnie zawsze mówił tata, gdy Mikaela płakała na jakimś idiotycznym filmie.

- No, maluchu, co nowego u ciebie? - uśmiechnęła się do syna.

- Sally May Randle ma na mnie oko. Ona nie pachnie przyjemnie, ale jest całkiem ładna.

Mikaela roześmiała się. Była odurzona trywialnością wyznania, wróciła jej nadzieja. Może z czasem uda się im wszystkim odnaleźć drogę w tym ciemnym borze i wyjść na główną drogę.

- Gdzie jest tata? - zapytała Breta. Bret przygryzł wargi i nie odpowiedział.

- Nie przyszedł z nami - pospieszyła z wyjaśnieniem Rosa, spoglądając na Mikaelę.

- Został w domu - dodał Bret. - Jest smutny, chyba dlatego, że go nie pamiętałaś.

Mikaela chwyciła się barierki przy łóżku i dźwignęła na nogi. Spojrzała na Rose.

- Mam, zabierz dzieci do domu. Ja pozalatiwam tu sprawy i też przyjadę.

- Lekarze mówią... - Rosa zmarszczyła brwi.

- Nieważne. - Chciała dodać coś jeszcze, lecz zmieniła zdanie. - Mam, proszę, zabierz ich do domu. Ja zaraz tam będę.

- Co masz zamiar zrobić, Mikita? - Rosa z wysiłkiem przełknęła ślinę.

- Mam, proszę.

Rosa ciężko westchnęła.

- Si. Ale trzymaj się z dala od głównego wejścia, Mikaelo. Dziennikarze. Oni tam na ciebie czatują. Jacey przysunęła się do Mikaeli.

- Nie chcę cię zostawiać, mamu.

- Już nie ma się czego bać, kochanie. Zaraz będę w domu.

- Obiecujesz?

- Obiecuję - uśmiechnęła się Mikaela.

* * *

Rosa wyszła, zabierając z sobą dzieci. Po ich wyjściu Mikaela uznała, że teraz nie warto zawracać sobie głowy wypisem ze szpitala. Jutro będzie dość czasu na załatwienie wszystkich formalności. Zadzwoiła po taksówkę, potem pieczołowicie spakowała wszystkie zdjęcia z podręcznych stolików i parapetu. W ostatniej chwili złożyła szpitalny szlafrok i z czułością ułożyła go na osobistych rzeczach w walizce. Chciała, by już zawsze przypominał jej o tych chwilach. Pragnęła zapamiętać absolutnie wszystko. To śpiączka uratowała jej życie. Modliła się tylko o to, żeby nie okazało się, iż obudziła się za późno. Jedno wiedziała na pewno. Okazja trafia się i mija, jeśli się ją przegapi, można spędzić resztę życia samotnie, czekając na szansę, która już się nie powtórzy.

Była nieprzytomna przez ponad miesiąc. W rzeczywistości jednak przespała ostatnich piętnaście lat swojego życia.

Ktoś zapukał do drzwi.

Zastygła w bezruchu, serce waliło jej w piersi. Powiodła wzrokiem po spakowanej walizce i pustych stolikach. Proszę, niech to nie będzie pielęgniarka...

Julian wkroczył do środka pewnym krokiem, zachowując się tak, jakby był u siebie.

- Zaczęłam kichać dziś rano. Chyba uczuliłem się na to miasto - wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Szkoda, że nie widziałas zabawy na Main Street. Dorośli faceci maszerują poprzebierani środkiem miasta.

Dni Lodu. Zupełnie zapomniała.

W normalnej sytuacji Liam byłby przebrany za Wielką Stopę. Miałby na sobie jeden z kostiumów zrobionych przez Mikaelę. Co roku marudził coś o godności własnej i co roku brał udział w akcji charytatywnej.

- Kayla?

Utykając, podeszła do Juliana. Gdy znalazła się dość blisko, by móc dotknąć go ręką, zatrzymała się. I wreszcie go zobaczyła - człowieka, a nie mit. Nadal był niezmiernie przystojny, nadal wyglądał jak cudna gwiazda na granatowym niebie, zbyt małym, by mogła roztoczyć cały swój blask. Ale kiedy Mikaela wejrzała głębiej, zobaczyła to, co powinna widzieć od początku: to, co najpierw ją urzekło, a potem zniszczyło. Nie musiała patrzeć na obu, Juliana i Liama razem, żeby dostrzec różnicę między folią aluminiową a czystym srebrem.

- Och, Julianie - wymówiła jego imię łagodnie i czule, ale i z wielkim żalem.

- Nie podoba mi się sposób, w jaki na mnie patrzysz.

- Pewnie, że ci się nie podoba. Ty wolisz, żeby cię obserwowano, a nie widziano. - Wypowiedziawszy te słowa, uświadomiła sobie, że to była wielka prawda. Julian pozornie wiodł cudowne życie, pełne złudzeń i oszukańczych sztuczek. Tylko jedna osoba wiedziała, co się naprawdę kryje za pozorami.

- Kayla, dużo ostatnio myślałem. Zdałem sobie sprawę z tego, jak bardzo mi cię brakuje.

- Och, Julianie - westchnęła znowu. To smutne, że tyle czasu straciła, czekając na ten tylko pozornie cudowny, jak fałszywy brylant, moment. Jak gdyby mogli razem po prostu ruszyć ku zachodowi słońca. Zapomniała, że już raz podążali w tamtym kierunku. Dotarli do miejsca tak oślepiającego i gorącego, że wszystko, czym byli, spłonęło do cna, został tylko popiół.

Rzucił jej uśmiech. Znała ten uśmiech doskonale, widziała go wiele razy. W przeszłości za każdym razem przechodziły ją dreszcze, serce zaczynało szybciej bić.

- Ja też wiem, że za mną tęskniłeś. Jej poważne spojrzenie sprawiło, że Julian przestał się

uśmiechać.

- Co? - zapytał, nietypowym dla niego, niepewnym głosem.

Jak powiedzieć drugiemu człowiekowi, że się w końcu dorosło, że teraz już się wie, iż prawdziwa miłość to nie namiętny seks pod gołym niebem rozświetlanym sztucznymi ogniami, ale zwykły niedzielny poranek, kiedy mąż ci przynosi szklankę wody, dwie aspiryny i elektryczną poduszkę na bolący krzyż?

- Miałam sen. Wielokrotnie śniłam ten sam sen - zaczęła, patrząc mu prosto w oczy. - Niedługo po moim odejściu od ciebie przyśnił mi się po raz pierwszy. W ciągu następnych lat trochę się zmienił, lecz istota zawsze była ta sama. W tym śnie jestem starą kobietą z rozpuszczonymi, zupełnie siwymi włosami. Moje dzieci są już dorosłe, założyły rodziny, mają swoje dzieci. Liam odszedł; zmarł wiele lat temu. Wyobrażam sobie, że jestem na pięknej piaszczystej plaży. Za mną stoi mały biały domek. Wiem, że to mój dom, mieszkam w nim sama. Siedzę na leżaku. Siedzę na nim codziennie, od świtu do nocy. Pewnego dnia podnoszę wzrok i widzę, że idzie ku mnie jakiś stary człowiek. To jesteś ty, Julianie. Wtedy uświadamiam sobie, że pięćdziesiąt lat na ciebie czekałam. Mówisz mi, że to dla mnie wszystko rzuciłeś. Ale ty już nie jesteś tym Julianem True. Jesteś innym człowiekiem, zwykłym, przeciętnym człowiekiem, którego nazwiska nigdy mi nie dałeś.

- Mel - powiedział cicho. - Naprawdę nazywam się Melvin Atwood Coddington Trzeci. - Próbował się uśmiechnąć, jakby coś w tej sytuacji mogło być zabawne. - Nikt nie zgadłby, że Gibson tak dobrze sobie z tym poradzi.

- Powinieneś zostać Melvinem - delikatnie dotknęła jego twarzy.

- Co ty mówisz?

- Ubiegłej nocy znowu śnił mi się ten sen. Tylko tym razem już nie byłam na plaży sama. Siedziałam obok Liama, razem obserwowaliśmy, jak nasze wnuki bawią się w wodzie. - Spojrzała mu w oczy. - Kocham go bardziej, niż możesz to sobie wyobrazić, Julianie. I mam nadzieję, że jeszcze nie jest za późno, żeby mu to powiedzieć.

- Wiem, że on cię kocha, Kaylo.

Ogarnął ją bolesny smutek, kiedy pomyślała o tym, co mogło być, o tym, co straciła, czekając na coś, co nie mogło się zdarzyć.

- Nie ma Kayli, Julianie. Nigdy jej nie było. Tak jak ty nigdy nie byłeś Melvinem.

- To brzmi jak pożegnanie - powiedział ochryplym głosem.

- Och, Julianie. Pożegnaliśmy się dawno, bardzo dawno temu. Teraz tylko szykuję się do odejścia na dobre. - Poglaskała go po policzku, na chwilę zatrzymała na nim palce, potem cofnęła rękę i skierowała się ku drzwiom.

- Czekaj! Nie możesz tak po prostu stąd wyjść. Ludzie z prasy są na zewnątrz. Pokażę się im, wydam oświadczenie, potem spotkam się z tobą przy tylnym wyjściu i zawiozę cię... - Przerwał, a potem cicho dodał: - Do domu.

- Co im powiesz? - odwróciła się do niego. Wyglądał na zasmuconego.

- Powiem, że bajka się skończyła. Śpiąca Królowna znalazła swojego księcia. I że mogą... towarzyszyć ci przez jakiś czas.

- I napisać coś o moim wspaniałym życiu - dodała z uśmiechem. - Po dziesięciu minutach dojdą do wniosku, że zwyczajne życie żony małomiasteczkowego lekarza to nie jest temat na pierwszą stronę.

- Zaraz podjadę limuzyną. Spotkamy się na tyłach szpitala - rzucił jej ostatnie, smutne spojrzenie, odwrócił się i wyszedł.

Mikaela sięgnęła po walizkę, ale zdecydowała zostawić ją w szafie. Była dla niej zbyt ciężka i tylko wzbudzałyby podejrzenia. Mike podeszła do telefonu, wykręciła numer i odwołała taksówkę. O niczym nie myśląc, opuściła pokój. Ze spuszczoną głową, kulejąc, pokonywała szpitalny korytarz, bokiem ocierając się o ścianę.

Kiedy otworzyła drzwi, od razu uderzył ją zapach świerkowych gałązek, zwiastujący zbliżające się Boże Narodzenie. Zielone igielki jodły i świeży śnieg. Spojrzawszy na ciemne, purpurowe niebo z kilkoma pierwszymi gwiazdami, poczuła się maleńka. Uśmiechnęła się do siebie: właśnie tego spodziewała się po niebie. Przez całe życie wychodziła nocą na dwór,

lubiała postać pod granatowym, aksamitnym sklepieniem. To była jej świątynia, prawdziwy dom boży, który zawsze przypominał jej, gdzie jest jej miejsce i czym jest na tym świecie.

Lubiła czuć się mała. Przecież to chęć bycia kimś wielkim zaprowadziła ją do Juliana.

Podjechała limuzyna, otworzyły się drzwi samochodu, Mikaela wsiadła.

28

Limuzyna przejeżdżała przez miasto z przepisową szybkością dwudziestu kilometrów na godzinę. Na ulice wyległo mnóstwo ludzi, poruszali się w szarych obłokach wydychanej z ust pary, pod transparentami z napisem: WITAJCIE NA DNIACH LODU.

Julian nie mógł oderwać oczu od Mikaeli, chociaż ona rzadko na niego spoglądała. Poprowadziła kierowcę do wjazdu na boczną drogę, gdzie było tysiąc razy więcej drzew niż domów. Skręcili na podjazd, przejechali pod łukiem informującym, że są na terenie RANCZA WODOSPADU ANIOŁA.

Po obu stronach drogi rozciągały się pokryte śniegiem pastwiska, ogrodzone płotem z poziomo ułożonych żerdzi. Pod ogromnym, starym drzewem stało dwanaście koni, zadami odwróconych do wiatru.

Mikaela dotknęła ciemnej szyby w oknie bocznych drzwi.

- Cześć, malutkie - szepnęła do koni. - Tęskniłam za wami.

Wreszcie widać było dom, piękną budowlę z drewnianych bali na tle postrzępionych, czarnych szczytów górskich. Z okapu zwisały białe światelka w kształcie sopli lodu, co sprawiało, że budynek wyglądał jak zamek księżniczki.

Samochód podjechał pod główne wejście i stanął. Kierowca - Julian nigdy nie pamiętał jego imienia - wysiadł, obiegł samochód i otworzył drzwi.

- Dziękuję - powiedziała Mikaela do młodego człowieka.

W tym momencie Julian uświadomił sobie, że przez te wszystkie tygodnie, kiedy jeździli razem, on ani razu nie podziękował kierowcy. Wysiadł z samochodu i stanął obok Kayli. Drżała z zimna, Julian otoczył ją ramieniem.

- Jest piękny, prawda? - zagadnęła, myśląc o domu. Spojrzał na nią, patrzył tylko na nią.

- Nic piękniejszego w życiu nie widziałem.

- Chodź ze mną, Julianie - zwróciła się do niego Kayla. - Poznasz moją córkę.

Zobaczył smutek w jej oczach i pojął, że ona rozumie to, co jeszcze nie zostało powiedziane. Nadal, jak zresztą zawsze, spodziewała się po nim wszystkiego, co najlepsze. Teraz odkrył, że właśnie tę cechę kochał w niej najbardziej. Kayla była jedyną osobą na całym świecie, która „pragnęła, by stał się człowiekiem, jakim mógłby być.

Nie chciał znowu sprawić jej przykrości, nie chciał przypominać jej bolesnej prawdy.

- Wiesz, że nie mogę - rzekł.

- Och, Julianie... - wymówiła jego imię z westchnieniem rozczarowania, dźwiękiem obojgu doskonale znanym i bardziej intymnym niż jakikolwiek z ich pocałunków.

- Jeśli wejdziesz przez te drzwi, to będzie kłamstwo. Oboje o tym wiemy. Nie chcę skrzywdzić Jacey, tak jak skrzywdziłem ciebie.

Patrzyła na niego i próbowała się uśmiechnąć. Julian widział, że ona rozumie, i poczuł ból w sercu.

- Powiedz, że zawsze będziesz mnie kochała - szepnęła.

Dotknęła jego policzka. Na wieczornym mrozie poczuł, że jej ręka jest gorąca jak rozpalone żelazo, pali mu ciało.

- Zawsze będę kochała wspomnienia o nas. Czuję i słyszę, że ocean dzieli jego prośbę od jej odpowiedzi. Nie wątpił, że teraz utraci ją na zawsze. Kiedy już jego fani poumierają, a kobiety przestaną za nim biegać, będzie siedział w obitym skórą fotelu w swoim pustym domu i marzył o tej kobiecie, która kiedyś prawdziwie go kochała.

Ujął jej lewą dłoń. W bladym świetle reflektorów auta błysnęła prosta złota obrączka.

- Czy nadal masz ten pierścionek, który dałem ci z okazji ślubu?

- Oczywiście.

- Przekaż go Jacey. Powiedz jej...
- Co, Julianie?
- Powiedz jej, że gdzieś na świecie jest człowiek, który żałuje, że nie był inny.
- Bądź inny, Julianie. Wejdz ze mną do środka. Znasz Liama, na pewno nie sprawi ci przykrości.
- Nie chodzi o Liama. Szkoda... - Nie zdołał dokończyć zdania.
- Czego szkoda?
Gdzieś w oddali pod podmuchem wiatru trzasnęła gałązka, Julian pomyślał, że to pęka jego kruche serce.
- Żałuję, że nie potrafię kochać cię tak jak on. Nie oczekiwał reakcji, nie spodziewał się, że skomentuje jego wyznanie. Przyciągnął ją do siebie, wziął w ramiona i po raz ostatni pocałował.
- Zegnaj... Mikaelo.
Odwróciła się od niego i kulejąc, poszła przez śnieg. Zatrzymała się tylko raz, odwróciła i popatrzyła na niego.
- Żegnaj, Julianie True.
Powiedziała to tak cicho, że później zastanawiał się, czy przypadkiem tego sobie nie ubzdurał.

W środku pachniało choinką i szarlotką, aromatycznymi świecami i świeżo zapalonym kominkiem. Mikaela zatrzymała się w drzwiach, wdychała witający ją zapach domu. Widziała matkę krzątającą się w kuchni. Rosa była sama, wycierała ceramiczne blaty szafek. Nagle podniosła głowę. Mikaela położyła palec na ustach i cichutko ruszyła dalej. Mijając duży pokój, zobaczyła Liama siedzącego przy fortepianie. Na podłodze, tuż przy jego nogach, niechlujnie rzucony leżał ubiegłoroczny strój Wielkiej Stopy.

- Gdzie są dzieci? - szeptem zapytała matkę. Rosa wskazała ręką w górę.
- Sprzątają swoje pokoje na twój powrót.
Mikaela skinęła głową. Mogła sobie wyobrazić, jak wyglądały ich pokoje. Bret bez wątpienia miał na biurku przynajmniej tysiąc papierków po gumie do żucia. Najpewniej udawało mu się przekonać Rose, żeby mu kupowała twinkiesy i ding dongi.
- Zatrzymaj ich na górze jeszcze kilka minut, dobrze? - poprosiła matkę.
- Si - zgodziła się Rosa, natychmiast się odwracając. Mikaela delikatnie dotknęła jej ramienia.
- *Gracias*, mamó. Dziękuję ci za wszystko.
- *De nada, mi hija* - uśmiechnęła się Rosa. Wyszła z kuchni i pospiesznie zaczęła wchodzić na górę.

Mikaela wzięła głęboki oddech. Poczula się zakłopotana, widząc Liama przy fortepianie z rękoma wspartymi na kolanach. Tęskniła za muzyką. Dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, jak ważna stała się dla niej muzyka. Każdej ważnej chwili w jej życiu, każdemu wspomnieniu towarzyszył jakiś utwór muzyczny z całego serca grany przez jej męża.

Na paluszkach weszła do dużego pokoju. W rogu stała choinka, tysiące migoczących światełek odbijało się w ciemnej szybie okna. To pierwsze święta, kiedy nie ona wybierała drzewko i nie dyrygowała przystrajaniem choinki. Widząc ten oczywisty dowód, że jej rodzina... jakoś żyła dalej, poczuła smutek w sercu.

Znalazłszy się tuż za plecami Liama, zatrzymała się i zamknęła oczy. Błagam, Boże, spraw, żeby nie było za późno.

- Liam?
Odwrócił się tak szybko, że kolanami uderzył w fortepian. Gdy ją zobaczył, zmarszczył czoło i nerwowo przejechał ręką po zbyt długich włosach.
- Powinnaś zostać w szpitalu - rzekł speszony. Czuł się niepewnie.
- Powiedz, że jeszcze nie jest za późno.
- O co ci chodzi? - zapytał zdezorientowany.

Usiadła obok niego i położyła rękę na jego przedramieniu. Musiała go dotknąć, a jednak nie miała odwagi na bardziej intymny gest.

- Żałuję, że nie byłam mądrzejsza. Wiem, że istnieją słowa, których teraz chciałabym użyć, ale nie potrafię ich znaleźć. Dwanaście lat kochałeś kobietę, jaką pragnęłam być. Czasami patrzyłam na ciebie, szczególnie wtedy, kiedy bawiłeś się z dziećmi, i czułam ból w sercu... Chciałam być żoną, na jaką zasługujesz. Tylko że... nie potrafiłam.

Pogładził ją po włosach. Wiedziała, że Liam okazuje czułość tak samo naturalnie, jak oddycha.

- Wiem, Mike, ale...

- Kocham cię - wyrzuciła szybko z siebie. Skrzywiła się, słysząc swój piskliwy, zabarwiony nutką rozpaczony głos.

- Mike, proszę... - Liam cofnął rękę.

- Kocham cię - powtórzyła cieplejszym tonem. - Chcę się przy tobie zestarzeć, Liamie Campbell. Chcę siedzieć na naszym ganku, sącząc lemoniadę i przyglądając się, jak nasze dzieci dorastają, zaczynają własne życie i mają swoje dzieci. Chcę przygotowywać świąteczne obiady dla całej naszej rodziny, chcę patrzeć, jak nasze wnuki uczą się chodzić, mówić, i chcę w ramionach utulać je do snu. - Podniosła na niego oczy.

Po raz pierwszy wiedziała, że prawdę widać również w jej oczach, że wzrokiem wyraża wszystkie skrawki, drobinki i kawałeczki zgromadzonej przez lata miłości. Miłość, uczucie szczere i czyste jak woda deszczowa i złożone jak same wspomnienia. Ofiarowała mu całą swoją miłość, temu delikatnemu, godnemu zaufania człowiekowi, który zawsze był przy niej, kiedy go potrzebowała, i którego serce łamała na tysiące sposobów, nie mówiąc tego, co powinna powiedzieć. I nie czując tego, co powinna czuć.

- A co z Julianem? - cicho zapytał Liam. Tym razem imię ukochanego boleśnie odbiło się od kraty jej żeber i upadło ze stukiem. Nawet jedna głoska nie dotarła do czułych ścianek serca.

- On zawsze będzie częścią mnie... ale teraz potrafię go przenieść na właściwe miejsce. On należy do przeszłości. Jest częścią mojej szalonej młodości, życia na wysokich obrotach w nierzeczywistym świecie. - Delikatnie, leciutko pogłaskała go po policzku. Nie miała odwagi zrobić nic więcej. - Moje uczucie do Juliana było prawdziwe, nie mogę zaprzeczyć. Już nigdy nie okłamię ani siebie, ani ciebie, ani dzieci. Kochałam Juliana True. Lecz ta miłość nie przetrwała próby czasu. Gdy się skończyła, ja nie pozwoliłam jej odejść. Zbierałam, składałam kawałeczki tego uczucia, myśląc, nie, nie myśląc, raczej marząc, że jakimś cudem znowu stworzą całość. Tak bardzo starałam się utrzymać te kawałki, że nie spostrzegłam, iż w istocie mam puste ręce. - Mikaela rozplakała się. - Byłam niemądra, Liamie. Musiałam porządnie uderzyć się w głowę, żeby dostrzec prawdę. To ciebie naprawdę kocham i jeśli dasz mi jeszcze jedną szansę, będę cię kochała aż do śmierci. I nigdy, przenigdy nie będziesz w to wątpił.

- Zawsze cię kochałem, Mikaelo - rzekł z prostotą.

- Wiem - szepnęła ze łzami w oczach.

Powoli twarz Liama rozjaśnił uśmiech. Teraz w jego oczach widziała również to piękne uczucie, które rozwijało się podczas wspólnie spędzonych lat. Widziała je wyraźnie, czuła, jak ją ogrzewa.

- Tęskniłem za tobą - powiedział. - Boże, przez dwanaście lat tak bardzo tęskniłem za tobą.

Jak to możliwe, że takie proste słowa są w stanie poruszyć świat z posad? Już nigdy nie zapomni, co jest naprawdę ważne, co się w życiu liczy. Nie zapomni, nawet na jeden dzień, na godzinę, nawet na jedną minutę. Od tej pory będzie ceniła każdą chwilę swojego życia. Znała już bowiem wielką prawdę, której dotychczas nie chciała przyjąć do wiadomości. Prawdziwa miłość nie była szalonym, ognistym uczuciem, które ogarniało serce i duszę człowieka i zmieniało go nie do poznania. Miłość to po prostu bycie tu, z nimi. To kilka osób w dużym pokoju rozwieszających ozdoby na choince. Te wspólnie wykonywane czynności stanowiły o tym, kim są, kim byli, w co wierzyli.

Te zwykłe, codzienne chwile razem jak cegły układały się jedna na drugiej, aż powstały fundamenty tak mocne, że nic nie było w stanie ich zburzyć. Mogły oprzeć się najsilniejszej wichurze, ulewnemu deszczowi... nawet wyblakłym wspomnieniom wielkiej namiętności.

Wszystkiemu. Absolutnie wszystkiemu.

- Zagraj coś.

Dostrzegła jakiś błysk w jego oczach, odniosła wrażenie, że to panika. Ale on zaraz odwrócił się do fortepianu i uniósł ręce nad klawiaturą. Przez chwilę jego palce niepewnie poruszały się ponad klawiszami. Przez głowę Mikaeli przebiegła absurdalna myśl: „On już nie potrafi grać...”

Liam delikatnie uderzył w klawisze. Wybrał ich piosenkę *The Time for Us*. (Ta chwila należy do nas). Słodka, znana melodia wypełniła pokój. Mike wydawało się, że usłyszała ciche westchnienie, jakby westchnienie ulgi. Liam skończył grać i odwrócił się do niej.

- Hej, pianisto - odezwała się gardłowym głosem - zabierz żonę do łóżka.

Liam roześmiał się, wstał od fortepianu i przyciągnął ją do siebie.

- Wiem, wiem - powiedział z uśmiechem - albo stracę okazję.

Tuliła się do niego, pragnęła czuć jego bliskość, nie chciała go puścić nawet na chwilę.

- Już straciłeś okazję, Liamie Campbell. Powinieneś uciec, kiedy leżałam w śpiączce. Teraz jesteś na mnie skazany.

Wspięła się na palce i pocałowała go z namiętnością tłumioną przez piętnaście lat. Odsunęła się i wyszeptwała słowa, które wyrwały ją z mroku.

- Na zawsze.

Podziękowania

Ann Patty i Elisie Wares dziękuję za ich ogromne zaangażowanie, wspaniałą pracę redaktorską i przyjacielski stosunek do mnie i mojej książki. Czułam się zaszczycona, że mogę współpracować z tak doskonałymi redaktorkami. To była dla mnie prawdziwa przyjemność.

Paniom dr Barbarze Snyder i Katherine Stone jeszcze raz pragnę serdecznie podziękować za ogromną pomoc w kwestiach medycznych.

Moim przyjaciółom: Ruth Hargiss, Trish Bey i Lori Adams dziękuję za tak wiele wspaniałych wspomnień.